

ATENEUM.

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XXIV.

ROK VI.

TOM IV.—ZESZYT III.

Grudzień.

WARSZAWA.
DRUKIEM K. KOWALEWSKIEGO,
ulica Królewska, Nr. 23.

1881.

SPIS RZECZY.

Druk ukończono 1 Grudnia 1881 r.

P. Meyer — dziejopis Ks. Poznańskiego.

Geschichte des Landes Posen, von dr. Christian Meyer, Königlichen Staats Archivar der Provinz Posen.—Posen, Verlag von Joseph Jolowicz.—1881.

Przed kilku miesiącami ogłosiła, istniejąca w Poznaniu firma nakładowa, prospekt wraz z zaproszeniem do prenumeraty na dzieło „Królewskiego archiwaryusza prowincyi poznańskiéj d-ra Krystyana Meyera," mające obejmować „dzieje prowincyi poznańskiéj" od najdawniejszych czasów aż do dni naszych. „Główne uwzględnienie— mówił prospekt—ma tu znaleść wewnętrzna historya kraju poznańskiego a więc historya jego ustawy i jego prawa, jak wogóle całéj kultury według jéj różnorodnego rozwoju w handlu i gospodarstwie, sztuce i nauce, języku i obyczaju. Mianowicie ma być dokładnie przedstawiona historya niemieckości (des Deutschthums) prowincyi, emigracya Niemców i ich rozszerzanie się, ich zakładanie miast i wsi. Punkt ciężkości tego opowiadania jednakże będzie stanowiła historya najnowszych czasów od roku 1772, od chwili okupacyi kraju przez Prusy. Właśnie ten peryod, tak niesłychanie ważny dla dzisiejszych stosunków, jest jeszcze w całości swéj mało zbadanym. Mianowicie było dano autorowi korzystać z nieużytego dotąd jeszcze materyału aktowego w królewskiém archiwum prowincyonalném do historyi zaprowadzenia administracyi pruskiéj, kolonizacyi obwodu nadnoteckiego itd."

Po takiéj rekomendacyi wystawionéj, prawda że przez samegoż nakładcę, mającemu ujrzeć światło dzienne dziełu p. Meyera—mieli czytelnicy tém większe prawo spodziewać się rzeczy ciekawéj, uczonéj, zawierającéj nowe i nieznane szczegóły, im większą rękojmię podobnéj nadziei dawało stanowisko p. Meyera, jako „królewskiego archiwaryusza prowincyi poznańskiéj" i przesądnie może nieco zakorzenione w całym świecie przeświadczenie o wyższości nauki nie-

mieckiéj. Przesądowi podobnemu mogłoby się zdawać czystém niepodobieństwem, aby tyle dbały o oświatę publiczną, tyle troskliwy w wyborze osobistości na stanowiska naukowe, tyle unikający z powodu „niższości naukowéj i cywilizacyjnéj“ mianowania *Polaków* na podobne stanowiska rząd pruski, był mógł powierzyć ważną posadę archiwaryusza prowincyonalnego zupełnéj ignorancyi i niezdolności. Jakkolwiek tedy wypróbowane od wielu lat i przez liczne przykłady doświadczenie, nie zapowiadało nam w p. Meyerze przyjaciela, ani w jego dziele pracy wolnéj od nieprzyjaznéj nam dążności, liczyliśmy po podobnym prospekcie i po stanowisku autora na rzecz godną uwagi i czytania. O ile, to bardzo umiarkowane zaiste oczekiwanie, po przeczytaniu książki p. Meyera może się uważać zadowolnioném, na to pytanie niechaj będzie odpowiedzią niniejsze sprawozdanie.

Wypada nam je przedewszystkiém zacząć od scharakteryzowania *dążności* autora. Rozumiemy maksymę starożytnego Ateńczyka, który twierdzi, że w walkach partyjnych nie wolno żadnemu obywatelowi pozostać neutralnym. W tolerancyi i pobłażliwości naszéj, rozszerzamy granice téj maksymy i przyznajemy prawo czy obowiązek podobnego podjęcia wyraźnego sztandaru i w walkach międzynarodowych. Niechaj tedy czy to Polak, czy Niemiec traktujący dzieje odwiecznego zatargu między obu narodami, nie wypiera się swojéj właściwéj barwy i zapatruje się na rzeczy z właściwego swemu interesowi narodowemu stanowiska. Taka dążność znajduje jednakże swe granice w uczuciu przyzwoitości, w zamiłowaniu prawdy, w znajomości przedewszystkiém rzeczy. By się zbyt długo we wstępie naszym nie rozpisywać, powiedzmy z góry, że jeżeli tendencya nam wroga jest u p. Meyera wszystkiém, nie ma z jego strony ani jednego warunku czy przymiotu, któryby ją miarkował. Biorąc sobie za wzory nie dodatnie i poważne historyografii niemieckiéj pojawy, jak np. Röppla lub Hirscha, ale mierności i przewrotności, jak Wuttkego, Adlera, Freytaga (wyraźnie piszemy *romansopisarza* Freytaga, na którego powagę się powołuje, nie przytaczając źródła), postanowił sobie p. Meyer za przykładem Wuttkego w jego tendencyjnéj i fałszerskiéj publikacyi *Das Städtebuch des Landes Posen*, „prowincyą poznańską,“ jakiś osobny odwiecznie według niego „kraj poznański,“ *Land Posen*, wydobyć z jego dziejowego, politycznego i narodowego związku (*herausschälen*, jak sam powiada), by dowodzić jego przynależność do Niemiec i żywiołu niemieckiego, by przekonywać od początku do końca czytelnika, że jeżeli się zaprzeczyć nie da, iż „*kraj poznański*“ stanowił przez długie wieki część krajów Rzeczypospolitéj Polskiéj, to przecież sąsiedztwo z Niemcami, ich kolonizacya, geograficzne i handlowe stosunki, względy i potrzeby

cywilizacyjne wskazywały go *opatrznościowo* na konieczność przejścia w ręce niemieckie. Fatalizm taki zawisł według p. Meyera od pierwszéj chwili czasów historycznych nad „*krajem poznańskim*" a daty roku 1772, 93, 95 i 1815 spełniły tylko jego wyrok. Łatwo pojąć, jakie koszlawizny i bezsensy wychodzą na jaw pod wpływem podobnéj tendencyi. Żywioł polsko-słowiański jest według niéj, począwszy od czasów Mieszka i Bolesława, skończywszy na dzisiejszych, przedmiotem zanieczyszczającym „*kraj poznański*," nie dopuszczającym żadnéj kultury, niezdolnym do jéj przyjęcia, zaniedbującym systematycznie oświatę, znającym tylko ucisk dla stanów niższych społeczeństwa, nie mającym zmysłu tolerancyi religijnéj.

Takim przedstawia się autorowi żywioł polski w przeszłości. W teraźniejszości piętnuje p. Meyer, wiernie według przykazów i obyczaju słownika policyjnego, każdy objaw życia polskiego w Poznańskiém, czy to nosi miano Towarzystwa pomocy naukowéj, czy Towarzystwa rolniczego, czy *Tellusa*, czy towarzystwa wyścigowego, epitetem rewolucyjnego agitatorstwa. Rzecz naturalna, że przy podobnym systemie trzeba ciskać gromami na „szlachtę i księży," robić z nich ciągle jeszcze żywioł bałamucący w rewolucyjnych celach poczciwe, ale ciemne chłopstwo, które jednakże ich syrenich dźwięków nie słucha. O prawdzie, bezstronności, dokładności historycznéj nie ma tu wcale mowy; całe światło dostaje się wyłącznie i niepodzielnie żywiołowi i rządom niemieckim, wszystek cień pada na Polaków, którym autor żadnéj, co się nazywa żadnéj *dodatniej* nie przyznaje strony. Autor patrzy przychylnie zaledwie na te ustępy i te postacie przeszłości, w których i dzięki którym kolonizacya niemiecka doznawała opieki. Każdy objaw natomiast świadomości narodowéj, każdy nakaz czy to polskiego kazania w kościele, czy nauki języka polskiego w szkole, uchodzi za fakt grzesznego buntu przeciw cywilizacyjnéj wyższości Niemców, za zdrożny ucisk niemczyzny saméj. Nie potrzeba dowodzić, jak dalece ktoś, co się już raz puścił drogą tak wyuzdanéj tendencyi, nie kłopocze się ani o faktyczną prawdę, ani o środki i sposoby jéj stwierdzenia. Jak kruk do swego gniazda najrozmaitsze rupiecie, tak p. Meyer zbiera i znosi do gniazda swojéj przeciw nam nienawiści, bez względu na wartość i prawdę wszystko, co mu się nadarzy gdziekolwiek-bądź znaleść. Tak np. pożycza sobie od romansopisarza Freytaga (nie podając źródła, z ostatniego tomu jego *Bilder aus deutscher Vergangenheit*) bajki, że staroście gnieźnieńskiemu Unrugowi z rodu Międzychodzkiego *aus dem Hause Birnbaum* (co w tém za sens?) wyrwano język a samego żywo spalono za bluźnierstwo. Ten sam daléj romansopisarz jest mu źródłem do innéj jakiejś anegdotki o szlachcicu

Roskowskim, którego czarny but znaczył śmierć, czerwony pożar dla Lutrów i Kalwinów. Im daléj w las, tém więcéj drzew; im daléj postępuje opowiadanie autora, tém więcéj prawd tego rodzaju. Mianowicie staje się pod tym względem autor obfitym, skoro się dobił w swém opowiadaniu epoki roku 1848. Wtedy to są Niemcy niewinnymi barankami, nie mającymi sobie nic do wyrzucenia w postępowaniu swém względem Polaków, kiedy Polacy czyhają tylko na życie i własność Niemców. Opowiada autor przy téj sposobności niebywałe nigdy, wymyślone niewiadomo przez kogo, bądź to mordy zakładników w miasteczku Książu, bądź zamachy w samym Poznaniu na życie niejakiego P. Kolba von Schreeb, bądź rabunki popełniane nibyto przez Polaków na własności niemieckiéj czy to w saméjże stolicy prowincyi, czy po małych jéj miasteczkach.

Do jakiego stopnia miłość prawdy autora w tym względzie się posuwa, niechaj dowodzi następny szczegół. Autor przypisując kołu sejmowemu polskiemu w Berlinie jakieś rewolucyjne i wywrotne dążności, twierdzi, że zagraniczna propaganda rewolucyjna szła z niém ręka w rękę a mianowicie, że i „w prowincyi poznańskiéj rozpowszechniano proklamacye komitetu londyńskiego z dnia 23 Maja 1858 r. wypowiadające wojnę wszystkim państwom i tronom.“ Jakżeż tymczasem ma się z *prawdą* faktyczną podobnego twierdzenia? Otóż, jak dowiedziono i jak nikt nie przeczy, że o głupców i wartogłowów londyńskich nikt się nie pytał, ale że podrobione ich w Poznaniu odezwy, czyli ściśléj powiedziawszy, odwzorowane podług oryginału londyńskiego, rozpowszechniała w celu zbadania usposobienia publicznego—samaż władza policyjna poznańska. Autor nie wiedział, a najprawdopodobniéj nie chciał wiedzieć, tego powszechnie znanego faktu i zrzucił jego winę na rewolucyjność Polaków.

Rzeczą zbyteczną byłoby wobec takiéj tendencyi autora dowodzić, że jedyném lekarstwem na dziejową niepoprawność Polaków była jedynie tylko kolonizacya i cywilizacyjna działalność żywiołu niemieckiego. W tym celu i aby tego dowieść, wyprawia autor istnie łamane sztuki. Przedewszystkiém stara się przekonywać, że „*kraj poznański*“ był już zdobyty dla kultury niemieckiéj przez kolonizacyą książąt i kościoła w XIII i XIV wieku, a że dodatkowe emigracye w skutek prześladowań religijnych XVI i XVII wieku dopełniły tylko reszty. Korzystając bardzo szeroką miarą z uczeńszego, cokolwiekbądź, od swéj książki *Städtebuchu* Wuttkego, wylicza autor, wszystkie nadania książąt, wszystkie fundacye klasztorów, wszelkie osadzania kolonistów na prawie niemieckiém. Procedura jego w tym względzie, by tylko przyjść do rezultatu dowiedze-

nia odwiecznéj niemieckości poznańskiego kraju, jest bardzo krótka i bezceremonialna. Każde miasto obdarzone prawem niemieckiém, każda kolonia na prawie magdeburskiém osadzona, uważa się ze strony autora z góry za niemiecką. Założony w roku 1253 przez księcia Przemysława na lewym brzegu Warty nowy Poznań, nosi u autora nazwę *niemieckiego* Poznania, *Deutsch-Posen*, ponieważ zyskał z nadania książęcego prawo magdeburgskie. Autor nie wié czy nie chce wiedzieć, że było w Polsce całéj, nawet w takich jéj stronach, gdzie kolonizacya niemiecka wcale nie zaszła, wiele miast i osad rządzących się prawem magdeburgskiém. Miasteczka: Kobylin, Zduny, Borek rządzące się tém-że samém prawem, posiadały, jak nas przekonywają gruntowne i sumienne badania uczonego Łukaszewicza, w wieku XVI ludność rzemieślniczą wyłącznie prawie polską. Chcieć zaś na podstawie prawa magdeburskiego robić wszystkie miasta i osady, które się niém rządziły, *niemieckiemi*, byłoby to samo, co chcieć zamieniać na Francuzów wszystkich Niemców, którzy się rządzili kodeksem Napoleona i posługiwali procedurą francuzką...

W kronice Helmolda już znajdujemy charakterystyczną odpowiedź, jaką biskup Starogrodzki Gerold daje skarżącym się na ucisk niemiecki i przeciążenie podatkami Słowianom: „Przeciw Wam, Słowianom i poganom wcale zgrzeszyć nie można!“ Nie wiemy, czy uczoność p. Meyera sięga aż do znajomości kroniki helmoldowéj, ale o czém się dowodnie przekonywamy, że logika jego nienawiści zapożycza się u figurującego w kronice tejże biskupa. Grzechy popełnione przeciw nam ze strony niemieckiéj nie uważa się tedy po prostu za grzechy lub co wygodniejsza, przemilcza się je zupełnie. A więc jest zabór fryderykowy z roku 1772 oddawna projektowaném, naturalném spełnieniem rozwoju dziejowych wypadków. Po tym gromie, powinien każdy rozsądny i jasnowidzący patryota był być przekonanym, że Polska istnieć nie może, dla czego podział z roku 1793 był znów tylko naturalnym wynikiem dziejowéj logiki a powstanie Kościuszki zdrożném wierzganiem przeciw jéj ościeniowi. Że przecież jeźli kto, to Prusy właśnie *nie* były przekonania o konieczności upadku Polski po pierwszym podziale, ponieważ w takim razie nie byłyby jéj podżegały przeciw Rosyi i Austryi i wiązały się z nią pamiętnym traktatem z dnia 29 Marca 1790 r. O owym aliansie jak i o złamaniu jego ze strony Prus nie powiada autor ani słowa, jak wogóle mówi lub przemilcza w swéj historyi „*kraju Poznańskiego*“ tylko to, co mu jego tendencya dyktuje. Naturalnie może być tylko z jéj stanowiska powstanie Polski za ukazaniem się Napoleona aktem buntu, istnienie Księztwa Warszawskiego uzurpacyą

nieprawowitéj władzy; wszystko, co się działo po roku 1815, rok 1831 i wszystko znów co się po tymże roku ze strony polskiéj czuło i robiło: nieładem, nieporządkiem, anarchią, karygodną agitacyą. Autor nie bawi się, chwała Bogu, w żadne sentymentalizmy, choćby nawet w sielankowo-liberalne sentymentalizmy własnych swych ziomków śpiewających o *Łagiewce* i *„von den lezten Zehn des vierten Regiments“* a całą tę poezyą zastępuje, w jego opowiadaniu i w jego szerokiém zapatrywaniu się na rzeczy, umiejętne a częste wyzyskiwanie frazesów i wyrazów policyjnego słownika. Słowem, chodziło autorowi w zasadzie nie o przedmiotowość jakąś historyczną, lecz o złożenie dowodu prawowierności politycznéj według prądów i recepty obecnéj chwili. Zamiar ten świetnie się autorowi udał, a jeżeli swém dziełem wystawił sobie patent niudolności na historyka, złożył tém świetniejszy popis na *âme damnée* panującego obecnie w Prusach systemu.

Tyle o *tendencyi* autora, któraby nas mogła gniewać i drażnić, gdyby nas nie rozbrajała jego gruntowna nieznajomość najelementarniejszych z dziejów i stosunków naszych rzeczy i gdyby, skoro się już bez nieprzyjaciół obejść nie możemy, nie kazała nam życzyć sobie mieć, o ile możności tylko *takich* nieprzyjaciół. Pan archiwista prowincyonalny Meyer, powtarzamy, nie ma nawet takiego wyobrażenia o historyi i rzeczach polskich, jakie posiada najniezawodniéj każda pensyonarka, czy każdy uczeń średnich klas wyższych naszych zakładów naukowych. Obok monumentalnéj niewiadomości podziwiać w nim tylko możemy nie mniéj monumentalną zarozumiałość i wyrokowanie o rzeczach *ex cathedra*, o których choćby już dla tego najlżejszego pojęcia mieć nie może, iż nie posiada języka polskiego i nie jest w stanie przeczytać i rozumiéć żadnéj książki polskiéj. Najhistoryczniejsze nazwiska polskie są dla niego *terra incognita* i kaleczy je w niemiłosierny sposób. Tak np. nic nie wié p. archiwista prowincyonalny o istnieniu rodziny *Sapiehów* w Polsce a opisując zajazd pruski w r. 1772 opowiada, że właścicielami miasteczka Wielunia nad Notecią byli „mieszkający w Gdańsku książęta *Sapia*.“ Nie dość na tém, nie ma prawie polskiego nazwiska, któregoby autor nie przekręcił i któreby był w stanie napisać w poprawny sposób. Świnarski jest u niego *Schwinarskim*, Lassocki *Lassorckim*, Kołaczkowski *Kolacskowskim*, Łukasiński *Lukassynskim*, Szamotulski *Szamotulim*. Z nazwami miejscowości dzieje się to samo. Nie ma prawie żadnéj stronicy tego, pod względem typograficznym istotnie wspaniałego wydawnictwa, gdzieby autor nie składał wybornego egzaminu owéj doszczętnéj nieznajomości języka polskiego. A przecież rozprawia autor z dziwną śmiałością (prawda, że w przedmowie tylko), „że hi-

storyografia polska dostała się ostatniemi czasy w ręce dylettantów," że „trzy imiona tylko, Lelewela, Bielowskiego i Szajnochy (co za zestawienie świadczące o znajomości ich wszystkich! (wzbiły się nad poziom pospolitości" i tym podobne inne rzeczy. Jak gdyby p. Meyer znał istotnie historyczną literaturę polską i był, *bez* przekładu na język niemiecki, zdolny wiedzieć na prawdę, co Bielowski, Lelewel czy Szajnocha po polsku pisali! Wyrokowanie o historyografii polskiéj i o historykach polskich ze strony dra Meyera, trąci nam tu daleko więcéj przymiotem odznaczającym nadbrzeżników Garonny, aniżeli stwierdza sławę gruntowności i sumienności nauki niemieckiéj, *der deutschen Wissenschaft.* Wystawmy sobie np. pisarza nie umiejącego po niemiecku lub po francuzku a zabierającego się mimo to do kreślenia nietylko historyi Niemiec lub Francyi, ale co więcéj, do wyrokowania o literaturze niemieckiéj lub francuzkiéj. Pytamy, czyż mógłby taki pisarz i taka jego pisarska próba utrzymać się choć dwadzieścia cztery godzin na widowni naukowo-literackiéj i czyby ich z niéj aż nadto zasłużone wyśmianie nie zmiotło? Tylko gruntowność nauki niemieckiéj i uczoność nasłanych nam oficyalnie archiwaryarzów naszych zbiorów prowincyonalnych uważa się za uprawnioną i powołaną do pisania naszych dziejów, do wydawania sądów o naszych duchowych pracach bez elementarnéj znajomości naszego języka. Czyż to nie wybornie i czyż tutaj także nie przebrzmiewa owo *dictum acerbum* biskupa Gerolda. „*Przeciw wam słowianom i poganom wcale zgrzeszyć nie można?*"

Aby jednak czytelnicy nasi szanowni nie chcieli przypuszczać może iż nas przeciw p. Meyerowi unosi jakaś niesłuszna i niewczesna niechęć,—pozwolimy ku zbudowaniu ich ułożyć mozajkę *niektórych* błędów jego dzieła, niektórych, wyraźnie mówimy, bo chcieć wyliczać i prostować wszystkie, trzeba-by pisać krytykę równą swą objętością samemu dziełu. To, co przytoczymy, da, jak się spodziewamy, dostateczne wyobrażenie o znajomości rzeczy i przygotowaniu naukowém pana archiwisty prowincyonalnego. A więc, zaczynając od przedmowy, pisze autor krótko przedtém, gdzie nie wiedząc ani słowa o Bartoszewiczu, Kalince, Smolce, Szujskim, powiada, „iż nowoczesna historyografia polska popadła w dyletantyzm" i gdzie Lelewela, Bielowskiego i Szajnochę bierze pod wspólny strychulec,—dosłownie, co następuje. „Wiek XVI i XVII pozostał całkiem bezpłodnym dla rodzinnéj *historyografii.*" Według p. Meyera, który zasłyszał o Gallu, Kadłubku, Godzisławie Baszku, Janku z Czarnkowa, kończy się historyografia na Długoszu. Po za nim przedstawia mu się niewypełniona niczém próżnia. Nie wiemy wprawdzie, w jakiém wydziale nauki p. Meyer uzyskał figurujący przy jego nazwisku tytuł „*do-*

ktora". Jeźli w nauce *historyi*, dziwiłoby to nas niepomału, ponieważ, jak nam dobrze wiadomo, są tak zwane seminaria historyczne przy uniwersytetach niemieckich bardzo troskliwe z jednej, bardzo wymagające z drugiéj strony, a jednym z przedmiotów egzaminacyjnych są także źródła do dziejów polskich. Jakże tedy, pytamy, dzieje się, że *doktorowi*, najprawdopodobniéj nauki historycznéj, że *uczonemu* obdarzonemu dodatkowo, w uznaniu zapewnie jego specyalnych wiadomości w dziedzinie historyi polskiéj, stanowiskiem archiwaryusza prowincyonalnego *poznańskiego*, nieznane nazwiska i dzieła historyografii polskiéj XVI i XVII wieku? Autor nie wie tedy widocznie nic ani o Kromerze, ani o Wapowskim, ani o Marcinie i Joachimie Bielskich, ani o Stryjkowskim, ani o Górnickim, ani o Orzelskim, ani o Heidensteinie, ani o Piaseckim, ani o Kobierzyckim, ani o Stanisławie Albrechcie Radziwille, ani o Rudawskim, ani o klimakterach Kochowskiego, ani o listach Załuskiego! Niewiadomość, jak na pisarza wydającego tak apodyktyczne wyroki o historyografii polskiéj tém zdrożniejsza, tém potworniejsza, że nieznajomość tak bogatéj już w owéj epoce literatury pamiętnikowéj polskiéj gotowiśmy autorowi darować...

Nie inaczéj ma się ze znajomością rzeczy autora w dziedzinie ogólnéj literatury i kultury polskiéj. Polska nie przedstawia dlań żadnego elementu samodzielnéj i samowiednéj jakiejś oświaty. Każdy tamże pojawiający się promień światła jest zasługą łaski *niemieckiego* słońca. Monumentalném pozostanie następne orzeczenie autora: „Polska jest jedynym krajem zachodnio-rzymskiego obszaru oświaty, który nie posiadał epoki humanizmu, odrodzenia (renaissance) ducha z więzów hierarchiczno-scholastycznych średnich wieków, dla czego téż stan oświaty polskiéj w XVIII wieku zupełnie na tém samém stanowisku się znajduje, jakie reszta zachodniego świata zajmowała w piętnastym wieku. Był to nowy czynnik odróżnienia pośród wielu innych, które od końca XIV wieku wzniosły mur graniczny między Polską a państwami zachodu i południa." Cóż sądzić o znajomości rzeczy pisarza, który podobne fałsze bez zająknienia powiada, cóż mianowicie, skoro nie umie po polsku, sądzić o jego sumienności? A więc uczonemu niemieckiemu, obdarzonemu akademickim stopniem i oficyalném stanowiskiem archiwaryusza prowincyonalnego poznańskiego, piszącemu specyalne dzieło o dziejach Polski czy jéj części, jest rzeczą *nieznaną* cały ów żywy związek między humanistami zachodu XVI wieku a ówczesną inteligencyą polską, owe wędrówki młodzieży polskiéj na uniwersytety Włoch i Niemiec, stosunki reprezentantów oświaty i pierwszych rodów polskich z Filipem Kallimachem, Konradem Celtesem, Muretem, Eraz-

mem Retterdamczykiem; nieznany wpływ owych stosunków na politykę, pojęcia religijne, literaturę, sztukę polską. P. Meyer nie wie tedy widocznie nic o tém, co się nazywa *złotym wiekiem* w dziejach literatury polskiéj, nie wie o kanclerzu Zamoyskim jako o statyście, nie zna zatargów religijnych polskich, z których każdego wiersza i słowa wychylają się wrażenia humanistyczne, nie wie o istnieniu łacińskich poetów naszych Macieja Sarbiewskiego i Klemensa Janickiego, wie tém mniéj naturalnie jeszcze o egzystencyi Reja, Jana Kochanowskiego, Klonowicza, Sępa Szarzyńskiego, bo inaczéj nie byłby mógł przecież powiedziéć, „że Polska jest jedynym krajem, który pozostał nietkniętym od powiewu odrodzenia i humanizmu.“ Jak nam się zdaje stós *niewiadomości* bardzo rozległych rozmiarów, niewiadomości, któréj okolicznością obciążającą, pozostanie bezcelna apodyktyczność i zarozumiałość autora.

W lustracyi błędów, któremi dzieło p. Meyera przepełnione od początku do końca, postępujmy ku zbudowaniu czytelnika daléj, jesteśmy tylko w wątpliwości, jakiéj się pod tym względem trzymać metody, czy iść porządkiem skrzywdzonych jego niewiadomością materyi, czy też trzymać się po prostu porządku stronic dzieła? Wybieramy drugą, jako wygodniejszą a dowodowi, który wyprowadzić zamierzamy, wcale nieprzeszkadzającą. Zastrzegamy się raz jeszcze tylko przeciw przypuszczeniu czytelników, jakobyśmy w lustracyi owych błędów p. Meyera byli wyczerpującymi. Na to nie starczyłoby nasze sprawozdanie a więc wyliczmy niektóre. Strona 66-ta jest pod tym względem dwa razy szczęśliwa a p. dr. Meyer zdaje tamże wyborny egzamin ze znajomości geografii politycznéj polskiéj. Autor mówi tamże. „Gniewkowska ziemia stanowiła przed środkiem XIV wieku osobne księztwo a dla tego też zapewnie później i osobne województwo.“ Według wiadomości p. Meyera wchodziło tedy w skład ciała Rzeczypospolitéj Polskiéj osobne *województwo Gniewkowskie*, istnie Kolumbowy wynalazek uczoności prowincyonalnego archiwisty poznańskiego, wynalazek, „o którym się nie śniło dotąd żadnemu ze znawców choćby najgłębszych historyi i politycznéj geografii polskiéj.“ Tuż kilka wierszy niżéj na téj saméj stronnicy czytamy. „Województwa kaliskie i poznańskie razem nazywały się Wielkopolską.“ Znów gruby błąd przeciw abecadłu politycznéj geografii dawnéj Polski, bo przecież z pierwszego lepszego jéj podręcznika, jakich w literaturze naszéj nie zbywa, byłby się mógł p. Meyer nauczyć, że w skład tego, co się mieniło Wielkopolską, wchodziły prócz województw kaliskiego i poznańskiego, województwa: mazowieckie ze wszystkiemi swojemi ziemiami, sieradzkie, łęczyckie, rawskie, brzesko-kujawskie, inowrocławskie, płockie, w dodatku trzy województwa

pruskie, wśród pewnych zastrzeżeń odrębności, wreszcie ziemie wschowska i wieluńska. U p. Meyera kończy się Wielkopolska na Kaliskiém i Poznańskiém!...

Daléj czytamy na stronie 191 o Stefanie Batorym. „Nawet król powrócił na łono starego kościoła i rozporządził, aby biskupstwa na przyszłość tylko katolikom rozdawać." Podług uczoności autora był więc król Stefan Batory protestantem a biskupstwa polskie nadawano, według niego niegdyś protestantom, gdyż inaczéj nie byłoby naturalnie potrzeba królewskiego rozporządzenia, mocą którego tylko katolikom udzielane być mogą!...

Ze strony 195 dowiadujemy się, „że pod synami Zygmunta III, Władysławem IV i Janem Kazimierzem zewnętrzna spokojność kraju mniéj była zakłóconą," jak gdyby wojna kozacka, inwazya Karola Gustawa, elektora brandeburskiego, Rakoczego, straszna wojna z Rosyą były dowodami niezamąconego niczém pokoju! Dwie strony daléj czytamy dosłownie. „Królem został obrany prosty, krajowy szlachcic, Michał Wiśniowiecki, który się w dawniejszych wojnach dzielnym wojownikiem okazał!" Poczciwy król Michał ucieszyłby się z grobu, gdyby mógł wiedzieć, na jakiego go to bohatera pan archiwista Meyer pasuje. Na stronie 199 czytamy o wielkiém zwycięztwie Karola XII pod Wschową dnia 14 Lutego 1706, kiedy, jak wiadomo z pierwszego lepszego podręcznika historyi wojny północnéj, bitwę ową wygrał szwedzki generał Renskiöld a Karol XII znajdował się naówczas na Wołyniu. Na stronie 273 powołuje się autor na powagę nie nazwanego przez się bliżéj, współczesnego (rok 1772) świadka, który twierdzi, że miasto Trzcianka (Schönlanke) zostało dopiéro założone w XVIII wieku, kiedy zostające pod jego, p. Meyera, własnym zarządem dokumenta archiwum prowincyonalnego poznańskiego stwierdzają fakt egzystencyi tego miasteczka już w epoce ostatnich Piastów. Niechaj zajrzy ku stwierdzeniu prawdy naszéj rektyfikacyi w wydany co dopiéro czwarty tom kodeksu dyplomatycznego wielkopolskiego. Wspomnieliśmy już, że autorowi obce nazwisko rodu *Sapiehów* i że ich (str. 262 tekstu, 480 indeksu) nazywa „zamieszkałymi w Gdańsku książętami *Sapia*." Na str. 316 powiada autor, „że waryackie małpowanie okrucieństw rewolucyi francuzkiéj sparaliżowało bardzo prędko powodzenie powstania (Kościuszki)." Nie wiadomo, coby na podobne ignorowanie Maciejowic i Szturmu Pragi powiedzieli Fersen i Suworow i czyby za nie byli wdzięczni autorowi. Na stronie 364 celebruje podczas homagialnéj z dnia 3 Sierpnia 1815 przysięgi „książę—arcybiskup Raczyński," kiedy tytuł *księcia* nigdy Raczyńskiemu nie służył a arcybiskupstwo gnieźnieńsko-poznańskie datuje się dopiéro od regulującéj stosunki kościelne Prus

i Niemiec bulli „*de salute animarum*“ z roku 1821. Na stronie 385 opowiada autor, że w Styczniu 1831 wybuchła w Warszawie kontrrewolucya, któréj fakt znów naturalnie w głowie samego p. Meyera egzystuje...

Otóż niektóre fałsze i błędy autora, błędy i fałsze wynikające najprostszą drogą z najzupełniejszéj nieznajomości rzeczy autora, z jego monumentalnéj powierzchowności, z jego niewiadomości języka polskiego. Zdaje nam się, że ich wyliczyliśmy dosyć ku przekonaniu czytelników, z jaką to niby inteligencyą mają sprawę. Dowody podobnéj niewiadomości byłyby złe już i naganne w dorastającym młodzieńcu polskim. Z jakiém że np. lekceważeniem i to lekceważeniem zasłużoném całkiem, spoglądalibyśmy na ucznia wyższéj klasy naszych zakładów naukowych, któryby nam zarozumiale a śmiesznie prawił, że król Michał Wiśniowiecki był wielkim wojownikiem lub że czasy Jana Kazimierza odznaczały się zewnętrznym spokojem dla Polski. O ile przecież gorsza tak pomnikowa niewiadomość w uczonym najuczeńszego nibyto w świecie narodu, obdarzonym do tego wcale nie źle wynagrodzoném, urzędowém stanowiskiem archiwaryusza prowincyonalnego poznańskiego. Nie śmieszna to i zabawna rzecz gdy nam potém podobne figury prawią o gruntowności naukowéj niemieckiéj i traktują na tysiączne waryacye stary temat o wyższości cywilizacyjnéj Niemców nad Polakami. Możemy mieć i mamy bez wątpienia wiele błędów. Tyle przecież zaufania do sumienności i uczucia przyzwoitości polskiéj mamy, iż nie przypuszczamy, aby się znalazł Polak, który nie znając nawet języka niemieckiego chciałby się zabrać do pisania historyi Niemiec, a który zabrawszy się do niéj, śmiał np. pisać i drukować, że król pruski Fryderyk I był wielkim wojownikiem a że epoka cesarza Ferdynanda II była czasem zewnętrznego spokoju dla Niemiec lub że dolno-saski okrąg, *der nieder sächsische kreis* dawnéj rzeszy Niemieckiéj składał się z dzisiejszego królestwa saskiego i obu Luzacyi...

Wypada nam teraz z kolei rzeczy przypatrzeć się *metodzie* autora i *treści* jego dzieła. Jak tytuł wskazuje, chciał napisać historyą Poznańskiego, *die Geschichte des Landes Posen.* Byłoby jeszcze, jak to pospolicie mówią, „*pół biedy*“, gdyby znał dzieła choćby tylko Łukaszewicza, jego *Wiadomość o kościołach braci czeskich*, jego *Historyą szkół*, jego *Historyą kościołów.* Cóż przecież, kiedy autor po polsku nie umie, a przełożoném w całości na język niemiecki z dzieł Łukaszewicza jest jedynie tylko *obraz miasta Poznania*! Trzeba więc, by doprowadzić rzecz do 469 stronnic druku w wielkiéj ósemce, radzić sobie inaczéj. Inna kwestya naturalnie, czy autor radząc sobie w swoich kłopotach, poradził równocześnie czytelnikowi i czy mu

daje najmniejsze wyobrażenie o przeszłości „poznańskiego kraju.“ Kto zna choć trochę historyografią niemiecką trudniącą się rzeczami polskiemi, widzi jak na dłoni ową mozajkę, owe genetyczne fundamenta elaboratu p. Meyera. Nasamprzód posiłkuje się dziełem Röppla, następnie trochę kontynuacyą profesora Caro. Niewyczerpalném źródłem do różnych kombinacyj, do historyi kolonizacyi niemieckiéj aż do XIV wieku włącznie, do nieskończonéj gadaniny o stosunkach prawno-społecznych wsi i miast założonych na prawie magdeburskiém jest mu stronnicze i fałszerskie dzieło Wuttkego *Das Städtebuch des Landes Posen.* Odkąd go Wuttke opuszcza, dzieje się z nim, jak z leniwą pensyonarką wskazaną na granie a nie chcącą grać trudnych ustępów fortepianowych. Pędzi przez nie, fałszując je i kalecząc niemiłosiernie, by dobić do łatwiejszych. Takim, pominionym szybko wśród śmiesznego kaleczenia prawdy historycznéj, ustępem jest dla p. Meyera historya polska,—o „kraju poznańskim“ nie dowiadujemy się ztąd niczego,—od Kazimierza Wielkiego do roku 1772. Dobiwszy się szczęśliwie téj daty i oddawszy należny hołd Fryderykowi II za jego spełnienie aktu cywilizacyjnéj misyi w tym roku,—przepisuje z wiernością kopisty według dosłownego brzmienia tekst praw i rozporządzeń wydawanych przez rząd pruski, daléj protokóły tych i owych komisarzy pruskich przy obejmowaniu miast i kraju ustąpionych przez Rzeczpospolitą polską. Przy téj to sposobności mówi o *Sapiach*, *Kolacskowskich* i *Schwinarskich.* Tąż samą metodą posługuje się autor w opisie okupacyi pruskich z lat 1793, 95 i 1815. Co najwięcéj zawiera jego relacya bardzo suche, pozbawione życia i barwności, ograniczające się na cyfrach i datach wiadomości o działalności pruskich urzędników Vossa, Goldbecka, Hoyma, Nöldechena, Schultza, Zerboniego, Brenkenhoffa. Że po za tą biórokracyą jest jakaś społeczność polska z osobném narodowém życiem, intelektualną działalnością, politycznemi dążnościami i nadziejami nie przeczuwa nawet autor, a nie ma téż zapewnie tyle dziejopisarskiego zmysłu, aby wiedziéć, że kto chce pisać dzieje „kraju poznańskiego“ z owéj epoki, nie może być jednostronnym, nie może poprzestać na cytowaniu *publicandów* królewskich i wyliczaniu nazwisk reprezentantów administracyi pruskiéj, lecz winien przedstawić obraz współczesnéj społeczności polskiéj. O tém ani myśléć naturalnie u autora szerokości poglądów i talentu dziejopisarskiego p. Meyera, a przepisywanie niektórych ustępów z również kompilatorskiéj pracy barona Brüggena lub Schultza (Reise eines Liefländers), nie zastąpi tu przenigdy braku i potrzeby samodzielnego opracowania. Dodajmy zaś raz jeszcze, bardzo wyraźnie i bardzo stanowczo, że *aż* do okupacyi pruskiéj nie powiada nam autor

ani słowa „o poznańskim kraju.“ Zamiast mówić o nim, woli autor całemi setkami stronnic gadać rozmaitości o całéj Polsce, co warte i jakiego rodzaju, wiemy z powyższego sprawozdania. Dostawszy się w czasy najnowsze, opowiada autor ze stanowiska najżywszéj przeciw nam nienawiści o karach, jakie spotkały niepoprawną szlachtę poznańską za udział w wypadkach roku 1831, o arcybiskupie Duninie i jego oporności w kwestyi małżeństw mieszanych, o aresztowaniach w r. 1846, o represyi w r. 1848, o niespłaconéj dotąd koncesyami handlowo-celnemi usłudze, jaką Prusy oddały Rosyi w roku 1863,—ale że przez cały ten czas od roku 1815 aż do obecnéj chwili istniało i istnieje w Poznańskiém jakieś osobne życie polskie z osobną swą działalnością, cywilizacyjną, humanitarną, naukową zasługą i doniosłością,—o tém autor nic nie wie i nic nie pisze...

Słowem, jest cała praca p. Meyera, cała owa *Geschichte des Landes Posen*, w któréj, raz jeszcze, niezręczne, kompilatorskie gadaniny o Polsce zastępują historyą „kraju poznańskiego,“ najnędzniejszą mozajką nie zdolną wytrzymać żadnéj krytyki, a jesteśmy aż nadto silnie przekonani, że krytyka téj książki *niemiecka*, *jeżeli* się ukaże gdziekolwiek, będzie surowszą jeszcze i bezwzględniejszą od naszéj. Nakaże jéj to po prostu ciężko dotknięty honor nauki niemieckiéj. Możnaby zaś zaiste, korzystając, ale naturalnie długo, pracowicie i sumiennie choćby tylko z materyału archiwalnego znajdującego się w Poznaniu pod kluczem p. Meyera, napisać wcale interesującą, źródłową, nowsze całkiem rzeczy i stosunki odsłaniającą historyą „*kraju poznańskiego*“. Co za nieprzebrane skarby do dziejów własności, skarbowości, podatkowości, administracyi, politycznych przemian „*kraju poznańskiego*“ zawiera owe archiwum prowincyonalne poznańskie od roku 1386 do 1793! Gdyby p. Meyer chciał się na prawdę z niemiecką gruntownością uczyć, gdyby się obeznał nieco z tém, co mu pod nadzór oddano, a następnie wziął się do pracy i skreślił choć jakie pięćdziesiąt lat jakiéj bądź epoki przeszłości „*poznańskiego kraju*“, oddałby znamienitą przysługę nauce a sam zasłynął w jéj annalach. Sposób natomiast, w jaki swego dzieła dokonał, nie daje nam o jego kwalifikacyi na uczonego i pisarza szczególnie dodatniego wyobrażenia. Pojmujemy bardzo dobrze, że przysłany z Berlina do Poznania na archiwaryusza młody człowiek, nie ma wyobrażenia o powierzoném sobie archiwum a bardzo powierzchowne tylko o dziejach polskich. Coby jednakże w takim razie ktoś zamiłowany na prawdę w swym przedmiocie czynił? Pracowałby w dziejach polskich, nauczyłby się języka polskiego, starałby się zapoznać ze skarbami swego archiwum. Porywać się za to bez znajomości tego wszystkiego z motyką na słońce, rozprawiać z dziwną

śmiałością w materyi najzupełniéj sobie obcéj, wystawiać się na nieuniknione rektyfikacye krytyki w najelementarniejszych rzeczach,— dowodzi dziwnego niedostatku własnéj krytyki, *Mangel an Selbstkritik*, jak powiadają Niemcy, chronicznéj a kardynalnéj choroby, która nam bardzo słabo wróży o pisarskiéj i naukowéj przyszłości p. Meyera...

Nie mniéj dziwi nas osobliwa nieopatrzność archiwalnéj administracyi pruskiéj w powierzaniu zarządu archiwalnego tak monumentalnym niewiadomościom i nieudolnościom. Jak gdyby na miejscu, między „owymi tyle niższymi oświatą i nauką“ Polakami niebyło wielu zdolniejszych stokroć od p. Meyera do zawiadowstwa rzeczywistemi skarbami naukowemi, jakie archiwum poznańskie obejmuje. Sąd ten nasz, jeżeliby się zdawał za surowym, poddajemy z wszelkiem zaufaniem potwierdzenia w wyższéj owéj instancyi, pod ocenienie naukowych ludzi niemieckich znających rzeczy polskie i mających wyobrażenie o sztuce dziejopisarskiéj, jak Röppla, Caro, Wattenbacha, Grünhagena. Niechaj tacy będą sędziami naszego sądu i powiedzą bezstronnie, czy słuszna, aby kierownictwo miejscowych skarbów naszych archiwalnych dostawało się przybywającym do nas, zarozumiałym ignorancyom, kiedy mamy na miejscu skromnych a znających rzecz Polaków, zdolnych podobnemu zadaniu sprostać.

S. P.

PYTANIE

PRZEZ

Jerzego Ebersa.

(*Dokończenie*).

5. Droga ku morzu.

Podczas gdy kapłan Afrodyty przyjmował ofiarę Jazona, chwaląc piękność prosiątka i obiecując zabić je natychmiast, a zarazem oświadczając, że to nędzne stworzenie, które Mopsus w imieniu Semestry ofiarował, przyjmuje tylko ze względu na ofiarodawczynię i strój;—Ksanta wychodziła z domu.

Miała na sobie najładniejszy swój ubiór; jasne swe włosy uczesała prześlicznie, przyczém niejedno w główce rozważyła, gdyż dziewczęta wtedy najchętniéj rozmyślają, gdy siedzą przy kołowrotku lub kądzieli, albo téż gdy w spokoju zajmują się ozdobą swéj głowy.

Semestra wyszła za nią, dała jéj nożyk i rzekła:

— Wypada drzwi przyozdobić kwiatami na przyjęcie gościa pożądanego. Na krzakach pełno róż teraz; idź więc i zetnij tyle, ile potrzeba na okazały wieniec, ale tylko czerwone lub żółte, białych nie bierz wcale, gdyż one nie przynoszą szczęścia. Najpełniejsze znajdziesz tam przy ławce nad morzem.

— Wiem, wiem.

— Zaczekajże i wysłuchaj do końca.

— I cóż?

— Pogoda przecudna, w nocy wiatr wiał łagodnie z północy; być więc może, że okręt z Meseny wyląduje jeszcze przed południem.

— Więc mnie puść.

— Idź tedy i wypatruj żagli, a kiedy nasze spostrzeżesz, to wracaj coprędzéj i powiedz Chlorydzie, żeby mię zawołała, gdyż muszę pójść do świątyni Kiprydy.

— Ty?—spytała Ksanta śmiejąc się.

— Ja, a tobie najmniéj przystoi śmiać się z tego zamiaru, mogłabyś mi nawet towarzyszyć.

— O nie! Ja ścinać będę róże.

Słowa te wymówione były tonem, który Semestra znała dobrze.

Ilekroć przybierała go Ksanta, to zawsze silnie obstawała przy swojém i robiła, co chciała; Semestra zaś, która nigdy zgodzić się nie mogła na to, żeby posłuszeństwo Ksanty zmniejszało się cokolwiek z laty, posługiwała się chętnie w takich razach swoją głuchotą, by roztropnie uniknąć porażki.

Dzisiaj zwłaszcza bała się podrażnić wrażliwą dziewczynę; dlatego téż odpowiedziała:

— Coś to mówiła? Czyżby doprawdy nie lepiéj było, moja gołąbko, żebyś zaraz poszła po róże? Śpiesz się, śpiesz, bo okręt, którego wyglądasz, wiezie ci szczęście. Jak téż-to wygląda ten strój, co ci Leonaks ma przywieść! Czegoś podobnego, jak mi się zdaje, nie widzieliśmy tu jeszcze nigdy! I o mnie biednéj nie zapomnieli tam w Mesenie; słyszałam, że przebąkiwali o ubraniu, jakie noszą zazwyczaj matrony. Jest to... byłoby to... no, zobaczymy!

Chichocząc, prawie z zawstydzeniem patrzała w ziemię, mówiąc te słowa; potém napomniała Ksantę raz jeszcze, aby ją zawołać kazała, jak tylko się ukaże okręt z Meseny, i chwiejnym krokiem podpierając się laską mirtową poszła w górę drogą prowadzącą do świątyni Kiprydy.

Ksanta nie odrazu udała się ku morzu; owszem zbliżyła się najprzód do domu stryja, aby Faona oczyma odszukać.

Kiedy go dojrzéć nie mogła ani w stajniach, ani koło domu na chodniku ocienionym gałęziami figowemi, odwróciła się szybko i dumnie stłumiła w sobie chęć, żeby go zawołać.

Na drodze ku morzu spotkała najprzód barczystego niewolnika z domu stryja. Zatrzymała go i zaczęła wypytywać.

Semestra nie skłamała. Faon do téj pory jeszcze nie wrócił do domu z nocnéj wycieczki; przytém od wielu już dni o świcie dopiéro przychodził.

Nie, *on* nie jest tym mężem, któryby stać się mógł podporą ojca chorego, on wygląda bogatéj dziedziczki, a dla lekkomyślnych towarzyszy i dziewek zapomina o niéj i o rodzinie.

Myśl ta boleśnie ją dotknęła, tak boleśnie, że zbierało się jéj znowu na płacz tak samo jak przy źródle.

Ale ona łzy powstrzymała, i ani jedna nie zwilżyła jéj lica; wydawało się jéj atoli, że biedne jéj serce dostało oczu, które łzami płakały.

Nożyk w ręce przypomniał jéj, że ma ścinać róże i wyglądać okrętu, ktory miał przywieść z Meseny drugiego jéj stryja.

Jeżeli Leonaks jest takim, jakim go odmalowała Semestra, to go nie odprawię jak innych zalotników—myślała sobie Ksanta, która z uśmiechem dawniéj dawała odkosza.

Tak jest, chciała zostać jego żoną, nie tylko ze względu na ojca, ale także dlatego, żeby ukarać Faona!

Po tém postanowieniu uczuła w sercu taką gorycz, taką boleść, jakiéj nigdy jeszcze nie doświadczała.

Zamiast spuszczać się ku morzu, Ksanta, opanowana całkowicie sprzecznemi i walczącemi z sobą uczuciami, poszła wprost przed siebie, aż się znalazła przed bramą, zamykającą dziedziniec.

Tu przyszedł jéj znowu na myśl cel wyjścia z domu; zwracała się już tedy nazad, gdy kuglarz, odpoczywający za furtką w cieniu płotu zawołał na nią.

— Idziesz za moją radą, piękna Ksanto, i chodzisz zamyślona jak sofista.

— Więc mi nie przeszkadzaj!—zawołała dziewczyna, hardo głowę podnosząc.

— Daruj, jeżeli ci przeszkodziłem—odrzekł wychowawca kur, chciałem ci tylko powiedzieć, że możebym potrafił znaleść pomoc dla twego ojca. W ojczyznie mojéj.

— Gdzież twój dom?

— W Mesenie.

— W Mesenie!—zawoła żywo Ksanta.

— Tam—przerwał jéj kuglarz—mieszka lekarz wielce doświadczony.

— Żaden jeszcze ojcu nie pomógł.

— A jednak.

— To wejdź i pomów z ojcem.

— Boję się téj złéj staruchy, co tam rozkazy wydaje.

— Ona wyszła, zostaniesz ojca samego.

— Dobrze, pójdę do niego.

— Mówiłeś, że jesteś z Meseny?

— To moja ojczyzna.

— Czy znasz mego stryja Alkifrona, kupca?

— Oczywiście; on tam posiada najwięcéj okretów.

— I syna jego, Leonaksa?

— I jego widywałem często, gdyż chata moja znajduje się przy porcie naprzeciwko przystanku dla okrętów wuja twojego, a Leonaks zawsze kieruje ładowaniem i wyładowywaniem statków. Jeżeli kto, to on niewątpliwie należy do tych pieszczochów losu, co takim nieborakom jak ja życie to nieszczęśliwe obrzydzają i zmuszają ich do śmiechu wtedy, gdy ludzie mówią o istnieniu tam w górze bogów sprawiedliwych.

— Bluźnisz!

— Wypowiadam tylko to, co inni myślą.

— I tyś przecie był kiedyś młodym!

— Alem był karłem, a on ze wzrostu podobny jest do Achillesa; byłem ubogim, a on sam nie wie, co począć z bogactwem; mnie unikały dziewczęta, a za nim goniły, mnie znaleziono na ulicy, a nim opiekuje się dziś jeszcze ojciec, jego całuje dziś jeszcze tkliwa matka. Zresztą rodziców mu nie zazdroszczę, bo kto sierotą się rodzi, ten nie doświadczy już boleści zostania nim późniéj.

— Gorzkie to, co mówisz.

— Kogo zbiją, ten się nie śmieje.

— Więc zazdrościsz szczęścia Leonaksowi?

— Nie, bo jakkolwiek słuszny miałbym powód do skargi, nie zazdroszczę wszakże żadnemu królowi, gdyż o jednym tylko wiem mniéj-więcéj, co się w duszy jego dzieje, a ten jeden stoi przed tobą.

— Narzekasz na los a przecie uważasz to za rzecz możliwą, że my wszyscy więcéj cierpień doznajemy aniżeli ty.

— Doskonale mię zrozumiałaś.

— To przypuść, że szczęśliwszym jesteś od wielu.

— A! gdyby-to wśród głupich nie było największéj liczby zadowolonych! Zresztą poranek dzisiejszy podoba mi się, bo mi twój ojciec dał to nowe ubranie, a chwile rozpaczy zdarzają mi się rzadko; przy pomocy kur swoich zarabiam na chleb i ser i wino i nie potrzebuję dbać o łaskę lub niełaskę czyjąkolwiek. Z bidką moją jeżdżę sobie, gdzie zechcę.

— Powinieneś więc bogom dziękować zamiast skarżyć się na nich.

— O, nie! bo brak cierpienia szczęściem jeszcze nie jest.

— A Leonaksa uważają za szczęśliwego?

— Dotychczas takim się wydaje, a kapryśna bogini zostanie mu wierną dłużéj może niż komu innemu, gdyż jest zajęty od rana do nocy jako prawa ręka ojca. Nie wpadnie przynajmniéj w jeden z dołów, które los kopie pod śmiertelnemi.

— Jakże się on nazywa?

— Nudy. Tysiąc jest gorszych a niewielu lepszych od twego krewniaka; a dziewczyna, którą on za żonę pojmie, może sobie powinszować.

Na te słowa Ksanta zarumieniła się; a w téj chwili karlik wchodząc na dziedziniec zapytał:

— Leonaks stara się o swoją krewniaczkę?

— Być może.

— A krewniaczka ma już kogo innego na myśli?

— Któż ci to powiedział!

— Moje kury.

— To kłaniaj się im ode mnie!—zawołała Ksanta; i opuściwszy kuglarza, pobiegła wprost ku ścieżce prowadzącéj do morza.

Tam, gdzie ścieżka ta oddzielała się od drogi, po któréj i fale pędzić mogły, stał pomnik szczególniejszy, przed którym zatrzymała się Ksanta.

Pochwała, udzielona przez kuglarza Leonaksowi, niebardzo do smaku jéj przypadła, owszem wolałaby była posłyszéć słowa nagany na zalotnika z Meseny, bo jeżeli podobny do obrazu jaki karzeł nakreślił, to byłby wsam raz tym mężem, coby mógł ojcu syna zastąpić i jako pan rządzić majątkiem, w którym nie wszystko tak szło, jakby iść powinno; a w takim razie trzebaby było zapomnieć o tym przeniewierczym marzycielu Faonie... gdyby to było rzeczą dla niéj możliwą.

Każda własność, w téj chwili, kiedy się jéj wyrzec mamy, zwykle wydaje się nam najpowabniejszą, nigdy téż jeszcze w życiu swojém nie myślała Ksanta o Faonie, z takiém wzruszeniem i z taką tęsknotą, jak obecnie i na tém miejscu.

Pomnik przed którym stała w milczeniu, była to budowla szczególna, wzniesiona z cegły pomiędzy ogrodem jéj ojca i wuja, a umajona ze wszech stron kwitnącemi powojami.

Miała ona kształt silnego muru, z obu stron podpartego dwoma wysokiemi słupami.

W murze widać było kilka szeregów nisz głębokich ze sklepionemi przykrywami; na słupach zaś na tle ciemno-czerwoném ukazywał się z jednéj strony geniusz śmierci ze spuszczoną pochodnią przed ołtarzem ofiarnym, z drugiéj zaś Orfeusz, który małżonkę swoję z państwa cieni wyswobodził i tak wybawioną prowadzi ku światu ziemskiemu.

Wiele było nisz pustych jeszcze; ale w kilku stały już wazy z napół przezroczystego alabastru.

Najświeższe, umieszczone w najniższym szeregu, zawierały popioły dziadka jéj Dyonizyusza i jego żony; w drugiéj zaś parze nisz były szczątki dwu matek; matki Ksanty i matki Faona.

Obie te niewiasty tego samego dnia padły ofiarą zarazy, zarazy jedynéj, jaka od niepamiętnych czasów nawiedziła to wesołe i zdrowe pobrzeże.

Stało się to przed ośmiu laty.

Ona była natenczas dzieckiem jeszcze, ale Faon liczył się już do dużych chłopców.

Po dziesięć razy dziennie przechodziła Ksanta koło tego miejsca; częstokroć myślała wtedy o ukochanéj zmarłéj a gdy jéj wspomnienie żywiéj się uwydatniło w jéj sercu, przesyłała drogim popiołom tkliwe pozdrowienie, gdyż coś ją zmuszało wyrazić znakiem zewnętrznym to uczucie przywiązania.

Natomiast rzadko stawał przed jéj duszą ten dzień, w którym, po spłonięciu stosu, zebrano popioły obu matek tak młodo powołanych do krainy cieniów, złożono je w naczyniach i postawiono obok nisz dawniejszych. Ale obecnie musiała sobie i dzień ten przypomniéć i tę okoliczność, jak siedziała przed jednym ze słupów pomnika, jak płakała gorzko i wciąż sama sobie zadawała pytanie, czy-to podobna, ażeby matka już nigdy a nigdy nie przyszła do niéj, aby ją pocałować, kilka słów miłych powiedziéć, włosy uporządkować i pogłaskać; co więcéj, wtedy po raz pierwszy w życiu zatęskniła za połajanką z ust kochanych, już na wieki zamkniętych.

Faon stał w owéj chwili oparty o słup drugi i zasłaniał oczy prawą ręką.

Tak smutnym nie widziała go nigdy ani przedtém ani potém; tknęło ją to okropnie, kiedy zobaczyła, że Faon dygotał, jakby go mróz nawskróś przejmował, i że oddychając głęboko odrzucił w tył włosy, które mu zakrywały czoło do połowy jakby czarna zasłona...

Ona płakała z głębi duszy, a on ani jednéj łzy uronić nie mógł.

Zamienili naówczas ze sobą parę tylko słów urywanych, ale każde z nich brzmiało jeszcze w jéj uchu wewnętrzném tak, jakby pomiędzy chwilą ową a dzisiejszą upłynęło tyle jedynie godzin, ile lat naprawdę.

„*Moja* była tak dobra“—wyjąkała ona; on zaś skinął tylko głową, a po upływie kwadransa nie powiedział nic więcéj nad te słowa: „I *moja* także.“

Pomimo długiéj przerwy, rozdzielającéj wyrazy dziewczyny od słów chłopca, należały one przecież całkowicie do siebie, bo je łą-

czyła w obu sercach dziecięcych ta myśl ciągle w duszy ich żyjąca: „Matka moja była tak dobra.“

A wtedy Ksanta znowuż pierwsza przerwała długo trwające milczenie i spytała?

— Teraz kogóż mam jeszcze?

I znów upłynęło czasu niemało, zanim Faon mógł jako jedyną odpowiedź powtórzyć za nią zcicha:

— Tak, kogóż?

I to także były krótkie, niepozorne słówa, ale w nich brzmiał okrzyk tak głębokiéj boleści, jakiéj tylko serce dziecka doświadczyć może.

Zaledwie słowa te przedostały się przez usta chłopca, a już i lewą rękę poniósł do oczu, pierś mu wstrząsła krótkim kurczem i po policzkach strumień łez popłynął.

Dzieci miały oboje ojców swych jeszcze, ale w téj godzinie zapomniały o tém zupełnie.

Kiedy gaśnie ożywcze słońce, któż sobie natychmiast przypomina, że istnieje przecież księżyc i gwiazdy?

Skoro Faon rozpłakał się tak gwałtownie, łzy Ksanty zaczęły płynąć powolniéj; długo patrzała nań ze spółczuciem, choć on tego nie widział, gdyż oczy wciąż przyciskał rękoma.

Dziewczynka zobaczyła boleść większą od swojéj własnéj, a jak tylko poczuła, że ona bądź-cobądź nie jest tak smutną jak jéj towarzysz, coś ją pobudzać zaczęło, żeby mu ulżyć w cierpieniu.

Jak w kiełkującym zawiązku tkwi cała roślina wraz z kwiatami i owocami, tak téż w najmłodszéj nawet dziewczynie tai się przyszła matka, która lubi łzy osuszać i opiekować się i pocieszać.

Gdy Faon naówczas wciąż stał na jedném miejscu nieruchomy, Ksanta podniosła się, podeszła ku niemu, pociągnęła go trwożliwie za ubranie i rzekła:

— Chodź do nas razem z nami; pokażę ci coś bardzo ładnego; wykluło się czworo gołąbiąt, mają one bardzo szerokie dzioby i są okropnie brzydkie.

Towarzysz jéj odjął rękę od oczu i odpowiedział przyjaźnie:

— Nie, proszę cię, ja tu zostanę.

Wtedy wzięła go za rękę, pociągnęła naprzód i rzekła.

— No! musisz pójść; w moim wózku pękł dyszel.

Faon tak już przywykł śpieszyć z pomocą, ilekroć zabawka jaka dziewczynie się popsuła, że poszedł za nią, a nawet dnia następnego dał się jéj nakłonić do niejednéj rzeczy, do któréj najmniejszéj nie miał ochoty.

Był jéj posłuszny, ażeby jéj nie zasmucać; a kiedy przytém poweselał znowu a nawet w żwawym jéj śmiechu dopomagał; wtedy Ksanta cieszyła się, że go uwolniła od smutku, i od owego czasu przyjmowała wprawdzie usługi jego równie chętnie jak dawniéj ale zachowywała się wobec niego jak młoda mateczka i czuwała nad jego postępowaniem, jakby to było jéj obowiązkiem.

Dorósłszy nie wahała się zachęcać Faona albo go ganić; kiedyniekiedy nawet umiała się nań gniewać, a zwłaszcza gdy przy grze lub tańcu zabawiał się zanadto długo z dziewczętami, którym można było mniéj lub więcéj coś zarzucić a czasami nawet nic zgoła. Powiadała wtedy, że nie robi tego ze względu na siebie, bo to jéj wszystko jedno, ale znając dziewczęta, uważała sobie za obowiązek strzedz go przed niemi.

Wiele mu lubiła przebaczać, ale pod tym względem była surową i mogła się unieść aż do niegrzeczności.

Stojąc teraz przy grobowcu, przywiodła sobie na pamięć tę chwilę, kiedy go pocieszała, przypomniała sobie podjęte względem niego starania,—a to wszystko napróżno, bo on hula teraz po całych nocach z flecistkami.

Tak jest, z flecistkami!

Powiedziała to Semestra!

Wydał się jéj zgubionym, zgubionym całkowicie.

— Jeżeli dzisiaj zapłakać musiałam przy źródle — tak myślała sobie—to nie szło mi przecież o tych tam gości z Meseny; o nie! te łzy, co mi w oczach stanęły, to były łzy matki opłakującéj syna, który wszedł na manowce.

Wydała się sama sobie wielce czcigodną niewiastą i uważałaby to za rzecz naturalną, gdyby jéj siedemnastoletnią zaledwo główkę przyozdobił włos siwy zamiast złocistego.

Posuwała się nawet krokiem poważnym, godnym matrony; jednakże nie było-to wcale po macierzyńsku, kiedy w dalekiéj drodze ku krzakom róż nad morzem starała się usilnie o to, ażeby usunąć z pamięci wszystko, co Faon miał dobrego albo to na złe wytłómaczyć, nazywając jego spokojne zachowywanie się lenistwem, gorliwość z jaką jéj służył—słabością, małomówność—niedołęztwem i ograniczeniem, a nawet piękne jego marzycielskie oko ospałém.

Wobec tego wszystkiego mało miała czasu myśléć o nowym zalotniku; boć szło naprzód o to, aby roztrzaskać obraz starego bóstwa; ale każde uderzenie młotka taki ból jéj sprawiało, jakby je w siebie samę wymierzała.

6. Odpowiedź.

Krzak róży, ku któremu szła Ksanta, znajdował się nad morzem na tarasie będącym wspólną własnością jéj ojca i wuja, obok ławki z pięknie wygładzonego białego marmuru.

Wpływ niejednéj zimy okazał się w tym, że spojenia płyt kamiennych rozluźniły się a brzegi ich żółtawemi się stały.

Zdaleka już spostrzegła Ksanta, że ławka nie była pusta.

Pod tą ławką spływał do morza strumień wychodzący ze znanego nam źródła; a w bystrych jego nurtach dziewczęta prały zazwyczaj bieliznę.

Czyż one użyły teraz ławki, żeby na niéj rozwiesić ubiory i chusty, które prać miały?

Nie!

Na twardym marmurze leżał jakiś mężczyzna a chcąc się zabezpieczyć od blasku słońca wznoszącego się coraz to wyżéj narzucił sobie na twarz jasny swój płaszcz. Z pod tego przykrycia wyglądały obute i w kostkach obwiązane nogi, jakby się na jaką wędrówkę ich właściciel wybierał.

Po nich-to odrazu poznała Ksanta odpoczywającego tam młodzieńca.

Był-to Faon!

Poznałaby go pewnie, choćby tylko dwa jego palce zobaczyła!

Słońce miało niebawem wskazywać południe, a on tam leżał i spał.

Z początku przestraszyło ją to, że go tu znalazła; niebawem atoli poczuła jedynie oburzenie; przed oczyma jéj duszy stanął znowu obraz flecistek, z któremi pewnie tak się ubawił aż do zmęczenia.

— Niechże śpi!—mruknęła sobie dumnie i pogardliwie.

Potém przeszła około niego, urznęła pełną garść róż z krzaków pokrytych obficie purpurowemi i żółtemi kwiatami, siadła na wolném jeszcze miejscu obok zasłoniętéj głowy Faona wypatrywała okrętu z Meseny, a gdy się nie pokazywał, zaczęła splatać wieniec.

Pracy téj mogła dokonać równie dobrze tutaj jak na każdém innem miejscu, powiedziała więc sobie, że jéj przecież wszystko jedno, czy na ławce leży bielizna jéj ojca czy Faon.

Ale serce zadawało kłam tym uwagom, biło bowiem tak gwałtownie, że jéj boleść sprawiało.

A dlaczegóż to palce jéj poruszać się nie chciały a oczy zaledwie mogły rozróżnić róże czerwone od żółtych?

W ogrodzie było zupełnie cicho, żaden głos słyszéć się nie dawał, błękitne morze drzemać się zdawało, a jeśli jaka szeroka fala o brzeg się odbiła, to z tak łagodnym szelestem, że go ledwie dosłyszéć było można.

Jak senne widziadło latał około jéj róż milczący motyl, a jak myśl szybka chroniła się jaszczurka do szczeliny między płytami u samych jéj nóg.

Najmniejszego podmuchu wiatru nie było, żaden liść ani żadna gałąź z drzew nie spadła.

Tam wdali, jakby drzemiąc pod błękitnawemi zasłonami, rozciągał się brzeg kalabryjski, a tu i owdzie w mniejszéj lub większéj odległości, ale zawsze bez szelestu sunęły jak łabędzie po wodzie okręty i łódki z lekko zaokrąglonemi żaglami. Zdawało się nawet, że śpią i koniki polne i wszystko było tak spokojne, tak okropnie spokojne w około Ksanty, jakby się zatrzymał oddech świata, co ją kwitnący i błyszczący ze wszech stron otaczał.

Jakby przykuta siedziała Ksanta obok śpiocha, a serce jéj przytém biło ciągle jeszcze tak szybko i silnie, że się wydało, iż słyszy wyraźnie jego kołatanie jako jedyny dźwięk wśród tego zastraszającego milczenia.

Promienie słońca gorąco a bez litości spadały na jéj czaszkę, lica jéj pałały, opanował ją jakiś bolesny niepokój, więc téż pewnie nie dla obudzenia Faona, ale tylko dla posłyszenia jakiegoś dźwięku, kaszlnęła nie bez trudu raz i drugi, a gdy to po raz trzeci zrobiła, śpiący poruszył się, usunął z twarzy część płaszcza, pokrywającą mu głowę, podniósł się zwolna cokolwiek i, nie zmieniając leżącéj pozycyi, rzekł głosem nadzwyczaj miłym poprostu i spokojnie:

— To ty, Ksanto?

Raczéj po cichu niż głośno, ale bądź-co-bądź wesoło brzmiały te proste słowa.

Dziewczyna spojrzawszy przelotnie tylko w twarz przebudzonego, zajęła się natychmiast tak gorliwie swémi różami, jak gdyby sama jedna tu siedziała.

— Cóż? — zapytał Faon w dalszym ciągu, patrząc na nią ze zdziwieniem wielkiemi czarnemi oczyma i oczekując od niéj powitania.

A kiedy ona trwała uporczywie w milczeniu, Faon nie zmieniając zresztą położenia, powiedział:

— Wesołego poranku życzę ci, Ksanto.

Dziewczyna, nie odwzajemniając powitania, patrzała w niebo wprost słońca, o ile blask jego znieść mogła.

Przytém drgnęły rumiane jéj wargi; róże trzymane w ręku rzuciła sobie na kolana, gdzie już ich siostrzyczki spoczywały.

Faon śledził ruch jéj oczu i nanowo, nie mniéj spokojnie jak przedtém przerwał milczenie, mówiąc z uśmiechem:

— Tak, doprawdy, słońce wskazuje, że już długo tu spałem, nie wiele już do południa brakuje.

Spokój młodzieńca wywołał burzę gniewu w piersi dziewczyny.

Krew burząca się łatwo wrzała w jéj żyłach; przymus musiała sobie zadawać, by mu róż nie rzucić w twarz.

Udało się jéj wszakże zapanować nad sobą; z żywo napokaz uwidocznioną starannością ocieniła sobie oczy zgiętą ręką i wpatrywać zaczęła w okręty, które się na morzu ukazały.

— Nie wiem, co ci jest—rzekł Faon, gładząc prawą ręką czarne swe włosy, które mu czoło do połowy zasłaniały. Czy już teraz spodziewasz się okrętu z Messeny i mojego ojca?

— I krewnego Leonaksa—odparła szybko dziewczyna, kładąc silny nacisk na nazwisko.

Potém nanowo spojrzała w dal.

Młodzieniec wstrząsł głową; przez minut kilka milczeli oboje.

Następnie podniósł się nieco wyżéj, zwrócił się całą twarzą ku dziewczynie, wpatrzył się w nią tak uważnie i tak głęboko, jak gdyby obraz jéj chciał wyryć w swéj duszy na życie całe, pociągnął zlekka za rękaw jéj peplosu spadający ku ziemi i rzekł:

— Nie myślałem, żeby to było potrzebne,—ale muszę cię o coś zapytać.

Gdy to mówił, Ksanta oparła się prawym łokciem na kolanie, przebierała palcami po różowych ustach a lewą ręką wzdłuż wyciągniętą objęła poręcz ławki marmurowéj.

Oczy jéj mówiły mu, że słuchać go będzie, ale z ust jéj i teraz nie wyszło słówko najmniejsze.

— Mam ci zadać jedno pytanie, Ksanto—powtórzył Faon.

— Ty?—przerwała mu dziewczyna z wyraźnie uwidocznioném zadziwieniem.

— Ja; a któżby? Wczoraj wieczorem powiedział mi Jazon, że stryj nasz Alkifron stara się o ciebie dla swego syna Leonaksa i że ten ma być jakoby pewny dobrego przyjęcia ze strony Semestry i twego biednego ojca. Wybierałem się już do was, ażeby cię za-

pytać, czy to prawda; ale potém zawróciłem z drogi, gdyż było już późno, a miałem jeszcze coś innego do roboty; przytém myślałem sobie, że my oboje należymy przecież do siebie i że ty nikomu innemu nie mogłaś tak sprzyjać jak mnie. Nie lubię ja tracić słów napróżno; co się dzieje w mém sercu, tego wypowiedziéć nie potrafię, ale ty wiesz o tém już oddawna. Teraz wyglądasz krewnego Leonaksa. My oboje nigdyśmy go jeszcze nie widzieli, i zdawałoby mi się...

— Ale ja wiem — przerwała mu dziewczyna i powstała tak szybko, że róże spadły na ziemię a ona tego nie spostrzegła—ale ja wiem, że on jest dzielnym mężczyzną, prawą ręką ojca, mężczyzną pogardzającym zabawami nocnemi z flecistkami i nie lubiącym się starać o dziewczęta dlatego tylko, że są bogatemi.

— I ja tego nie robię — odparł Faon. Kwiaty wypadły ci na ziemię...

Mówiąc to młodzieniec wstał, schylił się po róże, pozbierał, podał je lewą ręką Ksancie a prawą starał się uchwycić jéj rękę; ona jednak cofnęła się i rzekła:

— Połóż je na ławce i idź obmyć sobie senność z twarzy.

— Czyż wyglądam tak zmęczonym?

— Naturalnie, chociaż leżałeś tu aż do południa.

— Ale bo też przez kilka nocy sypiałem mniéj niż mało.

— I śmiesz się tém chlubić?—zapytała Ksanta, a lica jéj pałały. Nie jestem twoją matką, a ty możesz sobie robić, co ci się podoba, a jeżeli sądziłeś, iż ja do ciebie już należałam dla tego, że bawiliśmy się razem od dziecka i że przy zabawach bez wstrętu rękę ci podawałam, to się mylisz. Nie znoszę mężczyzny, który dnie w noc a noce w dzień przemienia!

Przy ostatnich słowach łzy stanęły w oczach Ksanty; Faon ze zdziwieniem patrzył na nie.

Spojrzał na Ksantę smutnie i z prośbą; przez czas jakiś patrzył w ziemię; niebawem wszakże zaczął się domyślać powodu jéj niezadowolenia i spytał z uśmiechem:

— Więc ty sądzisz, że ja przepędzam noce na hulance?

— A tak!—zawołała Ksanta, wyrwała mu swą rękę powtórnie i napół odwróciła się od niego.

— Ach!—odparł Faon zdumiony i zasmucony—nie powinnaś była tak myśleć.

Dziewczyna zwróciła się ku niemu, podniosła oczy ze zdziwieniem i zapytała:

— A gdzież bywałeś podczas ostatnich nocy?

— Tam na górze w waszym gaju oliwnym przy trzech Hermesach.

— Ty?

— Z jakimże zdziwieniem patrzysz na mnie!

— Myślałam sobie o tych hultajach, co nam skradli owoce z wielu drzew. Tam na górze za murem mieszka dziki Koraks z synami złodziejami.

— Z ich-to powodu, Ksanto, jak tylko się ściemniło, chodziłem tam na górę, bo ojciec twój jest chory i nie może dopilnować swego dobytku, a Mopsus i rybacy wasi i niewolnicy musieli się udać okrętem do Messeny, aby robić wiosłami i żagle napinać.

— I straż tam odbywałeś?

— Tak.

— Przez tyle nocy?

— Można przecież zamknąć oczy po wschodzie słońca.

— Jakże musisz być zmęczonym!

— Wyśpię się dowoli, jak tylko ojciec wróci.

— Powiadają, że on stara się dla ciebie o jedynaczkę bogatego Mentora.

— Z pewnością wbrew mojéj woli.

— Faonie!

— Cieszę się, że mi znowu rękę podajesz.

— Dobry, kochany, jedyny chłopcze, jakże mam ci podziękować!

— To niepotrzebne! Gdybyś nie pomyślała była o mnie takich niedorzeczności, to z pewnością nigdybym nie powiedział o owém czuwaniu na górze. A któż jeśli nie ja powinien był to zrobić, dopóki nie powrócił Mopsus?

— Nikt, nikt prócz ciebie! Ale powiedz-że, powiedz co prędzéj, jakie to miałeś zadać mi pytanie!

— Doprawdy? O Ksanto, droga, jedyna Ksanto, czy mnie czy krewnego Leonaksa wolisz za męża?

— Ciebie, Ciebie i tylko ciebie nikogo innego na ziemi!—zawołała dziewczyna i oba ramiona zarzuciła na pierś młodzieńca; on zaś silnie przycisnął ją do siebie i w upojeniu całował ją w lica, i w czoło, i w usta.

Morze i niebo i jasne słońce i wszystko, co było pięknem i świetném w bliskości i w dali, odzwierciadlało się w ich sercach; obojgu im zdawało się, jakoby uchem wewnętrznem chwytali wszystko, co tylko śpiewa i dźwięczy, śmieje się i raduje. Każde z dwojga mniemało, że w kochaniu swojém posiada świat cały z całą jego rozkoszą i szczęściem. Stanowili oni jedność, jedność zupełną, a po za nim

nie było nic, nic zgoła; tym sposobem stali się dla siebie nawzajem światem osobnym a szczęśliwym, obok którego wszystkie inne rzeczy stworzone zamieniały się w nicość.

Tak upływały chwile jedna za drugą; już godzina cała zbliżała się ku końcowi biegu swego, a Ksanta zamiast wić wieńce, otoczyła szyję Faona ramionami, zamiast patrzéć w dal, patrzyła w jego oczy, zamiast baczyć na zbliżające się kroki, on i ona wsłuchiwali się w jedno i toż samo słodkie słówko, które kochankowie powtarzają ustawicznie a jednak nigdy nie czują znużenia, gdy je wypowiadają lub gdy go słuchają.

Róże leżały na ziemi, łódź z Messeny wpłynęła do przystani przytykającéj do majątku Lizandra, Semestra kulejąc przyszła nad morze, aby odszukać Ksantę i zastępując pana domu przyjąć jak bóstwo syna ulubieńca swego, co tu przybywał jako zalotnik.

Zanim doszła do ławki marmurowéj, Semestra niejednokrotnie wołała dziewczynę po imieniu, ale zawsze napróżno.

Kiedy nakoniec obeszła zarośla mirtowe, które dotychczas skrywały kochanków przed jéj wzrokiem, musiała się patrzéć własnemi oczyma na widok wcale dla niéj niepożądany.

Ksanta oparła głowę na piersi Faona, on zaś nachylił się ku niéj i całował ją w oczy, w usta, a nakoniec — któżby się tego dopuścił za czasów jéj młodości!—w ślicznie wycięty nosek.

Chwil kilka język odmawiał jéj posłuszeństwa; w końcu przecież podniosła ręce do góry, a z ust jéj wydarł się okrzyk jękliwy, w którym brzmiało i oburzenie i skarga żałosna.

Ksanta zerwała się przestraszona, Faon zaś pozostał na ławce marmurowéj, zatrzymał rękę narzeczonéj w swoich rękach i obejrzał się spokojnie nie okazując zdziwienia większego, niż gdyby tuż przy nim spadł owoc z drzewa.

Ten spokój młodzieńca wzmógł zawziętość staruszki; usta jéj otwierały się już, aby przepuścić straszliwy potok słów gniewnych; gdy w tém stary Jazon, lekko jak młodzieniec wbiegł pomiędzy nią a zakochanych, popatrzał przez chwilę z prawdziwém zadowoleniem na swych ulubieńców i, kłaniając się Semestrze z komiczną powagą, zawołał z uśmiechem:

— Oboje będą parą, stara przyjaciółko, i mogą żądać od ciebie błogosławieństwa, chyba że chcesz lekkomyślnie a grzesznie złamać świętą przysięgę.

— Jabym—jak-to, kiedyż-to—skrzeczała klucznica.

— A czyż-to—przerwał jéj Jazon głos podnosząc—a czyż-to nie przysięgłaś mi dziś rano, że własnemi rękami przyrządzisz pieczeń weselną dla tych-tu dwojga, jeżeli tylko sama złożysz ofiarę cypryjskiéj bogini, z prośbą, żeby ich serca złączyła?

— Tak też i będzie, niech mnie wszechwładna bogini...

— Trzymam cię za słowo—zawołał Jazon.—Prosię twoje było ofiarowane Afrodycie, kapłan przyjął je z ochotą i zarżnął w moich oczach, błagając przytém głośno wraz ze mną niebiankę, żeby serce Ksanty napełniła miłością dla Faona.

Klucznica obie dłonie w pięść zacisnęła, przystąpiła do starca i tak stanowczo okazała swój zamiar czynnéj zaczepki, że włódarz, który mężnie z niejednym dzikiem się ścierał, nie bez obawy przed nią się cofnął.

Tak go pchała aż do ławki marmurowéj, a wtedy zawołała!

— Więc to dlatego nie miał kapłan ani jednego słówka pochwały dla mego ukochanego prosiątka! Jesteś złodziejem, oszustem. Mego drogiego wieprzaczka, którego wszyscy bogowie zazdrościć musieli matce Erosa, przywłaszczyłeś sobie i zapewne na jego miejsce podstawiłeś obrzydliwego potwora, podobnego do siebie, skłamawszy, że potwór ten ode mnie pochodzi. O, przenikam teraz całą sztukę! Kochany Mopsusek był twoim wspólnikiem; ale niech mię...

— Mopsus—zaśmiał się Jazon—wstąpił u nas do służby, a jeżeli narzeczona naszego pana pozwoli, to weźmie sobie za żonę czarną Doryppę. Od dzisiaj przecież co nasze to wasze.

— A nasze to wasze także—przerwała mu Ksanta.—Przestań się już gniewać, Semestro; nikogo innego nie wezmę za męża prócz Faona; ojciec na naszę niebawem przychyli się stronę; bądź tego pewna.

Klucznica uwierzyła niewątpliwie tym bardzo stanowczo wypowiedzianym słowom, gdyż jak wódz pobity, ale roztropny zaczęła już znowu myśléć o odwrocie i rzekła:

— Pokonano mię fortelem; ale com przysięgła w chwili słabości, to przysięgą być nie przestaje. Mnie żal tylko twego biednego ojca, który potrzebowałby syna, coby go w niczém nie zawiódł, i żal dzielnego Leonaksa.

W téj właśnie chwili, jakby imię swe posłyszał i jakgdyby posłusznie na zawołanie się zjawiał, wyszedł z poza mirtowych zarośli syn Alkifrona z Messeny wraz z ojcem Faona Protarchem.

Był-to piękny, wesoły młodzieniec, bogato i starannie ubrany.

Uśnisnąwszy ręce przybyłych i powitawszy ich serdecznie wziął Faon narzeczoną swoję za rękę, przyprowadził ją przed Protarcha i rzekł:

— Daj mi Ksantę za żonę, mój ojcze. Razem wzrośliśmy, jak ten tam bluszcz z dzikiém winem na altanie i nie możemy się rozstać z sobą.

— O nie, z pewnością nie!—zapewniała Ksanta; przyczém przygarnęła się do swego ukochanego i wtedy dopiero spojrzała w oczy swemu stryjowi a potem i młodemu Messeńczykowi, rumieniąc się i prosząc serdecznem spojrzeniem.

— Dzieci, dzieci! — zawołał Protarch. — Burzycie mi najpiękniejsze moje plany. Agarystę, jedynaczkę bogatego Mentora wybrałem dla ciebie, ty nierozsądny chłopcze i doszedłem już do ładu ze starym sknerą. Niechże tu teraz kto powie: zamierzam sobie, albo to i to stać się musi jutro! I ty jesteś milutką i dobrą, dziewczyno, nie mogę téż utrzymywać, żebym się nie cieszył, ale—potężny Zeusie! cóż teraz powie brat mój Alkifron i ty, mój Leonaksie?

— Ja?—zapytał młody Messeńczyk z uśmiechem. Przybyłem tutaj jako syn posłuszny, ale jeśli mam się przyznać, to rad jestem z tego, co się tu dzieje, bo na drugi raz rodzice nie zechcą odpowiedzieć: Nie! kiedy ich poproszę, żeby mi córkę Kodrusa Ismenę dali za żonę.

— I tu stoi dziewczyna, która słucha słów tak niegrzecznych z większą, jak się zdaje, przyjemnością, niż Helena pochlebstw Parysa!—zawołał ojciec Faona i ucałował najprzód przyszłą córkę w lica potem syna w skronie.

— A teraz do ojca!—prosiła Ksanta.

— Jeszcze chwilkę — odparł Protarch — musimy zajrzéć do skrzynki, którą tam oto niosą ludzie. Hej, chłopcy, dawajcie baczność na wielką skarbnicę z fenickiemi towarami i ubiorami dla matron!

Semestra zaraz przy pierwszém powitaniu zbliżyła się była do syna ulubieńca swego, powiedziała mu, kim jest, przyjęła odwzajemnione pozdrowienie od jego ojca, ucałowała go w rękę i pogładziła po ramieniu.

Oświadczenie Leonaksa, że nie Ksantę lecz inną dziewczynę pragnie mieć za żonę, uspokoiło ją niemało, a też gdy usłyszała o ubiorach dla matron a nie o jedném tylko ubraniu, wesoło błysnęły jéj oczy, które spuszczając ku ziemi zapytała:

— Czy jest i błękitne?—kolor błękitny lubię nade wszystko.

— I błękitne także wybrałem — odparł Protarch.—A w jakim celu, to wam powiem w domu. A teraz w drogę; chcę powitać brata.

Ksanta trzymając narzeczonego za rękę poszła na czele orszaku, przygotowała ojca bardzo wymownie do tego, co się stało, opowiedziała mu, jaką zrobili krzywdę biednemu Faonowi on i ona sama i stara Semestra, przyprowadziła młodzieńca do niego i wzruszona, uklękła przed ojcem, gdy on kładąc jéj rękę w rękę jéj towarzysza, zawołał drżącym głosem:

— Miłym byłeś mi zawsze, czarna ty głowo, a Ksanta chce cię za męża. Więc mogę mieć syna! O bogowie olimpijscy słuchajcie,

syna dobrego, silnego, kochającego! Podnieś mię, mój chłopcze. Jakże się czuję rzeźwym! Alboż to mając ciebie nie zdobyłem sobie dwu dzielnych nóg i ramion? Niech-no mi się dzisiaj stara nawinie! Kuglarz nauczył mię, jak ją przywitać.

Oparłszy się na silném ramieniu Faona, szczęśliwy, uśmiechnięty wyszedł na dwór, przywitał swego pięknego i zdrowego synowca, jak niemniéj swego brata i rzekł:

— Pozwól Faonowi zamieszkać przy Ksancie w moim domu, który i tak niebawem jego własnym się stanie, bo jestem słaby i potrzebuję podpory.

— Zgoda, z całego serca zgoda! — zawołał Protarch—i będzie to dla wszystkich wygodnie, bo, bo — no, przecież kiedyś musi to wyjść na jaw—bo ja, ja stary głupiec...

— Cóż?—zapytał Lizander, a Semestra, zgięła rękę w ślimaka i przyłożyła ją do ucha, aby lepiéj słyszéć.

— Ja—przypatrzcie-no mi się—ja, Protarch, syn Dyonizyusza, nie mogłem już dłużéj tam w domu wytrzymać sam jeden z małomównym chłopcem i starym Jazonem i dlatego téż—głupstwo to może, ale przecież nie występek żaden —i dlatego téż wybrałem sobie nową żonkę.

— Protarchu!—zawołał chory podnosząc ze zdziwienia ręce do góry; Faon zaś skinął ojcu na znak zgody i zamienił z narzeczoną spojrzenie wesołe.

— Młodszą siostrę matki mojéj wybrał sobie — dodał Messeńczyk Leonaks.

— Młodszą, to prawda, ale nie najmłodszą—przerwał mu mowę Protarch. Za trzy dni odbędziecie swoje wesele, moje dzieci. Faon będzie gospodarował przy tobie, mój Lizandrze, wraz ze swoją Ksantą, a ja w starym domu tam na górze z moją Praksyllą. Zaraz po waszych zaślubinach jadę napowrót z Leonaksem do Messeny i przywiozę sobie żonkę.

— Oddawna już brakło nam gospodyni, błogosławię téż twemu mężnemu postanowieniu!—zawołał Jazon.

— Prawda, zawsze byłeś odważnym—rzekł chory.

— Tą razą jednak nie tak bardzo, jakby się to wydawało—odparł Protarch z uśmiechem. Praksylla jest godną wdową, dla niéj zakupiłem w Messenie te ubiory dla matron, o które się dopytywałaś, Semestro.

— Dla niéj?—mruknęła stara.

— Jest tam także i ubranie błękitne, które nosić będzie z ochotą, bo ma włosy jasno-brunatne, przypruszone gdzie-niegdzie

siwizną. Jest jednak świeża i dzielna jakby młoda i niejedną dobrą radą przyjdzie w pomoc Faonowi i Ksancie na nowém gospodarstwie.

— Ja odjeżdżam do Agrygentu do mojéj córki—rzekła Semestra stanowczo.

— Dobrze—odparł jéj przyjaźnie chory—i wypocznij sobie na stare lata za swoje oszczędności.

— Do których ojciec mój dodaje tysiąc drachm—dodał Leonaks.

— Mój Alkifron ma serce!—zawołała klucznica.

— Ode mnie dostaniesz tyleż a do tego błękitne ubranie jak dla matron, w dzień odjazdu—powiedział Lizander.

* * *

Niebawem po weselu Faona i Ksanty odjechała Semestra do córki. Taras nad morzem został odnowiony pięknie a bez żadnéj sprzeczki, gdyż majątek należał znowuż wspólnie do obu braci, a Ksanta zaś znalazła w Praksylli drugą poczciwą matkę.

Marmurowe siedzenie, na którém rozstrzygnął się los młodéj pary, wnukowie jeszcze starzejącego się w miłości i zgodzie małżeństwa nazywali „ławką pytania.“

KONIEC.

BRZEZINIACY.

SZKIC ETNOGRAFICZNY.

Prof. Lucyanowi Malinowskiemu
ofiaruje
wdzięczny uczeń.

Północne stoki Karpat, przekształcając się powoli w pagórki i wyżyny nie wyższe nad 200 stóp, poprzerzynane licznemi strumieniami i potokami, tworzą przy przejściu w obszerną płaszczyznę, ciągnącą się ku Wiśle, jakby zęby wielkiéj koronki zdobiącéj różnowzorą, barwistą Polski szatę. Okolica to malownicza: po monotonnych obrazach równin, oko doznaje tu prawdziwéj roskoszy na widok tylu rozmaitych w dali zieleniejących gajów, w różne łuki łamiących się pod niemi pagórków i sporadycznie rozrzuconych a uroczo w otoczeniu zielonych drzew sadu do stromych nieraz spadzistości poprzyczepianych chat wieśniaczych.

W téj to okolicy, dwie mile na południe od Dębicy, stacyi galicyjskiéj kolei Karola Ludwika, leży wieś Brzeziny, jedna z większych, bo przeszło milę kwadratową przestrzeni zajmująca. Wraz z małą wioską Jaszczurową tworzy własną parafią, kres południowo-wschodni dyecezyi Tarnowskiéj. Jadąc w te strony od Dębicy i dostawszy się na wyżynę więcéj niż pół mili od tego miasteczka odległą, po za karczmą zwaną „Bukową,“ ujrzy się na południowym krańcu widnokręgu czarno-siny pas lasów coraz mniejszemi falami ku zachodowi spływający i niknący powoli w gromadzie pagórków. To granica południowa Brzezin. Przez rozległe Braciejowskie lasy (należące do dóbr Dębickich hr. Raczyńskiego), przybywa się „na Kamieniec,“ część wsi Głobikowy—w tyle pozostały: Gawrzyłowa, Stasiówka i Braciéjowa. Od Kamieńca (nazwa karczmy) już do Brzezin niedaleko; na prawo część Grudy górnéj (kopalnie węgla

brunatnego), na lewo w dolinie wieś Mała, przed nami las „Kocią myślą“ (!) zwany, dziś smutnie nagimi pniami skarżący się na spustoszenie, jakie w nim zrządzono, a za nim na tablicy na lewo przy drodze stojącéj czytamy napis: „Gmina Brzeziny. Starostwo Ropczyce.“ A więc jesteśmy w Brzezinach.

Przed nami dwie długie ciągną się doliny, zwrócone ku sobie i łączące się wreszcie; trzecia główna na dwie mniejsze rozpadająca się części, ciągnie się od owych lasów dalekich i łączy ze siostrzycami w dolinę wązką, przerzniętą potokiem. W niéj na lewo zostawiamy część wsi zwaną „Bajem,“ na prawo „Górę“ w dalszych „Berdechów,“ „Pogwizdów z Podkościelniákami.“ Wszystkie ciągną się przeważnie w kierunku wschodnim, a zyskawszy w zjednoczeniu, prawie w połowie wsi, większą, obszerniejszą przestrzeń, płyną daléj w tym samym kierunku jako jedna dolina, część wsi „Dołem“ zwaną zawierająca. Na lewo w stronie północnéj znajduje się jeszcze jedna część wsi zwiększająca się ciągle „Bukowina;“ w środku zaś wsi na wyżynie, gdzie się kościół w otoczeniu lip wznosi, usiadły „Zagrody.“

Grunta wszystkie ciągną się mniéj lub więcéj szerokiemi pasami od doliny w górę ku krańcom wioski. Ponieważ jak już wspomnieliśmy, doliny mają kierunek wschodni, grunta są położone pod północ i pod południe, ku słońcu i od słońca tak, że gdy w północnéj stronie wioski ku słońcu zwróconéj już orać mogą na wiosnę i boso biegają, w stronie południowéj skorupa śniégowa nie zupełnie jeszcze pękła. „Bosáki“ śmieją się ze „Skorupów“ i mają się za coś lepszego.

W pewnéj odległości od dna doliny w górę na końcach pasów gruntowych wznoszą się chaty.

Zanim je zewnątrz i wewnątrz poznamy, zanim rzucimy parę rysów charakteryzujących ich mieszkańców, spojrzyjmy w przeszłość wioski.

I.

Kiedy i w jaki sposób zaludniły się te doliny—nie mówi podanie (1).

Musiało się to jednakże stać bardzo dawno, skoro pamięć mordów i rabunków tatarskich dotąd się jeszcze przechowała. Niszcząc kraj cały, wpadli oni i w te strony i wieś tę zupełnie wyludnili. Mieli

---

(1) Wszystko to co nastąpi, podaję tak jak słyszałem z ust ludu bez przymieszki własnych wniosków lub domniemywań, dla których w razie potrzeby ten tylko sobie kącik zastrzegam. (*Przyp. autora*).

długie dzidy, którymi ludzi przebijali; młode dziewczęta i chłopaków zdatnych uprowadzali a starych zabijali. Raz, jedna tylko baba pozostała i ta wyszedłszy z kryjówki z ciężarem na plecach uciekała. Jeden z pogoni, która się za nią puściła, rzucił dzidą za uciekającą; dzida utkwiła, baba padła a tatarzyn myśląc że zabita, wyciągnął dzidę i popędził daléj. Kobiéta podniósłszy się późniéj i zobaczywszy, że niebezpieczeństwo minęło, uciekła do lasu. Głównym miejscem ucieczki była góra obrośnięta lasem „Chełmem" zwana. Tatarzy nazywali ją *kiel* (?!). Był tam na szczycie kościołek św. Heleny, do którego się ludność chroniła. Razu pewnego zapędzili się Tatarzy aż na tę górę za uciekającymi, ale wtedy spadł dészcz krwawy i wrócić się musieli. Dzwonek cudowny, który się tam znajdował, miał moc rozpędzania swym głosem chmur burzą ciężarnych. Dwa razy go brano do Dobrzechowa pod Stryżów, ale zawsze wracał na swoje pierwotne miejsce (1). Przy tym kościołku przebywał potém przez jakiś czas pustelnik. Kiedy dach na kościołku już w bardzo złym znajdował się stanie, chciał go pobić gontami jeden wieśniak z sąsiedniéj Stempiny imieniem Harmata. Pustelnik nie pozwalał, w sprzeczce Harmata gontem go uderzył i zabił. Długie czasy przeto kościołek ów zostawał pod klątwą, aż powoli w gruzy się rozsypał. Jeszcze przed kilkudziesięciu laty były ślady ścian, dziś jedyna tylko lipa w pośród jodeł świadczy, że tu na tym miejscu dawniéj nie jodły tylko porastały.

Gdzie dziś część wsi „Podkościelniákami" zwana, miało być kiedyś wielkie miasto, które się atoli z Tatarami zapadło. Kopiąc raz głęboką studnię dostawano jeszcze obręcze i naczynia rozmaite.

Szwedzi mieli w ten sam sposób plondrowaać i palić a po nich przyszedł książę Rakoczy, który bardzo tę okolicę wyniszczył. Ponieważ wszędzie zabierano, co kto miał, chciał pewien pan, staruszek, skarby swoje gdzie ukryć, ale nie miał tak bezpiecznego miejsca. Wnuczka jego poradziła mu, aby je ukrył na spodzie dołu, w który śmieci rzucano. Uczynił jak doradziła. Kiedy przyszli na rabunek, za wskazówką znajomych we wsi ludzi, którzy musieli bogatych wskazywać, przeszukano wszystko i nic nie znaleziono.

A potém po Szwedach i Rakoczym chodzili w te strony „konfederáki" (konfederaty). Jeździli oni na koniach, na głowach mieli wysokie, siwe, rogate czapki a przez plecy przewieszone mieli

(1) Ma to być ten sam dzwonek, który dzisiaj przy kościele parafialnym w Brzezinach w dzwonicy obok innych zawieszony, na nabożeństwo różańcowe parafian w niedzielę przed sumą zwołuje.

strzelby. Jeździli, zabiérali, co gdzie napadli, ale im zwykle ze dworów dostarczano wszystkiego.

Raz pod zimę zjechało się ich wielu na Pogwizdowie pod lasem, i tam na „zárębnéj górze“ pościnawszy jodły ogrodzili się niemi; pozabierali z chałup żłoby, koryta i inne sprzęty i tak całą zimę obozowali, a ze dworów dowozili im wszystkiego.

Innym razem przybyło kilku do Pawła Święcha leśnego mieszkającego pod lasem na Berdechowie. Zabrali oni wiele pieniędzy z Wielopola (pobliskiego miasteczka) a osobliwie od bogatego mieszczanina Durka. Przyjechawszy w nocy do wspomnianego Pawła Święcha, chcieli się pieniędzmi podzielić. Było tego złota z półtora korca. Nie miał czém Święch zaświecić ale w końcu zapalił szczépkami na nalepie a konfederaci mierzyli pieniądze czepkami i dzielili się. Co spadło albo się na bok odtoczyło, tego nie podnosili, ale to nazajutrz dzieci pozbierały i było tego dosyć.

Kiedyindziéj zażądali od tego samego Święcha siana. Ponieważ nie miał, nie mógł im dać, ale wskazał takiego wieśniaka, który miał poddostatkiem, a był nim Walek Gąsiór. Posłano do niego chłopaka, aby siana przyniósł. Kiedy siano wiązano w stodole w powróz, zjawił się nagle jeden żołnierz. Poznał, że to siano pewno dla konfederatów; wyznanie przelęknionego chłopaka potwierdziło jego domysł. Zabrał chłopca z sianem do lasu, gdzie się wiele wojska znajdowało, a potém kazał mu przewodniczyć prosto na dom ojca. Dziewczyna czatująca na dworze widziała, jak ktoś czarny chłopaka do lasu prowadził; powiedziała o tém konfederatom a ci ponabijawszy strzelby, oczekiwali napadu. Gdy wojsko nadeszło, po kilku strzałach poddali się i w niewolą zabrani zostali.

Był wtedy dziedzicem górnéj części Brzezin Stępkowski, pan bogaty, ożeniony ze Strzegocką wdową. Ten przywołał do siebie leśnego Święcha i zarzucił mu, że on konfederatów sprzedał. Leśny usprawiedliwił się, opowiedziawszy zdarzenie całe. Wtedy p. Stępkowski rzekł do niego: „Pierwszą winę ci daruję, ale jeżeli się to powtórzy, to nie będziesz więcéj po ziemi chodzić.“

Kiedy się raz z wojskiem starli, zmusili wszystko do ucieczki; jednego chwyciwszy porąbali „na kapustę“ i pochowali nad szkarpą „w paprociu“ (1).

„Na skarbisówkach“ przy kamieńskim lesie (2) przyzostał raz jakiś starszy i rozłożywszy na ziemi derkę z konia „przesuszał“ pie-

(1) Nazwa jaru na Berdechowie.
(2) Należącym do Kamienicy górnéj.

niądze. Krzysztof Żurowski (1) kopiąc nieopodal stamtąd kopalinę, zobaczył to, podszedł krzakami z tyłu i uderzywszy go motyką w głowę, na miejscu trupem położył. Na tym samym miejscu go pogrzebał a pieniądze i konia zabrał, i stąd-to aż do ostatnich czasów Żurowscy mieli się dobrze a w sporze nieraz im wytykano, że się na Rosyanach wzbogacili.

Chcieli konfederaci zabrać kosztowności kościelne i żądali od księdza, aby im je wydał. Ksiądz co miał swojego, dał, ale wreszcie bojąc się ich grabieży, słysząc o nadejściu, schronił się w zarośla tarniny „na Sekułówce" (2). Ale kiedy przejeżdżali mimo konfederaci, piesek pokojowy księdza zaszczekał i kryjówkę zdradził. Zabrano księdza, ale im nic nie wydał, bo nic nie było.

Tak to konfederacya miała trwać przez lat siedem. A potém, ponieważ tu wszystko było zniszczone, zbierali się ludzie tłumnie i chodzili „czerniawą" przez drugie lat siedem, zabiérając co gdzie napotkali. Panowie widząc, że biéda, podpisali się królowi węgierskiemu (?) Józefowi II, że go będą słuchać i potém się nieco uspokoiło.

Kiedy potem była francuska wojna, to i z Brzezin brano wielu do wojska a między innymi niejakiego Longosza i Szydlę. Nie wszyscy byli na wojnie; wielu siedziało tylko po „transportauzach" (Transportshaus) i prochu nawet nie wąchali. Z tych co powrócili w r. 1813 opowiadał jeden, że był w Italii, że trzy konie pod nim ubito, obcasy u butów mu ustrzelono a on wrócił zdrów i cały.

Podczas powstania za Wisłą miał folwark p. Strzegockiego (Brzeziny górne) niejaki p. Tabaczyński w dzierżawie. Z trzech synów jeden był księdzem, drugi wysokim urzędnikiem a trzeci siedział w domu i mówiono, że nic z niego nie będzie. Kiedy usłyszał o powstaniu, nazmawiał chłopów i kiedy w niedzielę „ojcowie" (rodzice) pojechali do kościoła, on mając klucz dorobiony otworzył do kufra, nabrał pieniędzy tyle, że potém musiał na to miejsce całą sztukę płótna podłożyć, aby bardzo znać nie było i na dwoje sani pojechał pod Sandomierz. Pojechał z nim Fela Raś (3) i ten opowiadał, że się tam ćwiczyli „egzecyrowali" długo, zanim się przeprawili na drugą stronę. Tam były wiekie dymy, huki i strzelania. Kiedy się zbliżano do bitwy, Tabaczyński to bladł, to czerwieniał. Byli coś we trzech bitwach; potém ich rozbito, generała Krukowieckiego wzięto w niewolę a oberznąwszy mu skórę na

---

(1) Jeden z protoplastów do dziś dnia żyjącéj i rozgałęzionéj rodziny.

(2) Nazwa pola.

(3) Feliks Raś jeden z wieśniaków tutejszych

czaszce do okoła i obróciwszy włosami na wewnątrz w téj czapce naturalnéj, obwożono go długo. Rozbitki tułali się długo, nie mając co jeść, aż wreszcie prawie nago dostali się na tę stronę.

Pierwotnym panem Brzezin miał być jakiś magnat, do którego skarbu i Brzeziny należały. Jednemu z wiernych dworzan lub sług swoich oddał on Brzeziny i pierwszy dwór stał na miejscu gdzie i dziś Nr. 1 się znajduje — dwór Brzezin Zasadnich (Baj). Ponieważ ten Pan (miał się nazywać Rogus) miał cztery córki, podzielił Brzeziny na cztery folwarki, z których drugi „górnymi" trzeci „średnimi" czwarty „dolnymi" Brzezinami do dziś dnia nazywają.

W Brzezinach górnych a przedewszystkiem na Berdechowie były grunta małe, prawie same zagrody; to też z nich odrabiano pańszczyzny tylko po 15 dni „pobábnych" (1). Ale potém panowie coraz więcéj wymagali tak, że w końcu z zagrody i 300 dni odrabiać trzeba było na pańskiém, a swoje leżało odłogiem, bo rąk brakło do uprawy. Nie dozwolono próżnować ani nawet we święta. Jeżeli wypadło np. Boże Narodzenie w piątek, to aby chłop nie próżnował, wysyłano go w Wigilią wieczór ze zbożem lub innymi artykułami do Tarnowa.

Z Brzezin dolnych do lasu jest dobra mila. Aby tam zajechać, nałożyć drzewa i wrócić, potrzeba było dnia całego; a tymczasem panowie kazali się dwa razy wrócić. Wyjeżdżano więc zaraz po północy do lasu a wracano późno; drogi były złe, często koło północy słychać było nawoływanie wracającego z lasu, którego konie uwiązgły w błocie.

Nie wolno było wydalić się ze wsi bez pozwolenia pana, a tym bardziéj w innéj wsi się ożenić. Niejaki Stoncel nie mógł wytrzymać, poszedł do Głobikówki i tam się ożenił. Kiedy się pan o tym dowiedział, kazał go sprowadzić i wtedy bito go tak, że aż krew strumieniami płynęła. Potém włożono go w świńskie koryto i odwieziono do Głobikówki.

Była biéda wielka; żaden chłop nawet bogatszy nie miał nawet kożucha na zimę.

Kiedy nadszedł rok 1846 Brzeziny zostające za pośrednictwem Grudny górnéj w sąsiedztwie ogniska całego ruchu—Smarzowy, stały się również widownią krwawych wypadków.

Oto co mi opowiedział Jan Święch, jeden z najstarszych i najpoważniejszych kmieci brzezińskich:

---

(1) Szły kobiéty do okopywania, grabienia siana i t. p.

„W piątek przed niedzielą zapustną wieczór (d. 20 lutego) stał się rozruch we wsi, że w Siedliskach (Bogusz) panów pozabijali. Ludzie chodzili od chałupy do chałupy, radzili coś, pobrali kostury w rękę i tak czatowali noc całą. Posłaliśmy do browaru dowiedzieć się, co się dzieje; odpowiedziano nam, że w Grudny rabują, panów pozabijali; więceśmy z bojaźni całą prawie noc nie spali. Nazajutrz (d. 21 lutego) młócono u mnie owies. Ja poszedłem do kościoła na mszą świętą. Przy kościele mówi mi dziad, co się to po tamtych wsiach podziało. A ks. Kanonik (ś. p. X. Wojciech Zagórowski) był wówczas na wikarówce i wyprawiał gróbarza do Siedlisk. Skoro mię zobaczył zapytał:

— A co wy tam radzicie?

— Ej, nie dobrze słychać, proszę ks. Kanonika — odpowiedziałem.

— A cóż takiego?

— Ha, powiadają, że Siedliską parafią zrabowali, panów pozabijali...

— Nie pletlibyście bajek, Janie.

— Lepiéj-by było, żeby to były bajki.

Poszliśmy do kościoła, ja służyłem do mszy św. Potem ks. kanonik poszedł na plebanią a ja się jeszcze modliłem w kościele, kiedy w tem wpada jakaś baba i krzyczy: „Janie, we wsi jakiesi zabijatyki!“ Wychodzę przed kościół a tu wszystko z Dołu ciągnie na Górę. W domu nie zastałem nikogo oprócz jednéj dziéwki. Pytam gdzie poszli?—odpowiada—że w pole patrzeć co się we dworze dzieje. Biegnę i ja a oni tam stoją. Koło dworu górnego była ogromna czérniawa, co przyszła z Siedlisk i Smarzowy od Szeli. Po drodze wołali: Wychodź, wychodź! bo będziesz brał buki!—otóż ludzie się bali i szli razem. Gróbarza, który był już pode dworem, nie puścili daléj. Wrócił się więc i opowiadał, że zabili p. Ruckiego (Brzez. zasadnie) i p. Stronczaka (Brzez. górne). Po wsi rozlegały się głosy: „Rzną! rzną!“ Uciekliśmy do domu; ogień rozniecony na śniadanie zalałem wodą, wziąłem dziecko w pierzynę i uciekliśmy do Dębiny (1), gdzieśmy aż do południa pozostali.“

„Tymczasem kiedy zrabowano oba górne dwory, puszczono się „na średniznę“ (dwór Brz. średnich). Na koniach i pieszo pędziło wszystko jak szalone z wrzaskiem i hukaniem, a przeważnie nie nasi. Kiedy wpadli do dworu, słychać było trzask okropny, bo wszystko rąbali lub rabowali. Wreszcie ucichło, kiedy wszystko przewa-

---

(1) Mały lasek należący do gruntów plebańskich.

liło na dół. Idę ku kościołowi a tu biegnie kucharz ze średnizny i krzyczy; „Nideckiego zabili!“ Opowiedział mi potém, jak ten pan co miał ów folwark w dzierżawie, nie wiedząc, gdzieby się skryć, kazał się w stodole zawiązać we wiązkę słomy. Lokaj go zdradził; wyrzucono wszystką słomę na bojisko i młócono tak długo, aż go zamłócono.“

„Przychodzę do domu a tam koń stoi ogromny. Skąd ten koń?—pytam. A to Józek przyprowadził go ze dworu - mówią mi. Więc następnego dnia służył on do patroli a potém się go oddało.“

„Kiedy ciągnęli na średniznę, ksiądz Kanonik wziął komżą i stułę i stał przy drabinie przed wikarówką. Między przechodzącym tłumem był niejaki Januszek szewc z Wielopola, który tu na wsi miał budę, a którego parę dni przedtém ksiądz wspomógł i pieniędzmi i zbożem. Ten przechodząc zawołał: „A co to? księdzu darujecie?!“ Mimo to nic księdzu nie rzekli a on przelękniony uciekł najpierw w krzaki pod parkanem ogrodowym a potém był aż „w dołach“ (1). Stamtąd uciekł „na Podkościelniáki“ do Pacochy Jędrzeja gdzie aż do rana dnia następnego pozostał. Dowiedziawszy się, że Warchoły (kilku wieśniaków z Pogwizdowa) na księdza się zbierają, o zachodzie słońca udałem się do niego. Dnia tego nie było nabożeństwa; ks. Węglarz wikaryusz uciekł do Wielopola a organista Lechowski przebrany razem z innymi rabował. O tém wszystkiem opowiedziałem ks. Kanonikowi „na łyséj górze“ (2); nadto, że mu zabrali konie i że na niego samego czynią teraz zasadzki.

— Cóż ja teraz pocznę?—zapytał mię z niepokojem.

— Trzeba się skryć gdzieindziej—nic innego nie wypada zrobić. Skoro mrok zapadł, kazałem najpierw samemu księdzu przekraść się do Sekuły pod lasem, komornika na moim gruncie, a potem sam się tam udałem. Przenocowaliśmy tam spokojnie. Nazajutrz (poniedziałek 23 lutego) dowiedział się Wilk (wieśniak z Zagród), że ksiądz w jakiejś nieporządnéj chałupie nocował; mówił więc, że gdyby wiedział gdzie jest, toby go u siebie ukrył. O zmroku przeto przyodziany w chłopski kożuch i magierkę białą, przeszedł na wskazane miejsce; w czarnym bowiem ubraniu aniby się był mógł pokazywać. Do środy przeto przebył u Wilka—poczem skoro się uspokoiło, powrócił na plebanią.“

„O innych panach Brzezińskich dowiedziałem się później. P. Stanisław Morski z Dołu przebrał się w łachmany i uciekał granica-

---

(1) Zarośla i łąki noszące tę nazwę, należą do gruntów plebańskich.

(2) Tak się nazywa miejsce, gdzie stoi chałupa wspomnianego Jędrzeja Pacochy

mi od Mały (1) z jakimś p. Wiśniewskim ekonomem z Wielopola. Przy karczmie za lasem poznano ich, sprowadzono przed dwór zasadnich Brzezin i tam ich zabito. Kiedyśmy w niedzielę poszli do dworu p. Stronczaka, wszystko było zrujnowane i potłuczone, zrabowane a zabity leżał w pokoju.

P. Stojewska z Brzezin zasadnich uciekła do Mateusza Pełki i tam przebrana kądziel przędła. Jéj synowie i niejaki p. Żachorski i Skólski jechali do Dębicy; w drodze w wąwozach Gawrzyłowskich napadnięci, zamordowani zostali. Wspomniany już wyżéj p. Rucki był bratem rodzonym p. Stojowskiéj i był ciemnym. Rozpłatano mu głowę sągowym drzewem. Żona p. Morskiego uciekła do Bujaka a potem do Wielopola."

„Na Jaszczurowy był p. Tabaczyński. Nie chciał wierzyć pogłoskom nawet wtedy, gdy cała czereda stanęła na dziedzińcu. Młócono go cepami tak długo, aż skonał. Jęki jego i prośby były przez góry słychać do Brzezin."

Zamordowanych późniéj pościągano ku kościołowi i pochowano we wspólnym dole, wykopanym w rowie cmentarnym. Bez trumien rzucano ciała jedno na drugie przesypując wapnem.

Przyszedł potem rok 1848, w którym śmierć głodowa zdziesiątkowała ludność Brzezin. „Kapali jak muchy" — wyraził się wieśniak opowiadający mi o tamtych czasach.

W r. 1850 grad i ulewa poniszczyła znowu plony, klęski za klęskami karały morderców, z których prawie wszyscy (a właściwych Brzeziniaków było tylko kilku) marnie poginęli a ich majątki po największéj części w ręce żydowskie przeszły.

Pokolenie nowe innymi napojone zasadami i nie obce dla oświaty, chwalebną kroczy drogą. Od lat blisko trzydziestu, szkoła zbudowana prosperuje; w r. 1873 założono przy niéj czytelnię za staraniem energicznego wójta Jana Chmury. Kilka egzemplarzy pisemek ludowych wydawanych we Lwowie jak „Chata" i „Wieniec" rozchodzi się zawsze po wsi; nie rzadko zgromadzają się téż w niedzielę po obiedzie w szkole i czytają wspólnie.

Gdyby nie nędza materyalna, i oświata postępowała-by raźniéj; przez podział atoli gruntów na kawałki małe, prawie na zagony, ludność popada coraz więcéj w ręce żydów lichwiarzy.

---

(1) Wieś sąsiednia na północ od Brzezin.

II.

Chaty *(chawpa)* (1) są zwykle zbudowane u stóp góry, skąd dłuższym lub krótszym pasem ciągnie się grunt właściciela zagrody aż do wierzchołka lub jeszcze po za takowy; gdzie spadzistość góry za przykra, budują chaty prawie na jéj grzbiecie ale bardzo rzadko na samym szczycie.

Chaty są zbudowane z drzewa okrągłego (*ᵘoblák*) jodłowego, z kory odartego, które składają w węgły; szpary między nim powstałe utykają mchem i zalepiają gliną. Dach pokrywają słomą, robiąc z niéj małe wiązanki (*kicki*), szczyt zwany *kalenicą* układają z osobno w tym celu ukręconych wałków ze słomy i gliny (*vále*) przymocowanych *vwókami* t. j. drążkami spojonemi na jednym końcu w kształcie krzyża, lub tylko drążkami poziomemi spojonemi powrósłami i niejako przez kalenicę przewieszonemi. Cała chata spoczywa na dosyć głęboko w ziemię zakopanych grubych zwykle dębowych pniakach (*peck'i*) lub kamieniach; na nich opierają się bezpośrednio *przycieśi* a cały skład ścian u góry kończy się zrębem (*zrąb*). Na zrębie osadzają się krokwie a na krokwiach łaty poziomo przymocowane. Do nich to przywiązują się kicki począwszy od dołu aż do kalenicy. Pierwszy szereg od dołu zwą *ᵘokapem*, który u zamożniejszych bywa niekiedy z gontów. Szczyty bundynku są zwykle więcéj spadziste.

Bez względu na drogę lub miejscowość, domy są zwrócone frontem na południe, tak, że to nieraz dziwacznie wygląda, gdy się spotyka po jednéj stronie drogi kilka chat a w żadnéj okna, chyba tylko drzwi zaryglowane, zresztą położenie chaty stosuje się niejednokrotnie do kierunku doliny.

Systemu w układzie budynków gospodarskich nie podobna tu szukać. Zamożni kmiecie posiadający od 5o do 8o a nawet 1oo morgów gruntu i zagrodnicy (mniéj posiadający niż 5o morgów) mają zwykle powyżéj chaty równolegle lub prostopadle do niéj stodołę, składającą się z dwu sąsieków (*sąśek*) a w środku nich z gładko z ziemi ubitego i wylepionego bojiska (*bojsko*), na którym młócą zboże. Ubożsi przedłużają zwykle z tyłu lub z boku chaty strzechę i pod nią w przestrzeń ograniczoną ścianami z drzewa, podobnie jak chata, lub tylko czterema słupami, gromadzą nie wielkie swoje plony. Stajnia jest tu zwykle rzadkim zjawiskiem; bydło bowiem znajduje się w izbie mieszkalnéj.

---

(1) Przez *w* oznaczam ogólnie polskie *ł*, które Brzeźniacy wymawiają wargowo. Og. pol. *w* oddaję przez *v*.

Chata mająca kształt prostokąta, składa się z sieni, mniéj lub więcéj obszernéj izby i komory. Oto obraz wnętrza najpospolitszéj chaty:

Wszedłszy do sieni przez wysoki próg, znajdujemy po lewéj ręce drzwi do komory, w któréj oprócz składu „*chust kościelnych*" (suknie używane tylko do kościoła) i odzieży zimowéj, znajdują się zapasy słoniny (*ᵘomasta*) sadła, masła i t. p. Spotkać tu można i płótna na półkach lub len jeszcze nie zużyty, konopie, powrozy, uprząż na konie i inne gospodarskie cenniejsze narzędzia. Jeżeli gospodarz posiada konie, to zwykle drugie drzwi po téj saméj stronie wiodą do stajni; w przeciwnym razie znajduje się tam albo przez całą szerokość domu komora, lub miejsce to zajmuje chléwek. W razie, gdyby ten kąt był próżny, stawiają tam żarna do mielenia lub *stęᵐpę* do wyrabiania grubéj kaszy (pęⁿcák), która zresztą stoi albo zewnątrz domu pod ścianą albo pod stodołą. Sień nie ma powały a podłogę stanowi ziemia ubita, nie zawsze równa, chyba, że jéj wieśniak ubogi za bojsko używać musi.

Drzwi na prawo czarne okopcone wiodą do izby, zwykle kształt kwadratu mającéj. Tuż przy drzwiach przy ścianie podłużnéj na lewo a często i na prawo znajdują się żłoby i drabiny; tu bowiem chudoba wieśniaka mieszka z nim razem: po lewéj krowy, po prawéj cielęta. Na prawo w środku ściany dwa małe tuż obok siebie znajdują się okienka, których szyby drobne, zakopcone i zanieczyszczone przez muchy a stąd matowe, skąpo przepuszczają światło. Okna te pojedyńcze, są przymocowane z zewnątrz za pomocą gwoździ i oblepione gliną; nie otwierają się prawie nigdy. Pod oknami ława prosta drewniana nie zawsze zgrabna a nawet umyta, a przed nią stół na czterech bądź prostych bądź krzyżowych nogach; obok niego stoi niekiedy jeszcze mniejsza ławka, którą stosownie do potrzeby przenosić można. Za temi sprzętami znajduje się w kącie duże, prawie kwadratowe niezgrabne łoże (vyrko), którego pościelą bywa stara płachta i kaftan (płóciennica); poduszkę (*zdgwóvek*) i pierzynę spotyka się rzadko. Nad łóżkiem na ścianie znajdujemy obraz jakiego świętego w ramach, najczęściéj czerwono malowanych; niekiedy atoli znajdują się obrazy nad oknami wewnątrz i zewnątrz chaty. Między łóżkiem a piecem a bliżéj pierwszego stoi na ławce, lub wisi na hakach mała prostokątna szafa, bez tylnéj ściany i zamknięcia, którą raczéj półką zwaćby należało. Na jéj „przegrodach" mieszczą się miski, rynki, garnki. Obok niéj mała, zaopatrzona dziurami deszczułka, służy do wkładania łyżek i mątewek, zwana *wyźńikiem*. Na przeciwko drzwi, w ścianie szczytowéj znajduje się również

okienko, dochodzące nieraz rozmiarami tylko średniéj wielkości szyby a zalepione tak, że się nigdy nie otwiera, dla tego równie jak okna większe zanieczyszczone.

Na lewo od okienka w kącie przeciwległym od łóżka stoi piec, kształtem podobny do sześcianu. Przednią część jego stanowi „nálepa" także „przypieckiem" zwana. Nie szersza jak na 1 $\frac{1}{2}$ stopy i podobnie jak piec cały oblepiona białą gliną, służy we dnie jako ognisko do gotowania, w nocy zaś jest miejscem spoczynku dla jednego z członków rodziny. W środku jéj w ścianie przedniéj pieca jest otwór do wsadzania chléba; w nim to po największéj części pali się ogień—po zań zmiatają w piec ogień aby trwał dłużéj i potrawy przystawione ogrzewał. Jest on zwykle kształtu pół koła lub łuku gotyckiego. Pod nalepą znajduje się otwór większy i ten prowadzi do obszernéj dosyć jamy, gdzie zwykle drób w nocy przesiaduje i kury jaja niosą.

Piec sam nie przytyka do ściany tylnéj, ale jest od niéj górną swą częścią oddalony prawie na szerokość nalepy. Miejsce to zowią zapieckiem (zápiecek); służy ono równie jak nalepa w nocy za miejsce spoczynku. U powały a raczéj tragarzów ponad nalepą i piecem wisi „páleń" i sięga aż do drzwi. „Páleń" stanowią dwa drążki dosyć znacznéj grubości na końcach do tragarzów za pomocą wici przymocowane lub wpuszczone w przeciwległe ściany. Oddalenie ich od siebie nie wynosi więcéj jak łokieć, tak, że na nich wygodnie urąbane drzewo, len w snopkach (klubiki) lub konopie leżéć i suszyć się mogą. W braku szafy na suknie służy páleń również za wieszadło dla codziennych okryć i przyodziewy.

Przestrzeń między piecem a drzwiami zapełnia drabina i złób; tu bowiem „chudoba" wieśniaka mieszka z nim razem: po lewéj od wchodu zwykle krowy po prawéj cielęta. Ziemia w tym miejscu wyłożona dylami; mały rowek ograniczony nie raz dylem dłuższym służy za rynsztok, którym popod przyciesi wypływa gnojówka „na dwór."

Rozniecony na nálepie ogień ogrzéwa w części jak to już wspomnieliśmy i piec piekarski; dym powstały rozpościera się po izbie otacza páleń i otworem umieszczonym w powale niedaleko od drzwi (dymnik) wydobywa się na strych, przeciska się następnie przez słomę dachu i wychodzi na zewnątrz. Jeżeli go jest za wiele w izbie otwiérają drzwi do sieni.

Od lat niewielu wprowadzili zamożniejsi kominy i „izdebki" tj. drugie izby. W domu zatém gdzie się izdebka znajduje, są drzwi do niéj w miejscu okienka między piecem a półką na sprzęty kuchenne. Izdebka bywa zwykle uboższą jeszcze w sprzęty; oprócz łóżka

stołu i ławki rzadko napotkać można szafę lub skrzynkę. Z izby wypuszczony piec ogrzewa izdebkę; oświeca ją zaś okno podobne do okien izby w téj samój co tamte umieszczone stronie, wskutek czego w przeciwległéj od niego części izdebki, mającéj kształt długiego a wązkiego prostokąta chyba tylko w południe jest cokolwiek jasno. W izdebce można napotkać podłogę ale dosyć niezgrabnie ułożoną. Jest ona mieszkaniem „samych gospodarztwa“ (1) i służy do przyjęcia w gościnę osób szanowanych bądź to podczas wesela, bądź przy innéj jakiéj sposobności.

Wprowadzenie kominów okazało się dla włościan niepraktycznóm; mówią, że potrzeba przez to na zimę więcéj drzewa, że w zimie zimno w chałupie z kominem, że nie ma gdzie drzewa ususzyć itp. To téż wielu po kilku latach pozrzucało kominy. Podobnemi prawie powodami bronią się przeciw budowaniu osobnych dla bydla stajen; oszczędność i „ciepło w zimie“ zawsze są na ich ustach dla odparcia zarzutów, w rzeczy zaś samój jestto siła przywyknienia. Jeżeli stajnia dla koni zajmuje część domu po lewej stronie sieni od wchodu, wtedy tuż przy wyjściu ze sieni w stronę północną znajduje się chlewek dla trzody a po drugiéj stronie zbiór nawozu. Mostek mniejszy lub większy ułatwia zwykle przystęp trzodzie do chlewa a bydłu do progu chałupy.

W téj stronie chaty równolegle do niéj w pewném oddaleniu stoi stodoła postawiona najczęściéj w ten sposób, że węgieł chaty lewy leży w jednéj linii z węgłem prawym stodoły lub odwrotnie. Stodoła bywa tego samego kształtu co chata i téj samój prawie wielkości; dzieli się téż równie na trzy części, z których środkową zaopatrzoną szerokiemi podwojami z frontu i tyłu stanowi „bojisko“ gdzieindziéj „klepiskiem“ zwane, części zaś skrajne—zowią „sąsiekami.“ Wszystkie te części nie mają powały; w ścianach oddzielających bojisko od sąsieków znajdują się okienka kwadratowe blisko na 2 łokcie wysokie i szerokie, przez które podaje się snopki. Ziemia w sąsiekach pozostaje w tym stanie jak była przed budową budynku, dosyć znaczne odstępy między ziemią a przyciesią mają służyć do lepszego przewiewu powietrza, gdyby przypadkiem mokre snopki złożyć trzeba było. Przed złożeniem atoli zboża do stodoły pokrywają ziemię gałęziami grabiny, olszyny, aby snopki nie leżały na gołéj ziemi, poczém położywszy przy ścianie przeciwległéj od okienka rząd snopków, kładą następny i dalsze rzędy w ten sposób,

---

(1) Z suff-ъstwo przez złączenie się z poprzedz. *r* znikło *s*; w języku og. pol. ř dyssymilowało się na *r*.—Por. „Gwara Brzezińska“ str. 27.

iż części odcięte sierpem-zwane w snopku ,,kneble"—spoczywają na gałęziach, kłosy zaś (kwósia) opiérają się o poprzedni rząd pierwszy. W ten sposób układają snopek przy snopku, warstwę przy warstwie aż do „zrębu." Kiedy już warstwa najwyższa ma „zrąb" przewyższać, kładą rząd snopków na zrębie tak, że kneble na nim spoczywają ale nie wystają na zewnątrz. Następne warstwy idą w ten sam sposób do góry aż do „bontu" tj. poprzecznego drążka wiążącego krokiew u góry.

„Bojisko" ma ziemię ubitą pałką i starannie wylepioną gliną tak, aby żadnych rysów, dołków i szpar nie było. Na nim młócą zboże w jesieni; przez wiosnę i część lata służy za wozownią.

Pod strzechą stodoły znajdujemy zwykle oparte o ścianę różne narzędzia gospodarskie lub części wozu; obok stodoły zaś stoi często „bróg" (dach kwadratowy oparty na czterech wysokich słupach w ten sposób, że go zniżać lub podwyższać można), miejsce do schowania siana lub w roku urodzajnym owsa.

Na przestrzeni między chałupą a stodołą znajduje się „nátoń"—miejsce do rąbania drzewa. Obok chałupy, stodoły lub za nią, stosownie do położenia, a czasem nawet opodal od zabudowań oddalona znajduje się „gruba" do chowania ziemniaków przez zimę. Jestto dół w ziemi wykopany, którego ściany tworzą kształt sześcianu. Głębokość jego dochodzi do 6 stóp. Belki położone poprzecznie i nakryte gałęziami a potém ziemią wykopaną tworzą powałę—na krycie „gruby."

Wyżłobienie w jednym boku, i rodzaj odrzwi w miniaturze podtrzymujący nasyp, tworzą otwór nie większy, jak aby człowiek mógł się do wnętrza dostać. Jeżeli gospodarz nie ma suchéj gruby, przechowuje ziemniaki przez zimę w „kopcu." Na pierwszym lepszym kawałku roli robi koło, i wbija w jego środek kołek do 6 stóp wysoki—obwód zaś jego otacza rowem płytkim. Na płaszczyznę tego koła sypie ziemniaki do wysokości możliwéj poczém boki pokrywa grubą warstwą równéj słomy, źdźbłem do ziemi, i obrzuca to wszystko dosyć grubą warstwą ziemi, związawszy przedtem dobrze powrósłem kłosy słomy schodzące się u góry u kołka. Kopiec taki ma kształt stożka.

Koło zabudowań gospodarskich a przedewszystkiem przed chałupą ciągnie się sad drzew owocowych. Znajdujemy tu grusze, śliwinę, (białą i „węgierki") „lubáski" i damaski." Przed oknami chaty w miejscu, gdzie sad rzadszy lub go nie ma zupełnie, można często spotkać mały ogródek, zasiany kwiatami i ziołami. Króluje tu słonecznik wśród równie żółtych i jemu w miniaturze podobnych „ná-

giętków“—daléj rośnie „róża ślázová“, georginie, astry—„boże drzevko“ „cyprysek,“ „józefek“, „piowenek“ „barvinek,“ mięta, i parę łodyg bylicy. Róży pospolitéj i innych kwiatów nie hodują, ale zioła na ostatku wymienione gospodyni mieć musi. Ogródek ten ogrodzony płotem do koła; aby się doń dostać trzeba przez płot przeleźć, do czego służy mała, do 3 stóp długa, przez płot przeprowadzona deska na końcach dwoma prostopadle w ziemię wbitymi kołkami podparta—zwana „przewazem.“ Na częściach sterczących z jednéj i z drugiéj strony płotu można wygodnie postawić nogę i oparłszy się rękoma o wystające kołki przejść na drugą stronę.

Przy kilku chatach we wsi można napotkać jeszcze inny ogródek, w którym stoi kilka pni pszczelnych w najpierwotniejszym stanie. Mimo to, że organista posiada liczną, bo do 80 pni dochodzącą pasiekę i prowadzi ją wzorowo w ulach Dzierżona, nie wielu Brzeziniaków da się do pszczelnictwa zachęcić, bo widzą, że to wymaga kosztów i pracy i stałego a widocznego nie przynosi w tych stronach zysku. Jak Pan Bóg da—to chętnie każe się pszczołom dzielić z owocem ich pracy, jeżeli braknie, nie skory do niesienia im pomocy; zostawia je losowi. W ten sposób nic dziwnego, że przed laty kilkunastu miał pni parę, a teraz ma równie tyle jeżeli nie mniéj—a i to cudem tylko prawie utrzymane.

III.

Przypatrzmy się teraz ubiorowi Brzeziniáka.

Z płótna domowego wyrobu lub drelichu zrobione spodnie pokrywają nogi aż po niżéj kolan, gdzie części ich dolne (nogavice) chowają się za cholewy butów. Koszula również z domowego płótna, spuszczona na spodnie sięga blisko do kolan; przepasują ją pasem wązkim skórzanym, u którego wisi zwykle a szczególniéj u młodszych kozik (cyganek). Koszula spięta jest pod szyją spinką prostą mosiężną ze szklanném oczkiem lub téż ściągnięta „skrávkiem“ tj. kawałkiem jakiego czerwonego lub niebieskiego perkalu, który również i wązkie mankiety (oszévki) wiąże. Na koszulę wdziéwają kamizelkę z czarnego lub niebieskiego sukna zapinaną aż pod szyję, a na to „kaftán“ codzienny z grubszego („zgrzebnego lub paceśnego“) „kościelny“ zaś z lnianego płótna. „Kaftán ten (gdzieindziéj płóciennicą zwany) przeszywany (stembnowany) dosyć gęsto, żadnych zresztą nie posiada ozdób, tylko mankiety (wapki) wykładane są suknem niebieskiem i również w deseń stembnowane; leżą one tak na rękawie jak kołnierz wykładany. „Kaftán“ fałdzisty, szeroki u dołu

i do kolan sięgający ma kształt czamary, osobliwie na biodrach, gdzie stembnowanie nad kieszeniami zupełnie podobne do wyszycia taśmowego czamar. „Kaftán“ taki nazywają „kaftán v podkovę“, dla odróżnienia od „kaftána v klamki“ sąsiednich wiosek. Kołnierz stojący nie otacza całéj szyi, lecz jest pod szyją wycięty; kaftán na przodzie zapięty bywa tylko na 3 lub 4 haftki.

Za nakrycie głowy służy w lecie kapelusz słomiany własnego wyrobu z dużem rondem (kaňa); w zimie „magierka“ z białéj wełny tkana mająca czerwone i zielone kółka i desenie; lecz teraz przeważa czarna barania czapka. Do okrycia się w porze zimnéj lub słotnéj mają płaszcz czarny, szeroki „z peleryną“ lub „burdus“ szaraczkowy. Noszą téż dosyć często w porze słotnéj stare płaszcze piechoty austryackiéj, które wdziewają na „kaftány.“ W zimie okrywają się kożuchami baraniemi formy „kaftana“ z wielkim kołnierzem wykładanym, najczęściéj czarnym. Wdziewają nań kaftan jakoby wierzchnie pokrycie.

Chłopcy prawie aż do lat dziesięciu biegają boso bez butów i czapki. Za całe odzienie mają koszulę przepasaną nie w pasie, ale popod ramiona przez piersi „trokiem“ lub „skrávkiem“ od „fartucha“ matki lub zwykłym sznurkiem (povrózkiem). Tak biega koło domu i tak pasie bydło. Jeżeli ojciec lub matka biorą go do kościoła lub np. do dworu albo do proboszcza, ubiérają go w zbytnią ojca odzież; a więc że w lecie ojciec nie wdziewa kamizelki i nie nosi „magierki“ ubierają synala w „kamizolę tatusiową“, która nieraz aż do ziemi sięga malcowi, i wdziewają mu magierkę, pod którą nietylko, że się poci ale prawie nic nie widzi bo głowa jego w niéj tonie bez śladu. Dobrze przynajmniéj, że go w tych uroczystych chwilach zwykle „ojcove“ tj. rodzice prowadzą lub niosą na rękach.

W zimie siedzi „chwopók“ na piecu lub nálepie przeto nie potrzebuje cieplejszéj odzieży.

Wyjątkowo zaopatrują chłopaka w odzież, tj. kaftan, magierkę małą, i buty jeżeli musi uczęszczać do szkoły. Ponieważ to tylko zmusza ich do sprawiania chłopcu osobnego odzienia, przeto narzékają na szkołę, że nietylko wydatków przysparza a w domu nie ma kto paść bydła—ale nadto, mówią, „cego on sie ta v ty skole naucy, chyba beśtefrantóv.“

Ubiór kobiéty składa się naturalnie z więcéj i wielorodnych części. Koszula ma dwie połowy: dolna (nádowek) z poczesnego lub zgrzebnego bywa płótna, górna ze lnianego a gdy to „chusta kościelná“ z „kartonu“ (perkalu) z haftowaną koło szyi kryzą i mankietkami (oszévki) a często i gorsem. Na koszulę wdziéwają „fartuch“ płócienny biały lub „vybijankę“ z kolorowego perkalu, która

czy dla oszczędności czy dla zwyczaju ma na przodzie kawał prostokątny z płótna prostego („przedsobek"); tę część przykrywa „zápaska" nieco krótsza od fartucha, sięgająca powyżéj kostek, szérokością zaś zachodzi po za biodra. Do kościoła wdziewają więcéj spodnic kolorowych lub białych często koło dołu haftowanych. „Zápaski" zdobią również haftem. Kibić obejmuje „gorsét" różnokolorowy, dołem obszywany „tackami," okrągłemi kawałkami sukna w kształcie liści tak, że się przynajmniéj w czwartéj części pokrywają. „Gorsét" ma guziki błyszczące, chociaż one nie służą do zapięcia gdyż go ściągają haftkami lub sznurem. Cały gorset z „ramiąckami" (części w kształcie szelek przechodzące przez ramiona) obszywany bywa „krepinką" do gorsetu dobieraną. Koszulę pod szyją wiąże wstążka czerwona, rzadziéj innego koloru.

Dziewczęta wdziewają na gorset chustki białe, płócienne, lub kolorowe wełniane, stosownie do pory roku grube, a na głowę biorą chusteczki kolorowe z perkalu wiążąc dwa końce pod brodą; często chustką dużą okrywają głowę na chusteczkę małą.

Kobiéty zamężne odziéwają na gorset „rańtuch". Jestto kawał płótna białego, cienkiego, trzy do czterech łokci długi w naturalnéj płótna szerokości; pokrywa on plecy i ręce od ramion po łokcie, przy których sfałdowany spada końcami na dół. Młodsze kobiéty i w ogóle „modnisie", „vygvarnisie", biorą teraz nie rańtuch, ale chustki wełniane kolorowe.

Na głowie wiążą kobiéty chustki, najczęściéj białe, niekiedy na końcach haftem czerwonym zdobne. Złożywszy chustkę „na rogi" kładą ją tak na głowę aby dwa końce nakrywające się spadały na plecy, poczem dwa końce pojedyncze przeprowadzone w odwrotnych kierunkach w tył po pod końce spadające na głowie nad czołem związują w zgrabny węzeł duży. Dziewczęta i kobiéty rozdzielają włosy w poprzek od ucha do ucha na część przednią i tylną. Część przednią dzielą znowu na dwie ku czołu, czeszą je gładko, a związawszy końce w kształcie loków zakładają je za uszy (muszcki). Resztę włosów dziewczęta plotą w jeden warkocz i kończą go kolorową najczęściéj czerwoną wstążką w fontaź związaną. Kobiéty zaczesują część tylnią do góry i tam za pomocą lnianych „splatanek" zastępujących sztuczny warkocz, splatają je w kółko na środku głowy, na którém potém chustka związana lepiéj się trzyma.

Dziéwczęta które straciły panieństwo (závitki) muszą również jak kobiéty zamężne wiązać chustkę na głowie.

Kobiéty starsze zachowały jeszcze dawniéj powszechnie używane okrycie na jesień—„kaftánik" i na zimę—„sukniá." Piérwsze było

zupełnie podobne do czamary kształtem (jupki staropolskie) tylko bez wyszyć taśmą i z małym gorsem zapinanym na haftki; z granatowego było sukna i sięgało długością do kolan; „suknie“ zaś podobne kształtem i materyą do poprzednich, tém się jednak różniły, że były dłuższe i podbite futrem. Dzisiaj oba te rodzaje ciepłych okryć nikną a zastępuje je „katana“ (zwykły kaftanik bez stanu); nabytek nie piękny i nie wiejski cieszy się dziś przecież do tego stopnia powodzeniem, że nawet w lecie zamiast gorsetów bywa używany.

Obuwie kobiét i dziewcząt stanowią buty polskie z cholewami średniéj wielkości.

Jak o chłopaka matka dba nie bardzo i nie czesze go i nie myje chyba tylko w niedzielę, tak znowu o dziewczynę troszczy się od dziecka. Skoro tylko chodzić poczyna ma już spodniczkę, matka splata warkocze i zakłada wnet za nie kwiatki; biorąc ją ze sobą do kościoła przyodziéwa chustką białą lub kolorową jedną ze swoich. Często téż osobliwie w lecie można widziéć u dziewcząt wpięte we włosy całe bukiety sztucznych kwiatów, co zresztą tylko przy weselnym obrzędzie znajduje się w użyciu.

IV.

Brzeziniacy bywają zwykle średniego wzrostu, cery białéj. Rysy twarzy piękne a przynajmniéj nie nieprzyjemne; tylko przybysze z innych wsi odróżniają się od nich. Ta okoliczność jak również i ubiór, a osobliwie „kaftán“ chłopa, a „kaftánik“ i „suknia“ kobiéty naprowadzają na domysł, że najstarsze rody Brzezińskie były kiedyś rodami szlachty zagonowéj. Że to nie sama tylko hypoteza świadczy tradycya o rodzinie Łękawskich, którą miał skądś jeden z panów Morskich w dawnych czasach jako opiekun do Brzezin dolnych sprowadzić i na roli osadzić; późniéj musiała pańszczyznę robić zarówno z drugimi, a dziś nie ma i śladu dawnego pochodzenia.

Obok takich nazwisk jak powyżéj wymienione Łękawskich (Wękaski) znajdujemy bardzo wiele innych na ski zakończonych, które w innych stronach Polski są nazwiskami rodzin szlacheckich. Np.

Boboski, Cyrański, Dzikoski, Folvarski, Kviátkoski, Marecki, Miskiro, Różański, Servański, Sokowoski, Stalecki, Stasioski, Surceń-

ski, Viśnioski, Vodziński, Vojnaroski (rodzina bardzo rozgałęziona) Zuroski (1).

Na—icz (ic): Wukasievic, Majchrovic, Márcinkievic, Vójtovic Voskovic.

Inne nazwiska: Barán, Buják, Gąsiór, Jirzyk, Jaskówka, Kácór, Kania, Karaś, Mrocka, Pająk, Sikora, Vilk, Vróbel,—Kviátek, Śliva, Harmata, Jagiewa, Makuch, Skóra, Sydwo—Biáwek, Biestek, Budzis, Budzik, Chmura, Ciosek, Curelik, Drak, Duda, Dziurdzik (Morawiec z matki) Frodyma, Gábór, Gancárz, Gleń, Godek, Jandrejasik, Jánik, Javorek, Jezior, Kosiba, Koválik, Konsór, Kramárz, Kurzava, Kut, Kutawa, Longos, Luksor, Mądro, ᵘOgrodni, ᵘOlech, ᵘOzga, Pacocha, Panocha, Rakocy, Ráś, Regmoa, Sarek, Sekuwa, Stachura, Stanek, Stásik, Stoduś, Sych, Svięch, Szawajka, Tabas, Tęⁿcár, ᵘUrbanek, Várchów, Vietecha, Vodzis, Zbylut, Zygmond.

Zresztą prawie każdy Brzeziniak ma nadto ,,przezwisko" miejscowe, nadane jemu lub w spadku po ojcach odziedziczone. Są to częścią przymiotniki, częścią rzeczowniki oznaczające symbolicznie przymiot, nazwy od miejsca pochodzenia lub miejsca zamieszkania, nakoniec imiona zdrobniałe. I tak Biestką zwą „Filárem", że tęgi i wysoki, jednego z Chmurów „Przysięźniákiem", że jego ojciec był przysiężnym tj. pomocnikiem wójta za czasów pańszczyzny; innego Chmurę zowią ,,Bartyzelem", Draka „Biróvką" Gąsiora „Bębnárzem" (bednarz) innego zaś „ᵘOlejárzem" innego jeszcze „Kulponem" „Pniákiem." Godek ma przydomek „Papuga", jeden z Jandrejasików „Maláu" że przybył ze sąsiedniéj wsi Mały. Kviátkoskiego zwą ,,Bernadynem", Sokowoskiego „Kramárzem"; jednę gałąź Vojnaroskich „pazurnikami", że chciwi, inną „Dziadosami." Márcinkievica „Biédą", Jánika „Maruską" ᵘOgrodnika ,,Korbą." Ze Śvięchów zwie się jeden ,,Vojtasik", inny ,,Muzyk" inny „Polniák" „Szabelán"; z innych przezwisk notuję: Stary wójt, Viatr, Męⁿkál, Kucharcyk, Stelmach, Páleński, Bobcyk, Jarzynka, Uwán, Konoparty, Bubur, Janielák, Kovál.

Przezwiska od miejsca: Panocha z zá dvoru, Józek z Rędzin, Kuba z przydolá, Teodór z Tomasikóvki, Longas z nad Sadomy, Kuba z lémiérzysk, Gąsiór s końca (z granicy), Sikora ze rzék, Pacocha z wysy góry, Chmura z nád wavy, Ráś ze zágród, Józek z Náklá.

Zdrobniałe imiona jako przezwiska: Florek, Florcák, Staszcák, Vojtasik, Jędras,—Józin, Grześ, Wukás, Bartek.

---

(1) We wszystkich nazwiskach przed końcówką—ski ginie w gw. brzez. ogólne pol. *w* stąd Zuroski—Żurowski.

W skutek niegospodarności Brzeziniacy są przeciętnie wziąwszy ubodzy. Osobliwie od czasu wolności dzielenia gruntów, kiedy role kilkudziesięcio morgowe rozpadły się na kilka części, podatki coraz większe, a rola nie umié wydać sama bez przemysłu dochodu na opędzenie potrzeb—mimo większéj oświaty biéda większą jest prawie.

Rękodzieł prawie żadnych nie pielęgnują. Najwięcéj jeszcze w części wsi zwanéj Berdechowem zajmowano się tkactwem; prawie w każdéj chałupie zastać można było w zimie tkacza (knáp) za warstatem. Ale ponieważ nowszy przemysł zagraniczny zapełnia wszystkie półki żydów jarmarcznych towarami płóciennymi, które prawie o połowę są tańsze i na oko piękniejsze, przeto i to rzemiosło upadło. Owi „Berdeszácy", których dla handlowania płótnem i drelichami, z którymi aż do Korczyny i Gorlic chodzić mieli „Korcycanami i Gorlicanami" zwano, teraz muszą z roli się wyżywić i—zarobku, tj. z zapłaty za robotę w polu.

Zresztą oprócz kilku dosyć zgrabnych bednarzy, cieślów, jednego kołodzieja, który jest w części i tokarzem, jednego krawca—nie ma innych rzemieślników. Szewcy bowiem są osiadłymi mieszczanami z sąsiedniego Wielopola lub Brzostku.

To téż nic dziwnego, że Brzeziniak nie zna żadnych wygód. Widzieliśmy to z jego urządzenia domowego, poznamy lepiéj z jego pokarmu.

Pszenicy prawie nigdy nie sieje, chyba kilku najbogatszych gospodarzy, mających odpowiednie grunta. I ci zresztą sieją nie wiele. Z żyta zmielonego w domowych żarnach pieką co tydzień w piątek lub sobotę tyle chleba, aby na tydzień wystarczyło. Jeżeli się żyto nie urodzi, domieszają do chleba jęczmienia lub owsa.

Te dwa ostatnie gatunki zboża najgłówniejszą odgrywają rolę. Z jęczmienia robią w stępie „pęcák"—rodzaj grubéj perłowéj kaszy w żarnach kaszę („krupy") z jęczmiennéj mąki robią kluski, „paciarę" i „papciák." Paciara-to najprostsza potrawa. Na wrzącą wodę sypią mąkę i mątewką rozbijają tak, aby się gruzełki nie porobiły. Wysypują potém na miskę i dodawszy słodkiego mléka jedzą. „Papciák" to to samo prawie, tylko że gęstszy i wystudzony jedzą zwykle z kwaśném mlékiem.

Z owsa robią „bászc" gdzieindziéj „żurem" nazywany. Jeżeliby się owies nie udał a żyto było, robią go z żytniéj mąki. Mąkę wsypaną do osobno na to przygotowanego garnka („trzop") zalewają ciepłą wodą, żeby kisła. Gdy przez noc zakiśnie, rano z wierzchu zbiérają otręby, potém rozbiwszy płyn dobrze mątewką na wrzącą zalewają wodę.

Bászc z chlebem lub ziemniakami stanowi przez cały rok śniadanie. Jeżeli jest w kómorze „szpérka“ lub „sadło“, to gospodyni „uskwarzy“ nieco i okrasi („omaści) po wierzchu; jeżeli nie ma to się zjé i bez tego, byle dużo i ciepłego.

Obiad składa się zwykle z ziemniaków i kapusty; czasem zamiast pierwszych pęcák, rzadko kluski. Wszyscy domownicy jedzą z jednéj miski, drewnianymi łyżkami. Zawsze naprzód idzie potrawa gęsta; z tych zaś pierwsze miejsce zajmuje kapusta, potém ziemniaki. Jedzą powoli; nabrawszy pełno na łyżkę, o krawędź miski ocierają, poczem powoli do ust z łyżką podnoszą, a nim po drugą sięgną wspiérają rękę z łyżką na kolanie.

O wieczerzę nie wiele się troszczą. Zostało z rana bászcu a z południa ziemniaków, to zjedzą to na zimno; jeżeli nie, to jedzą paciarę, lub kluski, niekiedy ziemniáki, jeżeli mają czas „uskrobać“.

To pokarm zimowy.

W lecie ponieważ ciężko pracują więcéj i lepiéj jeść potrzebują. Szczególnie do żniwa wymagają dobrego pożywienia. Ponieważ we dworze tylko płacą i każą „być o svojem“ tj. samemu się wiktować, przeto do dwora i do księdza idzie tylko ten, kto musi odrabiać, podczas kiedy kmiecie dający „vicht“ i jeszcze kilkanąście grajcarów mają zwykle dosyć zarobników.

I wtedy „bászc“ zjawia się na śniadanie. Zwykle atoli, aby odmienić wysyłają gospodynie około godziny ósméj rano kluski na mléku i ziemniaki. Po zadzwonieniu na Anioł Pański w południe stawiają obiad w chałupie, zwykle w cieniu gdzieś lub na boisku. Jeżeli daleko od chałupy jest pole, na którém żną, to im znowu wynoszą. Obiad musi mieć dań kilka. A więc idzie kapusta, ziemniaki, kasza lub kluski, wreszcie „papciák“ lub „pęcák.“ Im więcéj dań tym naturalnie lepiéj. Między czwartą a piątą godziną po południu dają „juzynę“—chléb ze sérem i kwaśne mléko; jeżeli zaś nie było na obiad papciáku, to go teraz podają z kwaśném mlékiem. Wieczór po robocie dają na wieczerzę kluski i ziemniaki. Kiedy już są owoce podają osobliwie na śniadanie zamiast bászcu poléwkę owocową, zwaną „pamuwą.“

Oto najwspanialsze życia brzeziniaka. Mięsa prawie nigdy nie kupuje—chyba na święta Bożego Narodzenia lub Wielkanoc i to wtedy gdy je żyd ma we wsi. Jeżeli jemu lub sąsiadowi krowa lub inne jakie bydlę zachoruje tak, że je dorznąć muszą, rozkupują także wówczas mięso.

Wieprze biją zwykle na zapusty; mięso i inne rzeczy zjedzą a połcie słoniny i sadło ma wystarczyć na cały rok na omastę, bo

masła nie wiele używają, bo go i nie wiele mają. Jedząc bowiem wszystko tylko z mlékiem nie mają dobréj na masło śmietany a stąd i masła mało. Jeżeli nawet jest, to gospodyni mało pokazuje, boby trzeba do dworu zanieść, lub na plebaniją; lub nakoniec pani organiściny, aby wyjednała u męża kawałek wosku święconego z paschału, bo tém dobrze okadzić krowy. Jeżeli i to nie, to zbiera gospodyni masło dla żyda, aby mieć czém zapłacić za modne chustki, muśliny, koràle. Jaja również dostają się żydowi; drób idzie do dworu po największéj części.

Kobiéty więc strojnisie lekkomyślne, a mężczyźni nie wielce gospodarni a niekiedy i pijacy, co jednakże z czasem powoli znika. W ogóle lud dosyć rzetelny i usłużny, czyli jak oni zowią „skwonny"; w stosunku do obcych („czarnych") atoli nieufny a nawet podejrzliwy. Boi się innowacyj bo poza nimi widzi widmo—większego podatku.

Przywiązania do kraju nie objawiają—brak téż poczucia narodowości. Kilka rodzin opuściło wieś i udało się do Ameryki. Jeden wrócił i wielu jeszcze chętnych od zamiaru odwiódł.

W stosunkach rodzinnych nie bardzo czuli. Dosyć częste zaburzenia w małżeństwie, bitki a nawet procesy w rodzeństwie. Mąż (naturalnie nie bez wyjątków) nie wielce żałuje żony, chyba dla wydatku i kłopotu, któryby mu śmiercią sprawiła, a może i osieroceniem dziatek. Krowy mu więcéj nieraz żal bo nie ma za co kupić innéj. Rodzice żałują dzieci ale dorosłych, które im w pracy dopomagały mniejsze, niemowlęta nie wielki obudzają żal osobliwie w ojcach; da Bóg,—będzie drugie.

W stosunku do sług zachowują się po patryachalnemu; sługa to część rodziny.

Do szkół nie mają ochoty oddawać dzieci, bo im sił do pracy ubywa, a niepewni są pomocy na starość. Mimo to wyrabiają się uzdolnieniem na wcale roztropnych; lubią czytać, osobliwie pokolenie młodsze. Wielu okazuje zdolności muzyczne; grają osobliwie na skrzypcach, pomijając fujarkę. Sprytniejsi robią sobie nawet sami rodzaj skrzypcy które zowią „uochtábką." Oprócz tego zdolności do rzeźbiarstwa nie rzadkie; niedawno udał się jeden do szkoły rzeźbiarskiéj do Zakopanego, przedtem już jako młody chłopak zyskawszy sobie sławę na jarmarkach pięknie rzeźbionymi krucyfiksami.

V.

Poznaliśmy mniéj więcéj zewnętrzną postać Brzeziniaka; poznajmyż teraz jego obrzędy, zwyczaje, zabobony wierzenia itp.

Rok zaczyna się dla Brzeziniaka prawie podobnie jak w kościele z Adwentem albo raczéj z Bożem Narodzeniem.

Gospodynie ścisle tego przestrzegają aby na św. Łucyą (13 grud.) kurom ogony poucinać, to wtedy będą jaja nieść.

Wigilią Bożego Narodzenia obchodzą uroczyście. Kiedy piérwsze gwiazdy na niebie się pokażą zastawiają wieczerzę składającą się ile możności z kapusty z grzybami, grochu, ziemniaków z olejem (lnianym) bászcu z grzybami, „palusków“—(klusek w kształcie małych palców) także z olejem i gotowanych „susek“ tj. owocu suszonego, przeważnie polnych gruszek. Ławka na któréj stawiają miskę z potrawą jest pokryta sianem potém czystą płachtą. Na niéj pod miską znajduje się parę garści zboża rozmaitego—dla kur. Bezpośrednio pod miskę kładą opłatek. Kiedy zjedzą podnoszą miskę z uwagą: przylepił się opłatek do miski z kapusty—urodzi się „na bez rok“ tj. przyszłego roku kapusta, do miski z grochu—groch, do miski z ziémniáków—ziémniáki, z bászcu—owies, z klusek—pszenica lub jęczmień, z „susek“—owoce.

Po zjedzeniu grochu wynoszą na dwór na łyżce grochu i wołają:

Vilku pódź do grochu
Nie cekej Nowego Roku.

poczém groch ten na węgle (vęgwo—róg budynku) zostawiają. Uważają czy gwiazdy świécą jasno i jest ich dużo, bo wtedy kury będą dużo jaj niosły.

Po wieczerzy przynoszą do izby wiązankę równéj słomy i rzucają całe garście do powały tak, aby ucięte siérpem części uderzały o powałę. Ile ździebeł utkwi w pajęczynie lub szparach, lub nakoniec w „kopciu“ (kopeć) dymnéj chałupy, tyle sobie rokuje kóp zboża na rok następny. Przy tém rzucaniu nie obejdzie się bez żartów i figlów osobliwie między młodymi. Po załatwieniu tego zwyczaju, robią ze słomy leżącéj na ziemi powrózła i idą zaraz wiązać nimi drzewa w sadzie, aby nie uschły i miały wiele owocu.

Siano z pod miski dają w Boże Narodzenie bydłu ziarna zboża kurom.

Ponieważ po wieczerzy i „rzucaniu kóp“ nie zamiatają, przeto kawaler, który sobie gdzieś dziéwuchę upatrzył i miałby się ochotę „w zápust“ ożenić, idzie do niéj świtaniem („do dnia“) w Boże Narodzenie „na śmieci.“ Jeżeli go przyjmą wydobywa z kieszeni „granówkę“ (wysoką czworoboczną flaszkę) wódki i rozpoczyna się pijatyka trwająca nieraz do południa bo ochocie nie ma końca,

W dzień św. Szczepana święcą owies ale się nim nie biją w kościele. Idąc z nabożeństwa nie wstępują do domu ale idą w pole i rozrzucają ów święcony owies—aby ostu nie było.

Dzień tygodnia, w którym przypada św. Młodzianków, uważają przez rok cały za feralny, w którym nic rozpoczynać, nic siać i sadzić nie należy.

Podobnym dniem niepomyślnym dla sadzenia ziemniaków i „kárpieli“ (brukiew) jest każdy piątek, ponieważ posadzone wtedy będą czérwliwe tj. robaczne.

Na Nowy Rok „ino śvit“ biegają chłopcy niżéj lat pietnastu; naturalnie ubodzy—„po szcodrákach“ Wszedłszy do izby mówią:

Niek bedzie pokválony Jezus Krystus!
Na szczęście, na zdrovie, na ten Novy Rok
Zeby sie rodziuwa pszenicka i groch,
W uoborze, w kómorze
Co dej Panie Borze.
Poviadali chwopácki
Zeście piekli szcodrácki
Dejcie tyz i nám
Zapwaci vám sám Pániezus (1)
I ten śvięnty Ján·

Potém śpiewają jeszcze kolendy, dostają „pocęstunek“ najczęściéj ciepłego bászcu „ze skwarkami“ i owe „szcodráki“ tj. duże okrągłe bułki z tego samego co zwykły chléb ciasta.

W czasie od Bożego Narodzenia aż do Trzech Króli „namáviają,“ „godzą“ gospodárze sługi, stąd czas ten zowie się „godami“ (gody).

W „"ostatki“ tj. ostatnie dni „Zápustów“ chodzą parobcy a nawet i młodsi weseli gospodarze „po drábsku.“ Przewracają kożuch włosem na zewnątrz, przepasują się powrósłem a nieraz i inne ozdoby, jak np. rzemienie żołnierzy, naśladują powrósłami zatykają kij za pas i osmoliwszy sobie twarz sadzami chodzą po domach, gdzie się spodziéwają zastać wesołe towarzystwo, i płatają najrozmaitsze figle.

W „Kwietnią“ Niedzielę (palmową) święcą palmy, na których bywa okręcony nowy batóg. Palmy zatykają w żyto; a gdy piérwszy raz idzie bydło w pole używają palm (złożonych z trzciny i kwiatów iwy) za batóg, aby bydło było takie gładkie, jak te „bagnięta“ z iwy.

---

(1) Ściągnięte z Pán Jezus.

W Wielki tydzień obchodzą chłopaki „Judásza.“ Kilku się ich umówi, znoszą rozmaite szmaty a zeszywszy je razem w kształt dwuroczniego dziecka wypychają sianem i odziéwają koszulą. W wielką Środę i Czwartek mają tego Judásza w ławce kościelnéj w płachcie skręconego, i w téj ławce nie wolno nikomu siedzieć tylko tym chłopakom. W Wielki Piątek na jutrznią przywożą tego Judásza na „tarapacie“ podobnéj do „táków“ (taczki) i mają go pod chórem. Gdy się jutrznia skończy wiozą go na tarapacie trzy razy po za wielki ołtarz, a potém wywiózszy go na cmentarz, rozdziérają na kawałki i wyrzucają na drzewa koło kościoła stojące albo wracając do domu rzucają żydom do sieni.

W wielką Sobotę starają się usilnie o ogarki z tarni, którymi się paliło przy święceniu wody na cmentarzu. Jeżeli przy tém zamiészaniu stłukło się wiele dzbanków i flaszek, to będzie rok mokry. Ten co do domu wodę święconą przyniesie, skrapia nią dom cały do koła, potém ludzi i bydło. W drugi dzień Wielkiejnocy (Poniedziałek) obchodzą „śmigus“ zléwając się nawzajem wodą. Często nawet posuwa się swawola chłopaków do tego stopnia, że wrzucają dziéwki do rzéki lub stawu.

Poświęcone w Krzyżowe dni krzyżyki z „krzyżowego drzewa“ (bukszpan?) i zatknięte w polu mają chronić od robaków i gradu, w węgło—od piorunu.

Sadząc groch nie pozwalają go gryść aby nie był „hrobacny.“

W Oktawę Bożego Ciała („ochtáby) święcą wianki z ruty, piołunu, „józefku“, stokrotki, macierzanki, poziomkowych liści, „przywrotku“ i „kopelniku“ wiészając je na ołtarzach lub gałązkach drzewek, którymi kościół umajony. Wiankami tymi okadzają potém krowy, aby ich czarownica nie oczarowała.

Z drzew, którymi był umajony kościół obłamane gałązki wstawiają w kapustę jako środek przeciwko liszkom (gąsienicom—„gąski“).

Jeżeli w dzień ŚŚ. Piotra i Pawła dészcz, to liszki kapustę zjedzą.

Kiedy mają rozpocząć żniwo, zakładają na prawą rękę, na kostkę poza dłonią, rodzaj bransoletki ze sznurka, aby się ręka nie „rozvinęwa“.

Przed każdodziennym rozpoczęciem żniwa rzucają siérp na ziemię i potém go podniósłszy dopiéro żną a to dlatego, aby się uchronić od okaleczenia.

W dzień Wniebowzięcia N. M. P. (Matka Boská Zielna) święcą rozmaite ziela związane w wiązkę (wszystkie w ogródkach napotyka-

ne—nadto kilka ździebeł zboża, bylicę, wrótycz, miętę, gałązkę leszczyny z orzechami, kalinę), którymi potém okadzają krowy, i dają im gotowane jeść po ocieleniu.

W ten sam dzień święcą wieńce z pszenicy; dawniéj tylko dworscy teraz i zamożniejsi gospodarze. Niekiedy jadą z tymi wieńcami nawet do sąsiedniego miasteczka Wielopola, ponieważ tam w owym dniu odpust. Po nieszporach tegoż dnia obchodzą „vieńcoviny" gdzieindziéj „dożynkiem" zwane. Ten który „vieńcoviny" sprawia i u którego mają wić wieniec, zmawia cztérech swatów i cztéry drużki. Drużki znoszą jaja, orzechy i jabłka, a „swaciá" składają się na wódkę i przy wiciu wieńca wódką go obléwają i częstują się. Kiedy ten wieniec uwiją i wstążkami i jabłkami ubiorą, przymocowany na drążkach przywożą „na zielną" ku kościołowi i stawiają na cmentarzu. Kiedy procesya z kościoła wyjdzie biorą swaciá wieniec i obchodzą z nim koło kościoła; przywiózszy do domu, stawiają go na bojisku. Kiedy po nieszporach skrzypek przyjdzie biorą swaciá wieniec przed ganek i przy muzyce śpiéwają:

Mám já vieniec, mam,
Komuż já go dám,
Mám ja vieniec pszenicany
Nas pán dobry i kochany
Dám já mu go dám.
U nasego pana zielony podworzec
Jest ta panna na vydaniu, má piéniędzy korzec.
Korca jich ta niéma, skądby jich nabrawa
Ale pów korca má dzieby jich podziawa.

U nasego pana zielona podwoga,
Stolik malowany, jak u Pana Boga.

Swuzuwem u pana, swuzuwem u księdza,
Miáwem podkóvecki z samego mosiędza.

Jagem suzuw przy dworze,
Przy francuskiem mondorze,
Vysuzuwem dzievcynkę,
V siedmiu latach Klárcieńkę.
Pojecháwem na vojaż
Vojováwem siedem lát
Przyjecháwem przed vrota:
„Moja Klárciu puść mie ta!"
Vyswa jedna w zieleni:
„Tvoja Klárcia juz v ziemi!"
Vyswa drugá v żáwoble:
„Tvoja Klárcia juz v grobie!"
Pojecháwem na smentárz
I co prędzym z konia zlász:

„— Kto ta chodzi po grobie?“
„Ja Klárcieńku do Ciebie.“
„— Jesceś mi ty nie przysiąg,
„Jesce jich ta más tysiąc.“ —

Jeżeli pleban sprawia „wieńcowiny“ śpiéwają mu:

Mám já vieniec mám,
Komuz já go dám?
Mám já vieniec pszenicany,
Nas jegomość poświącany,
Dám já mu go, dám.
Mám já vieniec mám,
Komuz ja go dám?
Mám já vieniec pszenicny
Nas jegomość prześlicny
Dám já mu go, dám.
Niesiemy plon,
Jegomości plon—
I zeby się plonovawo
I sto korycy vydavawo,—
Jegomości plon!

Poczém następuje powyższa dłuższa piosnka.

Czy i dla wieśniaków sprawiających wieńcowiny mają umyślne śpiewki, nie mogłem się dowiedzieć.

Nawet mniéj zamożni gospodarze urządzają niekiedy a szczególniéj przy żniwie owsa tak zwaną „twukę“. Ogłaszają pewnego dnia, że dadzą „twukę“; a wtedy robotnicy już po dziennéj robocie zamiast wracać do domu idą na miejsce zapowiedziane i po przekąsce, a najczęściéj tylko po wódce, blizko do północy przy blasku księżyca pracują. Naturalnym magnesem takiéj tłuki jest muzyka, którą gospodarz naprzód „obstaluje“ a która zostając na uboczu żeńcom przygrywa. Musi téż i gospodarz być lubiany, bo inaczej i muzyka nie wieleby ściągnęła ochoczych, zwłaszcza że ponad wspomnianą wódkę i muzykę nic więcéj nie otrzymują w nagrodę. Jeżeli wcześniéj skończą, puści się nieraz kilka par w taniec nawet po zagonach; poczem wracają do domu wesoło, niekiedy nawet śpiéwając.

Po żniwach nastaje dla wieśniaka już czas bardzo jednostajny. W polu przebywa nie wiele, więc téż szczególnych zwyczajów niema.

VI.

Natomiast w czasie od 15 Sierpnia czyli „ᵘod zielny“ aż do „jandvięntu“ odbywa się najwięcéj wesel. Wprawdzie idąc porząd-

kiem naturalnym obrzędów przygodnych powinnibyśmy teraz skreślić chrzciny, a potém wesele i pogrzeb; ale hołdując zasadzie moralnéj, że po weselu powinny się odbywać chrzciny, chętnie jéj ulegamy, nadając w ten sposób pewną łączność temu ustępowi z poprzednim.

Wesele a raczéj „veszele“ lub w żartach „szevele“ (z przestawnią zgłosek piérwszych) traci coraz więcéj cech charakterystycznych a przechodzi w prostą formułkę kościelną związania rąk nowożeńcom. Przyczyn tego faktu należy szukać raz w ciągłém ubożeniu ludu, którego dziś, z kilkoma wyjątkami, nie stać na przyjmowanie co najmniéj przez trzy dni, prawie setki gości, jak to było dawniéj, a powtóre w pocieszającym z innych względów wstręcie do karczmy, w któréj przecież dawniéj najważniejszy dzień pierwszy weselny przepędzano. Bądź co bądź, obrzęd ten traci powoli na znaczeniu i właściwościach; pamiętam go przed laty dwudziestu— a teraz; prawie nie do poznania.

Znajomości rozpoczynają się zwyczajnie podczas wędrówki z kościoła w niedzielę, przy żniwie lub co najczęstsze na jarmarku. Na ten bowiem, osobliwie do pobliskiego Wielopola Skrzyńskiego, musi prawie każdy iść co dwa tygodnie w poniedziałek, bez względu na to, czy ma po co, czy nie. Jeżeli nie ma czegoś do sprzedania, jakiego prosiaka lub byczka, to zawsze znajdzie potrzebę jakąś domową, jak np. klocek soli (warzonki), gospodyni zawsze brak „trzopów“ (garnków) lub miski—ot, i potrzeba jest, która wybawia z kłopotu z odpowiedzią, kiedy kuma zapyta kumy, poco idzie na „jarmark.“ A więc ciągnie wieś cała na jarmark, a nie mając co robić na mieście, zapełniają sklepy i szynki. Nie trzeba myśléć, aby tam pili wódkę; broń Boże—wszak większa część wsi ślubowała wstrzemięźliwość, ale piją—„harbatę“, w któréj trzy części rumu a raczéj zafarbowanéj okowity zwanéj „harakiem“ a część czwarta nieczystéj ciepłéj wody. Gdyby się upił „na wódce“, miałby sobie to za grzech: upiwszy się „na harbacie,“ usprawiedliwia się, że on „ślubował tylko od wódki.“

W ten sposób „napijając“ i „racząc się herbatą“, rozprawiają o swojéj biédzie, kłopotach, omawiają zdarzenia w okolicy, przetrząsają bajki i „svatają się“ tj. czynią sobie nawzajem propozycye małżeńskie, naturalnie nie młodzi, ale albo „uojcovie“ albo upoważnione do tego osoby starsze. Sławi przeto jedna i druga strona swą zamożność, obiecuje posag, który się naturalnie zawsze z kawałka gruntu składa i obiecuje wybudować „vystavić chawpę“ dla młodych, bo od czasu wolności dzielenia gruntów żaden syn ożeniwszy się, nie chce pracować wraz z ojcem aż do jego śmierci, a potém

objąć wspólną pracę, ale żąda zaraz podziału, własnego domu, własnego gospodarstwa.

Jeżeli ostatecznie układ stanął, zapiją na szczęście i wybierają się do domu, nie pomijając zwykle ani jednéj karczmy we wsi, których liczba wzdłuż drogi prowadzącéj przez wieś wynosi nie mniéj i nie więcéj tylko ośm!

Mimo to formalne załatwienie sprawy, jeżeli się to tylko nie działo bez woli i chęci młodych, następują wnet potem „ᵘogadziny.“ Młody (tem imieniem będziemy odtąd nazywać wstępującego w związki małżeńskie) bierze ze sobą jakiego gospodarza i „pijatykę“ i udaje się do chałupy wybranéj przyszłéj, najczęściéj w niedzielę „po niesporach“ czyli wieczorem. Po zwykłém powitaniu:

— Niech bedzie pokválony Jezus Krystus!

— Na wieki—Amen.

— Vitejcież kumo (kumie, sąsiedzie i t. p.).

— Vitejcież do nás. Coście ta swychali?

— Ji—my nic novego, vszyćko stará biéda, vy co prędzy.

— A i my nie viema nic novego i t. p., i po długich nieraz korowodach, ociąganiu się, chociaż obie strony wiedzą dobrze cel tych odwiedzin, chwyta młody ojca lub matkę młodéj za nogi i prosi o kieliszek, wyjmując z kieszeni „granóvkę.“ Równocześnie gospodarz towarzyszący młodemu, zagaja rzecz właściwą.

— Ej, nie viécie po co my tu przyśli. Nie pytácie sie nás.

— A coby my sie vás ta pytali (odpowiada ojciec lub matka) vyście nie dzieci, mácie na sobie pasy, toście doroswy lud.

— A no, przyślimy tu po vasę N. (wymienia imię).

Ojciec wtedy odpowiada, że nie wie, czy ona się zgodzi na tę propozycyą; aby przeto u źródła zasięgnąć wiadomości, wołają dziewczynę. Ta uciekła gdzieś po za chałupę i nie chce przyjść; wreszcie przychodzi, na pytania nie odpowiada, ale albo się w kąt kryje albo za matkę, wreszcie pozostawia to do rozstrzygnięcia rodzicom (zdaje sie na ᵘojców). Ci naturalnie zgadzają się, a zapiwszy tę sprawę, przy czém młody pije do młodéj „do trzeciego razu,“ myślą o czasie wesela.

Przed weselem atoli muszą być „ᵘopoviedzi“ a aby te być mogły, trzeba iść do księdza „na katechiz,“ przyczem młoda zanosi gęś, z wyjątkiem jeżeli bardzo uboga, to choć jaj parę. Katechizowanie odbywa się zwykle w piątek. Nowożeńcy przychodzą na mszą, po któréj udają się do proboszcza. Ten bada ich skłonności i pokrewieństwo i albo ich sam katechizuje, albo gdy zajęty, odsyła ich do wikaryusza. Jeżeli tego nie ma, czynność ta spada na organistę. Po pomyślnym wyniku „katechiza,“ którego treść stanowią

główniejsze zasady wiary, młody przychodzi w sobotę po południu do proboszcza i „daje na ᵘopowiedzi.“

Obiérają teraz „druzbę“ (starosta) i „svaszkę“ (starościna). Po dwu zapowiedziach „zmáviają svatóv“ (drużbów) im lepsze wesele, tym więcéj „svatóv,“ jeżeli „svatóv“ dwóch to drużki żadnéj; zwykle na jednę „druzkę“ przypada dwu swatów.

Jeżeli młoda jest ubogą, chodzi w czasie od pierwszéj do ostatniéj zapowiedzi „po vilku,“ t. j. niejako po jałmużnie po dworach i zamożniejszych gospodarzach, a każdy ją wspomaga czem może.

Do przygotowań na wesele należy pieczenie „kowácy“ t. j. placków okrągłych ze sérem i „sysek“ t. j. małych wielkości orzecha włoskiego rogalów, zaopatrzonych czterema rogami; bywają one z ciasta kołaczowego ale spieczone twardo jak kamień. Nadto musi mieć wesele „palmę,“ zwaną inaczéj „rózgą.“ Ma ona kształt czteroramiennego świecznika, tylko że ramiona wraz ze środkową laską mają jednakową wysokość. Te proste kije na okrągłéj podstawce osadzone ubierają piórami kur i kaczek, w które zawijają orzechy, daléj jabłkami, jajami i wstążkami. Jeden ze swatów, któremu tę rózgę powierzają, zowie się „palmovy“ i jest najstarszy. „Palmę“ po weselu zanoszą zwykle do proboszcza lub do dworu.

„Swaciá“ starają się mieć czarne płaszcze, w których jednéj dziurce od guzika wisi uwiązana chustka czerwona perkalowa, nadto *u czapek* robione bukiety. Drużki podobnie z robionych kwiatów mają wieńce („gierlandy“) na głowie.

Ostatnia zapowiedź bywa w niedzielę; w następujący po niéj poniedziałek lub najdaléj we wtorek odbywa się ślub rano po mszy św. W niedzielę przeto w nocy chodzi młody z muzyką i stając pod oknami krewnych lub tych, których pragnie mieć na weselu „ᵘodgryvá na dobránoc,“ a przedewszystkiem drużbie i swaszce. Odegrawszy wszędzie, wraca do drużby, gdzie go już oczekują „svaciá“ i drużba z muzyką idzie do swaszki. Bywa to już nad ranem. Swaszka ich poczęstuje, da co przekąsić i wtedy udają się do młodéj.

Tu się ich już spodziewano a więc poczyniono przygotowania. Od płotu do ściany, albo do jednego z drzew owocowych stojących najbliżéj chałupy, ciągną łańcuch z powróseł słomy zrobiony, a na jego środku zawieszają skorupę z popiołem. Nazywają to „vartą“ dodając jéj przydomek „haniebná“ t. j. wielka. Kiedy weselni od drużby nadeszli, domownicy młodéj usłyszawszy hałas, wychodzą i pytają nadeszłych.

— Skądeście vy?

— A my stąᵘd a stąᵘd (wymieniają jakieś miejsca). Sukámy sarny cawką noc a nié mogemy ji nájść (znaleść).

— A my nie viemy coście vy za jedni, mozeście vy jakie zbiegce.

— A my dobrzy ludzie, mámy tu zaśviacenie. Wtedy jeden ze swatów czyta na kawałku jakiego papieru ad hoc przygotowanego:

A dzie tu ten stary Ján co pod borem uoryváw,
Kijánkom się uopasáváw, nitkom sie podpiéráw.
Na piecu studnię miáw, cérpáw ją przetakiem

i t. d. znany powszechnie szereg niemożliwych rzeczy.

Po przeczytaniu tego, ojciec młodéj chwyta papiér i rzuca go na bok, przychodzący rozbijają skorupę, rozrywają łańcuch i wchodzą do izby.

Kiedy się pousadzają za stołem, cofają się drużki z młodą do „kómory“ a z nimi nawet niekiedy parę innych dziewcząt. Swacia wyprowadzają stamtąd po jednéj i pytają młodego:

— Niech bedzie pokválony Jezus Krystus! Panie mwody, cy ci sie tyz ta nadá?

On odpowiada: „Przyjmuję ale nie dziękuję.“ Kiedy w ten sposób wyprowadzą wszystkie dziewczęta i drużki, prowadzą na ostatku „babkę bwágalną“ (żebraczkę) z kądzielą a za nią młodą z „rózgą.“ Babka młodego wyściska, skrzypek gra i śpiewają:

Jidzie viánek jidzie, z kómory do jizby,
Ustąpcie sie ludzie, zeby nié miáw cizby (1).
Viuwa se dzievcyna viánki,
Z drobny rutki róvniánki,
Tocawa jich po stole,
Mamusieńce na żale (2).

Młody przyjmuje młodą tymi słowy: „przyjmuję i dziękuję,“ poczem parę razy z nią obróci się w koło.

Na stole kładą trzy bochenki chleba i sér i na tém ręce młodym wiążą; ona chce mieć rękę na wiérzchu, i on także, aż w końcu on zwycięży. Dadzą kawałek z jednego bochenka młodéj a z drugiego jemu. Są to części skrajne zwane „przylépkami.“ Te posolą i „przytulą do kupy, zeby sie tak kochali.“ Chléb ten dają potem dziadom przy kościele. Trzeci chléb krają na kwałki i szwaszka je wraz z orzechami i syskami rzuca między nagromadzone ciekawe obce dzieci. Drużba przeprasza rodziców wraz z młodym, który,

(1) Ścisk.
(2) albo: uojcu, matce na żale.

chwyciwszy ich za nogi prosi o błogosławieństwo: „Pobwogoswávcie mie tyz do kościowa bozego do stánu máwżeńskiego.“

Toż samo potem czyni drużba z młodą. Drużki tymczasem śpiéwają:

Zabiérej sie N. z nami,
Nie zalévej sie wzami;
Do kościowa bożego,
Do stánu máwżeńskiego.
Lesie mój lesie, rozwijej-ze sie:
Nadobná dzievcyno, zabiérej-ze sie.
Syrze mój syrze, sus-ze mi sie scyrze:
Vszyćko to na jesleń, na Jasiową kieszeń.
Bez progi, moje dziévce, bez progi,
Uchyć se mamusieńkę za nogi.
ᵘObeźryj sie moje dziévce za sobom,
Jak to pwace rodzinecka za tobom.
Przeproś se dzievcyno ojca matkę i cawą rodzineckę,
Zebyś se uprosiuwa szczęśliwą godzineckę.

Młoda śpiewa:

ᵘOj powiadaliście izem zwá bywa
A teraż mie pwacecie,
Niechze sie ᵘojcu matce serce kraje,
Po co mie za mąz daje.

Wychodząc z domu, śpiéwają swacia:

A u nasy pani matki przed sienią
Cervienią sie jabusecka cervienią.
Cervienią sie jabusecka i viśnie—
Przyjechali po N. umyśnie.

W ten sposób odbyły się „rękoviny.“ Dzień się już zrobił, do kościoła kawałek, a trzeba być na mszy, więc wszystko rusza. Swacia, a na ich czele „palmovy,“ nieraz dobrze podchmieleni, hałasują i wyśpiewują:

ᵘO da, da, da, ᵘo da da da, ᵘo da, da, da, da, da, da rozlegające się po wsi.

Po ślubie udają się państwo młodzi z kołaczem do proboszcza a niekiey i do dworów. Reszta weselnych czeka koło kościoła, lub wstępuje do karczmy. Wreszcie idą do domu swaszki. Swaciá śpiewają:

Cyście nám tu radzi, cy nie radzi
Bo sie nás tu vielga gromada provadzi.
Dziesi sie nám pani mwodá podziawa,
V kościele nám za ᵘontárzem ᵘostawa.

Każdy swat daje po pół kwarty wódki i drużba i swaszka. Śniadają chléb, sér, kołacz a po śniadaniu drużba wyprowadza pary na boisko, gdzie zwykle tańczą; chyba jeżeli wesele odbywa się w zimie, w zapusty, to tańczą w izbie. Najprzód idą swacia z rózgą i trzymając za dwa końce chustkę, po pod nią się przekręcają; w ten sam sposób przechodzi drużba ze swaszką, potem z gośćmi weselnymi aż do dwudziestu czterech par. „Svatkowie prosę" odzywa się drużba, ukłoni się czapką i tańczy naprzód a za nim wszyscy. Każdy ze swatów musi jakiś czas potem tańczyć w pierwszą parę a przed każdém takiém kołem częstuje wszystkich tańczących wódką.

Tak na tańcu schodzi do późnéj nocy. Weselni zostają na nocleg u swaszki i na drugi dzień tańczą tak znowu do południa.

Śpiewają wtedy swatom:

Vychodźcie svatkovie bo vám cas,
Vyjedliście harendárce z becki kvas.
Vyjedliście vyjédli
Do gwóvecki do jedny.

Wtedy swacia z drużbą i swaszką idą do domu młodéj a kiedy staną na dworze, jéj ojciec wychodzi z flaszką i zaprasza. Swaszka śpiéwa:

A vyjdze do nás, a przywitejze nás
Pod ślivy, pod ślivy —
Bo pod tvojem kochaneckiem
Koń sivy, koń sivy.
A vyjdze do nás, a przyvitejze nás
Pod szcepy, pod szcepy —
Bo pod tvojem kochaneckiem
Koń ślepy, koń ślepy.
A vyjdze do nás, a przyvitejze nás
Pod sady, pod sady —
Bo pod tvojem kochaneckiem
Koń gniady, koń gniady.
A vyjdze do nás, a przyvitejze nás
Pod gruski, pod gruski—
Przyvitejze svácusię i druzki.

Swacia śpiéwają:

A cyście nám tu radzi nie radzi,
Bo sie nas tu nie vielgá kompanijá provadzi.
A bo nás tu nie vielgá dvanáście,
Przecie se nám usiąść káźcie.

Na to odpowiadają drużki:

A są tu u pani mwody wavecki
Te se posiędą druzecki.

A są tu u pani mwody wavcyska,
To se posiędą svaciska.

Wchodzą potem do izby; zjadłszy co, udają się swacia do sąsiadów i znaczniejszych osób, aby je pozapraszać. Kiedy sproszeni goście nadchodzą, wychodzi naprzeciwko nich młody i rodzice młodéj z muzyką i poczęstunkiem; przybywający niosą zwykle ze sobą „harak abo gorzáwkę.“ Pogoszczą ich w domu, potém prowadzą do tańca na bojisko. Wieczór dają gościom „śniádanie“ (!) „bászc i kowác“ i wyprawiają pijatykę a w nocy póżnéj zastawiają obiad złożony z grochu z rosołem, mięsa z kapustą, którego państwo młodzi nie jedzą, boby się im bydło nie wiodło, „kárpiele,“ kaszę z flakami i kaszę jaglaną. Od kaszy jaglanéj pani młoda ucieka, bo gaszą światło. Śpiewają:

Vyswa, vyswa kavula z lassa
Vyjadwa, vyjadwa stajanie prosa.
A dzie uona?—v stodole
Patrzy dziurką na pole, na pole.

Muzyka gra a swacie z drużbą szukają młodéj, która się zwykle kryje w kómorze. Przyprowadzają drużbie różne baby i dziéwki, a on się tylko obróci z nią trzy razy do koła, uderzy w „páleń“ laską i puści ją mówiąc: „Kochani svatkovie starejcie sie, bo to nie vygodne!“ Niekiedy przyprowadzają mu jeszcze chłopa odzianego po kobiecemu; ten z drużbą puszcza się w zapasy i wynosi go do sieni. Krzyczą: „Druzbę nám ukradli.“ Wreszcie przyprowadzą panią młodą, ale ona do trzeciego razu ucieka aż wreszcie sadzają ją przemocą na środku izby na małym stołku, który zwykle służy do dojenia krów. Drużki śpiewają:

A moja N. przestáń sie bryzovać (1)
Stązecki, śpilecki dej mamusi schovać.
Jak cie bedą cepić poźryj do povawy,
Zeby tvoje dzieci cárne uocy miawy.
Jak cie bedą cepić poźryj do tragarza
Zebyś vychovawa syna na césarza.
Hec kiec moje dziévce hec kiec
Viánecek na kowecek a na gwóvkę cepiec.

Pani młoda kopie stołek nogami i nie chce usiąść; kiedy już usiędzie, zakładany jéj przez swaszkę czepiec do trzeciego razu zrzuca a młody jéj kładzie na czoło; ona mu w oczy nim ciśnie,

---

(1) Opierać się.

wreszcie schowa pod kolana dopiéro kiedy młody znajdzie, swaszka ją czepi.

Młoda śpiéwa:

Nieszczęśliva godzinecka na świecie
A któż mi ten ślicny varkoc rosplecie.

Zaczepiwszy, mówi a potém śpiéwa:
— Jest dowek v gwovie, starejcie sie, zebyście go zarównali.

Davejcie śrybwo,
Zeby sie ji viedwo bydwo.
A chto szcéry
Niech dá i papiéry,
A chto nié má miedzi,
To niech v chawpie siedzi.

Zbiérają pieniądze a drużki śpiewają razem z kobiétami:

Niemiwo mamusieńce niemiwo,
Bo sie ji dziéciątecko zmieniwo.
Jeszce bedzie mamusieńce niemili (1)
Kiedy bedzie w kolébecce li, li, li!
Nie dámy nie dámy dzievcyny chwopcu,
Pókil nám nie przyniesie gorzáwecki v skopcu,
Nie vidać, nie vidać z gorzáwką chwopca,
Posed se do rzyki vymyvać skopca.
Mwody, mwody, dej gorzki vody,
A ᵘona ci za to svoji vygody,
Vylazwa, vylazwa z pod nálepy żabka.
Z nasy pani mwody zrobiuwa sie babka,
Vyláz, vyláz, z pod nálepy racuś:
Z nasego mwodego ᵘostáw jino kwacuś.

Młody śpiéwa:

Powozyli dziéciątecko na ślivie;
Zacep-ze sie moja N. szczęślivie.

pije do młodéj a ona mu do trzeciego razu zalewa oczy wódką, a inni się śmieją z niego, że płacze.

Śpiewaja:

Zakukaa kukawecka v fuzyji;
Zacepili kochaneckę suzy ji.
Zakukaa kukawecka na lasce:
A cóz ci juz moje dziévce po svasce.

W dalszych ośmiu wierszach powtarza się to samo, ale zamiast „na lasce" śpiewają: „na virzbie," „na wacie", „na grusce", „na

---

(1) Niemilej.

szcepku", a zamiast „po svasce" dodają: „po druzbie", „po svacie", „po druzce", po skrzypku."

Młoda:

Zakukaa kukawecka na buku:
Krzyvoście mie zacepili na uchu.
Zakukaa kukuwecka na lesie:
A co mi to mój N. przyniesies.

Młody:

Ŝtyry cepce, ŝtyry cepce abo sześć:
Zacep-ze sie moja N. v chtóry chces.

Młoda:

V ty kómorze, v ty kómorze, v ty novy
Cesawa se pani mwodá len biáwy.
Cesawa se len biáwy i vwosy:
Vydajes mie moja mamo z roskosy.
Vydajes mie moja mamo na rolą:
Będę jadwa kapuścinę jawovą.
A weźcie mie z tego stowka weźcie,
Bo mi cepiec bardzo gwovę gniecie.
A weźcie mie z tego stowka zaráz,
Zeby sie mi mój viánecek naláz.

Drużki:

Tańcovawa pani mwodá śmiele,
Vypadwo ji z podowecka ziele.
A to ziele viele kosztovawo?
Ŝtyry vowki z uobory vygnawo.
Jedna pára v harendę vydaná,
Drugá pára dzievcynie na viano.
Turbuje się moja mama turbuje,
Ze ci nié ma lá N. krasule.
Nie turbuj sie moja mamo nie frasuj,
Bo to stoji w stajenecce sześć krasul.
Poswo dziévce po vodę,
Vzięwo z sobom urodę.
I zielony zbán;
Rozbiuw ji go pán.
Moje dziévce nie pwac-ze,
Já ci ten zban zapwacę:
Chusteckę ci dam.

W dziewięciu następnych strofkach, pan ofiaruje z kolei dziewczęciu: „koràle", „gorsecik" „koszulkę", fartusek", „ciżemki" (trzewiki), „śviniárza" (tj. pastucha świń). „fornála", „lokaja", a w końcu powiada: „i sám ci się dám."

Swaszka i kobiéty:

Przyjechali gubernaci (1) z Berna,
Pytali sie, po cemu tu vewna.
Po dukacie chtóra nie tykaná,
Po grajcaru, chtóra pomyrhaná.
Hej hej nieboga
Ucléć nié mogwa
Z kądzieliną svoją.

Młoda odpowiada:

Ja ze svoją kądzieliną między progi,
A za moją kądzieliną dziad ubogi.
Ja ze svoją kądzieliną pod koryto,
Znalazwam se śtyry bite dobre i to (2)
Ja ze svoją kądzielіną do kościowa
A za moją kądzielіną cawa szkowa.
Chvaluweś sie chwopce, ze mas mwode lata,
Vąsy jak pocioski (3), broda jak u capa.
Chvaluweś się chwopce, ze ty mas pawace,
Skorom ja—ta zaswa, same podpiérace.
Chvaluweś się chwopce ze mas budynecki,
Skorom ja—ta zaswa same spróchniawecki.

Młody z matką lub swaszką śpiéwa:

Uciekwa mi przepiórecka v proso,
A ja za nią nieborácek bosso.
Trzeba by sie pani matki spytać,
Cy pozvoli przepiórecką schytać.
Chytej ze se przepiórecką chytej,
Jinno sie ji piórecek nie tykej.
A jakby ja przepiórecką chytáw,
Zebym się ji piórecek nie tykáw.

Po czepinach wychodzą znowu do tańca na bojisko. Skrzypek odwraca skrzypce i gra na ich stronie przeciwnéj, co naturalnie nie daje żadnego głosu. Odzywa się do pani młodéj:

— „Cosi się mi pani mwodá stawo, że mi skrzypce nie chcą grać!"

Kiedy mu młoda da pieniędzy albo wstążkę wtedy dopiéro gra. Młoda tańczy z każdym dobrze, tylko z młodym kuleje. Śpiewają mu na to:

A dzieześty chwopce svoje uocka podziáw
Coś se ty takie kulosisko uobráw.

---

(1) Liweranci.
(2) albo: Zarobiwszy śtyry ceskie dobre i to.
(3) narzędzie do wydobywania ognia z pieca piekarskiego.

Trzy razy tak z nim tańczy; jeden z swatów złamie nad nią kij i powiada „ze sie napraviuwa fankovná noga.“ Wtedy młody długo jeszcze tańczy t. z. „spuściznę.“

Swacia i drużki rozchodzą się po czepinach, reszta nadedniem. We środę tj. dnia trzeciego bawią się jeszcze starsi pijatyką.

W niedzielę następującą sprawiają niekiedy jeszcze „popraviny“ poczem myślą o „przenosinach“ pani młodéj na nowe gospodarstwo.

Jeżeli się młody ożenił już nie z panną, śpiewa sobie:

„Ożeniuw ci ja sie, „ożeniuw, „ożeniuw
Ale nie z panienką, Boże mój, Boże mój.
Pravda ci to pravda, pravda doskonawa
Ze dzie vody duzo, poćcivości mawo.

Z obrzędów pozostały nam jeszcze do przedstawiania chrzciny i pogrzéb, z których żaden nie ma tyle cech samoistnych co wesele.

Osobliwie chrzciny, których właściwą treścią jest obrzęd kościelny, ciekawe są tylko dla kilku zabobonów. Nowonarodzone dziecię kąpie „babka“ tj. akuszerka, powija i przygotowuje do chrztu, bo ten zwykle w kilka godzin następuje po urodzeniu. Ojciec tymczasem obejrzał się za kumami, którzy nadchodzą do „krześnika“ (1). Babka bierze go na ręce a kumowie z ojcem idą ku kościołowi. Idąc powinni się wiele śmiać i mówić, aby dziecko było wesołe i śmiałe. Jeszcze przed udaniem się do kościoła powinni chrzestni ojcowie dawać dziecku pieniądze, aby się go zawsze trzymały. Zwykle atoli dają mu późniéj, babce zaś wkładają do wanienki, w którój się dziecko kąpie, „niby za to, że to dziecko przyniosła.“ Po przyniesieniu dziecka od chrztu nie rozpowijają go piérwéj aż chrzestna matka nadejdzie; i ta rozpowija najpiérw nogi aby prędko chodziło.

Kończą się chrzciny jak każda prawie uroczystość familijna—„pijatyką,“

Obok kolébki stawiamy trumnę—w życiu to aż nadto częste.

Chorób nie umié leczyć Brzeziniak. W niektórych słabościach wierzy nawet, radzie babek wyżéj wspomnianych, w innych zdaje się na Pana Boga. Natura tylko pomaga mu do wyzdrowienia, bo lékarzy nie wzywa; raz dla braku zaufania, drugi raz dla braku środków. Jedzie zwykle najpiérw po księdza a gdy ten nakaże wezwać

---

(1) „Krześnikiem“— chrzestnikiem zowią chrzestni rodzice swego pupila.

lékarza, tymi samymi końmi po niego spieszy wtedy, kiedy, jak to mówią, dusza już na ramieniu.

Konającego zdejmują z łóżka i kładą na ziemi na równéj słomie, zwracając go nogami ku drzwiom. Ma to ułatwiać konanie. Podają téż do ręki gromnicę i odmawiają modlitwy.

Umarłego ubiérają w długą aż do stóp koszulę z domowego płótna prędko uszytą; przepasują go frędzlami, które zwykle płótno zakończają. Jeżeli to jest mężczyzna wkładają czapkę na głowę, kobiécie chusteczkę. Tak ubranego wkładają do trumny prostéj z czarnym krzyżem na wieku, którą stawiają w sieni.

Trzeciego dnia rano przed pogrzebem zgromadzają się sąsiedzi i znajomi i następuje wyprowadzenie zwłok nie przez księdza bo tego tu dla odległości chat od kościoła nie ma w używaniu, ale przez jednego ze świadomych oracyi sąsiada.

Oracya ta, a raczéj egzorta przed wyprowadzeniem, brzmi jak następuje:

„V jimio ^{u}Ojca ji Syna ji Ducha Świę^{n}tego Amen. Rác przyść Duchu śvię^{n}ty ji napewń serca viernych, chtórzy sie zgromadzili na vyprovadzenie śvę^{n}ty pamięci zmarwego N. z domu docesności do domu viecności.—Vitám vás vszyćkich zgromadzonych, chtórzyście sie tu ześli na to miejsce ji do tego domu na ten akt smutny ^{u}oglą^{n}dać zvwoki zmarwego N. brata nasego. Dziękuje vám jego jimieniem já mizerny cwoviek za to chválebne krześcijańskie zgromadzenie przy tém ^{u}ostatniem vyprovadzeniu tego zmarwego N.—Życuwbym sobie vám zgromadzonem przedwozyć, jakie mácie provadzić życie spokojne vedwug przykázaniá boskiego. Pismo śvię te móvi: kochaj Pana Boga tvego a bliźniego tvego jako siebie samego.“

Daléj, powołując się na „evanieliję“ i „pácierz“ codzienny, prosi zgromadzonych, aby przebaczyli nieboszczykowi jego winy; dziękuje, że przyszli oddać mu ostatnią posługę, zaleca im aby pokutowali za grzechy i kończy część pierwszą przemowy wezwaniem „^{u}o jedno ^{u}Ojcanas i jedno Zdrovaś.“ W części drugiéj mówca wskazuje na marność zbiorów doczesnych a ważność dobrych uczynków, żegna pozostałą rodzinę i jeszcze raz przeprasza w imieniu zmarłego.

Wynosząc potem trumnę uderzają jéj krawędzią potrzykroć o próg chałupy mówiąc przy każdém uderzeniu: „Wieczne odpocznienie etc.“ Ma to zabezpieczać od przychodzenia nieboszczykowego ducha.

W duchy bowiem wierzy Brzeziniak z całą naiwnością, równie jak w pokutujące dusze. Jeżeli np. w garnku przystawionym do

ognia pocznie piszczeć, albo czasem stęka, mówią że to pokutująca dusza.

Wierzą téż, że *niektóry* człowiek może mieć dwie dusze a wtedy go zowią „strzygoniem.“ Niepokoji on ludzi i straszy. Trzeba go z grobu wydobyć i włożywszy mu kamień między zęby obrócić twarzą do dna trumny, wtedy figlów zaprzestanie. Niektórzy twiérdzą że to za słaby środek. Najlepiéj odciąć mu głowę i położyć w nogach aby się znowu nie zrosła.

Ciało zmarłego wiozą na prostym wozie do kościoła, śpiéwając przytém nabożne pieśni.

Nad grobem śpiewają najczęściéj starą pieśń:

Juz jidę do grobu smutnego ciemnego,
Tam będę spocyvaw jaz do dnia sądnego etc.

któréj melodya nadzwyczaj smutna a do treści zastosowana, przenikającą, do łez pobudzić musi.

VII.

Większa część pieśni używanych i śpiewanych przez Brzeziniaków zawiéra się w obrzędach przedstawionych. Zresztą przy tańcu używają krakowiaka, którego komponują na poczekaniu w zastósowaniu do okoliczności. Z powtarzanych często i śpiéwanych przez pastuchów w polu przytaczam kilka:

Sivy konik sivy, cervone popręgi:
Kochają mie panny, bom se chwopcyk tęgi.

La la la gąsecki, la la la gąsecki:
Zbiéraj Maryś piórka będą podusecki.
Nie bedę zbieraa, bo mi mama daa
Śtyry podusecki piątą ᵘobiecaa.

Za Viswą za vodą tam dziévcęta wadne:
Maglują, prasują, ji chwopców sanują.

Jageś z góry jechaw, cegoś nie hamovaw:
A kicj cie nocka zaswa, cegoś nie nocovaw.

Hojze jino dana jeszce:
Som konisie w novem mieście,
Som koniki uoba gniade;
Ja do ciebie Maryś jadę

Z piosnek większych wspomnę o narzékaniu córki na matkę.

A biéda mi na tę mać
A biéda mi izber mater vachter tomber
na tę mać
Co mie za mąż nie chce dać...
A teraz mie vydaje...
Skoro chleba nie staje...

Wreszcie znaną o Podolance która otruła brata:

Na Podolu biawy kamień
Podolanka siedzi na niem.
Przysew do ni Podoleniec
—Podolanko dej mi vieniec.
—Chętniebym ci vieniec dawa
Zebym sie brata nie bawa.
—ᵘOtrujze ty brata twego,
Bedzies miaa mie samego itd.

VIII.

Powieści o śmierci, djable, czarownicach i skarbach ma Brzeziniak dosyć. Przytoczę z nich po kilka tak, jak mi je opowiadano.

Jedna baba chorovaa bardzo, tak ji chwop posew do miasta, kupić ji vina, pieknego chleba, a temcasem śmierć przyswa po babę i stanęwa ji v gwovach: Baba patrzy ji móvi: ᵘo moje piekne cosi, jakie tyz ty piekne ᵘocka más. Przydź Urbanku przydź przynieś gościovi pić (bo ji chwopu bywo Urbanek), a śmierć mówi: Urbán przydzie ciebie nie zastanie. A ᵘona znovu: ᵘo moje piekne cosi, jakie tyz ty piekne rącki más! Przydź Urbanku przydź, przynieś gościowi pić, a śmierć, znovu tak pedziaa, jak piérvy. A baba znąᵘ: ᵘo moje piekne cosi, jakie tyz ty piekne ząbki más. Przydź Urbanku przydź, przynieś gościovi pić,—a śmierć krzykwa, że Urbán przydzie ciebie nie zastanie, skocuwa do ni i udusiuwa ją ji juz ji Urban nie zastáw.

Sew chwop do lassa na wyka na povrozy i spotkáw sie z djábwem. Djábuw sie go pytá: dzie ty jidzies? a ᵘon: jidę będę konáry wámáw, bedę djábwóv viésáw. A djabuw go prosi, zeby choć jego nie ᵘobiesiuw, a chwop mówi: dej mi tę cápkę piéniędzy, to cie nie obiesę; a djabuw mówi: jábym ci dáw takich cápek dziesięć, zebyś mie nie obiesiuw. Tak chwop vykopáw v ziemi dowek, vwozuw cápkę a v cápce dziurę zrobiuw, tak djábuw nosiuw jaz nasypáw pewno piéniędzy i chwop djábwóv nie viésáw i nie był povroźnikiem.

Jak djábuw zased do piekwa, pytają sie go jinsi djábli, dzieś tyla piéniędzy podziáw? Dáwem chwopu zeby nás nie viésáw, a ^{u}oni móvią: jakiś ty gwupi, nás jest tyle a chwop jeden, zeby my sie dali obiesić; jidź po piéniądze niech ^{u}oddá.—Tak posew do chwopa vować ^{u}o piéniądze, a chwop mówi: mam dvóch dziadków v kapuście, jak mi jich dogonis to ci piéniądze ^{u}oddám. Tak pośli ^{u}oba do kapusty i chwop vowá: dziatkovie vstajcie! ji dziatkovie v nogi ji djabuw gnaw jednego trochy drugiego trochy, ji zadnego nie dognaw, bo to bywy zające; nie wziąw piéniędzy bo jich nie dognaw ji posed do piekwa ji tam poviedziáw: nie przyniózem piéniędzy bom dziadków nie dognaw, takie bywy stareńkie sive. Iiznąw mu kazali po piéniądze, przysew wziąw chwopa do lassa ji mówi ^{u}o piéniądze, a chwop móvi: chtóry bardzi gviźnie tego bedą piéniądze. Djabuw gviznąw jaz gawęzie leciawy z jodwóv ji drugi raz sie drzeva wamawy a jak trzeci raz to jaz sie z korzeniami vyvracawy drzewa ji chwop móvi: zaviąz sobie ^{u}ocy, bo jak gviznę to jaz ci ^{u}oko vyskocy. Djabuw sobie zaviązaw ^{u}ocy a chwop vzion s pod kaftana żelazną páwkę ji uvaluw go raz a jak go drugi raz nakryw to mu ^{u}oko vyskocywo ji poviedziaw: nie chcę trzeci raz, bobyś mie zabiuw ji poleciaw. Kazaw mu chwop przynieść zapór ^{u}od piekwa tak przyniós. Djabuw movi: chtóry vyzy vystrzeli, tego bedą piéniądze, ji vystrzeluw, nie bywo go dwugo vidać ji wziąw chwop do ręki i vowa: Bartek, Bartek mas ten zapór, narób mi podków, bo to dobre zelaz^{u}o, a djabuw vowa: nie wyciskuj zapora, bo jakbyś mi vycisnąw a koval vziąw, nié miawbym cem piekwa zawozyć, to mi djabli uciekną. Ji wziąw mu zapór ji mówi: chtóremu s kamienia voda pódzie tego bedą piéniądze. Ji vziąw kamień v rękę ścisnąw zgniótł go ale mu s kamienia voda nie ciekwa. Tak miaw chwop zną^{u} sér, ścisnąw ji voda mu ciekwa, tak widziaw, ze chwopa nie pokona, tak uciék do piekwa.

Jednemu mynarzovi psuw zavsze djabuw jáz (1). Co zastaviuw, to mu djabuw zepsuw, ji nié móg mleć bo vody nie bywo. Tak przyswa jedna babka do tego mynarza ji mynarz ji mówi: dawbym vam korzec mąki, zebyście mi co poradzili na to, zeby mi djabuw tego jazu nie psuw. A ^{u}ona podziawa: poradzę. Ji kazawa mu se sprawić cawy pwug żelazny, kolca, chomą^{n}ta z postronkami, uzdy, lice ji bat ji vszyćko żelazne. Jak to vszyćko mynarz spraviuw, vzięwa ta baba vszyćko, poryktovawa ji zavowawa: vychodź! Jak ten djabuw wysed, zaprzągnęwa go, vjechawa z niem ve vyrę^{m}by, v pniaki, dzie sie nazyvawo pasternik, ji ^{u}orawa niem do samego powudnia. V powudnie sama poswa do mwyjna na ^{u}obiad a jego ^{u}osta-

(1) Jáz—tama przy stawie młyńskim.

viuwa zaprzągnię^{n}tego. Jak staw, sed kowo niego chwop z gawązkami z lassa, bo byw biédny, nié miaw za co kupić, tak se nazbiéraw na narą^{n}cko. Djabuw mówi do niego: zebyś sie ty zaprzągnąw ji ciągnąw za mnie, tobyś ty gawązków nie nosiuw, bobym ci daw duzo piéniędzy, cobyś se kupiuw pola. Ji chwop myśli, ji pedziaw: zaprzągne sie! Tak djabuw wylaz, chwopa zaprzągnąw a sam polecíaw v siano, dzie dziévki grabawy, kości se prostovaw, bo go ta baba batem żelaznem ^{u}okropnie zernęwa. A ta baba bywa carownica. Jak przyswa z ^{u}obiadu, zacęwa tem chwopem ^{u}orać. Chwop próbuje pociągnąć—ani nie rusy; jak baba zacnie batem ^{u}okwadać, a chwop sie prosi, krzycy gvawtu a ^{u}ona móvi: cegoś do powudnia tak nie krzycaw? a nie bedzies więcy jazu psuw? A chwop móvi: ^{u}o juz téz nie bedę, ani sie raz v to miejsce nie pokazę! a djabuw lezaw v sianie ji tolaw sie, śmiaw sie s tego, ze sie chwop prosiuv. Vzięwa baba chwopa vyprzągnęwa, sama poswa do mwyjna a djabuw vstaw ze siana ji móvi do chwopa: chodź do lassa, a jak zaśli do lassa, djabuw daw mu duzo piéniędzy ji juz po gawązki do lassa nie chodziuw, djabuw juz jazu nie psuw, a babie mynarz daw korzec mąki.

Ve vśi Varzycach (?) byw taki ksią^{n}dz, co robiuw z djabwem co chciaw, dzie sie kazaw tam go zanieśli. Raz zvowaw djabwóv ji kazaw sie zanieść do Rzymu, tak djabli vzięli drzvi ^{u}od kościowa Varzyckiego, vsadzili na nie księdza ji vio z niem het do Rzymu! Jak przylecieli niedaleko lassa, to sie go pytali: jak chces plesocu (?) cy bez konopie, cy ponad konopie, t. j. cy bez las, cy ponad las, a ^{u}on powiedziaw: po nad konopie, bo jakby byli jechali bez las, toby go byli zabili. A ^{u}on sie poto kazaw nieść do Rzymu, bo sie djabuw przebraw za pannę ji posed do papiéża, zeby go skusić. Tak ten ksiądz siedziaw pod lipą przy kościele ji swysaw jak kruki se gadawy, ze zeby chto viedziaw ze dzisia ^{u}Ojciec śvię^{n}ty zgrzésy a posed do Rzymu ji daw ty pannie v pysk, toby sie rozlawa maziom, bo to jest djabuw, a ^{u}ona go skusi dzisiaj koniecnie. Tak ten sie ksią^{n}dz zaraz kazaw tam nieść, zeby ^{u}obronić Papiéża przed pokusą. Vsed do pokoju Papiéża, ^{u}valuw te pannę v pysk ji rozlawa sie maziom, a djabli te drzvi ^{u}ostavili a ^{u}od rzymskiego kościowa vzięli ji przynieśli go (księdza) do Varzyc ji dotychcas sąm te drzwi ze Rzymu przy kościele ve Varzycach.

Jeden chwop byw ^{u}ubogi, nié miaw cem palić, tak zaprzągnąw krovę ji bycka ji pojechaw do lassa po drzevo. Jak jechaw, zastąpiuw mu na drodze vąż, tak ten chciaw go ^{u}ominąć, zjechaw do fosy, przytrzymaw, zeby sie nie vyvaluwo ji ^{u}ominąw go. Tak vąż stanąw ji powiedziaw: za to ześ mie ^{u}ominąw, powiem ci cosi. Jak bedzies jechaw, bedzie tam lipka a na ty lipce bedą miawy vróble

pravo, a ty bedzies rozumiaw co ^{u}oni będą móvili, jak jich vójt bedzie są^{n}dziuw. Jak przydzies do domu, vyprzęgnies, żona da krovie ji byckowi jeść, ale krovie da lepi jeść. Tak bycek ji krova bedą sie przemáviać, ji ty sie z tego bedzies śmiáw, tak żona sie ciebie bedzie pytać cego sie ty śmiejes, a ty ji poviés co ja ci móviuw ji ^{u}o co sie krova ji bycek przemáviali. Ji ty ji poviés, ze ci vąż powiedziaw zebyś umar jakbyś to rzék, a ^{u}ona na ciebie bedzie koniecnie nalégać, ze choćbyś ji umar to ji musis poviedzieć. Ji powiés ji, ji zachorujes, tak żona ci przyniesie róvny swomy, legnies ji kazes sobie zavować kur, ji kogut ci rozpersvaduje ji wstanies z róvny swomy ji babę vybijes. Przyjechaw chwop do chawpy wyprząg, ji dawa żona krovie lepi jeść a byckovi gorzy; a bycek móvi do krovy: jednako my robili, to my povinni jednako jeść, to ten chwop rozumiaw, co ^{u}oni móvili ji uśmiechaw sie. Żona sie go pytawa: z cego sie ty śmiejes? ji przez naléganie żony poviedziaw ji vszyćko ji zachorovaw. Jak juz na róvny swomie lezaw, przysed do przytomności ji kazaw sobie zavować kur; jak kury veswy, kogut sed na ^{u}ostatku, stanąw v progu ji móvi: a to, to, to, to! ja jich mam siedem a poradzę jem, a ty jedny babie szelmie nie poradzis? veź povroza chwopie, namoc ve vodzie a vybij dobrze babie plecy. Tak ^{u}on tak zrobiuw, babie plecy vycharataw, bo mu tak kogut rozpersvadovaw. Ji piesek vylaz z pod stowu ji poviedziaw mu: taką biédę mas a ja na piéniądzach lezę. Pośli ^{u}oba pod stów, piesek troskę ^{u}odkopaw a do resty chwop ji nalaz mawy kociowek s piéniądzmi. Za te piéniądze kupiuw sobie konie, juz krovą ji byckiem nie robiuw. Kupiuw zboża la siebie ji la koni i przy^{u}odzievkę. A za to mu vąż ^{u}o vszyćkiem poviedziaw ji ^{u}o piéniądzach, ze mu na zdradzie nie staw ji nie zabiuw go.

Jeden chwop chodziuw do pana do dvora na zarobek. Pan mu kazaw brać przykopę (fosę) gwę^{m}boką v ^{u}ogrodzie, ji ^{u}on braw ji natrafiuw na kociowek ji bywo o tem kociowku pewno piéniędzy. Vziąw go, ledvie vytovarzuw ze ziemie, przykryw ziemią zeby nicht nie uźraw, ji do viecora braw fosę. Pan mu zapwaciuw za dzień a ^{u}on przysew do chawpy ji móvi do svoji baby: poviedziawbym ci cosi zebyś ji ty nikomu nie pedziaa, a ^{u}ona pedziaa, ze nie povié. Kazaw sie ji ^{u}ubrać v najpiekniejse chusty, ^{u}on se vziąw kropác (1). ji pośli. Jak juz byli niedaleko vziąw ten kropac, namocuw v gnojówce ji zacon babę chlastać, a ^{u}ona móvi: taka pogoda, gviazdy śviécą a taki dészc jidzie. A chwop móvi: to ty nie viés, ze jak pogoda to taki dészc śmierdzący jidzie. Ji pośli vzięli na nosidwa

(1) Szmata na klju uwiązana.

ten kociowek, ji przynieśli do chawpy; poviedziaw ji zeby nikomu nie gádawa. Na drugi dzień przyswa do ni kumecka, ji móvi ji zebyście nikomu nie gádali, poviedziawabym vám pod sekretem cosik. Mój chwop tu naláz v pańskiem ᵘogrodzie kociowek s piéniędzmi. A ta kumecka móvi: nie poviem nikomu, nie. Jino przyswa do chawpy zaráz ᵘopedziawa tak ze sie to vnetki dotrzęswo do pana. A jesce jak śli s tem kociowkiem z ᵘogrodu, tak sie śviéciuwo v jedny chawpie; baba sie pytá chwopa: na co sie tu śviéci? a ᵘon ji gádá: a juści tamty nocy temu chwopu zwodzieje ᵘukradli spérki, teráz siedzi ji pilnuje piéniędzy. Jidą dali kowo ᵘovcarni a ᵘovce becawy, ᵘona sie go pytá: co to tak zabecawo? a ᵘon ji móvi: a juści pana djábli bierą ji celádka pwace. Ji jak sie do pana ᵘo tem kociowku donieswo, tak pán poswáw po tego chwopa ji móvi mu: piéniądześ naláz, ᵘoddej jich! A chwop pedziaw, ze nie nalaz. Tak go pan skardzuw, stanęli ᵘoboje do prava, chwop sie nie przyznaje, tak sie pytają baby a ᵘona móvi, ze nalaz vtedy, jak śmierdzący dészc sed jak sie u chwopa śviéciuwo co mu zwodzieje spérkę vzieni, co piéniędzy pilnovaw, jak celadź pwakaa jak pana djabli brali. Tak pan móvi: dészc śmierdzący nie sed, chwop piéniędzy nie pilnovaw, mnie djabli nie brali. Tak babie vypalili dziesięć buków ji vyścigali do chawpy a chwop piéniądze s kociowkiem miaw.

Bywo dvóch braci jeden biédny drugi bogaty. Tak żona tego bogatego prosiuwa svego męża, zeby temu biédnemu zasiáv pole svojem zbożem, tak ᵘon tak zrobiuw. Jaz ráz vychodzi ten bogaty v pole a tu cosi znosi zboże s pomieci biednego na pole bogatego Co ty robis? ji co ty jezdeś?—pytá sie. „Já jezdem tvoje szczęście, a tvój brat, nié má szczęściá jaz v ty a v ty vsi v karcmie.“ Tak ᵘupoviedziáw to brat bratu ji pojechali tam ji ᵘgodzili sie s panem. Vybráw sie nareście ze svego domu ten biédny ale sobie zapomniáw gárcka zelaznego. Tak sie po niego vróciuw a tam bywa jego biéda; zabráw ᵘon ją a jak jecháw kowo studni vrzuciuw ją tam. Jak zajecháw na miejsce, pán dáw mu na trzy lata darmo miészkanie ji tak dali sie mu juz dobrze viedwo.

Na granicy Brzezin, Jaszczurowy a Szufnarowy znajduje się w lasku sosnowym głękoka rozpadlina skalna we wzgórzu. Jedna jéj ściana dosyć wysoka ma nawet kształt łuku jakby dawnéj kamiennéj bramy, co dało powód do podań jakoby to było stare zamczysko, które miało podziemny ganek z zamkiem Odrzykońskim o 4 mile odległym i że w głębokich piwnicach znajdują się skarby.

O tych to skarbach następującą słyszałem powiastkę:

Ráz paswy pastuchy na Dupiecu (tak nazywają to miejsce) ji s figlów jeden drugiemu cisnąw cápkę do dziury, co ta bywa dosyć gwęmboká. Chwopák zacąn pwakać ji lamentować za cápkąm, jaz tu vyskakuje s ty jamy cápka a v ni pewno dukátów. Chwopák zaniós to biédny matce a temcasem tamte pastuchy chciay co dostać ji jeden cisnąw svoję cápkę [u]umyśnie. Cápka vyleciaa z jamy ale zamiást piéniędzy bywo v ni zówte g .. (1).

Paręset kroków od zachodniéj granicy Brzezin, od lasu zwanego „Kocią myślą", po lewéj stronie drogi prowadzącéj przez Brzeziny do Wielopola Skrzyńskiego, można było widziéć aż do ostatnich lat małe bagno, zarośnięte sitowiem. Miejsce to zwane podziśdzień *Żabieńcem* taką ma o sobie legendę:

Na owém miejscu stała dawniéj karczma. W jakiś dzień zapustny wesoła drużyna zabawiła się długo w nocy omal nie do świtania, W tém rozległ się głos dzwonka—kapłan spieszył do chorego z ostatniemi Sakramentami. Skrzypek siedzący na stole na głos dzwonka ukląkł pobożnie. Rozochocone parobczaki kazały mu grać, ale on tego nie słuchał. Przekleństwa obelgi i razy spadły na skrzypka—kapłan przejechał ale równocześnie karczma się zapadła w ziemię i tylko klęczący skrzypek został ocalony.

IX.

Brzeziniak wierzy w „mamony", uroki, czary i tajemniczą siłę niektórych ziół.

„Mamony" odgrywają tu tę samę rolę co u tatrzańskich górali dziwożony.

Kiej kobiéta má dziecko mawe nim jeszcze pódzie na vyvód, przychodzą mamony ji chcą ją koniecnie zabrać ze sobom. Ráz tak sie stawo. Jedna kobiéta vyswa na dvór viecór. Nie vidać ji nie vidać, chwop ceká, vysed na dvór, ale już ji nie bywo nigdzie, sukali, chodzili nigdzie nie náleźli. Ji tak vyswo trzy lata. Ten chwop byw v jednem lesie ji zabwą[n]dziuw, przysed do taki vielgi skarpy a tam jego baba praa wachy tem mamonom. Jak ją poznáw, tak ją vziąw

---

(1) Podaniami temi spowodowany były właściciel Szufnarowy p. Rogójski kazał kopać pod tą rozpadliną. Kopano długo i głęboko, ale się niczego nie dokopano.

ji uciekali ᵘoboje, zeby jich nie dognawy, ji ᵘuciekli. A ta baba to miaa takie piersi dugie ji vielgie jaz po kolana, tak ji mamony ᵘodciągwy. Zaráz v nocy przyswy ᵘony za niom do chawpy ji darwy pazurami po ᵘoknie, chciay ją duchem vziąść, ale jich nie puścili ji poswy, a na trzeci dzień ta kobiéta umarwa, tak ji ᵘucyniwy.

Ji u nás na Berdechovie już tak sie stawo, że chciay vziąść nieboszckę Jaskówcyną Jantoniovą ji Jánkovą Bartyzelkę, juz uciekay ᵘod domu ji móviuwy, ze jich vowawy ji obiecyvawy rózności, zeby swy.

Uroki może dać zły człowiek drugiemu lub źwierzęciu lub nawet roślinie i rzeczy. U człowieka mają one się objawiać bólem głowy i nudnościami. Środek na to bardzo prosty. Bierze się do garnuszka wody, wrzuca w nią trzy żarzące węgle. Jeżeli opadną to są uroki jeżeli nie to ich nie ma. W każdym razie trzeba trzy razy łyknąć téj wody i omyć nią twarz, to uroki ustąpią. Matki to zwykle czynią dzieciom i spluwając na ziemię trzy razy mówią: „na psa uroki, na kota suchoty a na moje piekne dziecko nic!“

Aby złe oczy ludzkie nie dały uroków kapuście, stawiają zwykle w niéj dziada ubranego w łachmany, z fajką w ustach. Jeżeli tego nie ma kto zrobić, zawieszają nieraz głowę konia znalezioną gdzieś w szkarpie, aby złe oczy miały na co paść piérwéj zanim padną na kapustę.

Wszelkie czary określają słowem „ucyniuw mu.“ Skrzypek jeden drugiemu tak potrafi ucynić, że przerznie strony na skrzypcach a temu vnętrzności v brzuchu. Ráz sie tak stawo, to bywo duzo subjekcyje, dochtorzy go rozbiérali, ale ᵘon sie—padá—vymáviáw, ze ᵘon mu jino strony przerznąw a ten ji báciogi miáw przerznięte.

Moc czarowania „cynieniá“ przypisują osobliwie chodzącym wędrownym jak „miśkárzom“, węgrom, cyganom.

Wspomniałem już o cudowności wianków święconych podczas oktawy Bożego Ciała lub ziół na Wniebowzięcie N. Panny Maryi. Okadzenie krowy nimi chroni od władzy czarownicy; pomocne jest i w kąpieli przeciw różnym słabościom ludzkim. I tak np. chcąc uwolnić dzieci od robaków (glist), robią kąpiel z grochowianki (słoma grochu polnego) i w téj kąpieli smarują dzieciom plecy miodem a gdy „glisty povyszcyniają wby“ (łby-to są wyrzuty skórne zwane „siérdami“), golą takowe sądząc, że te „glisty záskórnie“ mając łby obcięte, nie mogą być juz dzieciom szkodliwe.

Wierzą, że jest na łąkach ziele zwane „násieźráu.“ Jeżeli która dziewczyna chce być lubianą od chłopców, musi iść o północy zupełnie nago na łąkę i zerwać owo ziele mówiąc:

násieźráu ja cię rvę
piącioma palcami
szóstom dłonią
niech sie chwopcy za mnom gonią.

poczem powinna je nosić zawsze przy sobie.

Na zakończenie podaję kilka wierzeń.

Koniec świata będzie wtedy, gdy się samo czarne bydło będzie mnożyło.

Gdy się kot kręci koło ognia, to będzie mróz.

Gdy kury skakają po izbie tu i owdzie, to będzie wiatr.

Gdy się dzieci bawią i mówią sobie: bam, bam, jak gdyby dzwoniono, to ktoś w domu umrze.

Jeżeli się dzieci bawią kamykami, będzie głód, a gdy piaskiem na gościńcu, to będzie dużo chléba.

Kiedy podczas pogody kogut pieje na płocie albo gdzieś na drzewie, będzie dészcz; gdy to czyni po dészczu, będzie pogoda.

Jeżeli się kurze uczepi słoma u nogi lub u pióra i wlecze się za nią, mówią, że ktoś umrze w domu; jeżeli słoma długa—to dorosły, mała—to dziecko.

Gdy się w piecu wypala a zostanie jeszcze mały ogarek, nie trzeba go tłuc „kociubą“, boby jastrząb brał kury.

Na progu izby nie trzeba drzewa rąbać, bo jak się sér zrobi to będzie pękał.

Gdy się kupi bydlę lub świnię i wyrzuca się dwa lub cztery rajcary „na szczęście“, to za te grajcary trzeba zaraz co kupić i zjeść, aby to bydlę dobrze jadło.

Gdy się sprzeda bydlę, trzeba pieniądze schować do dziéżki chlebnej to, się temu co kupił będzie wiodło.

Gdy źrébię piérwsze zęby uroni, trzeba je w złób zawiercić, wtedy chociażby je złodziéj ukradł, to przyleci nazad do tych zębów.

Jeżeli jakie małżeństwo postawi figurę przy drodze lub w polu jedno z nich umrze w roku.

Kto chce się stać niewidzialnym, niechaj weźnie czarnego kota wyjdze z nim na granicę wsi i gotuje go tam w nowym garnku, pod

nową pokrywką i nową łyżką miésza. Przeciw przeszkodom szatana niech się zabezpieczy kołem, siedem razy święconą krédą zakreśloném, i święconą wodą. Po ugotowaniu kota aż do odpadnięcia mięsa od kości, niech każdą oddzielnie kostkę bierze przed siebie i pyta towarzysza z sobą wziętego, czy go widzi? Natrafi naostatek na kostkę, za którą go nie ujrzy i ta go zawsze niewidzialnym czynić będzie. Taką kostkę mają złodzieje kradnący nawet w biały dzień (bielednia) żydom ze straganów towary.

Roman Zawiliński.

OSTATNIE LATA WITOŁDA.

(*Dokończenie*).

Trzy zjazdy miały nastąpić pod koniec nieszczęsnego dla Witołda roku (1429) przedostatniego w jego życiu, aby naprawić to czego jeden osławiony zjazd w Łucku niedoprowadził do skutku. Pierwszy pełnomocników polskich z krzyżackimi miał tuż po opowiedzianych wypadkach odbyć się w początkach października. Miejsce zjazdu Nieszawa. Drugi na granicy węgierskiéj pełnomocników polskich z Zygmuntowymi na św. Marcin. Trzeci nareszcie, w tymże samym czasie jak i drugi, a więc w połowie listopada, zjazd Jagiełły i Witołda na granicach Litwy. Cel wszystkich jednakowy— miała nim być zgoda. Pod takimi atoli warunkami, w jakich pozostawali próbujący jéj, jakżeż mogła ona nastąpić? Z jednéj strony nieszczérość i intryga, z drugiéj podejrzliwość i zła wola, upór i niechęć z obudwu, a wszyscy chcą korzystać z czasu z okoliczności.

Oto co zrobiono po owym zjeździe senatorów w Sandomierzu, prócz wysłania posłów do Witołda! Kancelarya wysyła jednego z sekretarzy królewskich do Rzymu, zaklinając papieża, aby powagą swą zabronił koronacyi. Powtarza prośby, które poprzednio przedłożono przez legata apostolskiego Andrzeja, a nadto żąda wysłania dwóch bull: jednéj do Zygmunta z napomnieniem, aby zaniechał planu koronacyi „który wyląg się w jego głowie za podbudzaniem czartowskiem,“ drugiéj do Witołda, aby zaniechał ambitnego planu a pamiętał na przysięgi Jagielle wykonane. Rzecz najniestosowniejsza, na jaką się tylko można było zdobyć. Pierwsza dlatego, że nieznano jeszcze odpowiedzi książęcéj, wszakżeż król ofiarował mu własną koronę. Powtóre, że rozgłaszano drażliwą sprawę; daléj że

hańbiono Zygmunta, o którym powinno się było wiedzieć, że taką bullę będzie raczéj uważać za podnietę do czynu,—wreszcie, że w złém a fałszywém świetle przedstawiano Witołda, zadawano nową ranę ambicyi i drażniono ją najdotkliwiéj.

Bulle jakich się domagano od papieża ilustrują dokładnie politykę Szafrańców, którzy stérują obecnie na swą rękę nawą polityki koronnéj. O królu niema już mowy.

Staruszek pochlebia zakonowi, bije zwierzynę na polowaniach i rzadsze okazy łosi, jeleni odsyła ze Skawy w upominku dostojnikom zakonu. Chciałby tém dobrze usposobić mistrza na zjazd Nieszawski, mający się odbyć w październiku. Witołd trwoży się, jakby był niepewnym zakonu. Musi mieć wyraźne do tego dane, skoro tak często przypomina Rusdorfowi o niewykluczeniu pieczęci litewskiéj. Mistrz waha się. Sytuacya napięta—zakon mógłby z niéj skorzystać, tém bardziéj że Polacy ustępują i okazują się powolnymi jak nigdy przed tém! Niestety Rusdorf był wykonawcą woli Zygmunta i musiał słuchać co mu zwierzchni pan i opiekun zakonu rozkaże. Szafrańcy ze swéj strony naciskają; chcą mieć, za cenę wielkich ustępstw jakie robią jako zwycięzcy, przynajmniéj rękojmię pewności. Żądają tedy, ażeby miasta pruskie, komturowie, urzędnicy ziemscy zaprzysięgli „*pokój wieczny*“, ażeby przyłożyli do pergaminu swoje pieczęci, słowem aby byli rękojemcami prawości mistrza zakonu i króla Jagiełły. Witołd dowiaduje się, że szanowny komtur Toruński przyobiecał takie rękojemstwo królowi—obawa księcia i niepokój wzrasta, i przebija się wymownie w naglących przypominaniach pod adresem mistrza...

Szafrańcy rozwinęli széroką czynność, połączoną ze stanowczością. Żądają przedewszystkiém, żeby mistrz we własnéj osobie stawił się na terminie zjazdu. Sądzą słusznie, że to byłoby rękojmią szczérości i trwałości ugody, że nadałoby traktatom wagi i znaczenia, zwłaszcza gdy na ten wypadek i król miał być obecnym. Mistrz zawahał się, gdyż spostrzegł dokąd zmierzają Szafrańcy. Dopiéro na dwa tygodnie przed zjazdem oświadcza królowi, jakotéż arcybiskupowi komtur toruński, że mistrz skutkiem ważnych spraw przybyć nie może. O wybieg nietrudno zakonowi. Oczywista, że i król na zjazd nie przybył; zjechali się tylko obustronni pełnomocnicy, aby nawzajem robić sobie wyrzuty z powodu krzywd i nieszanowania traktatu Melneńskiego. Mistrz sam powinien się znajdować na zjeździe, mówią Polacy, czyniąc srogie wymówki pełnomocnikom zakonnym. Rozjeżdżają się strony nie załatwiwszy sprawy; odkładają ją atoli do osobistego zjazdu mistrza z królem, nie wyznaczając nawet terminu.

Skutkiem zjazdu w Nieszawie strony poznały się cokolwiek lepiéj. Niemogło ujść baczności sterników polityki polskiéj, że Krzyżacy ich uwodzą, że komtur toruński mógł rozmyślnie bajać i że nie ma co liczyć na zakon, ani też próbować ugody, chyba żeby przy pomocy tego środka korzystać z czasu. W kancelaryi królewskiéj nastąpiło rozczarowanie; Szafrańcy doznali upokorzenia. Następuje chwila namysłu, ścierania się zdań, stronnictw, słowem polityka zajmuje umysły świeckich i duchownych panów korony. Jest to chwila ważna, która ma zgotować w niedalekiéj przyszłości czyn o doniosłém znaczeniu dla historyi wewnętrznéj Polski. Szafrańcy mają za sobą króla i husytów, i na tych ostatnich znowu całkowicie się opiérają. Przeciwnicy ich w koronie mają za sobą chyba rody swoje i niepewne w obecnych stosunkach w Polsce, bardzo niepopularne hasło *Witołda*. Łatwo przewidziéć po czyjéj stronie będzie zwycięstwo.

Mistrz poznał, że położenie jego staje się coraz trudniejszém, że już grożą Husyci, a on z poza husyckich pleców dopatruje Szafrańca—biskupa Włocławskiego. Śpieszy tedy znowu, aby się listownie pochwalić przed Witołdem ze swéj ku niemu wierności. Oskarża króla o niedotrzymywanie pokoju wiecznego, o sprzyjanie husytom, podnoszącym na nowo głowę, i przedstawia rzecz w ten sposób, jakoby tylko przez wzgląd na żądanie księcia niedopuścił do zgody zakonu z królem. Natomiast domaga się przebiegły mistrz, aby książę, odwzajemniając się zakonowi, wziął pod swą specyalną opiekę sprawy zakonu przy zjeździe panów polskich z litewskimi lub króla z W. księciem, i żeby był rzecznikiem zakonu w obec Polaków. Witołd mógł się cieszyć że zjazd Nieszawski spełzł na niczem.

Wkrótce nastąpił zjazd panów polskich z pełnomocnikami Zygmunta, który teraz dopytywał się króla Jagiełły azali i posłowie Witołda będą obecni na zjeździe. Skoro zaś otrzymał przeczącą odpowiedź „gdyż Polacy sam na sam bez współudziału Witołda chcieli zakończyć z nim sprawę", zakazał panom Węgierskim jechać do Szramowic na umówiony termin. Czy Szafrańcy zaniedbali donieść o téj odpowiedzi królowi, czy taka taktyka była im na rękę, niewiadomo, dość że król wysłał swych pełnomocników na zjazd—i że ci panowie długo oczekiwali na Węgrów. Baronowie Węgierscy nieprzybyli—a tak drugi zjazd spełzł na niczem. Witołd powtórnie mógł się ucieszyć z klęski Szafrańców.

Czyż w obec tego trzeci zjazd może rokować pomyślność? Miałażby kancelarya zezwolić na to, aby się król korzył przed Witołdem, wyznawał winę i prosił o przebaczenie? Miałażby dopuścić aby król zdał pod sąd księcia sprawy Polski z jéj wrogami,

a wreszcie może i zezwolić na koronacyą? Szafrańcy zanadto wysoko stanęli w zamąconéj przez się opinii Polski, ażeby mieli zajęte stanowisko opuszczać, zanadto pewni byli zwycięstwa, ażeby go się zrzekać. I gdy za ich przyczyną husyci podnieśli na nowo zwycięski oręż, podjąwszy zbrojne wyprawy, gdy zagrożony postrachami zakon prosi Jagiełły, aby na wypadek napaści ze strony husytów raczył mu pomódz, gdy książęta Szląscy jedni błagają ratunku u Zygmunta, który nadaremnie zwoływał reichstag do Wiednia i znowu powtórnie zwołuje do Preszburga, polityka Szafrańców odnosi zwycięstwo w Polsce. Senatorowie świeccy i duchowni nie śmią się jéj sprzeciwić, nie chąc sobie narazić króla. Wśród tych okoliczności król miał jechać na Litwę, celem porozumienia się z Witołdem. Jakby przygotowując ostatniego, iż nie dozwolą na upokorzenie się króla, wysyłają Szafrańcy doń list, mający go przekonać, iż wina z powodu nieprzyjścia do skutku zjazdu w Szramowicach leży po stronie Zygmunta. Napróżno usiłuje Witołd w ostrym tonie przekonać króla, że zjazd nie mógł przyjść do skutku, gdyż posłowie litewscy nie byli obecni; napróżno usprawiedliwiał Zygmunta, który najwyraźniéj oświadczył przez usta posła, że tylko pod warunkiem gdy i Witołd będzie uczęstnikiem zjazdu, obeśle takowy. Kancelarya na to wszystko była głucha i wyzyskiwała fakta w ten sposób, iż coraz więcéj skarbiono sobie stronników. Witołd widział to i pojmował dobrze, że Szafrańcy budują swą politykę już tylko na husytach, że powtórzą się zajścia i układy z wiosny i lata tego roku, że tu już nie chodzi o jego koronę, ale o supremacyą Polski nad Litwą i że myśl ta przechodzi powoli w krew polityków polskich, skarbiąc sobie coraz możniejsze stronnictwo.

Możemy się dorozumiewać, że Witołda bolało to do żywego— témbardziéj gdy butni politycy krakowscy, jakby się chełpiąc z tego i grożąc mu, układali doń listy w imieniu króla z nowinami o zwycięstwach husyckich na Szląsku i Łużycach. Niemogąc położyć tamy wybuchom namiętnego gniewu, posunął on otwartość do tego stopnia, iż w odpowiedzi swéj wyrzucał królowi szowinizm i hipokryzyą. W liście tym wykazywał Witołd, że król nadaremnie wysyłał swoich baronów do Węgier, gdyż zjazd bez jego współudziału niemógł się obyć i pisał daléj:

Z nowości podajecie nam o oblężeniu ks. Żegańskiego przez husytów, o ich zwycięstwach w Łużycach tudzież że heretycy w niektórych baronach króla Zygmunta pozyskali nowych adherentów. Zaiste w głębi serca ubolewam nad temi nowościami i smucę się z powodu ucisku jakiego doznają wyznawcy Chrystusa od heretyków. Ani téż wypada wam weselić się z tego powodu, aby coś po-

dobnego nie zaszło i w waszém królestwie; tak już dość popuściliście cugli takim Puchałom, Szafrańcom i Siestrzeńcom, iż już publicznie trzymają stronę heretyków. I teraz to bowiem wielu Polaków z krakowskiego publicznie przyłączyło się do Puchały przy jego powrocie do Odry; otrzymali odeń żołd i bez przeszkody wyszli z waszego królestwa, a ci którzy przedtem zwykli się byli z nim znosić i obecnie skoro tylko ich wola, bez obawy i przeszkody udają się do niego!... Pisze nam nadto wasza kr. mość, iż doszły was wiadomości, jako król Rzymski zbiera wojska, machiny oblężnicze i armaty, lecz w jakim zamiarze—nie wiecie. A skoro wy nie wiecie, my dobrze wiemy, że przygotowuje się przeciwko heretykom, z zamiarem odebrania im niektórych zamków na Morawie, dokąd już wysłał część wojsk swoich, jak to się z załączonych kopij jego listów możecie przekonać... Sądzicie w końcu, jakoby niewiadomy był nam powód owych częstych poselstw Siestrzeńca do Taborytów, tudzież posłów taboryckich do Szafrańców i do waszéj kr. mości? Wiemy nadto dobrze, o czem zapewne i inni wiedzieć muszą, że nie uczyniłby tego, gdyby mu to ze strony waszéj kr. mości było wzbronionėm...

Taki ton mowy Witołda niemógł przygotowywać zgody z królem. Książe otwarcie wyrzuca królowi przewrotność, wskazuje na indywidua, którym ciska z pogardą rękawicę, nie oszczędzając bynajmniej ani ich charakteru ani wysokiego stanowiska. Pewno, że Szafrańcy na takie wezwanie nie będą towarzyszyć królowi na zjazd grudniowy, a król bez radców nie będzie mógł niczego stanowić z Witołdem. Nadzieje więc trzeciego zjazdu są mniéj niż złudne. Odbył się on w Krynkach około Grodna a był raczéj zwykłémi odwiedzinami króla, który przez pół wieku zwykł był święta bożego narodzenia przepędzać wraz z Witołdem w ojczystéj Litwie. Losy zechciały, że były one ostatniemi; Witołd nie miał przyszłych doczekać. Żaden z baronów polskich nie towarzyszył królowi—sam tylko z orszakiem przybywa do Litwy. Długosz dość charakterystycznie opowiada, że król tego roku przepędził świątki bożego narodzenia wbrew zwyczajowi—na Rusi...

A gdy zdradziecki zakon wraz z Zygmuntem z niepokojem w duszy oczekują rezultatu zjazdu i gdy kancelarya wertuje kopje listów Zygmuntowych (które przysłał był Witołd) i odkrywa podejrzane ustępy, słucha Jagiełło całéj burzy wyrzutów, jakimi go obrzuca zbolały książe. Przywykły do tego rodzaju występów w Polsce, przygotowany zresztą na to ostrym tonem listów książęcych i uzbrojony w instrukcye od Szafrańców, nie doznał Jagiełło głębokiego wrażenia, nie odczuł całego ogromu boleści Witołda. Stary król, nie zdobył się w téj chwili na wiarę niewiernego Tomasza—tak dalece

zaufał Szafrańcom, tak głęboko umieli oni osadzić w sercu jego zarodki podejrzeń i niewiary. Może i błagał księcia, aby odstąpił od planu koronacyi? Któż to wiedzieć może, zwłaszcza, gdy cała jego podróż nie mogła być na rękę uprzywilejowanym dygnitarzom kancelaryi, wbrew których woli i podjętą była? Sędziwy i złamany król poświęcił już w duszy los brata, los ojczystéj Litwy, cześć i ambicyą księcia na ołtarzu dynastyi, którą chciał ugruntować w Polsce.

Na dniu 29 Grudnia, we czwartek po bożem narodzeniu, mieli się rozstać bracia bez nadziei zgody. Było to w Grodnie. Król pouczony od Szafrańców, usiłuje zastraszyć księcia husytami, wynurzając się przed nim, że husyci domagają się wolnego przejścia przez Polskę celem napadu na Prusy lub Litwę. Przyzwól im na to, rzecze Witołd z ironią—niechaj napadną na Litwę; będzie to godnem waszego kraju i królewskiéj korony! Natenczas król znowu jak dawniéj upraszał księcia, aby na wypadek, gdyby husyci zamierzali napaść na Polskę, zapewnił mu pomoc ze swéj strony. Można się dorozumieć co odpowiedział na to Witold i że miał dogodną sposobność do domagania się, aby król ze swéj strony na wypadek napadu husytów na Prusy, udzielił zakonowi pomocy. Król jak na wszystko odpowiadał i na to żądanie, że odpowie na nie na przyszłym zjeździe panów rady koronnéj. A gdy podobnie i na inne znane nam żądania brzmiała odpowiedź króla, nie dziwna, że Witołd postanowił nie oglądać się na zjazd wiosenny Polaków i przyjąć koronę, skoroby mu ją Zygmunt przysłał. Rozstanie się króla z księciem było chłodne.

Nazajutrz w piątek przybył do Grodna jakiś rycerz polski i prosił o natychmiastowe posłuchanie u księcia. Był nim Ciołek z rodziny Stanisława biskupa Poznańskiego, faworyta i kreatury Witołda. Ciołek oświadczył, iż objawi księciu, kto pomiędzy nim a Jagiełłą sieje ziarno niezgody i waśni. Zaciekawiony książe żąda objawienia, przyobiecując, iż rzecz całą jakotéż imię donosiciela zachowa w tajemnicy, któréj jak zaręcza Długosz, nigdy nie dochowywał. Ciołek prawił:

„Znasz dobrze wasza ks. mość Hanusza Stemberga powiernika zakonu i Lansego komtura Toruńskiego, którego tak często wysyłał mistrz do króla Jagiełły. Otóż opowiadał mi Hanusz, że tak on, jako-téż rzeczony komtur, z polecenia mistrza musieli objawić królowi, jako wasza ks. mość własnémi usty kalałeś sławę i cześć królewskich dzieci, wyrażając wątpliwość, ażali byłyby one prawego łoża. Z téj to przyczyny zamierzał król uczynić mistrza opiekunem swych dzieci i państwa i proponował zakonowi związek przeciwko waszéj ks. mości.“

Musiała uderzyć i zastanowić Witołda taka wiadomość. Jakkolwiek podejrzywał on i znał zakon, lepiéj zapewne aniżeli ktokolwiek inny i dawno domyśliwał się prawdy, czuł jednak obecnie potrzebę oparcia się na nim i nie myślał z nim zrywać, ani téż dać do poznania Ciołkowi, że już przedtém domyśliwał się prawdy. Udając przeto oburzenie odrzekł Ciołkowi, iż jego doniesienie jest fałszem i że książe jest całkowicie przekonany o nieprawdzie tego doniesienia. „W. mistrz, wierzę w to mocno, nigdyby czegoś podobnego nie powiedział, były słowa Witołda.

Misya Ciołka, a możnaby wnosić, że była wykonaną w imieniu całego stronnictwa, nie powiodła się. Co ważniejsza dla historyi intrygi, że Witołd nie przypuszczając wobec Ciołka, aby mistrz miał coś podobnego powiedzieć królowi, narażał się u tych, którzy o tym sekrecie wiedzieli, na najrozmaitsze podejrzenia. Znawcy sekretów królewskich, chcący tyle rzeczy wiedzieć o dumnych zamysłach i niepohamowanéj ambicyi księcia, mogli go obecnie i o to na seryo podejrzywać, że oczerniał przed mistrzem młodych Jagiellonów i że wobec tego prawne upewnienie sukcesyi Jagiellonów staje się koniecznością.

Słowem najgorsze domysły szerzyli w Polsce Szafrańcy ugrupowani w możne stronnictwo „ta nowa rada,“ jak ich pogardliwie nazywał Witołd. I jakżeż się szerzyć nie miały, pytamy, skoro sam Witołd podawał im oręż do ręki. W kopiach listów Zygmuntowych, które kazał był sporządzić królowi jeszcze przed zjazdem w Krynkach, znajdowały się ustępy podejrzane, nasuwające myśl każdemu uprzedzonemu zwolennikowi kancelaryi królewskiéj, że Witołd był w zmowie z Zygmuntem, chociażby go miał nawet orężem poprzeć przeciwko Jagielle, że żąda odeń korony i separacyi Litwy. W skutek „głębokiego“ zapewne namysłu postanowiła kancelarya nakłonić króla, aby z tego powodu zainterpelował Witołda. Zebrała nadto wiele grawaminów mieszczących się w dość sporéj ilości artykułów skierowanych przeciwko Zygmuntowi, z żądaniem aby je Witołd przesłał oskarżonemu.

Żądania takowe niepoparte argumentami, wobec widocznego zamiaru i czynów świadczących o chęci szkodzenia Zygmuntowi, zdały się być Witołdowi impertynenckiemi. W istocie były niemi, skoro pomimo propozycyi zjazdu z Zygmuntem, pokątnie i tajnie wspierano największych jego wrogów husytów, skoro zresztą król nie chciał w Łucku ani słyszeć o tém, aby książe rozstrzygał jego spory z Zygmuntem. Odpowiedź przeto Witołda była więcéj jak ostrą; możnaby twierdzić, że była zuchwałą.

„...Artykułów skarg—pisze on do króla—któreście nam przysłali wysłuchałem. Żądacie, abyśmy je od siebie przesłali królowi Rzymskiemu z wymówkami i skargą. Pomiędzy tymi artykułami jednakowoż, żadnego nie znalazłem, abym na jego podstawie był uprawniony do sądu, że król Rzymski wykroczył w czémś przeciwko związkom i zaprzysiężonym z wami układom. Bo gdyby nawet było w którémś z artykułów coś ważnego, jak co do rozporządzenia dotyczącego kupców i ceł granicznych, jako-też w sprawie zamknięcia dróg handlowych, rzeczy te powinny być załagodzone przez prałatów i panów waszych państw. To też wielce zdziwiłem się wraz z obecnymi tu w Przewałkach bojarami, z powodu wyraźnego żądania, abyśmy całą winę waszą wzięli na swe barki, wypisali królowi Zygmuntowi te impertynenckie artykuły, oskarżając go—was zaś usprawiedliwiając. Zechciejcie przypomnieć sobie, że przecież król Zygmunt wręczył nam w Łucku wszystkie dokumenta wzajemnych ugod i zapisów, abyśmy je przedstawili waszéj kr. mości, a wyście o nich ani słyszeć ani je widzieć chcieli, ani też kompromisu w ręce nasze złożyć, jakobyście mieli nas w podejrzeniu. Na jakiéj tedy podstawie wypada nam, jak tego żądacie, obwiniać króla Zygmunta a Was uniewinniać? Jeżeli się Wam podoba, uczyńcie to sami przez posłów, których doń zamyślacie wysłać! Z moim honorem niezgadza się pisać doń czegoś podobnego, już to że nie postępujecie według treści naszych wspólnych zapisów, już-to że nie złożyliście kompromisu w nasze ręce... Z kopij listów króla Zygmunta, któreśmy Wam przed zjazdem jeszcze byli przesłali, przekonywujecie się, jako król Zygmunt zasiał ziarna niezgody pomiędzy nas, że żądał odemnie pomocy przeciwko waszéj kr. mości. Posiadamy po dziś dzień listy Zygmunta, a w nich nigdy pomocy oręźnéj przeciwko wam nie żądał, lecz prosił, abyśmy stali przy jego sprawiedliwości i ją rozeznawali. I drugi też list a mianowicie ustęp „abym przenikliwym wzrokiem baczył w koło siebie i niedał się obejść w mych sprawach,“ wytłómaczono wam wykrętnie, gdyż król Zygmunt ma tu na myśli naszą koronacyą i zwraca mą uwagę, abym się nie dał odwieść od takowego zaszczytu. I słuszna; gdyż dobrze wié, iż posyłacie posłów do Ojca świętego i do niego, znieważając nas i poniżając, jakobyśmy niegodnymi byli zaszczytu korony. Dlatego to pisze, abym nie dał się uwieść czyimś prośbom, ani też pozostawał we wstydzie i hańbie.“

List ten dokładnie charakteryzuje stanowisko Witołda do króla i nawzajem—po owych trzech zjazdach pod koniec roku 1429. Jeżeli zaś z drugiéj strony, tak szorstkim swym tonem, jak goryczą i wyniosłością, otwiera zranione serce księcia i objawia wszystkie

uczucia, jakiemi przepełnione są tajniki zbolałéj duszy i jest zarazem dobitnym dowodem podnoszonéj przez Długosza szczerości księcia— to drugi list, jaki w parę dni do mistrza pisać kazał, dowodzi, że Witołd względem zakonu aż nadto był politykiem, aby się dać powodować uczuciom, chociażby i bardzo zbolałego serca. Książe każe opowiedzieć mistrzowi szczegóły rozmowy z królem, o ile ona dotyczy zakonu, załącza daléj odpowiedź na artykuły, słowem wszystko co dotyczy zakonu i Zygmunta. Wreszcie opowiada o owém tajném poselstwie „znakomitego rycerza polskiego“ nie wymieniając jego imienia i wyszczególnia całe doniesienie, które już z góry uważa za potwarz rzuconą na mistrza. To też kilkakrotnie zaręcza „że nie wierzy doniesieniu i że pisze o tém mistrzowi z tego powodu, gdyż ma we zwyczaju o wszystkiem doń pisać.“ W końcu zaklina, aby się nie usprawiedliwiał, ani téż kiedy o tém wzmianki czynił, gdyż on téj baśni nie daje wiary.“

Tak pisał Witołd do mistrza na dniu 1-go stycznia 1430 roku. Witołd był nieszczérym względem Russdorfa, z którym wiąże go twarda rzeczywistość i smutne okoliczności. Udając nieograniczone zaufanie mógł go tylko pozyskać, gdy przeciwnie szczerym wybuchem gniewu odtrąciłby go wprost do obozu Szafrańców. Nadto udaną szczerością i wiarą w szlachetność zamiarów mistrza odciągał mistrza od Szafrańców, nie wzbudzał czujności i ostrożności w zakonie, mógł łatwiéj śledzić jego czyny i zapobiegał dalszéj a potwornéj intrydze fałszywéj i obłudnéj *Świętéj duszy*. Gdyby był o tém nie doniósł mistrzowi, Rusdorf i bez tego dowiedziałby się o zajściu w Grodnie, podwoiłby czujność a stosunek pomiędzy nim a zakonem byłby naprężony. Witołd sam siebie okłamuje, gdyż żywi podejrzenia ku Rusdorfowi a nieśmie ich okazać; dlatego to zakazuje nawet usprawiedliwiać się mistrzowi, aby nie wyczytywać z pomiędzy wierszy podłości zakonu i nie utrwalać się tém samem w podejrzeniach. Zraniona ambicya i polityka, każą być Witołdowi nie szczerym wobec mistrza, tłumić mnożące się podejrzenia i chociażby oszukiwać samego siebie...

Rosterk pomiędzy władcami Polski a Litwy wpływa niepomału na wzrost husytyzmu i zwycięstwa kacerskich Czechów. Zygmunt zamierzał przez zamieszki wewnętrzne odciąć Polskę od Czechów, dotychczas atoli celu nie dopiął, gdyż one jeszcze nie zupełnie dojrzały, aby mogły sparaliżować znaczenie i wpływ korony na zewnątrz. Przeciwnie, kancelarya widząc w Zygmuncie nieprzebłaganego wroga, zdawała się tylko wyczekiwać sposobności, aby jak dawniéj wpływać na Cze-

chów i utrwalać ich w rokoszu przeciwko Zygmuntowi. A chociaż domysły Zygmunta o podżeganiu husytów przez Szafrańców były uzasadnione, nie miał on jednakowoż namacalnych dowodów, aby temu zapobiedz, gdyż Szafrańcy tak skrycie układali swe plany, iż trudno je było pochwycić dla oskarżenia Polski wobec świata o wspólnictwo z wyklętymi przez kościół kacerzami.

Stosunek tedy Zygmunta do husytów był wcale nie do pozazdroszczenia. Był on właściwie w wojnie z nimi (gdyż rozejm skończył się pod jesień r. 1429) z tą tylko różnicą, że gdy husyci ustawicznie niszczyli jego kraje, on niemiał nawet broni do odparcia wrogów. Reichstag w Wiedniu nieprzyszedł do skutku, król zachorował i zaprosił elektorów do Preszburga, gdzie uchwalono zwołać przyszły reichstag na dzień 5 marca do Norymbergii. A stało się to w Grudniu 1429 roku, wśród warunków nader niepomyślnych. Husyci bowiem wtargnęli już do Saksonii, do Miśnii, potém do Frankonii, niszcząc do szczętu te bogate kraje, trafiając w samo serce wrogich sobie Niemców.

Ta zwycięzka wyprawa, jak z jednéj strony połączyła na chwilę podzielony na liczne a wrogie sobie stronnictwa naród czeski, tak z drugiéj pogorszyła i tak już fatalne położenie Zygmunta. Pogorszył się tém głównie stosunek Zygmunta do Rzeszy Niemieckiéj; kredyt królewski podkopali husyci zupełnie. Brandeburczyk, wróg Zygmunta a kreatura i sojusznik Polski, jakby jaki reprezentant państwa Niemieckiego, zawarł z dowódcami zwycięskich husytów pokój w Beheimstein 11 lutego 1430 roku. Artykuły tego pokoju, dotkliwie obrażające Niemcy, utworzyły podstawę do przyszłych kompaktatów z husytami. Były one i policzkiem wymierzonym Zygmuntowi, o którym nawet mowy nie było, a na mocy jednego artykułu uchwalono poufną dyskusyą z husyckimi doktorami na jesień w Norymberdze, dokąd to Zygmunt na wiosnę zwoływał głowy swego państwa! Gdy obaj Prokopowie dnia 21 lutego odbywali tryumfalny wjazd do Pragi, naliczono w Saksonii i Miśnii 18 miast i 1.400 wsi zniszczonych przez oręż i pożogę husycką. W górnéj Frankonii skutki napadu przedstawiały jeszcze gorszy obraz zniszczenia. Nie było już tam czego liczyć. Frankonia była pustynią.

Zaledwie przeminęła trwoga, wywołana napadem husytów na Niemcy, podnieśli dumne czoło polscy husyci na Szląsku. Dobek Puchała zbiera Sierotki, na czele 10.000 wojska przechodzi Odrę i łączy się z Korybutem. W sąsiedztwie Polski i jakby pod jéj opieką, starają się ci Taboryci usadowić i zajmują silne stanowiska. Korybut zajmuje Gliwce, Puchała Kluczborek. Z nimi łączy się Bolko, Opolski książe, wraz z wielą *szlachetnymi*. Stało się to w marcu

i w pierwszéj połowie kwietnia 1430 roku. Równocześnie silny oddział husytów kieruje zwycięzki oręż swój na Węgry. Wszędy popłoch i trwoga do nieopisania.

Cóż się dzieje równocześnie w Polsce. Oto głoszą tam Szafrańcy, że husyci mają napaść na Polskę lub na Prusy i strasząc tém mistrza, usiłują pokryć wsparcia udzielane husytom na Szląsku. Król kilkakrotnie pisze do Witołda, prosząc o pomoc, tak, że tenże na chwilę waha się i nie wie, wierzyć-li Zygmuntowi, który ustawicznie oskarża Polskę o związki z husytami, czy téż wierzyć królowi błagającemu o pomoc.

Wsparci o husytów zajęli Szafrańcy względem Zygmunta wyzywające stanowisko. I gdy tenże w Preszburgu żegnał książąt elektorów, spieszny goniec przybyły z Rzymu wręczył królowi Jagielle owe wyżebrane bulle, których treść dostatecznie już znamy. Kancelarya odesłała je adresatom: Witołdowi i Zygmuntowi. Zygmunt otrzymuje je w chwili tak upokarzającéj, że przysłania nie mógł nie uważać jako dotkliwego ciosu i szyderczéj ironii ze strony Szafrańców. On szydził sobie z króla strasząc go koroną, którą zdala okazywał Witołdowi, a tu papież wręcz mu jéj zakazuje przysyłać księciu i to podtenczas, gdy husyci wymierzają cios w serce Niemieckiego państwa a trwoga opanowuje wszystkich jego poddanych. Miotany bezsilną złością, oczekuje jakie wrażenie sprawi bulla na Witołdzie. List księcia, na który z niecierpliwością oczekuje, ma dodać mu odwagi. Witołd w odpowiedzi na machinacye Szafrańców, zażądał od Zygmunta przysłania korony i wyznaczenia terminu na uroczystość koronacyjną.

Z drugiéj strony znowu niepodobna działać wbrew rozkazowi papieża. Mogłoby to jeszcze bardziéj osłabić jego wpływ w Niemczech. Papież Marcin w kwestyi husyckiéj polegał zawsze tylko na Polsce; na wypadek sprzeciwienia się rozkazowi, mógłby rozstrzygnięcie kwestyi zdać na Polskę, a cel odcięcia Polski od Czechów mógłby być całkowicie chybiony. Ucieka się przeto Zygmunt do zwykłego środka, do wybiegów dyplomatycznych. Pisze do księcia Medyolańskiego, do przyjaznych sobie kardynałów mających wpływ na papieża, zaręczając, że jak to był poprzednio listami Witołda udowodnił, sam król Jagiełło dał powód do podjęcia myśli koronacyi, gdyż sam na nią zezwolił, że on (Zygmunt) żywi największą przychylność i powolność ku Ojcu świętemu, lecz w tym wypadku musi go przestrzedz, że przez intrygi Polaków jest źle poinformowany. „Nienależało—pisze Zygmunt do kuryalistów—pisać Witołdowi tak surowo i to bez wszelkiéj przyczyny. Styl bowiem apostolskiego pisma jest mocno nadęty i w dość zawiłym sposobie pisania i nas sa-

mych dotyka. Boga powołuję na świadka, że przecież nie *obyczajem szatana, który jest ojcem niezgód i waśni pobódką*, lecz ku chwale Wszechmogącego Pana, dla bezpieczeństwa i spokoju chrześcijaństwa a na postrach niewiernych i pogan, podjąłem to dzieło koronacyjne. Podjąłem je za zezwoleniem króla Polski i zamierzam dokonać na złość wrogom naszym. Zrobię wpoprzód protestacyą, że ta koronacya nie obrazi w niczém związków i unii Polski z Litwą, ani téż będzie gwałtem przeciwko niéj wymierzonym... Spodziéwam się, że i elektorowie państwa zapobieżą obmowom i oszczerstwom Polaków, zapomocą takowych informacyi, któreby Ojca świętego powstrzymały od wysyłania podobnych pism. Co atoli nie przeszkadza Wam (mówi do księcia Medyolańskiego) abyś wysłał natychmiast któregoś z sekretarzy twoich do Ojca świętego, aby tenże na przyszłość podobnych pism nie wysyłał, lecz raczéj utrwalał Witołda w zamiarze koronacyjnym, jeśli uzna to za stosowne. Wierzę bowiem na pewno, że przez taką koronacyą wypłyną dla świata chrześcijańskiego pomyślne skutki, powróci ona miłość pomiędzy braćmi—przeciwnie zaś, gdyby nienastąpiła, powstanie wieczna niezgoda pomiędzy nimi, poczną się gwałty i wojny (jak tego dowodzą listy Witołda) jeżeli Ojciec święty nie zarządzi inaczéj. Bądź przeto troskliwym w téj sprawie, jak tego wymaga jéj ważność. Jeżeli bowiem i na dal niesłusznie sromocić będą Witołda wobec Ojca świętego, wstydzić i poniżać księcia i jeżeli Papież zgadzać się będzie z podżegającymi go Polakami, porozumienie i zgoda nasza z kuryą, za Twoim i elektorów wpływem uskuteczniona, nie mogłaby trwać daléj, gdyż to uwłaczałoby powadze naszéj imperatorskiéj. Poniżeniem księcia wyrządzonoby i nam obrazę, gdyż my sprawy jego poczytujemy za swe własne. Mamy nadzieję, że wasza książęca mość, ze względu na dobro chrześcijaństwa, zapobieżysz, aby nie uwłaczano powadze naszéj i aby uniknięto zgorszeń, jakieby z tego powodu wyniknąć mogły."

Takie i tym podobne a charakterystyczne pisma Zygmunta nie zmieniły poglądu kuryi na całą sprawę, a tém mniéj pobudziły ją do odwołania bull admonicyjnych. Zygmunt sam nie uwierzył, aby mógł za pośrednictwem swych przyjaciół uzyskać coś podobnego w kuryi. Czyni on to, aby przewlec sprawę, tém bardziéj skompromitować zawiłą intrygę łucką uniemożliwić zgodę pomiędzy braćmi. Oto co odpowiada Witołdowi na jego stanowcze żądanie! To że mu koronę wyśle i oznacza na ten cel (daleki!) termin 8-go września. Dlaczegóż jéj księciu zaraz nie posłał? Bo on korony Witołdowéj nie brał tak na seryo, jakby to się z listów jego wydawać mogło. Wobec groźnéj chwili jaką mu zgotowali Szafrańcy, wobec bull pa-

pieskich wypadało zwlekać. Może się nadarzy później pomyślniejsza chwila, w której będzie mógł się wywiązać z danego słowa.

Kunktatorstwo Zygmunta i tę nieszczerość względem Witołda, potwierdzają w pełni listy jego do księcia pisane. Oskarża on w nich Polaków o sprzyjanie husytom, posądza o tajemne związki, dziękuje księciu za obronę spraw swych wobec Jagiełły i ręczy, że książęce sprawy leżą mu na sercu jakby i własne. A te własne sprawy przedstawiał Witołdowi w różannych kolorach, pomimo, że w rzeczywistości były jak najopłakańsze. Witołd atoli nie tak łatwo dał się komu oszukać i wiedział co się święci, że husyci wsparci przez Polskę, stają się panami sytuacyi. To też mogło go zastanawiać, że Zygmunt tak późny naznacza termin na koronacyą.

Jak z powyższego wnosić można, stronnictwo Szafrańców przygotowuje dnie zwycięstwa nad Witołdem. Przy pomocy husyckiéj polityki zaszachowano Zygmunta i zakon, salwując nadto honor Polski. Witołda izolowano. Do podjęcia z nim walki, trzeba atoli pewności zwycięztwa. Nastąpi ono niechybnie wtedy, skoro król cały naród drużyn szlacheckich, przewodników rodów rycerskich, będzie mieć za sobą. A więc duchowieństwo, możnych i szlachtę pozyskać trzeba, by sparaliżować całkowicie wpływ Witołda na przychylnych mu radców korony, by zmusić stronników Witołda do złożenia broni, innych zaś przynęcić ustępstwami. W tym celu zwołał król zjazd duchowieństwa i możnych do Jedlny.

Zjazd Jedleński przejednuje króla z duchowieństwem i możnowładztwem Polski, przez nadanie ustępstw jakich się napróżno domagali przed pięciu laty. Stronnicy Witołda musieli umilknąć; już nie będą jak dawniéj upornie popierać żądania książęce, król zaś nie będzie już w przyszłości z atrybucyi swéj korony robić tego użytku, aby miał straszyć senat i przewódców rodów, iż skoroby przystali na żądanie Witołda, on cofnie przywileje stanu szlacheckiego. Dokument Jedleński z 4-go marca 1430 roku, o wielkiém znaczeniu dla historyi wewnetrznéj Polski, jest rękojmią tego przejednania. Ceną wielkich ustępstw, gdyż nowym wyłomem idei monarchicznéj w Polsce, okupuje Jagiełło przyrzeczenie duchowieństwa i szlachty, że po jego zgonie obiorą na króla i dziedzica jednego z synów, targuje się o winną mu wierność i posłuszeństwo poddanych.

Dla nas ma przywilej Jedleński skąd inąd wielkie znaczenie. Pominąwszy już tę okoliczność, że na jego mocy nie jest już Witołd tutorem państwa i małoletnich królewiczów na wypadek śmieci Jagiełły, jak o to się dawniéj ułożono, że nie zasięgnięto od Witołda rady ani zezwolenia na uchwały, znajdujemy nadto w dokumencie tym artykuły, wymierzone wprost przeciwko unii Horodelskiéj. Trak-

tatem tym międzynarodowym zabezpieczyli Polacy jak i Litwini w 1413 r. wolny wybór tak króla jak i wielkiego księcia za zgodą i zezwoleniem drugiego narodu. W przywileju Jedleńskim nietylko że nie przyzwano Litwinów do zgody na uchwalę dotyczącą następstwa młodego Jagiellończyka w Polsce, ale wyznaczono go na pana i dziedzica krajów Litwy i Rusi „które Witołd tylko w dożywocie dzierży, po jego śmierci zaś prawym i dziedzicznym spadkiem wracają do potomków króla i korony Polskiéj.“ Wykluczono przeto prawo elekcyjne dane Litwinom na mocy unii Horodelskiéj, a stawiono natomiast prawo dziedziczne. Litwę obrabowano z praw przysługujących jéj mocą unii i rozporządzano nią jakby prowincyą podbitą, węzły unii narodów deptano bezecnie nogami. Gdyby przynajmniéj uchwalono prawo dziedziczne w Polsce? Dokument zawiera same tylko ustępstwa same przywileje. Genealogije szlacheckie otrzymawszy po egzemplarzu przywileju Jedleńskiego, mogły się pochwalić przed bracią zwycięztwem odniesionóm nad królem i zachęcić je do obrony Jagiełły w spodziewanéj walce z Witołdem. Cóż bowiem w zamian uzyskał król od obdarowanych? Oto uchwalono nieprzepuścić korony, którą miał Zygmunt przysłać Witołdowi, a do księcia miano wysłać poselstwo z napomnieniem go do zgody z królem i do zaprzestania knowań o koronę. Zajęto stanowisko silne i wyzywające.

Szafrańcy święcą dni tryumfu nad Witołdem i jego polityką. Ich marzenia o zniżeniu Litwy do podrzędnego stanowiska prowincyi koronnéj, zdają się urzeczywistniać. Zachęcone ustępstwami duchowieństwo i możnowładztwo będzie już bronić zainaugurowanéj polityki. *Nowi ludzie* robią nowy kierunek polityki rzeczywistością.

Witołd przewidywał, że zjazd Jedleński przeciwko niemu głównie będzie wymierzony. On mógł się domyślać, że Szafrańcy opanowawszy całkowicie starego króla, ukują nań oręż i przygotują Polskę do walki. Tego atoli nie mógł przewidywać, że pominąwszy jego radę i radę litewskiego senatu, zawyrokują o przyszłych losach Litwy i zniżą ją do stanowiska koronnéj prowincyi. Witołd rachował na swych przyjaciół i zwolenników w Polsce.

Dowodzi tego ten szczegół, że na zjazd Jedleński wysłał był zdolnego swego sekretarza Małdrzyka, zaopatrzywszy go w otwarte pisma do prałatów i baronów polskich z usprawiedliwieniem zamierzonéj koronacyi, którą już jako niechybnie nastąpić mającą zapowiedział. Długosz znający widocznie treść tego pisma, podnosi, że Witołd użalał się na Jagiełłę, iż tenże oskarżył go przed papieżem i królami chrześcijańskimi, jakoby ze szkodą jego królewstwa czynić miał zabiegi o koronę, nie pomnąc na to, że sam był na nią zezwolił.

Znając całą sprawę a nadto treść pisma, które Witołd poprzedniego roku był wysłał do panów koronnych, możemy się dorozumiewać o treści i celu obecnego. Książe nie ukrywał prawdy a zamierzał osłabić wpływ Szafrańców. Szafrańcy zwyciężyli.

IV.

Sekretarz książęcy Małdrzyk wrócił z Jedlny 15 marca i doniósł Witołdowi o związku baronów z królem, o przywileju Jedlińskim i o tem, jako baronowie zamierzają odpowiedzieć księciu na jego zażalenia przez poselstwo i że ono w wielki piątek ma przybyć do Grodna. Witołd odczuwa cios, lecz już nie odkrywa rany przed mistrzem Rusdorfem, lecz pisze doń, by go przykuć do siebie, by pozornym aliansem z zakonem zrównoważyć przynajmniéj alians Szafrańców z husytami. Dając tedy znać mistrzowi o zjeździe Jedleńskim—dodaje Witołd ze swéj strony—że niespodziewa się od mających doń przybyć posłów niczego innego jak nowéj zwłoki i wymijania żądań i uprasza mistrza, aby na dzień przybycia posłów wysłał ze swéj strony kilku komturów, a to w tym celu, iżby Polacy widzieli, że książe z zakonem jest w jedności i żeby komturowie, będąc obecni przy odprawie posłów polskich, tém lepiéj mogli o niéj poinformować w. mistrza. „Okaże się potrzeba—pisze daléj Witołd—to będziem mogli zjechać się osobiście po nadchodzącéj wielkiéj nocy około Jurgenburga lub Christmemla, w czasie kiedy się to Wam podoba. Będziem tamże mogli naradzić się nad sposobami, któreby mogły zapewnić nam bezpieczeństwo na wypadek napadu na Litwę lub Prusy ze strony Polaków. Skoro-by zjazd takowy miał być zbytecznym, natenczas zawiadomi was o tém komtur, którego wyślecie do nas. Gdyby zaś zjazd osobisty miał się Wam wydać niestosownym, to jednakowoż wyślijcie do nas waszych komturów na dzień przybycia posłów polskich—co waszéj dobréj woli pozostawiamy do rozstrzygnięcia. Gdy zaś Polacy nie zezwolą na naszą koronacyą i nas i nasz kraj niewolić będą, tém bardziéj zmuszeni będziemy wziąść na skronie nasze koronę, żądając wolności naszéj, jak o tém pisaliśmy do króla Zygmunta, o czém wiécie z kopij przysłanych wam listów. W tejże sprawie piszemy obecnie znowu do tegoż króla, poślijcie mu załączone listy do Norymbergii.“

Taktykę ową ze strony księcia przewidują sprytni Szafrańcy. Domyślając się słusznie, że Witołd postanowił im na przekór działać i pomimo uchwal zjazdu Jedleńskiego, próbować azali nie uda się koronę wziąść na swe skronie—i że ku temu celowi pragnie zaskar-

bić sobie zakon, by być pewnym jego pomocy, umyślili temu przeszkodzić. Kwestya husycka jest im tu na rękę a oni wyuczyli się już ją wyzyskiwać.

Właśnie podówczas gdy się odbywał zjazd Jedleński, husyci pod kierownictwem Dobka Puchały, Korybuta i Piotra Polaka napadli na Szląsk i rozpoczęli zdobywać zamki, w których się trwale osiedlić mieli. Można się dorozumiewać, że uczynili to z tajnego polecenia i za wsparciem Szafrańców (z których jeden, po śmierci ks. Bolka Cieszyńskiego, z ramienia króla był starostą na téj części księstwa Głogowskiego, na któréj miał Bolko udział). Mniejsza o to, czy dorozumiewanie powyższe zgadza się z prawdą—panika była wielką—a Szafrańcy, wyzyskując ją, przedstawiali Polskę w niebezpieczeństwie ze strony husytów. I teraz to, król Jagiełło, uwzględniając dawniejsze żądania króla Zygmunta, odbiera Puchale Bydgoszcz i donosząc o tém Witołdowi, prosi go uroczyście o pomoc na wypadek spodziewanego napadu husyckiego. Nadto rozpuszczono w obieg alarmujące wieści obliczone na postrach Krzyżaków, których Puchała był nieprzebłaganym wrogiem. Alarm powiększyło jeszcze poselstwo polskie, wysłane do mistrza z Jedlny. Zastało go ono w bardzo kłopotliwém położeniu, gdyż z jednéj strony przyciąganego na stronę Witołda, z drugiéj znowu obawiającego się o napad husycki.

Posłowie polscy wystawili Rusdorfowi wielkie niebezpieczeństwo jakie grozi od husytów zarówno Polsce jak i zakonowi. Straszono mistrza, że husyci domagają się wolnego przejścia przez Polskę celem napadu zakonu, co w pełni potwierdzały ku temu celowi sfabrykowane pisma przez usłużne kreatury Szafrańców. W końcu zaproponowano mistrzowi zaczepno-odporne przymierze, nietylko przeciwko husytom ale i przeciwko wszystkim wrogom każdego z kontrahentów, pod warunkiem, jeżeli krzyżacy uskutecznią ratyfikacyą pokoju Melneńskiego i przystaną na ustępstwa, których król dawniéj żądał, jak co do Nieszawy i t. p. Na co gdyby był mistrz przystał, byłby Witołd całkowicie izolowanym.

Rusdorf, chodzący po manowcach, ujrzał się na rozdrożu, lecz dorównując w przebiegłości Szafrańcom nie stracił głowy. Zatrzymał on posłów u siebie a tymczasem wysłał rządcę z Barcianu do Witołda z zapytaniem, coby mu w tym wypadku czynić należało. Czyż takie poselstwo, nie zapraszało Witołda do uczynienia z zakonem zaczepno-odpornego przymierza przeciwko ich wrogom—czego się od mistrza domagali Polacy? Stanowcza odpowiedź ze strony Witołda, miała decydować, którą z dwu dróg obierze Święta Dusza. Rządca z Barcianu miał być obecnym przy przyjęciu posłów polskich

i zaręczyć imieniem mistrza, że tenże żadnych zjazdów ani też ugód z królem Jagiełłą nie przedsięweźmie bez rady w. księcia Witołda. Poseł krzyżacki przybył na dwór książęcy na dniu 14 kwietnia, Witołd przyjmował na tym dniu poselstwo króla Jagiełły.

Poselstwo polskie składali Zbigniew Oleśnicki, który już po raz trzeci fungował w charakterze posła od czasu zjazdu Łuckiego i Mikołaj z Michałowa wojewoda Sandomierski. Odpowiedzieli oni w imieniu baronii Witołdowi, że król Jagiełło nie potępiał księcia „z którym zawsze jednym tchnął duchem“ lecz jeżeli żalił się przed papieżem i królami, to znaglony był do tego koniecznością, aby przez zamierzone przyjęcie korony z rąk króla Zygmunta, nie czynił ujmy jego prawom, co ozwaniem się do Stolicy śwtętéj wypadało odeprzéć i zwalczyć. Naganiali mu posłowie ponawianie przysiąg i zbrojenie zamków Litewskich i dopraszali się, aby zaprzestał myśléć o koronie a zajął się innemi chwalebniejszemi sprawami.

Na takie poselstwo dał Witołd nazajutrz, jak to tegoż samego dnia pisał mistrzowi, wymijającą odpowiedź, a mianowicie że nie knował żadnych zamachów przeciwko Polsce i bynajmniéj nie w tym celu ponawiał przysięgi i uzbrajał zamki, aby miał występować przeciwko królewstwu polskiemu i wojnę mu wydawać, ale czynił to dla własnéj obrony, gdyż wiadomém mu było, że husyci nalegali na Jagiełłę wielokrotnemi prośby i poselstwy, aby im przez swoje państwo przejścia do Prus lub Litwy dozwolił, gdy tymczasem król tai się z tém przed księciem. Witołd zażądał usprawiedliwienia w sprawach z husytami i postawił doraźne żądanie, aby król jednomyślnie przeciwko kacerzom działał, wraz z królem Zygmuntem, i żeby zerwawszy z nimi, wojnę im wypowiedział a nie narażał się na srom i wstyd chrześciańskiego świata. Jak przedtém zażądał on kategorycznie, aby mu król wręczył kompromis, w sprawach krzyżackich jakotéż w sprawach z Zygmuntem, czego na wstyd i upokorzenie księcia na zjeździe łuckim nie chciał uczynić. Było to więc powtórzenie dawniéj stawianych warunków zgody, od których książę żadną miarą nie chce odstąpić. Możnaby się domyślać, że i co do koronacyi nie ustępował Witołd w obec posłów—że ominął tę kwestyą, chociaż w umyśle swém zdecydował już upraszać Zygmunta by mu jéj nie przysyłał. Politykę Szafrańców możnaby wszakże i bez korony podkopać; kwestyą husycką wywołaną jako broń odporną przez Szafrańców, możnaby przeciwko nim samym zwrócić—i o tém właśnie myślał obecnie Witołd.

Pokazuje się to dość wyraźnie z odpowiedzi księcia danéj w. mistrzowi na doraźne jego zapytanie, coby miał w sprawie husyckiéj począć z królem Jagiełłą. Odpowiedź ta jest z tego względu arcy-

ciekawą, iż świadczy że Witołd udaje jako by go manewrem husyckim w części zwiedli Szafrańcy. Mówimy—udaje—gdyż ani na chwilę nie przypuszczamy, jakoby w istocie Witołd miał wierzyć w kłopotliwe położenie w jakiém pozostawała Polska względem Husytów, żeby nie podejrzywał manewru *nowej rady* tj. Szafrańców.

Dziwna to—pisze Witołd do mistrza dziękując mu za położone w nim zaufanie—że król Jagiełło, który przed tém ociągał z daniem odpowiedzi na prośby wasze o pomoc w razie spodziewanego napadu ze strony husytów, obecnie przyciśnięty okolicznościami sam o takową pomoc prosi. Możecie mu na jego żądanie odpowiedzieć, że mu użyczycie pomocy przeciwko husytom, byle on ze swéj strony wam w podobnym wypadku dopomagał, aby się kacerstwo nie rozmnażało. Co dotyczy żądania, abyście go przez osobne poselstwo uwiadomili, czy będziecie dotrzymywać warunków pokoju Melneńskiego we wszystkich punktach i artykułach, odpowiedźcie, że macie dobrą wolą aby tylko i on ją posiadał. Zechciałby on atoli jaką umowę lub związek uczynić z wami, odpowiedźcie mu, że wieczny pokój zawarto pomiędzy nami trzema, tak pomiędzy królem i nami z jednéj jako téż i wami z drugiéj strony, i że wam tedy nie przystoi pod tym względem zgadzać się na jakąś ugodę lub coś postanawiać krom mojéj wiadomości i mojéj rady. Miałby tedy jaki zjazd lub jakowe postanowienie na nowo zajść,—dodaje po raz wtóry Witołd—odpowiedźcież, że to nie mogłoby się obejść bezemnie. Posłowie polscy—którzy obecnie bawią u nas—nie odpowiedzieli nam według naszéj woli, odpowiemy téż im wymijająco. Do koronacyi będziem się przygotowywali; skoro by nas atoli zaczepili Polacy będziemy się bronić.

W obec manewru husyckiego i takiéj odpowiedzi Witołda niebyło już o zjeździe w Jurgenburgu mowy. Szafrańcy ani chwili nie tracą, by wyzyskiwać tenże na rzecz zainagurowanéj przez się polityki supremacyi korony nad Litwą. I na dniu wielkanocnym, kiedy Witołd dawał odprawę posłom polskim, przybył doń pośpieszny goniec z listem królewskim. Jagiełło donosił w nim księciu, że Taboryci z wielkiem wojskiem nie daléj jak o trzy mile oddaleni są od granic Polski, że powszechnie mówią iż starszyzna Taborytów była u króla Zygmunta w Preszburgu, skąd wprost zdąża na czele zbrojnych hufców na Polskę. Król błaga Witołda o pomoc.

Książę udaje niepewność i waha się coby miał na tę prośbę odpowiedzieć i odsyła list do mistrza Rusdorfa z zapytaniem, coby mu w tym wypadku uczynić należało. Prosi nas król Jagiełło o pomoc—są słowa listu Witołda—a my przecież się jeszcze z nim nie pogodzili. A wy mistrzu sami wiecie o tém, gdyż często wam donosiłem

tak przez posłów jako też listownie, że król Rzymski wszystkie sporne sprawy, istniejące pomiędzy nim a królem Polskim, na mnie zdał, jako na sędziego rozjemczego—na co niestety król Jagiełło nie przystał. Gdyby król Jagiełło tak był uczynił jakeśmy mu doradzali, z pewnością byłoby nigdy do tego nie przyszło co się obecnie dzieje. Radźcież nam, proszę, czy mam mu pomagać przeciwko kacerzom czy też nie, zwłaszcza gdy on nas tak wielce poniża i na wstyd wystawia i nas jako niewolnika swego uważa—jak o tém dobrze wiecie.

Podówczas istotnie Dobek Puchała rozsiewał groźne wieści, że pociągnie na Polskę. Wojska Taboryckie opierały się kilkakrotnie o granice polskie i Szafrańcy w cichości tryumfowali. Król Jagiełło, udając przestrach, zbiera zbrojne hufce, a przez szybkich gońców ustawicznie błaga o pomoc Witołda. Książę znowu udając najwyższe oburzenie z powodu groźb husyckich i ich zwycięskiego oręża w Niemczech na Szląsku i Wegrzech, radby by wyzyskać tę sprawę celem całkowitego pokonania Szafrańców i pogodzenia się z królem.

Zaiste rostropność owego węża biblijnego cechuje umysł Witołda znajdującego się wśród nadzwyczaj trudnych i zawiłych stosunków. Widząc jak wrogie mu stronnictwo Szafrańców coraz bardziéj podnosi głowę, coraz daléj odpycha Litwę od Polski, jak coraz to zawikłańszą staje się jego pozycya, udaje on jednakowoż, jakoby niewidział machinacyj husyckich i pragnąc w duszy zgody z Jagiełłą, dąży do niéj lecz w ten sposób aby przy tém ambicya jego na nowy szwank nie była narażoną. Przezorny polityk zna on słabość i nicość obłudnego zakonu, w obec którego nieszczęsne fatum kazało mu grać rolę szczérego przyjaciela. Zna on egoizm i słabość nieszczerego Zygmunta, który żadną miarą nie mógł dać sobie rady z samymi tylko Husytami, i widział że połączenie Polski z husytami, chociażby ostatni mieli być tylko narzędziem w ręku Polaków, przedstawiało w obecnéj chwili silny alians zaczepno odporny, przeciwko któremu trudne były szanse powodzenia. Zewsząd otoczonego obłudą i zdradą nie porywa go myśl rozpaczy i nie wiedzie go do porywczego a niczém nie usprawiedliwionego kroku—i bądź co bądź jasno przebija się myśl, by niedopuścić do bratobójczéj walki, na którą się od roku już zanosi pomiędzy Polską a Litwą, W tym celu postanowił nie odrzucać prośby króla o pomoc, i owszém przyobiecać mu takową, lecz podyktować takie warunki, aby zbolała jego ambicya i nadwyrężona duma odzyskały zadośćuczynienie zgodne z powagą króla i jego honorem.

Sprawę o koronie i koronacyi wypadało usunąć na drugi plan— a podczas tego wysłać prośbę do Zygmunta, by mu korony nie przysyłał. Prośba ta (wymagała tego nadzwyczajna drażliwość téj sprawy) uskutecznioną była w ten sposób, że nawet Krzyżacy o wysłaniu jéj nie wiedzieli. Natomiast zażądał książę od króla Jagiełły, aby podjął walkę z husytami, aby im listy wypowiednie obraźliwéj treści wysłano, aby Szafrańcy ustąpili zupełnie i aby ich od łaski królewskiéj oddalono. Gdyby się to uzyskać dało, postanowił Witołd w dalszéj konsekwencyi zmusić króla do wręczenia mu kompromisu w sprawie krzyżackiéj i w sprawach spornych z Zygmuntem, a więc do zmuszenia króla do kapitulacyi z jego zewnętrzną polityką. Majestat, jakim miał być otoczony jako sędzia sporów międzynarodowych, ten jedynie mógł powrócić Witołdowi jego cześć i sławę, mógł mu choć w części wynagrodzić szczerby, jakie poniosła jego ambicya przez „veto koronacyjne."

Okrom niezłamanéj woli niezrywania z koroną Polską, i inne pomniejszéj wagi powody, złożyły się na to dążenie Witołda, aby wyjść raz z przykréj sytuacyi, w jakiéj od czasu zjazdu Łuckiego pozostawał. Wspomniémy o nich pokrótce a przekonamy się że książę był przeświadczony o obłudzie swych mniemanych przyjaciół i pozornych sojuszników.

Sądzić należy, że niemały wpływ na refleksyą księcia, wywarły owe bulle admonicyjne, których treść, po ustąpieniu pierwszych a przykrych i gwałtownych wrażeń—i po głębszéj rozwadze, musiała wpłynąć łagodząco na całe otoczenie księcia, na starszyznę i duchowieństwo Litewskie, jakotéż i na samego Witołda. Wszakżeż życzono mu korony—głowa kościoła, ku chwale którego on walczył, uznawała go być godnym korony, doradzając tylko, aby się starał uzyskać ją na drodze pokoju. Wszakżeż kuryaliści wielbili go pod niebiosa, jako *puklerz Europy*, jako *najdzielniejszego obrońcę wiary* i *największego męża z grona współczesnych monarchów*, wszakżeż palili u stóp jego ofiary humanistycznych elukubracyj, odurzając go dymem kadzidła i błagając aby zaniechał zamiaru.

Ważniejszy wpływ przypisać należy rzeczywistości. Bo i jakżeż niemiał obecnie dostrzedz Witołd, że Krzyżacy dybią tylko na to, ażeby niezgoda jego z królém buchnęła płomieniem pożaru? Gdyby był nawet całkowicie zaślepiony i gdyby podrażniona i ustawicznie jątrzona jego ambicya, do tyla utłumiła w nim przyrodzony spryt i niezwykłą domyślność w rzeczach polityki, żeby nawet niedawał wiary własnym doświadczeniom i słusznym posądzeniom takiego Bartłomieja Cybulki, dokładnego znawcy charakteru Krzyżaków, to oczywiste dowody, które miał teraz przed oczyma, pobudzały go do

głębszego zastanowienia. Gdyż właśnie podówczas, kiedyto po odprawie posłów polskich, dochodziły go wieści, że mniemany jego upór jak najgorsze może pociągnąć za sobą skutki, skądinąd dochodziły skargi na Krzyżaków, że ci księcia haniebnie oszukują.

Skarga, o któréj mowa, wyszła ze strony duchowieństwa dyecezyi Rygajskiéj—któréj tutorem był Witołd, utwierdzony na téj godności przez papieża, nie zaś przez króla Zygmunta. Mistrz zakonu wyzyskując poróżnienie się Witołda z Jagiełłą, pracuje nad tém aby za pośrednictwem kuryi odebrać księciu władzę tutorską, najrozmaitszemi sposobami gnębi kapitułę i duchowieństwo. Uciskane duchowieństwo udaje się ze skargą do swego tutora—Witołda.

Książę, który w pierwszéj chwili zdziwił się, że mistrz zakonu nie zniósł się z nim jako z tutorem w téj sprawie, spostrzegł wnet że „*Święta dusza*" wyzyskuje waśń księcia z królem Jagiełłą. Domysł ten potwierdzają w zupełności nowe skargi Inflanckiego duchowieństwa. Witołd był rozsrożony, mając dowody, jak srodze nadużywano jego zaufania ze strony, któréj silił się ufać, któréj udaną przyjaźń okupywał ofiarą zaparcia się siebie samego, którą bronił z narażeniem sławy swego imienia na rozmaite podejrzenia. Natychmiast postanowił tedy ująć się za pokrzywdzonym duchowieństwem i równocześnie wysłał Bartłomieja Cybulkę do króla Zygmunta ze skargą na zakon nieszanujący jego praw tutorskich i z pośbą, aby Zygmunt, jako zwierzchnik zakonu, zakazał mistrzowi takiego na dal postępowania. Przed połową maja zaniósł Bartłomiej tę skargę, wielce z tego powodu zdziwionemu Zygmuntowi.

Witołd postanowił atoli niczego o tém nie wzmiankować mistrzowi zakonu. Przeciwnie—potrzebując go do swych celów, postanowił opiérać się na nim i nadal i do pewnego czasu udawać najczystszą przyjaźń. Z otwartymi był Witołd otwartym z podstępnymi działał podstępnie.

Mistrz Rusdorf, będący podówczas w wielkiéj obawie o Husytów i mający się z tego powodu starać o względy Polski, dostrzega zmiany w umyśle Witołda. „Święta dusza" przenikał on na wskróś tajemnice wielkiego męża, które tenże sam przed sobą zdawał się ukrywać. Zresztą tajna skarga Witołda nie pozostała tajemnicą dla zakonu. Pod koniec maja wiedział już o niéj Rusdorf przez jednego z usłużnych szpiegów zakonu. Natenczas dopiéro poczyna się mistrz wstydzić przed własném sumieniem. Teraz już pieką go słowa czułych listów książęcych, jak gdyby były obelgą w twarz mu rzuconą. Obecnie przenika on tajemnicę Witołdową pogodzenia się z królem i wie i obawia się, że przy takowéj ugodzie mogłyby wyjść na jaw

pilnie ukrywane brudy zakonu, mogłaby wypłynąć na wierzch czarna jego intryga, coby bóg wie jakie dlań pociągnęło skutki.

Przebiegłość i zmysł polityczny mistrza, każą mu zapobiedz podobnym ewentualnościom. Dalej knować pomiędzy zwaśnioną bracią niepodobna; podżegać dalej spory za pomocą czarnéj intrygi byłoby na zbyt hazardowném. Święta dusza, postanowił być pośrednikiem, celem pogodzenia Jagiełły z Witołdem. Czy zamiar ten był szczérym, to znowu inne pytanie.

A więc nasamprzód przez komtura Toruńskiego usposabia Rusdorf sędziwego Jagiełłę do uczynienia zgody z Witołdem. Wprawdzie przykro staremu królowi, odbierającemu od Witołda co dnia to ostrzejsze wymówki, co dnia to większe groźby a zawsze te same warunki zgody, że wtrąca się pomiędzy nich ktoś nieproszony—wołałby on raczéj sam na sam pogodzić się z bratem—ale się nie sprzeciwia. Równocześnie sam mistrz, korzystając jakoby z dawniejszego zaproszenia ze strony księcia, o którymby w innym wypadku z pewnością był zapomniał, fatyguje się na zjazd z Witołdem nad Niemen, zapewne do dalekiego Jurgenburga lub Christmemla. Uzyskuje on tamże słowo książęce, że Witołd wyśle posłów—na zjazd mistrza z królem.

Poczém do króla Jagiełły wysyła komturów, Toruńskiego i Czczewskiego, z uwiadomieniem, iż on (mistrz) postanowił za zezwoleniem Witołda, zjazd panów Polskich z Litewskimi w Nieszawie, we dwa tygodnie po św. Janie. Panowie polscy, oświadczają krzyżaccy posłowie, mają być w Nieszawie, Litewscy zaś w Toruniu. Sam mistrz będzie obecnym na tym zjeździe. Z hardą pychą, mającą jakoby pokryć nieszczerość, z wyniosłą dumą, mającą jakoby świadczyć o bezinteresowności i szlachetności zamiarów, narzuca się *Święta dusza* na pośrednika sporów Polsko-Litewskich.

Zapewne że teraz już ta niezwykła bezinteresowność mistrza nie przyprawiła króla Jagiełły o zdumienie. Szafrańcy przywykli sami nędzną walczyć bronią dostrzegli wnet, że mniemana szlachetność mistrza, zakrawająca na bezczelność, jest bardzo interesowną, a nie umiejąc sobie zdać sprawy z konsensu księcia na próbę zgody, mającą być dokonaną przez wielkiego mistrza, wzięli ustępstwo Witołda za własne zwycięstwo. To pewna że w ten sposób starali się królowi wytłómaczyć krok Witołda.

Król Jagiełło na dniu 14 czewca wystosował pismo do Witołda, w któréni mu opowiedział o świeżém przedłożeniu posłów zakonnych. Wolałbym—oświadcza król—sam na sam załagodzić spory z WKs. Mścią, jak to zwykliśmy z dawna czynić, lecz gdy to nastąpić nie mogło, zgodziłem się na projekt Krzyżaków i w tym celu uwia-

domiłem już prałatów i baronów wielkopolskich, tudzież panów ziemi Krakowskiéj, aby na termin przybyć nie omieszkali. W dalszym ciągu tego pisma przyobiecywał król Witołdowi, iż już polecił staroście Krakowskiemu ażeby tenże baczył na to, by nie sprzedawano husytom broni; ręczył, że książęcy posłowie mogą zupełnie bespiecznie zdążać przez Polskę do Węgier, a w końcu upraszał Witołda, iżby nakłonił bawiącego u niego księcia Kazimierza Mazowieckiego do złożenia królowi powinnego hołdu. O Szafrańcach ni słowém nie wspominał król a i co do Husytów nie usprawiedliwiał się szerzéj, jakby tego pragnął Witołd, ale zdawał się okazywać skruchę i chęć do zgody, a to samo już było wielką dla Witołda uciechą w téj tak ciężkiéj chwili. Witołd po otrzymaniu tego listu uważał porę tę za stosowną do wysłania dwu pism ważne rzucających światło na charakter tego męża. Jedno z nich było powtórzeniem niedawno wysłanego, a od kilku już miesięcy przygotowywanego w umyśle księcia a adresowane było do Zygmunta Luksemburczyka i zawierało prośbę, uzasadnioną najrozmaitszymi argumentami, by mu nie przysyłał korony—drugie do mistrza zakonu z ofiarowaniem mu pomocy na wypadek napadu Prus ze strony husytów. Są to nadzwyczaj ważne pisma celem poznania zagadkowego i sprzecznego na pozór postępowania Witołda, abyśmy się nad niemi bliżéj zastanowić nie mieli. Przypominamy bowiem, że Witołd w obec Polaków i króla wcale nie cofał pretensyi do zamierzonéj i ustanowionéj na dzień 8 września koronacyi i że tak oni jak i Krzyżacy wcale nie wiedzieli o zabiegach księcia, tych mianowicie, aby mu Zygmunt korony nie przysyłał. Cała sprawa była jakoby w zawieszeniu, a skoro tu i owdzie dowiedziano się coś o zabiegach Witołda, oczekiwano z żywą niecierpliwością, jakie stanowisko zajmie w obec tego żądania król Zygmunt Luksemburczyk.

Król Zygmunt, odgrywający w nieszczęsnym naszym dramacie nikczemną rolę intryganta, napróżno wyczekiwał chwili w którejby z posiewu swego mógł zbierać plon obfity.

Termin reichstagu w Norymberdze upływa. Zygmunt nieprzybył lecz wyznaczył drugi na 17 maja—na który również nie przybył. Czy był chory, czy może obawiał się napadu ze strony Turków, nie wiadomo; zastępował go na pierwszym kanclerz jego Kacper Schlick i uchwalono wyprawę na Czechów. Lecz dlaczegoż pod koniec czerwca opuszcza wreszcie Zygmunt Węgry, które od kilku lat już zaszczycał swym pobytem, i goni do Niemiec na opóźniony już reichstag? Dlaczego zwłaszcza zatrzymuje się w Wiedniu i sprasza na

nowo elektorów i książąt, aby się ponownie zjechali do Norymbergi? Prawdopodobnie dlatego, że w Węgrzech niemógł daléj snuć kabały, i że panowie węgierscy niedopuściliby do tego, aby król ich, wysyłając z Węgier koronę dla Witołda, zakłócił spokój przyjaźnych sobie od wieków dwu narodów Polskiego i Węgierskiego. A tu tymczasem zbliżyła się chwila stanowczego działania. Witołd bowiem wysłał potajemnie pismo do Zygmunta, aby mu korony nie przysyłał. Był to straszny cios dla Zygmunta, mającego dotąd niepłonną nadzieję, że zamieszki pomiędzy Polską a Litwą niechybnie nastąpią i tylko stanowcze działanie mogło uratować dzieło intryg od upadku. Ku temu celowi trzeba było niewygodny do stanowczéj akcyi terren węgierski, na którym rospoczęta była akcya intrygi, zamienić i przenieść na terrytorya Rzeszy Niemieckiéj.

Jakżeż atoli postąpić sobie względem żądania książęcego z Witołdem samym. Wszakżeż książę usprawiedliwia się to krótkością terminu, to zakazem papieskim wystosowanym do biskupa Wileńskiego aby go nie konsekrował, i innymi nie mniéj wymownymi argumentami; już wprost nie życzy sobie korony i uprasza Zygmunta, by mu jéj nie przysyłał. Prośba Witołda jest tak szczérą i wymowną, że Zygmunt gdyby miał choć trochę serca, byłby jéj nie odmówił. Na szczęście króla Zygmunta, książe i przed nim starannie ukrywał to co go najbardziéj bolało, tj. zranioną ambicyą; i upozorowywał ją argumentacyą, która była konceptem jego mądrych kancelistów a nie wyrazem jego woli, przeciwko któréj niemożnaby wystąpić bezkarnie. Zygmunt mógł tedy użyć równie wymownéj argumentacyi, zaczerpniętéj u swych zdolnych kancelistów, a natenczas łatwo mógł przekonać księcia, że te wszystkie powody i wątpliwości są aż nadto błahe, aby mogły stargać rozpoczęte dzieło. Zygmunt potrzebował daléj zbić podejrzenia, jakoby już nie chciał przystąpić do kompromisu, podtenczas gdyby i król Jagiełło — na co się wszakżeż zanosiło — na kompromis przystał, — a ku temu celowi potrzebném było wykazać całą bezinteresowność postępowania w kwestyi korony, i to w ten sposób, żeby książe uczuł to, że tu i honor króla Rzymskiego wchodzi w rachubę i że cofnięcie rospoczętego dzieła jest obecnie niepodobne. Potrzeba było wreszcie szybko wysyłać przyobiecaną koronę i tém zaalarmować Polskę równie jak i Litwę, ewentualnie wywołać już raz stanowczy, a dawno upragniony, konflikt pomiędzy zbratanymi świeżo narodami i krajami.

Wszystko to w krótkim przeciągu czasu wykonał król Zygmunt. Nasamprzód zwołał on radę ze starszych dostojników państwa, było to wnet po przybyciu jego do Wiednia — przywołał i doktorów biegłych w prawie i przedłożył im kwestyą korony Witołdowéj. Oczy-

wista, że zawezwani zawyrokowali według życzenia Zygmunta, iż jest on w prawie koronowania Witołda, że konsekracya, któréj niedozwala papież, nie jest rzeczą konieczną tylko formalną a jako taka należy do spraw ceremoniału, bez któréj tedy może się książe całkiem wygodnie obejść. Na poparcie tego, jakotéż i na usunięcie innych wątpliwości książęcych, przytoczono dowody i przykłady mogące usunąć skrupuły całkiem prawego umysłu. Cały szereg tych dowodów i uwag kazał Zygmunt spisać swemu kanclerzowi Kacprowi Schlickowi i na podstawie tego materyału sformułować list do księcia, mający rozwiać jego wątpliwości a nadto pocieszyć nadzieją, że korona na oznaczony termin będzie w Litwie. Pismo to natychmiast wysłano do Litwy. Poczém poczyniono przygotowania do wysłania korony. Znalazł się jeden z biskupów, który miał przewodniczyć poselstwu, kilku niemieckich grafów i kilku książąt Szląskich. Drogę miano obrać przez Krainę na Prusy i Litwę. Poselstwo to właściwe, które miało przedłożyć księciu koronę i insygnia królewskie w darze od Zygmunta, mieli wyprzedzić doktorowie prawa, którym poruczono usunąć resztki skrupułów książęcych dotyczących szczegółów koronacyjnych i zakazu papieskiego, jak gdyby skrupuły te były najgłówniejszą przyczyną wahania się ze strony księcia.

Tak tylko szybkość decyzyi i pośpiech w działaniu mogły uratować dzieło intrygi Zygmuntowéj. Czuł on bowiem aż nadto dobrze, że zaszła jakowaś zmiana w umyśle Witołda, że książę nie bez powodu wyrażał w dobitnych słowach, iż niedowierza szczerości zamiarów Zygmunta, jak co do owego kompromisu; że nie bez przyczyny oskarża mistrza zakonu przez umyślnych posłów. Wiedział Zygmunt, że odmowa ze strony księcia na propozycyą dotyczącą opiekowania się królestwem węgierskiem na czas niebytności tamże króla Rzymskiego, również nie dobrze wróży na udanie się dzieła intrygi. Wprawdzie z relacyj krzyżackich i z listów Witołda do Jagiełły pisanych, których kopie przysyłał mu książę, mógł zaczerpnąć otuchy, że do zgody pomiędzy królem Polskim a Witołdem jeszcze daleko,—bądź co bądź pośpiech w działaniu był konicecznym.

Znaglał do tego pośpiechu sam Witołd. Jeszcze się bowiem nie zatarły wrażenia pierwszego listu księcia w sprawie nienadsyłania już korony, gdy przybył drugi podobnyż z Litwy. I w tym książę upraszał sekretnie Zygmunta, aby mu nie przysyłał korony—co gorsza dla Zygmunta, wyrażał wątpliwość, że tenże przeszkodzony i ustawicznie zajęty innemi sprawami, nie może szczerze zająć się sprawą koronacyjną. Zamiast przysłania korony, domagał się książę od Zygmunta, aby przez tych posłów, których zamierzał wysłać na uroczystość koronacyjną, jeszcze raz uroczyście złożył kompromis

w sprawach spornych z królem Jagiełłą. Było to niedowierzanie, w tak otwartéj i prostéj formie wypowiedziane, że można je było wziąść za wyraz nieufności ze strony oszukiwanego przez Zygmunta księcia. Tego atoli Zygmunt w dobrze zrozumianym własnym interesie rozumiéć nie chciał, a zgorszony poniekąd takiemi wyznaniami, zawisłego od swego kaprysu księcia, tém bardziéj postanowił nie miéć dlań litości.

Rospoczyna tedy akcyą i wysyła natychmiast do Witołda Zygmunta Rotha, ajenta krzyżackiego wraz z jakimś sławnym doktorem prawa, Włochem, poruczając im uspokoić Witołda i zapewnić go o czystości i stałości zamiarów królewskich i przygotować do przyjęcia korony. Im to przypada trudne zadanie naprawienia tego, co, w skutek nieznanych bliżéj Zygmuntowi powodów, całą sprawę zagmatwało i popsuło. Zanim atoli posłowie ci wyprzedzający uroczyste poselstwo z koroną przez Szląsk, Krainę i Prusy zdążą do Litwy, stara się król ukoić umysł Witołda zręczną odpowiedzią na jego ostatnie pismo, w któréj mu zaręcza wielokrotnie, że wiadomości jakie go o koronacyi doszły są umyślnie przez ich wrogów rozsiewane i że on nigdy nie przestawał ani téż dotąd przestaje o niéj myśléć. Wśród skarg na szowinizm króla Jagiełły, i na husyckie machinacye niektórych z rady polskiéj korony, zaręcza Zygmunt, że on jak dawniéj tak i obecnie składa kompromis w ręce księcia, co gdyby był Jagiełło ze swéj strony na zjeździe Łuckim uczynił nie byłoby nigdy przyszło do tego co niestety dzieje się obecnie. Pośpieszny goniec poniósł ten elaborat kancelaryjny do Litwy, a kancelarya Zygmunta pracowała nad komponowaniem dokumentów zawierających projekt ścisłego związku pomiędzy Zygmuntem a zakonem z jednéj a Witołdem z drugiéj strony, by je wręczyć odchodzącym do Litwy Rothowi i włoskiemu doktorowi. Uczyniono to nie bez głębokiego namysłu i z równą temuż przebiegłością, wiedziano bowiem, że posłowie ci przejęci będą na polskiéj granicy i że dokumenta te skompromitują Witołda w oczach Polaków, podejrzywających księcia o takowe separacyjne zamiary. Odpowiedź Zygmunta datowaną była z Wiednia 22 lipca 1430 roku, a wkrótce potém Roth i doktór Baptysta Cigala opuścili Wiedeń, zdążając powoli ku granicom pruskim.

Gdy wieść o zamierzanym przez Zygmunta zamachu docierała do Polski, odbywał się podówczas pod Toruniem zjazd pełnomocników polskich i litewskich, na którym Rusdorf odegrał dość niefortunnie rolę negocyatora. Posłowie obustronni wystąpili z szeregiem skarg i żądań, których strona przeciwna nietylko że zaspokoić nie

wania się mistrza na tymże zjeździe, czego się nigdy nie spodziewał, było dlań bardzo bolesném i że w téj chwili stracił wiele z zaufania do Szafrańców i ich hucyckiéj polityki, nie przynoszącéj spodziewanych owoców. W Polsce pojęto teraz dokładnie, że na dzień ósmy września, na ten nieszczęsny termin koronacyi Witołda—zbierają się liczni książęta Rusi wasale Litwy, że lubo niechętnie przybędzie tam mistrz Rusdorf, mistrz Inflancki, carzyki Tatarscy i że książe zechce się upewnić o ich przyjaźni i wierności i zmusić tém króla Jagiełłę do naprawienia złego, którego tenże stał się przyczyną na zjeździe Łuckim. Zjazd takowy—wiedział o tém król i Szafrańcy—jakkolwiek nie zawartoby tamże ugód dokumentami zatwierdzonych, oddawał księciu blask majestatu, który na chwilę nieopatrznie przyćmili jego wrogowie, izolował króla Jagiełłę i zmuszał go niejako do przebłagania brata i do zadość uczynienia jego woli.

Opinia powszechna w Polsce potępiała zamiary Witołda, uważając je jako seperacyjne a tém samém zgubne dla korony. Wobec intryg Szafrańców, sądzono powszechnie, iż król wyczerpał już wszystkie środki celem odwiedzenia księcia od zamiaru separacyjnego i obawiano się, że zamach na unią wkrótce będzie uskuteczniony. Sami Szafrańcy szerzą te pogłoski, aby przygotować Wielkopolan do mężnego oporu, a przynajmniéj do nieprzepuszczenia korony i przejęcia jéj na granicach Nowej Marchii.

Równocześnie postanowili Szafrańcy zaapelować do kuryi rzymskiéj i to bezwłocznie, aby uzyskać bullę zakazującą Mistrzowi zakonu, przepuścić posłów króla Zygmunta wiozących koronę przez Prusy. Sprawę tę poruczono znanemu już nam pisarzowi kancelaryi królewskiéj Piotrowi Łęczyckiemu i wysłano go siedmiotrzeć do Rzymu z kosztownemi upominkami dla tych kardynałów, którzy mieli się zająć sprawą. Uzbrojono go w doraźne koncepta pism, na mocy których miała kurya powtórnie zakazać Zygmuntowi i jego biskupom zajmowania się koronacyą; mistrzowi zaś miano polecić, aby w sprawę koronacyi się nie mięszał, przeciwnie żeby posłów króla Zygmunta nie przepuścił przez Prusy i żeby starał się swém pośrednictwem załagodzić spór braci. Podobnąż odradzającą koronacyą bullę miano z kuryi przesłać i Witołdowi. Konieczność wysłania takowych bull poparła kancelarya polska tém, że koronacya Witołda wymierzoną jest przeciwko unii, gdyż Witołd jest tylko namiestnikiem królewskim na Litwie a nie księciem samodzielnym, mogącym sięgać po koronę. Król Zygmunt — twierdzono daléj — nieśmiał udzielać korony, zawarł bowiem traktat z królem Polskim, na mocy którego zobowiązywał się nie odrywać od korony krajów, będących w jéj posiadaniu. Podobnyż argument zastosowano i wzglę-

dem zakonu, który nieśmiał pomagać Zygmuntowi w zamierzonym zamachu.

Takowe argumenta, poparte drogimi upominkami, miały przekonać kuryą, tém bardziéj, że poseł zaręczał, że gdyby sprawa koronacyjna nie absorbowała gnuśniejących od przeszło roku sił Polski, jużby husytów nie było na świecie, gdyż król Jagiełło nie omieszkałby był zgnieść ich zupełnie.

Z przyjazdem Łęczyckiego do Rzymu, nastał chwilowy zamęt u sterników nawy kościelnéj, jak to zaręcza prokurator zakonu w swéj relacyi do w. mistrza, naiwnie opowiadając te wypadki. Kuryaliści twierdzili, że skutkiem wysłania żądanych bull, powstanie olbrzymia niezgoda pomiędzy kuryą a Rzymskiem państwem; kardynałowie przychylni Zygmuntowi usiłowali zapobiedz wysłaniu—pomimo to atoli postanowiono spełnić żądanie Polaków *„gdyż oni obiecywali zgnieść husytów, którym Zygmunt nietylko, że nie mógł dać rady, ale jak to dość głośno mówiono, zapomocą nich chciał zgnieść duchowieństwo.“* Nie wchodzimy w to, czy ostatnia pogłoska była prawdą czy też tendencyjną plotką mszczącéj się na swym wrogu kancelaryi polskiéj; konstatujemy, że donosi o niéj poważny prokurator zakonu i że taką jéj przypisuje doniosłość w skutkach. Uczeni rzymscy, popierają teraz argumenta kancelaryi polskiéj i twierdzą, że król Rzymski nie ma prawa rozdzielać korony, gdyż sam jeszcze nie otrzymał korony cesarskiéj od papieża. Inni doktorowie znowu do tegoż samego przychodzą wniosku za pomocą takiéj argumentacyi, że aby król Zygmunt mógł kogoś koronować, to powinienby był on sam nie przyjmować od papieża korony.

Z powyższego widoczna, że kancelarya polska poleciła użyć wszelkich środków, aby przeszkodzić koronacyi i że najgłówniejszym środkiem było wykazanie niemocy Zygmunta i Niemców wobec wrogów kościoła husytów, jakoteż zaręczenie, że gdy papież zapobieży koronacyi, natenczas Polska postara się o zgniecenie kacerstwa w Czechach. A poseł — któregośmy poznali jako kreaturę Szafrańców, przy owej nieszczęsnéj legacyi w Łańcucie—musiał być bardzo sprytnym, gdyż po jego przybyciu do Rzymu, mówiono tamże w największéj tajemnicy, *iż gdyby obecnie panował pokój we Francyi, możnaby było Rzymskie państwo i Rzymską koronę odebrać Niemieckiemu językowi.*

Takiemi były środki przygotowawcze do przyszłéj kampanii ze strony wrogów witołdowych. Nie myśleli oni wcale o jakichkolwiek chociażby najdrobniejszych ustępstwach i to nawet wtenczas, gdy powszechnie sądzono, że mądry Rusdorf stoi po stronie Witołda. Chcąc przeszkodzić dostaniu się posłów do Litwy, rozpoczęto ukła-

dy z wrogiem Zygmunta, z Brandeburczykiem, aby tenże nie dozwolił im przejścia przez swe terytorya, Wielkopolan zaś, pod przewództwem Jana Czarnkowskiego, powołano pod broń i postawiono ścisłą straż graniczną mającą czyhać na posłów króla Zygmunta.

Witołd tymczasem odpowiadał na nieszczerość ze strony Polski zupełną na pozór obojętnością. W początkach sierpnia mijało już sześć tygodni od czasu, kiedy pomiędzy nim a królem Jagiełłą nastało złowrogie milczenie. Witołd nie miał ochoty przerywać go chociażby słówkiem tylko—bo i do czegóż by taka odezwa doprowadziła. Z Polski nadchodziły wiadomości, że Szafrańcy zbroją się w Wielkopolsce do oporu i do nieprzepuszczenia posłów Zygmunta. Równocześnie doszły go listy Zygmunta zawiadamiające go o tém, iż skrupuły książęce co do koronacyi nie są uzasadnione i że posłowie z koroną niechybnie na termin 8 września przybędą do Litwy. Co podówczas sądził Witołd o Zygmuncie, o którego nieszczerości i intrygach był przekonany — łatwo pojąć można. Witołd czuł to dobrze, że lada chwila, lada nieoględny krok z czyjéjkolwiek bądź strony—a katastrofa któréj tak starannie unikał, mogła nastąpić. I w téj chwili atoli, Witołd tak pewnym był siebie, iż nieprzypuszczał możności stanowczego zerwania ze strony swojéj lub téż ze strony swych poddanych, dla których wola jego była rozkazem. Zarówno przekonany był, że król Jagiełło nie podniesie oręża na niego i że zbrojenia w Wielkopolsce mają na celu nieprzepuszczenie posłów i straszenie Krzyżaków zarówno jak i jego samego. Czyż w obecnéj chwili stanowczy protest przeciwko nadesłaniu korony był możliwy? Czyż Witołd, lubo przekonany, że Zygmunt pracuje i wysila się, aby przyspieszyć katastrofę, mógł obecnie zażądać stanowczo od Zygmunta, by mu nie przysyłał korony? Wszakżeż Zygmunt otwarcie wyrażał, że i honor i jego ambicya wchodzi tu w grę; zresztą zanim-by list téj treści doszedł Zygmunta, posłowie z koroną dawno już byliby w drodze. Wobec oświadczenia ze strony Zygmunta, iż posłowie jedni już wysłani, drudzy, mający przywieść koronę i insygnia koronacyjne do Litwy, niebawem udadzą się w podróż, wobec tego niepozostawało Witołdowi nic innego jak tylko urzeczywistnić zamiar koronacyjny. Z kancelaryi książęcéj wychodziły tedy listy do książąt Ruskich i Tatarskich, do przyjaznych baronów Polskich, do obu mistrzów, z zaproszeniem na zjazd, mający się odbyć 8 września, jak to dawniéj wiadomo. Czy Jagiełło lub Polacy zezwolą lub nie, bez zwłoki przyjmę koronę—były słowa Witołda.

Wyrazy takowe nieświadczą, jakby to się zdawać mogło, o niewzruszoności zamiaru Witołda, mają one przywieść przeciwników do upamiętania się — a są zarazem zwierciadłem gniewu i oburzenia

książęcego przeciwko nim i królowi Jagielle. Witołd umie i ze swéj strony wywrzeć presyą a słowa te wywołają może w Polsce opór przeciwko polityce Szafrańców i zgotują upadek głównych jego przeciwników.

Natomiast w stosunkach do mistrza jest książe tak nazbyt grzecznym, tak uprzedzająco słodkim i serdecznym, że niepodobna nie niedostrzedz, iż to zachowanie się jest tylko maską i że książe znakomicie odgrywał znaną mu rolę dyplomaty szkoły krzyżackiéj. Gdy bowiem wrócili posłowie księcia z owego zjazdu pod Toruniem i oświadczyli księciu o wspaniałém podejmowaniu ich ze strony mistrza, zdawał się książe nieposiadać z radości. Szczególniéj zadowolniło go, że mistrz po jego woli odpowiedział pełnomocnikom polskim. Z téj tedy odpowiedzi—która jak to zauważano była klęską Szafrańców—postanawia skorzystać książe i nakłonić mistrza, aby na oznaczony dzień koronacyjny przybył do Litwy. Na tém przyrzeczeniu zależy wielce księciu, który wié o tém, że tą pozorną wspólnością swych interesów z interesami zakonu wywrzeć mógłby stanowczą presyą na Jagielle. Z drugiéj znowu strony miał książe powody do powątpiewania, azali mistrz nie odmówi zaproszenia, gdyż mógł wiedzieć o tém, że mistrz na owym zjeździe pod Toruniem, bez żadnych uwag wysłuchał treści zapisów Witołdowych, które przynieśli na ten cel pełnomocnicy polscy, aby dowieść, że zamiar koronacyjny księcia wymierzony jest przeciwko tymże zapisom. Witołd pojął krytyczne stanowisko Rusdorfa, skoro tenże przez posłów litewskich oświadczył księciu, że skoro nie stanęłyby sprawy nie cierpiące zwłoki na przeszkodzie, mistrz na termin 8 września przybędzie. Oczywista, że wobec tego oświadczenia trzeba było usunąć wątpliwości mistrza i chociażby nadmiarem udanéj przyjaźni pokonać jego wahanie się. To też dziękował mu w nadzwyczaj uprzejmych słowach za trudy podejmowane w jego sprawie, za przyjacielską odpowiedź, jaką go niedawno zaszczycił a nawet za tę niepewną obiecankę przyjazdu. Witołd zaręczał, że byłoby to dlań prawdziwą i niezwykłą przyjemnością, gdyby mistrz raczył przybyć osobiście, a odgadując niejako jego wolę, zapewniał, że skoro się to mistrzowi niepodoba, książe nie zaprosi arcybiskupa Rygajskiego, jak wiemy wroga zakonu, na uroczysty zjazd. Donosił daléj, że już od dawna nie miał wiadomości od króla, że jednakowoż zmuszony był obecnie do napisania groźnego listu z wyrzutami, dlaczego by go śmiał poniżać i ustawicznie oskarżać przed papieżem i królami i pogrozić, że jeżeli się nie powściągnie i nie przestanie nadal go oczerniać i poniżać, natenczas książe będzie zmuszonym objawić na króla w artykułach podobnych, wszystko to, cokolwiek wié o nim złego. Jak

z tego widoczna presya ze strony Witołda była niemałą, a przed bystrém jego okiem nie uszły machinacye husyckie Szafrańców.

Korespondencya księcia z mistrzem wzmaga się, jakby na dowód, jak bardzo mu obecnie na przyjaźni zakonu zależy. Co dnia niemal biegną gońcy ku granicom zakonnym, wręczając pogranicznym komturom listy książęce do dalszéj odsełki. Marszałek zakonu Henryk Holt należy do zaproszonych na uroczystość wrześniową dostojników zakonnych, jako znawca kraju i języka litewskiego. Kiezgajłło starosta Żmudzki, otrzymał stosowne rozkazy, aby na granicy oczekiwał przybycia w. mistrza i starszyzny zakonnéj. Mistrz otrzymał zachęcenie, aby okrętem raczéj na Ragnetę aniżeli konną na Grodno odbyć podróż; wiedział, iż począwszy od granicy Litewskiéj liczni książęta jeden po drugim począwszy od ks. Swidrygiełły i Zygmunta Kiejstutowicza, będą mu dodawani do świty; wiedział i o tém, że Witołd nie pozostaje już w korespondencyi z Jagiełłą i że grobowa pomiędzy nimi nastała cisza, że obie strony udają obojętność, to téż mógł sądzić, że chwila krytyczna już się zbliża. To wszystko wiedział Rusdorf od Witołda i z upragnieniem w duszy wyczekuje jakiejś katastrofy, jakiegoś zajścia, które dałoby powód do wojny pomiędzy Polską a Litwą, gdyż doniesiono mu, że poselstwo Zygmuntowe jest w drodze i że równocześnie Polacy stoją na granicy by je pojmać. Że tajemna radość mistrza połączoną była z trwogą i obawą—niepotrzebujemy bliżéj uzasadniać—to téż niczego stanowczego nie odpowiada on Wiłdowi o swym przyjeździe.

Przewiduje to Witołd i dorozumiewa się powodu milczenia ze strony Rusdorfa. Zjazd, bądź-co-bądź, nastąpić musi a z nim i koronacya jeśliby posłowie Zygmunta na czas oznaczony przybyli. Witołd atoli już podtenczas wiedział, że posłowie ci nieprzybędą i że król Zygmunt z rozmysłem wysłał ich drogą lądową, gdyż w ten tylko sposób można było uskutecznić skandal na granicy polskiéj. Aleź sam zjazd licznych książąt i wasalów Litwy przywiedzie kancelaryą polską do upamiętania i zmusi króla do układów, sądził mądry znawca ludzi i stosunków—Witołd; gdyby tylko mistrz przybył, gdyż nie przyjazd jego mógłby go narazić na wstyd i upokorzenie w obec Polski. Witołd postanowił tedy wywierać presyą na mistrza za pomocą listów, które pozwalały zakonowi mieć jakąś nadzieję, że separacya nastąpić może i tém zmusić go do przybycia. Uwiadamia go przeto na dniu 13 Sierpnia, że król Zygmunt z pewnością przyśle koronę na oznaczony termin, a że Polacy będą wzbraniać poselstwu przejścia przez granicę, mogłoby to zatrzymać mistrza w Malborgu i przeszkodzić zamierzonéj podróży. Przyznaje to książę sam i pisze daléj: Kochany mistrzu! Gdyby nawet z powodu niedających się dziś

przywidzieć przypadków, nasza koronacya miała być opóźnioną lub doznała przeszkody, tak żeby na omówionym terminie nie przyszła do skutku, to pomimo to upraszam Was usilnie, zechciejcie do nas przybyć na termin. Zechciejcie przybyć bez względu na to, czy przybędą posłowie Zygmunta czy téż nie, abyśmy pomówić mogli o kwestyach naszych wspólnych, gdyż wielu książąt i przyjaciół naszych będzie obecnych. A gdyby jakimkolwiek bądź sposobem koronacya nasza doznała zupełnéj przeszkody, to chcielibyśmy się z przyjaciółmi naszymi naradzić, abyśmy obronić się mogli od możliwego napadu ze strony wrogów naszych. A chociaż nie mam zamiaru na nikogo napadać, mam jednakowoż własną obronę na umyśle, jak np. względem króla Polski, który nas i kraje nasze poniża, wkłada na nas jarzmo niewoli—a my nie chcemy być niewolnikami lecz ludźmi wolnymi. To też nie zamyślamy wieść wojny przeciwko królowi Polski, lecz bronić się gdy nas napadnie...

...Doniesiono nam, jako król Polski wypuścił Kraskę z więzienia; wiedźcie, że on tak ustnie jak pisemnie a nadto przez posłów i dokumenta zaręczył nam, że Kraskę nigdy nie wypuści z więzienia. Nadto często mówiłem królowi, że ma do wyboru albo żyć z Kraską albo z nami—a skoroby go wypuścił z więzienia, postrada naszą przyjaźń. Wy zaś dobrze wiecie za co to ów Kraska był uwięziony. Skoro go tedy na wolność wypuścił król, wnosimy stąd na pewno, że już nie chce ani zamyśla żyć z nami w przyjaźni.

List ten miał na celu poddać mistrzowi iskrę nadziei, pod względem tajnie żywionych myśli separacyjnych i zachęcić do gorąco oczekiwanéj przez księcia podróży. Z tém wszystkiém mistrz nie tak rychło dał się przekonać ponętnym i pięknym słówkom Witołdowych listów. On poczuł całą fatalność następstw, gdyby poselstwo Zygmuntowe wywołało kolizyą pomiędzy krajami Polski a Zakonu i spodziewał się jakiegoś stanowczego kroku ze strony Witołda, jak propozycyi aliansu na podobny wypadek. Tymczasem Witołd nie wyklucza możności takiego aliansu, ale żąda aby mistrz przybył wpierw do Litwy, gdzie dopiéro będzie się można naradzić nad wspólnemi interesami. Jakżeż atoli miał tam jechać, gdy na granicach polskich zbrojne stały hufce—gdy już dokładnie komturowie graniczni wiedzieli, że Polacy granice od Nowéj Marchii silnymi obstawili czatami i że jacyś posłowie Zygmunta już się prawie zbliżali do granic. Komturowie, poddani zakonu z trwogą patrzyli w przyszłość i zdawali się wzajemnie pytać „co to będzie.“ Jakżeż w téj stanowczéj chwili miałby mistrz wyjeżdżać. Było to w połowie Sierpnia 1430 r. W téj krytycznéj chwili postanowił mistrz zaapelować do starszyzny zakonu. Najdoświadczeńszy z komturów, komtur z Christ-

burga odradzał mistrzowi podjęcia podróży na Litwę. „Pomnij—pisał on do wielkiego mistrza, że stosunki zakonu są tego rodzaju, iż niedozwalają na twój wyjazd. I tak już wysyłasz tamże marszałka zakonu z komturem Toruńskim. Mojem zdaniem najlepiéj byłoby pozostać w domu a dać marszałkowi pełnomocnictwo do zastąpienia się, pokierowawszy w poprzód w ten sposób sprawą, aby jak najrychléj z poselstwa wywiązać się mogli, lub żeby przynajmniéj komtur Toruński, będący zarazem sołtysem, napowrót powrócił. Zresztą z załączonych kopij listów Witołdowych widzę, że on pisze tylko o zjeździe a o koronacyi niczego (stanowczego) nie wspomina; a i poselstwo zdążające z koroną nie mogłoby w żaden sposób stanąć na termin w Wilnie. W końcu Witołd powinienby się jaśniéj tłómaczyć—według rady komtura z Christburga—którą przyjął w. mistrz i zgodnie z nią sobie postąpił. W parę dni późniéj marszałek zakonu i znany nam komtur Toruński byli już w drodze do Litwy.

Witołd odczuwał czego po nim żądają Krzyżacy i wiedział, że jeżeli nie napisze wprost, że zamierza się koronować, mistrz zakonu na czém mu najbardziéj zależało—nie przybędzie do Wilna. Już na dniu 16 sierpnia zaszła okoliczność, z któréj mógł w téj mierze skorzystać i zadowolnić miłość własną zarówno jak i interesowność zakonu.

Dnia 16 sierpnia rano, przybył podkomorzy Andrzej poseł królewski na dwór Witołda do Dorsuniszek. Poseł na klęczkach powtarzał swą legacyą, na mocy któréj, król Jagiełło prosił, błagał i zaklinał księcia, aby odłożył termin koronacyi, która jak mu donoszą miała się odbyć na dniu 8 września i ażeby przed tym terminem mógł się odbyć zjazd osobisty króla z księciem, Jagiełło ofiarowywał ze swéj strony wszystko to uczynić czegoby w. książę zażądał, że król nawet własną koronę chce odstąpić księciu, któremu się wraz z dziećmi swémi i państwem poleca i w opiekę oddaje, tak iż będzie mógł z nim uczynić co mu się tylko podoba, byleby tylko uczynił zwłokę z koronacyą.

Witołd na tę propozycyą odpowiedział, że terminu zjazdu nie przedłuży i doniósł o tém mistrzowi, aby go zmusić do natychmiastowéj podróży.

Cóż to, zapytamy spowodowało tak nagłą przemianę w umyśle królewskim? Wszakżeż nie pisywali do siebie od paru miesięcy a Witołd, nie otrzymując nawet odpowiedzi na swe pisma, oświadczył, iż niema wcale ochoty przerywać téj błogiéj ciszy i żałowałby nawet na ten cel pióra i atramentu. Król zaś zdawał się być całkowicie zawisłym od swych zauszników, którym zawdzięczał tę groźną

sytuacyą. Stronnictwo Szafrańców uchwaliło—takby się zdawać mogło—wydać wojnę Witołdowi gdyby się poważył koronować i w tym celu obstawiło granicę Mazowiecką od strony litewskiéj a Witołd, w odpowiedzi na to, nakazał również wzmocnić załogi pogranicznych zamków. Z obu stron czekano hasła wojny, tém prawdopodobniejszego, o ile że wiedziano o terminie koronacyjnym i o podróży posłów Zygmunta. Skoro tedy król w téj stanowczej chwili tak wielce się poniżał w obec Witołda, skoro poseł jego na klęczkach prosił o zwłokę terminu koronacyi, że zresztą król na wszystkie inne warunki Witołda przystaje, to krok taki należy przypisać nietylko łagodnéj i unikającéj stanowczych scysyj naturze sędziwego króla, lecz w równéj mierze i walce zaszłéj w łonie jego senatorów, o któréj niestety żadnych pozytywnych niemamy danych. To pewna, że z chwilą gdy król oświadczał gotowość przystania na warunki obrażonego księcia, Szafrańcy upadli. Wszakżeż jednym z głównych warunków księcia było ich usunięcie. Że atoli nie zwyciężyła partya przeciwna, a więc senatorów przychylnych Witołdowi, dowodzi ta okoliczność, że i w téj chwili jeden z środków zaradczych, a mianowicie niedopuszczenie lub przejęcie poselstwa Zygmuntowego, jak wiemy pomysł Szafrańców, uznano za zbawienny.

Polityka Szafrańców,—polegająca na tém, aby wszelkimi sposoby, chociażby nawet za pomocą tak hazardownego środka jakim była wojna, uzyskać bez względną supremacyą nad Litwą, na zasadzie traktatów poprzedzających unią horodelską a z wykluczeniem ostatniéj,—upada wśród chwili, kiedy to oni rachowali na pewne zwycięstwo. Mężowie którzy ich zastąpili przy sterze polityki, nie pochodzili atoli z obozu ich wrogów, przeciwnie byli to tylko rozważni pośrednicy wśród starcia się stronnictw, nieprzeceniający sił Polski i znający potęgę i geniusz Witołda, mężowie którzy wiedzieli, że jeżeli kolizya nastąpi jeszcze za życia Witołda, niemożna przewidzieć na czyją stronę przeważy się szala zwycięstwa. Ci małopolscy senatorowie, z pośród których niebawem po śmierci Witołda jeden miał stanąć na czele nowego stronnictwa, sprzyjają nawet Witołdowi, wielbią jego cnoty i geniusz, i wiedzą dokładnie, że wszystko to co Szafrańcy o separatycznych dążnościach Witołda mówili, jest fałszem—natomiast podejrzywali Szafrańców, że oni służą za bezmyślne narzędzie jakiejś intrygi Krzyżackiéj i że sami zgotowali rozstrój pomiędzy Polską a Litwą. Taki biskup krakowski Oleśnicki, Tarnowski lub Michałowski posłujący często do Witołda, najdokładniéj obeznani byli z wszystkimi błędami polityki Szafrańców; przekonani oni byli o całkowitéj niewinności Witołda oczernianego przez tychże—wiedzieli atoli, że przyznać się do tego obecnie nie można,

gdyż trudno odwrócić bieg wypadków, które zaszły tak daleko, że przeto trzeba salwować honor królewstwa jakimiś układami, przedłużaniem i zwlekaniem kwestyi—choćby nawet upokorzeniem chwilowem własnego króla. Liczono przy tém na prawość charakteru Witołda, na jego wspaniałomyślność, a wreszcie i na jego wiek i stargane siły, które wkrótce już miały koniec położyć jego żywotowi. W rzeczy samej nieróżnią się przeto panowie małopolscy a pośrednicy w scyssyi stronnictw od Szafrańców w zapatrywaniach na kwestyą supremacyi korony nad Litwą—tak samo jak Szafrańcy nieżyczą i oni korony Witołdowi i zazdrośném okiem patrzą na jego rozwielmożnienie się—różnią się natomiast w doborze środków celem zapobieżenia koronacyi, a pod tym względem są niebespieczniejszymi przeciwnikami Witołda aniżeli Szafrańcy, ślepo wpadający w zasadzkę, przygotowaną przez Zygmunta i Krzyżaków.

W skutek odpowiedzi danéj podkomorzemu Andrzejowi, król Jagiełło, zmuszony był wysłać solenne poselstwo do Witołda z powtórzeniem prośby i kapitulacyi. Jakie okoliczności go znaglały do tego kroku, obaczymy niebawem, jakie atoli scyssye odbywały się po téj odpowiedzi książęcéj w łonie senatu, o tém milczą dzieje. To pewna że Szafrańcy upadli a Oleśniccy, Tarnowscy, Michałowscy i inni magnaci Małopolscy zajęli ich dotychczasowe stanowisko. Jak dalece atoli pewnymi panami sytuacyi i sukcesu swego poselstwa, byli świezi doradcy, Małopolanie, poświadcza ta okoliczność, iż równocześnie z odjazdem posłów do Litwy, wysłano do papieża prośbę, aby wysłał Witołdowi i Jagielle pisma z powinszowaniem uczynionéj zgody, po której kościół ma prawo spodziéwać się zupełnego wyniszczenia kacerstwa. Niestety bulle te miały niezastać jednego z adresatów przy życiu a miał być nim Witołd. Król, we własnéj osobie, wraz z siostrą swą księżną Aleksandrą Mazowiecką, którą w poprzód wysłano miał się przygotowywać do podróży na Litwę.

Był to zresztą ostateczny czas do uczynienia zgody. Dnia bowiem 19 sierpnia forpoczta poselstwa Zygmuntowego, składająca się z dra Babtysty Cigala i Zygmunta Rotha, krzyżaka bawiącego w roli (agenta) powiernika i domownika na dworze Zygmunta, dostała się w ręce czychających na nich Wielkopolan, pozostających pod dowództwem Czarnkowskiego.

W okolicach Człuchowa, posłowie ci przedzierając się ukradkiem przez Polską granicę do Prus, zostali pojmani, obdarci i obici, a po przekonaniu się, że nie wiozą korony, puszczeni na wolność. Mogli tedy zapłakać nad „tą gorzką wolnością i chwilą powrotu“,

gdy w myśl instrukcyi danéj im przez Zygmunta, chcącego wyzyskać gwałtowny i mściwy charakter Witołda, (z téj bowiem strony najbardziéj poznał księcia) narazili się na nielitościwe kije. O obronie bowiem kilkunastu, naprzeciwko od tygodni czatujących setek rycerzy i mowy być nie mogło. Przebiegły Zygmunt zarówno jak i Krzyżacy przewidywali to zajście, z niecierpliwością oczekując wieści o zamieszkach pomiędzy Polską a Litwą, które to zajście powinno było wywołać. Uwolnieni tedy posłowie udali się do komtura Człuchowskiego a ten odesłał ich do w. mistrza.

Zakon truchlał z obawy o „swój honor" zwłaszcza że obawiano się, aby nie znaleziono u owych posłów listów mogących go skompromitować. To téż sołtys Nowéj Marchii, gorliwy o cześć zakonu, a mianowicie aby brudy jego nie wystąpiły na wierzch, posłał swego szpiega do Kalisza, aby się dowodnie przekonać, ażali poderzenia się nie ziszczą. Posłano również i do panów Wedlów z pytaniem dlaczegoby należeli do współki z Czarnkowskimi, celem pojmania posłów króla Rzymskiego. Odpowiedzieli Wedlowie ogólnikowo, że bynajmniéj tego nie uczynili przez złość do zakonu. O tém wszystkiém donoszono natychmiast do Malborga.

Mistrz Rusdorf dowiadywał się równocześnie z innéj strony, że panowie Małopolscy przykładają rękę do uczynienia zgody pomiędzy królem a księciem i że król coś nie bardzo sympatycznego napisał do Witołda o komturze Toruńskim. Nie uspakajały go przeto ani wieści z Mazowsza, skąd się dowiadywał, że najmłodszy książę zwany „Złym" nie złożył Jagielle hołdu lubo był wezwanym do złożenia, ani nowiny z nad granic polsko-litewskich, wróżących wojnę. Rusdorf z obawą patrzał na gromadzące się od strony Człuchowa hufce Wielkopolan, z tajoną uciechą przyjął niefortunnych posłów Zygmunta, gdyż spodziewał się, że gdy doniesie o tém Witołdowi wyczerpie do reszty jego cierpliwość i spowoduje go do zbrojnego wystąpienia przeciwko Polsce. To téż w jaskrawych kolorach malował on kłopotliwe i groźne położenie zakonu, opowiadał o zajściu graniczném i o wojskach gromadzących się na granicy polskiéj, tłómacząc tém, że zmuszony jest pozostać w Prusiech i nieprzyjąć zaprosin księcia.

Witołd tymczasem ani dał poznać, że przenika zamiary mistrza, doniósł mu o odmownéj odpowiedzi danéj posłowi króla Jagiełły a przy téj sposobności napomknął, że i solenne poselstwo, które ma przybyć do Wilna, takąż samą zbędzie odpowiedzią. W ten sposób zdawał się łączyć interesa własne z interesami zakonu a dziękując, że mistrz raczył mu przysłać swych pełnomocników, których przybycia oczekuje, upraszał go usilnie aby sam przybyć raczył. „Gdybyś

przyjacielu nie przybył, mówił Witołd, wieluby podniosło wątpliwość o naszéj przyjaźni, powszechnie bowiem już wiadomo, że osobiście będziesz uczestniczył na zjeździe. Będziemy przecież wspólnie naradzać się nad tém, coby z pożytkiem, szczęściem i z naszą wspólną sławą się łączyło, dlatego upraszam uprzejmie, przybądź przynajmniéj do Kowna na sam dzień 8-go wześnia, jeżeli inaczéj już być niemoże. Tém bowiem wyrządzisz nam wielką przysługę."

Tegoż samego dnia 17 sierpnia donosił mistrzowi i marszałek zakonu że się już w drogę wybiera i nie taił się z tém, że mistrz będzie musiał sam osobiście przybyć. Uczynił on to na żądanie księcia. To téż w parę dni potém (24 sierp.) książę dziękował marszałkowi za gorliwe nakłanianie mistrza do podróży, a używając silnego słowa zachęty i pochlebiając zarazem dumie mistrza dodawał: zapewne z powodu obawy ze strony króla Polski niechce mistrz opuścić Prusy, a przecież zakon niezwykł nigdy obawiać się przed nikim, ktobykolwiek bądź jakie podejrzenia żywił względem zakonu. Posłowie odsyłają list ten do mistrza zachęcając go powtórnie do wyjazdu, z dodatkiem, iż obecnie zupełnie niewiedzą, w jaki sposób mogliby usprawiedliwić jego nieobecność. Gotuj się przynajmniéj do podróży—pisali mu oni—abyś na każdy wypadek mógł ją podjąć; wiedz bowiem, że bez łaski księcia, zakon nasz wieleby ucierpiał i na wielkie niebezpieczeństwa mógłby się narazić.

Dnia 5 września zdecydował się wreszcie mistrz do ważnego kroku—do wyjazdu. Nazajutrz miał wyjechać. Przebiegły mistrz zanim podjął decyzyą, napisał do króla Jagiełły iż jedzie do Litwy w tym celu, aby pojednać króla z księciem. Zapewne że napisał to w skutek wiadomości, według któréj król miał przestrzedz Witołda, aby nie dawał wiary komturowi Toruńskiemu, bawiącemu już pod ten czas na Litwie. A Rusdorf znał powody, dla których król uciekał się do takiéj przestrogi—aby zapobiedz hańbie zakonu, uznał że obecność jego w Wilnie jest konieczną. Równocześnie, żeby ujść podejrzeń ze strony króla, dał sołtysowi Nowéj Marchii dymisyą—zapewne za przygodę posłów Zygmuntowych.

Przed samym wyjazdem jeszcze raz pisał mistrz do Witołda i do mistrza Inflanckiego, malując w całéj grozie trudne swe położenie i nie tając się z domysłem, że Polacy podżegną Husytów do napadu na Prusy, skoroby się im nie udało przejąć korony. W pięć tysięcy koni—donosił mu do Malborga zdegradowany sołtys Nowéj Marchii—czyhają Polacy na Poselstwo Zygmunta wiozące koronę. Poselstwo tymczasem dowiedziawszy się o przygodzie awangardy, cofnęło się z Frankfurtu do Bieskowa, aby tam oczekiwać przybycia

arcybiskupa Magdeburskiego i magnata czeskiego Rozenberga. Na czele poselstwa stali książęta Ludwik z Brzegu i Przemko Opawski, niemający wcale ochoty narażać się na niebespieczeństwa połączone z przejściem przez Polską granicę—mieli się tedy z arcybiskupem naradzić jaką by inną drogę obrać należało, aby zdążyć do Litwy z koroną. Mistrz Rusdorf niemógł im pod tym względem dać wskazówki udając się w daleką podróż do Litwy.

Witołd podejmował na dniu 8-go września w Trokach wielu gości, przedewszystkiém książąt wasalów Litewskich, Ruskich i Tatarskich, posłów obu mistrzów. Przybyło i poselstwo polskie, aby uroczyście i powtórnie na klęczkach błagać księcia o odłożenie terminu koronacyi, że na wszystkie zresztą inne żądania książęce, król się zgadza. Obecnych było wielu ze szlachty polskiéj, zwolenników i przyjaciół księcia, którzy pokryjomu przekradłszy się przez polską granicę, zdążyli na uroczysty dzień do Litwy.

Witołd mógł być szczęśliwym, wszakżeż święcił dzień zwycięstwa nad swymi politycznymi wrogami! Nie, zwycięstwo to nie jest jeszcze zupełném, punkt co do koronacyi pozostaje w zawieszeniu. A nadto Witołd musi układać minę jakby żadnego nie miał zmartwienia, gdy tym czasem największy niepokój owładnął nim, gdyż niewiedział niczego o posłach Zygmunta, on musi na pozór odgrywać rolę szczęśliwego, a tu lada chwila lada wiadomość o scyssyi granicznéj o przejęciu korony a wszystko mogło być straconém. Już wiadomość o przejęciu pierwszych posłów oburzyła go do żywego i czuł się on tak upokorzonym, tak nieszczęśliwym, jakby w owéj fatalnéj chwili na zjeździe Łuckim. Zapewne że książę wnet przyszedł do siebie aby zapanować nad sobą—ale staczając tę walkę olbrzymią wpadł w zgryzotę, która wkrótce miała go przyprawić o śmiertelną chorobę—i książę nosił już zarodek śmierci.

Z tém wszystkiém Witołd nie dał poznać po sobie jak wysoce dotknęła go ta wiadomość. W obec natarczywych wiadomości mistrza, zapytywał on posłów polskich, czy król nie zamyśla wszcząć wojny z zakonem, gdyż wojska Polskie stoją na granicach zakonu. Odpowiedziano mu, że Wielkopolanie mają nakaz nie przypuścić korony i dlatego tłumnie zebrali się na granicach Nowéj Marchii. Witołd tego samego dnia jeszcze uwiadamia o téj odpowiedzi Rusdorfa, zaręcza, że Polacy nie napadną na Prusy i dodaje, że na żądanie zjazdu z królem Polskim, odpowiedział posłom, iż zgodziłby się na nie byle wiedział w jakim celu mianoby się zjeżdżać. Prosił aby zakon wręczył poselstwu Zygmunta glejt bespieczeństwa przez Prusy a w końcu o przyśpieszenie podróży. Witołd prócz wielu innych bolesnych

skrupułów żywi jeszcze takowy co do przyjazdu mistrza, na który liczne zebranie książąt zdaje się wyczekiwać.

Mistrz jechał ale skarżył się ustawicznie, a książe tak był rozdrażnionym, tak wątpliwym co do jego przybycia, że jeszcze na dniu 10 września zbijał podejrzenia a zarazem upraszał mistrza aby poselstwo Zygmunta inną drogę obrało i ominęło straże polskie. Tegoż samego dnia jeszcze wysłał książę drugi list Rusdorfowi, ręcząc że Polacy tylko grożą zakonowi, w istocie zaś ani myślą napadać na zakon. Niedoniósł mu atoli tego o czém marszałek równocześnie pisał, że książę odroczył termin koronacyi na święty Michał.

W istocie, książę w obec faktu że korona na termin nie przybyła, odłożył tenże na św. Michał. Posłowie zakonu, którym głównie na koronacyi zależało, upraszają księcia aby i przyjazd mistrza raczył odroczyć na tenże termin. Witołd pozornie nie dając wiary ostrzeżeniom króla Jagiełły, co do chytrości i podłoty zakonu, miał obecnie znowu przykrą sposobność przekonania się o co właściwie szło Rusdorfowi. Jakżeż wielce interesuje się zakon losem mojéj korony— sądził ironicznie książę, ale niedał po sobie tego poznać i chłodno z największym spokojem odpowiedział posłom zakonnym, że życzeniem jego jest aby mistrz natychmiast zdążył do Litwy—a skoro przybędzie, natenczas naradzą się coby pod względem koronacyi przedsięwziąść należało. „Gdybym bowiem nawet posiadał obecnie ową koronę, mówił książę—tobym jéj nie włożył na skronie bez rady i woli wielkiego mistrza.“

Komplement ten przyjęli posłowie za dobrą monetę, nie sądząc nawet, że książę przenika ich bezczelne zamiary. Pracując nad zerwaniem unii, życzyli sobie zajścia granicznego z poselstwem Zygmunta wiozącym koronę i zapytywali mistrza, coby im uczynić należało w tym wypadku, gdyby skutkiem takiego zajścia przyszło do akcyi wojennéj, czy mają pozostać na Litwie czyli podążyć z powrotem do Prus.

Mistrz pomału zdąża ku granicom Litewskim dokąd już przybył dr. Baptysta Cigala i Zygmunt Roth towarzysz niedoli, aby zdać księciu najdokładniejszą relacyą z niesłychanie oburzającéj przygody, jakiéj doznali na granicy polskiéj. Przygotowany na to wszystko Witołd, nie dał nawet pozoru, jak boleśnie dotknęła go ta przygoda. Natomiast pragnął zniweczyć podstępny zamiar króla Zygmunta i uprosił Baptystę, aby napisał do swych towarzyszów poselstwa, ażeby albo się cofnęli albo inną jaką drogę obrali, któraby im dozwoliła ominąć straże polskie i nie narażać się na widoczne niebezpieczeństwo.

Baptysta, powolny prośbie księcia, wnet po przybyciu (na dniu 13 września) wysyła żądaną prośbę z Trok do Frankfurtu, a wnosząc z tego że książę trwa w zamiarze koronacyi, począł rozdmuchiwać płomień zbolałéj jego ambicyi. On to bowiem miał poruczenie od Zygmunta usunąć wszelkie wątpliwości jakie się nasuwały księciu pod względem przyjęcia korony, miał usprawiedliwić spóźnienie posłów, miał uskutecznić odłożenie terminu—zaspokoić księcia i napoić go otuchą, że na święty Michał korona niechybnie przyjdzie.

Witołd układał twarz jakoby był najlepszéj myśli, wszelako w duszy odczuwał gorycz i strapienie, na które uczony prawnik, powiernik planów Zygmunta, nieprzenikając myśli księcia, wcale nie umiał znaleść lekarstwa. Z każdym dniem mnożyła się liczba gości. Na dniu 16 września przybywają wielcy książęta Moskwy i Tweru z wielu innymi książętami, a o posłach Zygmunta ani słychu; dochodzą tylko głuche i trwogą napawające wieści—tłumiące ostatni promyk nadziei. O mistrzu—domyśliwał się książę, że powinien był w tym czasie opuścić Labiów, w którym tenże od 5 dni oczekiwał pomyślnych wiatrów do żeglugi. Na dniu 17 września napisał książę do Rusdorfa, iż wyczekuje go z niecierpliwością i niezaniedbał dodać, że gdy Polacy zamierzają orężem wzbronić posłom Zygmunta wstępu do Prus przez Nową Marchią, to przecież posłowie nie powinni obierać téj drogi, ale udać się przez kraje księcia Słupeckiego.

Niepokój księcia pod tym ostatnim względem wzrastał z każdym dniem. Już z relacyi posłów polskich, wiedział bardzo dobrze, że hufce Wielkopolan, w miejscu zwaném Turza góra, czatowały na poselstwo a z wielu danych domyśliwał się a nawet miał przekonanie, że Zygmunt umyślnie wskazał posłom tę niebespieczną drogę. Skoro tedy poselstwo, nie zważając na prośby książęce ani na listy Baptysty lub w. mistrza, zechce wpaść w ręce Polaków wśród krwawéj bitwy, nie będzież to początek katastrofy? Nie wywołaż to nowych trudności i zawikłań, których on tak starannie uniknąć pragnął. Bartłomiéj pisarz, będący przy poselstwie, powinien był według rozkazu Witołda być już w Litwie, a tu pogłoski dochodziły, że wpadł on w ręce czat wielkopolskich.

Na poufném posłuchaniu oświadcza kiążę bawiącym u niego posłom zakonnym, że go to wielce dotknęło iż Bartłomieja pochwycono. Użył on tego wynurzenia się za pretekst, by znaglić mistrza do rychlejszéj podróży i do tego stopnia uwiódł przebiegłych lisów zakonnych, iż ci (na dniu 19 września) napisali do mistrza, że ze słów księcia wnioskują, jako on z powodu przeszkód stawianych posłom króla Zygmunta przez Polaków, zapewne uskuteczni z mistrzem ja-

kiś akt wzajemnych zobowiązań się, któryby atoli nie stał na przeszkodzie pokojowi wiecznemu.

Jakżeż atoli miał mistrz znaglać i przyśpieszać swą podróż z Labiowa, skoro zewsząd najniepomyślniejsze dlań wiatry wiały, a zwłaszcza z granic polskich. Wysyłał on śpiesznych gońców do wojsk wielkopolskich z zapytaniem, jakie by były ich zamiary; odpowiedziano że oczekują poselstwa Zygmunta a względem zakonu zachowują się przyjaźnie. Drugą razą odpowiedziano mu znowu „że w danym czasie dowie się, ażali nie żywią nieprzyjacielskich zamiarów." To samo pisał i król Jagiełło w odpowiedzi na list mistrza, datowanéj z dnia 16 września. Wprawdzie już dwukrotnie dziękowałem wam mistrzu—pisał król—za szczére wasze chęci celem pogodzenia nas z wielkim księciem, cóż kiedy niestety na tych dobrych chęciach tylko się skończylo. Teraz udaje się mistrz po raz trzeci na zjazd z księciem, wysławszy naprzód swych posłów, lecz ci posłowie właśnie donoszą mu, że niczego dotychczas nie uskutecznili. Król nie polecił swemu sekretarzowi Andrzejowi, ostrzegać wielkiego księcia by nie dawał wiary komturowi Toruńskiemu, jak to zresztą tenże Andrzej w obec księcia gotów jest oświadczyć. Wszakżeż wielu książąt ubiegało się o to aby pojednać króla z księciem, lecz król wszystkim im odmówił, gdyż ufa tylko zakonowi, przenosząc ofiarność i przyjaźń zakonu nad wszystkich innych, dlaczego téż król uprasza mistrza, aby o ile to w jego możności jest, raczył uskutecznić iżby król mógł żyć z księciem w dawnéj przyjaźni. Co się tyczy posłów króla Zygmunta, których przejęto na granicy potém zaś wypuszczono, to król bawiąc podówczas na polowaniu nie mógł zapobiedz wypadkowi—zresztą wypuszczono ich i oddano przyaresztowane rzeczy. „Ale co gorsza, dochodzą do nas słuchy, kończy król—że pewni nieprzyjaciele nasi, chcący oderwać od nas nasze kraje, zamierzają przejść przez wasze kraje zakonne. Dziwi nas to bardzo, że się ich przejściu nie sprzeciwiacie, gdyż zapisy nasze dokumentalne, niedozwalają wam przepuścić tych wrogów przez Prusy. Dlatego prosimy was, abyście nie dozwolili im przejścia, gdyż toby mogło nadwyrężyć naszą wspólną przyjaźń i wielką podnieślibyśmy wątpliwość co do waszéj bezinteresowności, gdybyście zezwolili na to, co wprost wbrew prawom naszéj korony zmierza—którym to często pogłoskom trudno nam dawać wiary."

Mistrz otrzymał tę dyplomatyczną przestrogę na ziemi litewskiéj. Dnia 24 września był on w Kownie a w poniedziałek (25 wrz.) oczekiwał go Witołd w Trokach.

W miarę jak mistrz Rusdorf zbliżał się ku granicom litewskim zbliżał się do nich i król Jagiełło. Wysłał on tamże księżnę Mazo-

wiecką, powtarzał przez jéj usta przyjęcie wszystkich warunków zgody, jakie tylko podyktuje książę, oddawał mu własną koronę i kazał poufnie zapytać, że jeżeliby żądał korony w dożywocie tylko, to on może na to zezwolić, pod warunkiem że ta korona spadnie po śmierci księcia na królewskiego syna. Obawa króla była niezwykłą a nowi doradzcy wcale jéj nieuspakajali—ufni, żę książę da się przebłagać, że opuści zamiar, i że oni skutkiem tego wyrosną wobec opinii królestwa na większych jeszcze bohaterów, aniżeli przed chwilą byli nimi panowie Szafrańcy. Oleśnicki znał dokładnie charakter księcia i błędy Szafrańców.

Obawę króla wzmogła jedna jeszcze okoliczność. Zaczęto głośno mówić, że król Zygmunt nakazał poselstwo swe wesprzéć siłą zbrojną i przeforsować przejście przez Nową Marchią do Prus. •Król obradował podtenczas z kilkoma senatorami nad odpowiedzią Witołda, którą przyniósł Małdrzyk. Brzmiała ona: że książę ma obecnie zjazd u siebie, a jeżeli król sobie tego życzy może zjechać do Wilna i być tegoż uczestnikiem. Obawiając się aby pogróżki Zygmunta nie spełniły się, coby tylko pogorszyło sytuacyą, przyjął lakoniczną odpowiedź Witołda za zaproszenie, i pomimo uporu niektórych senatorów zdecydował się pojechać do Wilna. Był to krok według niektórych z rady bardzo hazardowny; tém wyżéj stanęli tedy w opinii powszechnéj ci senatorowie, którzy postanowili królowi towarzyszyć w podróży. W senacie podziwiano cywilną odwagę Oleśnickiego i Tarnowskiego, jadących wraz z królem do Litwy, by zatrzéć błędy polityki Szafrańców—tłumy, mniemające że zamiar separacyjny Witołda zbliża się ku wykonaniu, unosiły się nad obrońcami ojczyzny i praw koronnych. Szczególniéj drobna szlachta Wielkopolska, pyszna, że jéj przypadło w udziale bronić koronę od wrogów, unosiła się nad nowymi bohaterami, butna jéj postawa wzrosła do tyla, że poselstwo króla Zygmunta cofnęło się do Bieskowa, oczekując posiłków;—nie miało ono ochoty przeforsowywać przejścia przez granicę.

Liczni goście bawią u Witołda, gdy król Jagiełło w pierwszych dniach października zapowiedział przyjazd do Wilna. Tu bowiem podejmował książę liczną rzeszę przyjaciół i hołdowników swoich, znacznie już złamany ustawiczną walką z samym sobą, zgryzotą i troską o całkowitą rehabilitacyą honoru i sławy swego imienia. Jedni z jego przyjaciół nie dostrzegali tego, drudzy zdawali się niedostrzegać i poczynali znosić się tajemnie z księciem Swidrygiełłą.

Król Jagiełło nadaremnie oczekiwał u Niemnowego mostu aby go tamże według zwyczaju powitał Witołd. Zamiast przybyć osobi-

ście wysłał on tamże swoich książąt i szlachtę aby poczcili króla i brata. Gdy atoli król (na dniu 9 października) zbliżał się do Wilna, wyszedł na milę przed miastem naprzeciw niemu Wiotłd z liczną swą świtą, w pośród którėj pierwsze miejsce zajmował mistrz Rusdorf, poczém dopiéro wielcy książęta Moskiewski, Twerski książęta Rjezańscy, posłowie hana tatarskiego itd. Przyjęcie było wspaniałe i serdeczne, jakby bracia żadnych wzajemnych uraz nie mieli, Witołd po dawnemu ściskał i całował brata swego króla Jagiełłę—który się tak wielce przed nim upokorzył—a pomimo to tak szczérze się radował, widząc Witołda, iż zdawał się nie czuć upokorzenia, które atoli dokładnie widzieli Krzyżacy i liczny orszak książąt, wasalów litewskich. Nazajutrz rano król z senatorami swymi zeszedł się z Witołdem, otoczonym również swą radą, a liczni goście jak Rusdorf ze swą świtą, posłowie tatarscy, książęta ruscy, byli świadkami tego posłuchania. W obecności dostojnych gości zażądał Witołd napowrót tego czego mu król w Łucku odmówił, a mianowicie wręczenia kompromisu w sprawach spornych z Zygmuntem i z zakonem. Nadto zażądał on związku wspólnego z Zakonem i Zygmuntem przeciwko Husytom, w końcu aby król zezwolił mu wziąść koronę od króla Zygmunta, który mu ją obecnie przysyła.

Jagiełło przystał na pierwszą część postulatów, atoli pod warunkiem, żeby książę zaraz do Zygmunta napisał z zapytaniem, czy tenże obecnie przystaje na kompromis i czy zechce w tym celu posłów z pełnomocnictwem przysłać i kiedy. Warunek ten znać dobrze był umotywowany, gdy go książę przyjął i według niego umyślił postąpić. Co do koronacyi odpowiedział król, iż odkłada decyzyą aż do zjazdu panów korony Polskiéj, do których téż natychmiast wysłał posła, aby zasięgnąć ich decyzyi.

Witołd odniósł większą połowę zwycięstwa. Wspaniałomyślny, nie okazał tego Jagielle, jak wielce tenże poniżyć musiał królewski majestat, aby odzyskać przyjaźń księcia i naprawić błędy zasiane przez Szafrańców, z których swoi i postronni wrogowie, tak Polski jak i Litwy, wielką korzystać mieli ochotę. Doświadczony polityk i znawca charakterów, postanowił on dobrocią i sprytem pozyskać to, czego mu na przebój uzyskać się nie udało. Mówiono, że książę usiłował przekupić polskich senatorów, że prośbą i namową pozyskać chciał ich głosy.

Sesya atoli nie odbyła się bez epizodu świadczącego, że senatorowie Polscy, czy z konieczności czy dla konsekwencyi pojmowali i teraz koronacyą jako akt sprzeciwiający się prawom koronnym, a jeżeli księciu nie przypisywali obecnie separatycznych dążeń, to na pewno twierdzili, że do takiéj separacyi dążą Krzyżacy, król Zygmunt

i że żywiołu do urzeczywistnienia téj myśli znajdą dość na Litwie. To też gdy Rusdorf oświadczał wobec dostojnego zgromadzenia, że celem jego przyjazdu jest chęć pogodzenia króla z księciem—wiemy pod jakim naciskiem wymawiał te słowa--zaprotestował temu Zbigniew biskup Krakowski, oświadczając „iż Polacy posiadają w przejętych od Baptysty i Rotha listach dostateczne dowody, jakiego to rodzaju przejednania i przyjaźni pragnie mistrz pomiędzy Witołdem a Jagiełłą.“ Witołd taktownėm postąpieniem miał zapobiedz skandalowi.

Rola mistrza, jaką z musu odegrywał była dlań nadto nieprzyjemną aby miał grę jéj przedłużać. Przystąpiwszy uroczyście do kompromisu i do związku antihusyckiego, wyniósł się czemprędzéj do Prus, aby konspirować poza plecyma Witołda ze Świdrygiełłą i chlubić się w obec papieża i kuryi, że on to głównie przyłożył ręki do tego chwalebnego dzieła. Bazyliszek z zadrości pękał, że świetne plany zakonu zniknęły jakby widziadło—pozostała mu tylko nadzieja. Wyjazd mistrza spowodowały także częste przestraszające wieści z nad granicy polskiéj, a mianowicie, że król Zygmunt postanowił swe poselstwo wesprzeć siłą oręża. Gdyby wskutek tego zaszła walka graniczna, wypadek taki mógłby pociągnąć za sobą niedające się dziś przewidziéć ani obliczyć skutki, a kto wie jakby na tém wyszedł zakon, który uważał za stosowne nie liczyć obecnie na Witołda.

Że mistrz Rusdorf w istocie nie miał potrzeby liczyć na Witołda, pouczały go o tém wyrzuty jakich książę nie szczędził królowi Zygmuntowi, że tenże przez jakieś wahanie się i brak decyzyi, w wątpliwości i zawikłania poplątał całą sprawę koronacyjną i z niewiadomych powodów koronę na oznaczony termin nie przysłał. To też w istocie Witołd był gniewny na Zygmunta i z niedobrze ukrywaną goryczą pisał doń (na dniu 13 października z Trok) z wyrzutami że onto jest właściwie winien iż koronacya nie nastąpiła. Przypomniał bowiem Zygmuntowi iż on kilkakrotnie tak listownie jak przez posłów zaręczał, iż na termin 8-go września, czy to się komu podoba lub nie koronę przyśle, i że wskutek tych zapewnień książę więcéj dla przyjaźni króla Zygmunta jak dla czego innego postanowił się koronować, zaprosił dostojnych gości na uroczystość, a tu miesiąc cały już upływa a korony jak niema tak niema. Z królem polskim zgodził się książę w sprawie kompromisu, a teraz żąda od Zygmunta odpowiedzi, czy i on na tenże kompromis przystaje jak to dawniéj chciał uczynić,—a zaręcza mu, że nie pogodzi się nigdy z królem Jagiełłą ani też zawrze z nim jakowego układu w ten sposób, aby nie miał baczenia na interesa króla Zygmunta. W sprawie koronacyi

król Jagiełło odpowiedział, że będzie wyczekiwać decyzyi swoich senatorów i panów koronnych — książe atoli bądź co bądź nie zgodzi się na nieprzyjmowanie korony. Koronę tę nie potrzebował król Zygmunt tak solennemu poruczać poselstwu, dlatego niechajby ją w sekretniejszy sposób przysłał, przez co uniknie upokorzenia i wstydu i wielkich wydatków, jak to w obecném zaszło wypadku...“

List ten dokładnie maluje stan duszy Witołda. Książe nie może nawet dyplomatycznego listu ominąć bez wylania goryczy żółcią zaprawiającéj każdą myśl jego. On jest przekonany o nieszczerości i intrydze Zygmunta, a przecież z całą szczerością odkrywa swe rany i żąda odeń lekarstwa, zaspokojenia zranionéj ambicyi, upokorzonéj dumy, przyćmionéj sławy—on żąda korony. Prawda, że równocześnie oskarża Zygmunta wprost o jakąś podejrzaną niedecyzyą o niezrozumiałe i niedające się wytłómaczyć wahanie się—a pomiędzy wierszami kanclerz Szlick pewno dostrzeże zarzut.... podłoty... Witołd jakby czuł, że zwycięstwo jego nie może zostać połowiczném, że będzie wtedy całkowitém, gdy włoży na swe skronie koronę. To dążenie nie pozwala mu być całkowicie otwartym, całkowicie szczerym tak wobec Zygmunta jak i wobec Jagiełły i gdy pierwszemu zaręcza baczenie na jego węgiersko-polskie sprawy w sądzie kompromisarskim, to równocześnie przyrzeka Jagielle, iż bez kwestyi przysądzi ziemię Ruską koronie polskiéj. Tak samo wobec Krzyżaków postępuje Witołd: oświadcza bowiem królowi, iż pod względem spraw spornych z Krzyżakami zaspokoi on całkowicie pretensye Polskie, jak to żądali mieć Wielkopolanie. Czyż te tajne przyrzeczenia nie znamionują nieszczerości księcia i czyż nie można posądzić księcia, że on, dążąc do całkowitego zwycięstwa, używa je jako środka celem pozyskania konsensu Polaków w sprawie koronacyi. Umiemy usprawiedliwić to postępowanie, lecz czyż ono jest zatém godném Wielkiego Witołda?

Cobykolwiek sądzić można o téj nieszczerości, to pewna, że jest ona znamieniem walki, jaką Witołd stacza z sobą samym. Skutkiem niéj, jest Witołd w przededniu śmiertelnéj choroby, jakiéj już nie mogło wytrzymać wątłe i zgrzybiałe jego ciało.

Widziano tę walkę wewnętrzną w otoczeniu księcia. Jagiełło jak mógł koił zranione serce Witołda; ukorzeniem swém, szczerością i powrotem zaufania ratował starzec starca, zrabowany i wyzuty z władzy wyzuwanego z téjże, wielki przez szczęście monarcha wielkiego męża przez własne zasługi. Król czuł jak każde jego słowo, każda nowina o koronie odnawia zabliźnione rany księcia, odnawia walkę wewnętrzną, najwznioślejszy i poważny łamie umysł... podczas gdy król sam boleć musiał lub udawał, że boleje... chociaż sam był tu winnym...

Bo czy mówiono o podłym zakonie, czy wykrywano intrygę komtura Toruńskiego i oszczerstwa rzucone przez tegoż na dzieci królewskie, czy wykrywano podły plan Zygmunta i współudział w nim Rusdorfa, Witołd udawać musiał, że niewierzy temu, on musiał w obec Jagiełły usprawiedliwiać zakon, bronić dobréj sławy Zygmunta. Potwierdzając bowiem podejrzenia, musiałby chyba przyznać w obec brata, któremu błąd Łucki w całości przypisywał, że i jego samego nikczemnie oszukano, jego Witołda, który od czasu wielkich dni swego wielko-książęctwa nigdy w życiu tak zdradliwie nie dał się oszukać. Świadomość i przekonanie o tém a udawanie jakoby się temu nie dawało wiary, zabijały Witołda przyprawiając go o śmiertelną chorobę, gdyż on wobec samego siebie symulował, jakoby nie był oszukany i że cały błąd leży po stronie Jagiełły i upadłych Szafrańców.

Walkę wewnętrzną księcia podsycała niepewność co do posłów wiozących koronę. Królowi Jagielle donoszono z Wielkopolski, że król Zygmunt chce siłą mocą przeforsować przejście poselstwa do Prus i że to mogłoby wywołać krwawe starcie graniczne. Proszono o jak najśpieszniejsze instrukcye. Jagiełło uznał za konieczne wieścią tą zakrwawić serce Witołda.

Witołd niezapomniał zwykłéj energii. Napisał on najsamprzód krótko do posłów Zygmunta, aby się wrócili do domu. Do Zygmunta zaś napisał: „Donoszą obecnie królowi Polski, że w. kr. mość zamierzasz poselstwo swe wesprzeć wojskiem z Niemiec, aby je przemocą z Frankfurtu nad Odrą do Prus przeprowadzić. Oczywista, że Polacy nie omieszkają uzbroić i przygotować się ze swéj strony i może nastąpić krwawe zajście graniczne, a stąd większe tylko powstaną różnice i spory pomiędzy Wami a królem Jagiełłą. Gdy ja atoli inaczéj już z rzeczonym najukochańszym mym bratem postanowiłem w téj sprawie, jak o tém w poprzednim liście do w. kr. mości pisałem, proszę was usilnie, abyście nie zechcieli wspierać swych posłów siłą oręża ani téż chcieli ich nam obecnie przysyłać, lecz raczéj oczekiwać, dopokąd Was nie uwiadomimy o naszém zdaniu. Podczas tego bowiem, panowie polscy odpiszą nam w sprawie zezwolenia na koronacyą a spodziewamy się wraz z bratem Jagiełłą w ten sposób załatwić sprawę, że już wkrótce rzeczeni posłowie będą mogli wprost przez Polskę udać się do nas z koroną."

Mistrz zakonu otrzymał kopię listu tego, wraz z przyjacielską prośbą od księcia, ażeby i ze swéj strony raczył napisać do posłów Zygmunta z doradą do powrotu. Prosił go téż książe o podwody dla pisarza swego Domarata, ażeby tenże tém rychléj zwrócił rzeczonych posłów z drogi, gdyż—dodawał—przybycie ich pod obecną

chwilę, byłoby mu bardzo nie na rękę i stawiałoby go w trudném położeniu...

Jeżeli to postępowanie księcia świadczy o stanowczém postanowieniu niekoronowania się w obecnéj chwili, a zatém o ustępstwie na prośby Jagiełły, to znowu wcale nie mówi za tém, jakoby miał on porzucić zamiar koronowania się na zawsze. Przeciwnie, świadczy najwymowniéj, że postanowił wyczekiwać decyzyi senatu koronnego, żył nadzieją uzyskania korony a z nią i całkowitego zadowolenia urażonéj i zbolałéj ambicyi.

Wielki historyk téj epoki, Długosz, jak powszechnie wiadomo, przypisuje tę żądzę koronowania nienasyconéj ambicyi księcia i wyniosłéj żądzy panowania i zapomina snać o tém lub nie chce wiedzićć, że ambicya księcia była wysoce urażoną i że korona miała być zadość uczynieniem dla w. księcia Litwy, jeżeli honor jego i całéj Litwy nie miał być na szwank narażony. Długosz nie chce o tém wszystkiém wiedzićć, gdyż musiałby zarazem okazać i odwrotną stronę medalu, musiałby opowiedzićć o błędach króla i kanclerskiego stronnictwa, a on usiłuje poczytać senatorom sprzeciwiającym się koronacyi krok ten za największą zasługę, za to co wielkie i godne zapisania na kartach dziejów Polski.

Z tém wszystkiém nie przeczymy, ażeby Witołd nie miał używać wszystkich możliwych łagodnych sposobów do pozyskania upragnionéj korony. Jagiełło, zapewne za doradą Zbigniewa, widzącego zbliżający się koniec życia książęcego, robił nadzieję i co do swéj osoby dał nawet zezwolenie, pod warunkiem, aby korona przeszła po śmierci księcia na syna królewskiego i żeby to dokumentnie było utwierdzone. Złamany na ciele książe, rozbolały zwłaszcza gdy mu się fistuła otworzyła, chwytał się i iskierki nadziei. Ten wielki Witołd na łożu boleści, był tylko ambitnym Witołdem, pomnym jedynie na urażoną ambicyą i upokorzoną dumę swego kraju. Zdrów na ciele usiłował i umiał zapanować nad sobą, a gdy ta ciągła walka przyprawiła go o śmiertelną chorobę, gdy boleść i rozpacz stargała wątek dotychczasowego a wiekowego szczęścia i przyprawiła go o śmiertelną chorobę, mógł nawet niezapanować nad sobą—na poły pogański jego wielki duch, nie znał chrześcijańskiéj rezygnacyi... począł ulatywać...

A więc i prawdą być może, że na łożu boleści pragnął, by mu włożono na skronie koronę, a on ją wnet odda dawcy Zygmuntowi. Mógł myśléć, że tém zaspokoi i ukoi zranioną ambicyę i ukorzoną dumę swą i ukochanéj Litwy, że sława jego przejdzie przez to w potomność czysta i nieskalana.

Zapyta może kto, dlaczegoż Witołd nie dał poznać Krzyżakom że są zdrajcami, królowi Zygmuntowi, że go uwodzi i że haniebną snuje intrygę—wszakżeż wiedział o tém dokładnie. Dlatego, odpowiadamy, że najsamprzód sam w siebie wmawiał, iż nie jest zwodzonym i głuszył wstyd przed samym sobą; powtóre, że uczyniwszy tak, musiałby był zerwać z Zygmuntem i Krzyżakami a oni mu pomocnymi byli do zwycięstwa nad polityką Szafrańców, byłby musiał zrezygnować na poważną rolę sędziego w sprawach Polski z Rzymskim królem i Zakonem, a tylko ta rola dawała mu rękojmię zupełnego poskromienia planów Szafrańcowych względem Litwy a korona ofiarowywana przez Zygmuta mogła je unicestwić na przyszłość. Witołd zrywając z krzyżakami i Zygmuntem, o których haniebnéj intrydze był przekonany, musiałby chyba kapitulować przed polityką Szafrańców.

Dnia 16 Października odprowadzał Witołd Jagiełłę z Wilna do Trok. Podróże takie odbywały się w owych czasach konno. Dwaj zgrzybiali starcy, z wielką świtą wyjechali, jako pojednani już przyjaciele, za miasto. Osłabiony i zbolały Witołd począł tracić siły i spadł z konia, odniesiono go tedy do Trok. Tu pokazało się, że księciu otworzyła się fistuła pomiędzy łopatkami. Dwa tygodnie przeleżał na łożu boleści a przy nim czuwał król Jagiełło. Na łożu tém, z którego więcéj już powstać nie miał, miał się według Długosza napierać w dziecięcy sposób korony. Daléj opowiada Długosz, że gdy choroba coraz bardziéj się wzmagała, przywołał Witołd książąt i bojarów Litwy i oddał rządy Litwy w ręce tego, z którego rąk je był przed pół wiekiem odebrał. Miał go przytém prosić o przebaczenie za wszystkie obrazy, jako téż i zabiegi jakie czynił o koronę. Poczém spowiadał się kilkakrotnie przed biskupem wileńskim Maciejem i zapewniał tegoż, że wierzy w zmartwychwstanie, czemu za życia nigdy wierzyć nie chciał. Oddał Jagielle klucze zamków litewskich—a król 21 Października potwierdził nadania niebezpiecznie już chorego brata dla kapituły wileńskiéj. Dnia 27-go Października oddał Witołd bogu ducha, mąż przez współczesnych za największego wśród książąt i królów uważany — jak nie na jedném miejscu podnosi Długosz, który nie za wiele sympatyzuje z Witołdem, abyśmy relacyą jego w tym punkcie o przesadę posądzić mieli. Wszakżeż najznakomitsi kuryaliści współcześni porównywali Witołda z Aleksandrem Wielkim, któremu on jeden wśród współczesnych sobie książąt dorównuje umysłem i sławą.

A gdy jeszcze książe leżał na śmiertelnéj pościeli, znalazł się człowiek, który od dawna miarkował, że książe gaśnie i czynił za-

biegi by zostać jego zastępcą. W miarę pogarszającéj się choroby Witołda, począł Swidrygiełło coraz zuchwaléj podnosić głowę, apelować do zauszników swoich, skarbić sobie stronnictwo z malkontentów na Litwie, konspirować z zakonem, nie kryjąc dumy swéj w postawie ni czynie. Zmiarkował to dogorywający Witołd, przewidujący dobrze w téj chwili, jaki los czekał Litwę ukochaną, skoro ten burzliwy i niespokojny książę zostanie jego następcą. Zapewne, że mógł pożałować w téj chwili, że w myśl unii horodelskiej nie czynił zabiegów, aby przygotować następcę Litwie, gdyż miała ona zagwarantowaną wolność elekcyi—podkopaną uchwałą zjazdu Jedleńskiego przez Polaków. Witołd miał kazać przywołać do siebie Gedygołda, Rumbolda i Mikołaja Sepieńskiego, aby zawiadomili Jagiełłę o zuchwałych postępkach księcia. Wskutek téj przestrogi Swidrygiełło znikł naraz z Trok, by konspirować z ukrycia z Krzyżakami. Zapewne, że wobec tego nie mógł Witołd umrzeć spokojny o los ojczyzny, którą tak kochał.

To téż skoro pochowano zwłoki Witołda, począł Swidrygiełło, ta zła gwiazda Litwy, wyzyskiwać błędy polityczne ze zjazdu Łuckiego wynikłe. Swidrygiełło dąży wszelkiemi środkami do separacyi.

Swidrygiełły wystąpienie to fatum historyczne za winy, które nigdy nie pozostają niepomszczone w historyi. Zdrada, o którą nie słusznie posądzano Witołda, znajduje wykonawcę w Swidrygielle; ludzie którzy pod Witołdem i zamarzyć nie śmieli o odstępstwie od Polski, będą Swidrygielle pomocnymi przy dokonaniu dzieła hańby, na Polskę i Litwę spadną obficie srogie ciosy wojny domowéj, strumieniami krew popłynie, krew narodów, których węzły unii przez winę niedowierzania, pychy i samolubnéj polityki z jednéj strony, jak znowu wyniosłéj i podrażnionéj ambicyi z drugiéj, zwolnione zostały. Mścicielka win—historya—wykonuje akt zemsty. Witołd przewidywał to, ale nie był już w stanie zatrzymać przewrotu, jaki bezwiednie dokonywał się po za jego plecyma.

Spuśćmy zasłonę na ten straszny obraz wojny domowéj, a przypatrzmy się jednéj jeszcze scenie, ilustrującéj dokładnie naszych aktorów, których poznaliśmy przy opisie zjazdu Łuckiego. Oto Jagiełło wnet po śmierci Witołda wyznacza Swidrygiełłę na w. księcia Litwy, łamiąc tém unią Horodelską całkowicie, ale zmuszony był do tego aktu koniecznością, gdyż Swidrygiełło przygotował się już był należycie, aby bądź co bądź osiągnąć władzę nad Litwą. Zamiast odwdzięczyć się królowi za dobrowolne oddanie rządów Litewskich, żąda on odeń zupełnéj samodzielności Litwy, zrywa z niechcącym na to przyzwolić królem i zmusza go do zawarcia z nim zawieszenia broni...

Któż jest pomocnikiem złego zapytamy? Braciszek zakonu, znany nam Zygmunt Roth, Szlązak rodem a poufny dworzanin króla Zygmunta, pracującego zawzięcie nad zerwaniem unii Polski a Litwy.

Tuż po śmierci Witołda, w pierwszych dniach Listopada (8-go) za doradą tego to Rotha, zgodził się Swidrygiełło na wysłanie go do króla Zygmunta z następującemi artykułami poselskimi:

Książe Swidrygiełło oświadcza przyjazne usługi i szczerą podziękę za świadczoną mu pomoc w szatach, koniach i pieniądzach, gdy bywał na jego dworze, czego nigdy jak długo żyć będzie nie zapomni.

Książe proponuje związek wzajemnéj pomocy, pomiędzy królem Zygmuntem, zakonem i sobą. Jeżeli król Jagiełło zechce przystąpić do związku, możnaby go przyjąć—jeżeli na to zgodzi się trójka kontrahentów.

Jeżeli Rotha zapyta król Zygmunt, czy książe nie chciałby się koronować, ma odpowiedzieć: „Jeśli to w. kr. mości się podoba i jeżeli zechce posłać księciu koronę, to tenże chętnie ją przyjmie i będzie za to wdzięczny, dopókąd mu starczy żywota, jako syn swemu ojcu i jako sługa panu swemu, tak we własnéj osobie jako i z bojarami i szlachtą litewską.“ Książe radby się nawet ożenić w ten sposób, aby to z korzyścią dla króla Zygmunta było, jak np. z córką wojewody Wołoskiego, aby go przez to ociągnąć od związku z Turkami i z koroną Polską...

W odpowiedzi na to poselstwo, król Zygmunt zawiera ów proponowany alians za pośrednictwem Rusdorfa, wykluczając atoli króla Polski „gdyż ten tylko nowe trudności stawiałby i przeszkody, a jego zmusić trzeba, ażeby najpierw każdemu z kontrahentów winny dług spłacił.“ Charakterystycznie wyraża się on w instrukcyi dla Rusdorfa: Co tylko chciałem powierzyć Ci dokonanie ważnéj sprawy z księciem Swidrygiełłą—a ona za łaską Boga sama się dokonuje...

W misterny sposób knuje Zygmunt na nowo kabałę i we współce z zakonem doprowadza szatańskie dzieło do skutku. Epizod ten wtajemnicza nas w haniebną jego intrygę i rozstrzyga stanowczo kwestyą, że mianowicie Zygmunt działał z rozmysłu i z góry ułożonym planem ręka w rękę wspólnie z Rusdorfem. W nagrodę obiecywał zakonowi po szczęśliwém rozerwaniu związków pomiędzy Polską a Litwą, dopomódz do odzyskania praw tegoż do Litwy... Prawda, że były to tylko obietnice i że historya chociaż wykonała akt zemsty, nie zezwoliła na zniszczenie szlachetnego i wielkiego związku dwóch narodów.

Najpodlejsza z podłych „Święta dusza“ miał dość miedziane czoło, że gdy bratobójcza zawrzała walka, on po zdradziecku napadł

na Polskę, a gdy los go zawiódł i srogo odpokutował zdradziecki zamach—świadczył się bogiem i prawdą wobec kuryi i konsylium Bazylejskiego, iż jemu to tylko ma król do zawdzięczenia, że się pojednał z zagniewanym nań Witołdem, iż on to głównie przyłożył ręki do uczynienia zgody pomiędzy braćmi!

Pozostałoby jeszcze dodać, w jaki to sposób przyjął Zygmunt owe cierpkie dwa listy Witołda, w których niedbalstwu i podejrzanemu brakowi decyzyi, przypisywał zbolały książe, iż odkłada koronacyą aż do otrzymania konsensu ze strony baronów polskich.

Szalbierza naszego nie zabolał wcale taki srogi zarzut. Moglibyśmy się nawet domyślać w jaki sposób odpisał Witołdowi, gdybyśmy nie posiadali kopii jego odpowiedzi datowanéj z Ulmu 8 Listopada, a zatém po śmierci adresanta, o któréj przedzielony od Litwy setkami mil, Zygmunt wiedzieć jeszcze nie mógł. Zgadywalibyśmy, że się usprawiedliwiał w ten sposób, aby na Jagiełłę wskazać jako na jedyną przyczynę złego, że atoli od przysłania korony nie odstępował, że przeciwnie, trzymając Witołda za słowo, przyrzekał, że koronę przyśle, skoro otrzyma przyszły list od księcia.

List ten jest w rzeczy saméj tejże treści; zawiera nadto ustępy świadczące, że Zygmunt nawet w tym wypadku, gdyby Witołd był sędzią kompromisarskim, miał na myśli sprawę pokierować w ten sposób, aby ani on ani Zakon na tém nie ucierpieli i żeby nowe zawikłania sprawić pomiędzy Polską, Litwą a Zakonem... Oto co pisał na wiadomość od księcia, że król Jagiełło przystąpił do kompromisu „że gdyby był król dawniéj to uczynił, nie przyszłoby nigdy do obecnych niezgód. Ja z méj strony najchętniéj ponownie zdaję sąd w ręce księcia. Spodziéwam się, że gdy po św. Katarzynie zakończę sprawy z husytami, przybędę na granicę pruską i tam moglibyśmy się wszyscy zjechać, w tym celu, aby raz już sporne nasze sprawy załatwić. Książe mógłby i króla Jagiełłę nakłonić do wzięcia osobistego udziału w zjeździe, nad czém margrabia Brandeburski ma obecnie pracować. Wiedz bowiem bracie nasz najukochańszy—odpowiadał Zygmunt na podejrzenia książęce—biorę Cię bowiem samego na świadka, jako nigdy nie pragnąłem siać pomiędzy Tobą a królem Jagiełłą ziarna niezgody i zawsze pragnąłem waszéj przyjaźni i wzajemnéj miłości. Dowodzą tego dobre nasze chęci przez przystąpienie do kompromisu, gdyż chcieliśmy zgody, do czego widocznie nie dążył król Jagiełło, skoro w Łucku nie przystąpił doń—ba nawet poróżniliśmy się z królem Polskim, pragnąc wywyższenia honoru i sławy waszéj braterskości. Oskarża nas w. braterskość o niedbalstwo, zapewne musi król Jagiełło przejmować nasze listy i aresztować posłów naszych, inaczej bowiem nie umiałbym wytłómaczyć sobie zarzutów w. braterskości, w ostatnim liście zawartych.

Tak pisał dyplomata XV w. a równocześnie przesyłając kopią tego listu do Rusdorfa dodawał: wiedz, że ten zjazd nie jest na seryo pomyślany i że gdyby nawet do niego przyjść miało, to mam tam właśnie wiele tajemnych i ważnych spraw z Tobą do pomówienia; doniesie ci o nich Nespor, doręczyciel tego listu...

Prawda są tajemnice, których szaleństwem byłoby powierzać pismu. Zygmunt obiecywał Zakonowi za usługi w nikczemném dziele intrygi złote góry i oczywista nie mógł tych obietnic wyrażać na piśmie. Dlatego tylko ogólnikowo czytamy w późniejszéj instrukcyi danéj Rothowi, że Zygmunt będzie się starał podnieść sprawę zakonu, skoro zakon Swidrygiełłę całkiem odsunie od Polski. Te pretensye zakonu znane są w dziejach—pod owe czasy obejmowały one Żmudź, Litwę i Ruś a apetyt zakonu, nigdy nienasyconego, nie pogardzał takiemi łakotkami, jakiemi były pograniczne ziemie Polskie i Mazowieckie, obfitujące w silne grody i pozwalające poskramiać wrogą Polskę. Podówczas atoli żołądek krzyżacki z powodu potrzeby Grunwaldzkiéj cierpiał na „niestrawność,“ obietnice Zygmunta miały być marzeniami.

Dr. An. Prochaska.

SZKICE Z ANGLII.

CZĘŚĆ TRZECIA.

(*Dokończenie*).

VII.

Omnibus zatrzymuje się przed dużym domem wielkiej restauracyi. Na drugiem piętrze osobny salon z zastawą do wieczerzy. Dżorż i garsony już nas oczekują.

Siadamy zmuszając dżentlemena, aby prezydował. Dżentlemen śmieje się basem, ręce zaciera, a nareszcie ze skromnością spuszcza oczy. Rozrzewnienie i radość opanowały go zupełnie.

Ja zaś, oraz jeden z przyjaciół i dwóch jeszcze dziennikarzy, po zaspokojeniu pierwszego głodu, udaliśmy się do drugiego pokoju pracować. Należało przed jedenastą skończyć sprawozdanie dla tych dzienników, których reporterzy nie byli obecni, aby jutro rano mógł być już wiadomy rezultat naszego zwycięstwa w hali.

Głośno odczytana po napisaniu mowa dżentlemena wywołała powtórne oklaski. Sam mówca nie mógł przyjść do siebie, słysząc jak jego wyrażenia tak dobrze układały się w całość i dobitnie myśl malowały.

— Ile razy szanowny a przyszły member of parliament — rzekł nasz wspólny przyjaciel pan Woodward—będziesz mówił z poczucia słuszności, z głębi swego serca, ile razy będziesz wysnuwał myśli, które wypracowane spoczywały w twoim mózgu, zawsze się one będą układać w obrazy, mające treść i całość i zawsze będą wskazywały siłę przekonania.

Wyprawiono Dżorża z naszemi sprawozdaniami do dzienników i wtedy zasiedliśmy swobodnie i ochoczo do wieczerzy.

Zawezwano nas wkrótce do obliczenia statystycznie możności wygranéj przy wyborach dżentlemena. Okazało się, że nasz kandydat może mieć zaledwo tysiąc głosów więcéj. Od tego należało odliczyć parę set niegłosujących, jak się to zwykle zdarza w stronnictwie zwyciężającém, które sobie lekceważy przeciwnika i tym sposobem osłabia wygraną, lub co gorzéj, często sprowadza klęskę. Zwycięstwo zatém było jeszcze wątpliwe i dlatego postanowiono poruszyć wszystkie możliwe sprężyny, żeby tylko nie upaść.

Na ten temat sypały się projekta po projektach, których słuchając nie w Londynie, możnaby śmiało je wziąść za żarty, gdy tymczasem tu w szlachetnym i pomysłowym Albionie, rozbierane były z powagą brytańską, przy pogodném obliczu i głębokiém zastanowieniu.

— Mam wyborny projekt—rzekł jeden z biesiadników, któregobym nie oddał w zwykłych stosunkach za sto funtów, lecz w tak ważnéj sprawie nie waham się go wyjawić.

— Słuchamy!—zawołaliśmy wszyscy.

— Wielka, długa, dziesięcio-łokciowa deska, szerokości na możliwą wysokość człowieka, od stóp do ramienia, przymocowana do dłuższego o dwa łokcie drążka. Na desce téj ma być wymalowany nasz kandydat, trzymający w jednéj ręce udo wołu a w drugiéj udo barana. Wielkie sztuki czerwonego mięsa ozdobić napisami: „Funt po sześć penów, jeżeli mnie wybierzecie.“ W oddaleniu widać rzeźnicze sklepy z powywieszaném mięsem z dzisiejszemi cenami. Rrzeźnicy w sklepach załamują ręce a rzeźniczki mdleją. Deskę tę obnosić na wspomnianym drążku po całym okręgu wyborczym.

Pomysł uznano za bardzo naturalny, właściwy—a nawet konieczny. Rachowano w przybliżeniu trzysta głosów więcéj za tę jednę deskę.

Przy bliższém rozpatrzeniu porobiono poprawki. Deskę zmieniono na płótno w ramach drewnianych, do rysunku dodano kilka efektownych rysów. Trutle miał być wzmocniony jeszcze trzema chodzącymi po sklepach i po domach kenwaserami, aby stanowczo rozjaśniać wszystkie wątpliwości wyborców co do usposobienia kandydata, podchwytując zręcznie każdego wyborcy opinie i te nawzajem podać mu w innych wyrazach, jako przekonania kandydata.

Znowu wzmocnieni energią i programem dalszéj pracy, rozeszliśmy się pełni otuchy i dobréj myśli.

Na drugi dzień wpadł do mnie Dżorż z miną złą i zafrasowaną.

— Sir czy uwierzysz jakie się nieszczęście stało?

— Nieszczęście mówisz—odzywam się przecierając oczy ze snu

Dżorż w milczeniu rozwija arkusz papieru podając mi go.

Okropny widok! Na wielkiéj, białéj płachcie papieru przerażająco wyrysowany dżentlemen, więcéj zbliżony do orangutana jak do człowieka, chociaż podobieństwo rysów złośliwie zachowane. U nóg dżentlemena powiązani murzyni—chudzi, umierający z głodu. Arabowie wyliczają mu pieniądze za ten towar, a z boku układają w beczkach pekefleisz. Czyżby to miała być aluzya do ostatnich słów mówcy konserwatywnego wyrzeczonych wczoraj? Pod spodem napis: „Oto kandydat liberalny z Middlesex."

— Sir, czy to być może, aby tak spotwarzano mojego pana, oskarżając nas o podstępny handel czarnymi, gdy my właśnie, jak sir wiész, walczyliśmy przeciwko téj zbrodni, jak przystało na Anglików. Strzelano do nas—raniono dwóch ludzi, a jednak myśmy się nie ulękli.

— Opowiesz mi — przerywam — o dowodach waszego męstwa drugim razem, a teraz zapytuję cię, czy chcesz być *respectable*, mieć sklep i ożenić się z Nele.

— Oh sir, ja tylko o tém myślę.

— A zatém potrzeba fotografii kandydata konserwatywnego i dobrego drzeworytnika!

— Rozumiem sir, rozumiem—tak, tak, odwet, musi być odwet!— wołał uradowany chłopiec.

— Dalćj sprowadzisz ministra i Dżaka Bleka. Czy płótno, które ma być obnoszone na drągach, już jest gotowe?

— Właśnie gdy wyjeżdżałem, malarz kończył kredką portret dżentlemena. Ach jak podobny, nie uwierzysz sir.

— Jakiego powodzenia doznają czarni minstrele?

— Nadspodziewanego sir, lecz przyznam się, że i ja trochę przyczyniłem się do tryumfu.

— Będziesz zatem *respectable* — tylko się spiesz, czekam cię w domu twego pana.

Dżorż wybiegł do drzeworytnika, ja pojechałem do naszego kandydata. Ledwie zdołałem się przywitać, gdy do pokoju weszli Dżak Bleck, minister i Trutle.

— Co słychać, moi panowie, jak stoimy? — pytał niespokojnie dżentlemen. Czy wiecie o buncie szynkarzy?

— Zapóźno—rzekł stanowczo minister. — Zapóźno—powtórzył lakonicznie Trutle.

— Przez nasze biura — zabiera głos trybun — przeszło wczoraj wieczór z górą dwa tysiące ludzi! Wszyscy są zentuzyazmowani na rzecz naszego kandydata. Ciągle utrzymujemy z nimi porozumienie, co chwila więcéj zwolenników przybywa. Rozliczne kluby wysyłają swoich delegatów do komitetu!

— W niedzielę będziesz sir rano metodystą, po obiedzie anabaptystą—konkluduje z miną obojętną minister.

— Jednym i drugim—dodaje Trutle.

— U pierwszych mówię kazanie rano—prawi daléj minister—u drugich przemawiam wieczór. I tu i tam—wszędzie będę opowiadał twoje sir zasługi misyjne. Wierni zostaną wezwani, aby się co do jednego stawili przy urnie, do poparcia najlepszego brata. Tymczasem.,.

— Tymczasem — przerwałem — dodaję nowy szczegół do tematu mów.

— Im więcéj tem lepiéj — oświadcza ze spokojem automatu Trutle.

— Przeciwne stronnictwo rzuca potwarze na nas, nazywając naszego kandydata handlarzem niewolników! Słyszeliście na własne uszy.

— Biada im—zawołali. Trybun podniósł swą okazałą pięść a Trutle parasol.

— Należy—zabieram głos—rozwijać przeciwne pojęcia, opierając się na dwóch czynach bohaterskich dżentlemena, który wraz ze swymi ludźmi uwolnił po dwakroć ekspedycye z niewolnikami.

— Rozumiem — przerywa minister — jest to temat łatwy i malowniczy do opowiadania.

— Dzienniki ogłoszą dziś wieczór opis tych zdarzeń—oświadczam. — Mister Black objaśni również w tym względzie wszystkich swoich ludzi, a tymczasem szanowny Trutle niech opowie pokrótce swoje czyny.

— Są one ciche, ale głęboko sięgające—zaczyna ponury kenwaser. Tak, nie mylę się, mówiąc, że sięgam aż na samo dno serc rodziny. Rozlepiłem i wystawiłem po oknach sklepików około trzysta plakatów, wszędzie z małemi wyjątkami dobrze je przyjęto. Wszędzie szanują moję powagę i zgadzają się z moją opinią, bo ja naprzód zgadzam się z ich opiniami. Mój system sir, nie wchodzić do domów bez przygotowania.

— To jest mój system—przerywa gwałtownie minister.

— Nie przeczę, ale obecnie stał się moim—odpowiada majestatycznie Trutle. Sąsiedzi mówią o sąsiadach i tym sposobem poznaję po kolei wszystkich mieszkańców ulicy. Wielu uważa mnie za księdza. Godność ta, szczególniéj między kobiétami, dobre robi wrażenie. Jestem zwykle częstowany jadłem i napojem i rade ze mną rozmawiają.

— Jeszcze jedna poprawka — przerwałem. Panowie proszę uważać! Napadliśmy na rzeźników wydając im wojnę na śmierć

i życie, a nie zabezpieczyliśmy sobie punktu oparcia u innych kramarzy, mających stanowisko i pieniądze! I już są skutki téj nieuwagi, w niechęci ku nam szynkarzy! Trzeba to naprawić.

— Już kwestya ta przedyskutowana—zawołał z tryumfem Black, i stosowne instrukcye posłane naszym ludziom. Rzeźników, tłómaczymy im, dlatego głównie chcemy ukrócić, aby za oszczędzone pieniądze rozbudzić w narodzie chęć do rozszerzenia konsumcyi towarów kolonialnych. Nasz kandydat—szepczą im do uszów,—właśnie prowadzi handel z koloniami kawą i herbatą...

Dżentlemen zaśmiał się, wołając:

— Wybornie, wybornie!

— Ilu komitet posiada kenwaserów?—rzucam pytanie chodząc po pokoju.

— Tylu ilu apostołów z Judaszem—odpowiada trybun.

— Jaką ilość mówek w przecięciu wygłaszasz pan dziennie?—zagaduję ministra.

— Śmiało mogę wymienić liczbę pięćdziesiąt, i jestem pewny tego co mówię. Przeszło pięćdziesiąt tysięcy ludzi musi mnie słuchać każdego dnia.

— W dalszym ciągu proszę szczegółowo rozbierać i objaśniać mowę naszego kandydata, mianą w halli.

— Od dziś już zacząłem. Odczytuję z drukowanéj mowy jeden ustęp jak z biblii i tłómaczę go wiernym.

— A ty, szanowny kenwaserze—zwracam mowę do Trutla—mów jak najmniéj, raczéj kieruj rozmową i potakuj. Minister niech nie zapomina o historyi wyswobodzenia niewolników, a komitet proszę, aby wysyłał jak najwięcéj telegramów i listów. Przedewszystkiém nie pozwalać zasypiać swoim. Co chwila nowe pomysły, chociaż zawsze w jednym kierunku. Ludzie lubią odbierać depesze, podnoszą one ich ambicyą, czują, że się o nich dba i ceni ich wpływy. Starają się więc być wdzięczni. A teraz do czynu—do czynu panowie.

Zostaliśmy sami i zamyślili się głęboko.

— Sir ty jeden nie tracisz głowy—przerywa ciszę dżentlemen. Masz energią, stanowczość, a rozkazujesz jak stary żołnierz lub wytrawny polityk.

— Nie jest to moja—odrzekłem z godnością—lecz mego urodzenia zasługa.

— A to ciekawe—zawołał towarzysz.

— Każdy szlachcic polski czuje się uprawnionym do najwyższych godności, a zatém i do wszechstronnego fachowego wykształcenia. Żaden szlachcic polski nie odmówi posady admirała floty,

chociaż morza nie widział, żaden szlachcic polski nie usunie się od sterowania nawą państwa, chociaż prócz kalendarza nic innego nie czytuje!... Inwencya mości dobrodzieju, inwencya—jest to obowiązek szlachty, aby szlachecki rozum w danych okolicznościach zastąpić.

— Co to za szczęśliwy naród!—szepnął z westchnieniem dżentlemen.

Dalszą rozmowę przerwał cichy, spokojny, o zapadłych oczach drzeworytnik. Skłonił się nam nieśmiało czekając rozkazów.

— Wymagam od pana—zabrałem głos, sześciu obrazów na jutro rano, za każdy płacę dwa funty.

Blada twarz drzeworytnika zajaśniała rumieńcem, zapadłe oczy błyszczały.

— W naszéj obecności narysujesz pan szkice podług mojéj inwencyi. Tu dumnie spojrzałem na kandydata, kandydat skłonił głowę, a za nim pochylił swoję drzeworytnik.

— Obrazki mają przedstawiać życie trzeciego syna lorda, od urodzenia aż do jego kandydatury. Twarz należy skopiować podług téj fotografii. Trzy obrazki będą poświęcone życiu uniwersyteckiemu w Oxfordzie, a dwa z nich specyalnie dla uwidocznienia, jak szlachetni młodzi dżentlemeni przepędzają czas na tresowaniu psów do polowania na szczury i samę szlachetną walkę w cyrkach wytresowanych psów z chowanemi na ten cel szczurami, przy współudziale radości i oklaskach studentów.

— To wyborne, ja będę rozdawał te obrazki—krzyknął Dżorż, a rozjaśniona twarz kandydata zbliża się, aby jego usta złożyły pocałunek na mojem czole.

Zasiedliśmy do pracy z drzeworytnikiem, a podczas tego mała figurka malarza pośpiesznie posuwała się naprzód, z wykończeniem olbrzymiego płótna, którego temat znany już jest czytelnikom.

Twarz dżentlemena na płótnie jaśniała angielskim humorem. Uśmiech jak po dobrym befsteku igrał na jego ustach.

— Zmieniam projekt—zawołałem patrząc na obraz.

Dżentlemen i malarz poskoczyli ku mnie.

— Obraz ten, mówię—nie robi w dzień właściwego wrażenia, należy go zmienić na transparent, oświecić wewnątrz i obnosić po ulicach w nocy wzniesiony jak można najwyżéj w górę..

— Mogą być dwa—zdobywa się na uwagę mała figurka malarza.

— Brawo, brawo!—dwa. Jeden na dzień, drugi na wieczór.

Dżentlemen z radości klasnął w dłonie.

— Przy każdym przystanku, muzyka towarzysząca pochodowi, powinna wygrywać narodowe melodye angielskie, a czarni minstrele śpiewać chwałę kandydata i rozdawać nasze odezwy, mowy i programy. Obraz ten skopiować, wyciąć na drzewie odbić i rozrzucać po ulicach.

— Co za pomysły, co za pomysły!—woła kandydat—ściskając mnie serdecznie.

VIII.

Jeszcze nigdy w moich oczach miasto świata nie przedstawiało się tak przyjemnie, wesoło i towarzysko. Zdawało się, że Bóg handlu i interesów położył się na chwilę spać, a ludzie uwolnieni z pod jego wpływu, oddają się najprzyjemniejszym rozrywkom—udając dzieci. Jedynie wyścigi w Derby, są zdolne zrównoważyć gorączkę mas. Niepewność zwycięstwa, równowaga sił walczących zaostrzają ciekawość—i jak na wielkich Derby, wywołują zakłady.

Interes położył się do snu, powierzając berło fortunie. Anglicy namiętnie kochają i tę królowę. Dziś już nie walczą komitety i zasady, nie walczą thorysi i whigi, lecz namiętności ludzkie: ambicya, pycha, zawziętość—i gra... Co do gry, zakłady idą, jak na wyścigach. Każdy chce wygrać i każdy forsuje swego kandydata.

Jestem nareszcie obok urzędu gminnego. Co za wspaniały widok! Trzystu ludzi z przewieszonemi przez ramiona, długiemi tablicami, naklejonemi plakatami, z nazwiskiem dżentlemena, kroczą poważnie, dumnie i prędko. Śpieszą się. Anglicy lubią się śpieszyć i patrzéć na śpieszących się. Trzysta ludzi, w jednym, nieprzerwanym łańcuchu, w odległości kilku kroków jeden od drugiego; nie widać początku i końca. Odchodzą i powracają, zmieniają się, krzyżują. Postępują wężykiem i znów wyciągniętą linią giną wśród domów i ulicznego ruchu.

Za nimi szkockie *pony*, okryte w kształcie dachu dużemi deskami, drepczą wesoło. Małe ich główki i cienkie nóżki, śmiesznie wyglądają zaledwie w połowie widziane. Na ten rozrzewniający dla Anglików widok—wszyscy stają, wszyscy czytają słowa wymalowane wielkiemi literami:

„Tylko tego wybierajcie, waszego jedynego kandydata liberalnego.“

— Za kim pan głosujesz? pytam, zatrzymując jednego ze znajomych mi torysów?

— A za kimże?! Patrzaj sir—odpowiada dobrodusznie zapytany, pokazując ręką na naszą armią niewolników z zawieszonemi tablicami.

— A przecież jesteś torysem—odzywam się z uśmiechem.

— Tak torysem—prawda—ale w obec takiego wystąpienia whiga—nie mogę za torysem głosować, który widać lekceważy nas i zaniedbuje! Anglik sobie nie da ubliżać. A zresztą nie śmiem.

— A to z powodów? odzywam się rozciekawiony.

— Nie śmiem, albowiem wszędzie mówią o whigu, wszędzie whig, grają, śpiewają dla whiga, a pan chcesz abym dawał głos jego przeciwnikowi. Naprawdę—nie śmiem. Jakieś przychylne uczucie opanowuje człowieka, które mu nie pozwala inaczéj wystąpić—i mimowolnie idzie za tym popędem, nie mogąc mu się oprzéć.

— Tajemnico reklamy—pomyślałem—ty królom dajesz purpury i korony, rozlicznym bóstwom stawiasz świątynie, wyradzasz podziw—a dajesz sławę i rozgłos. Reklamo, panowałaś od początku świata i dziś nim rządzisz!

Dziesięć omnibusów zaprzężonych czterma końmi. Na koźle obok woźnicy, siedzi konduktor trzymając w jednéj ręce chorągiew liberalnego kandydata, w drugiéj długą, miedzianą trąbę.

Dziesięć omnibusów, to czterdzieści koni, które przywożą jednym zamachem trzystu wyborców! To dziesięć trąb, które razem grają i dziesięć chorągwi jednocześnie powiewa. To robi wrażenie, imponuje, podbija, i zniewala do wzięcia udziału w tak wspaniałym orszaku.

Trzystu wyborców—razem, jednocześnie przywiezieni, zgromadzeni przed domem ratusza, są aż nadto imponującą siłą, aby przeciwna partya ośmieliła się pomyśléć o zaczepce i starać się rozpędzić mężów, ważących przeciętnie każdy z osobna po 200 funtów.

Przejeżdżających wita publiczność jednym wielkim okrzykiem, wyborcy odpowiadają uśmiechami, ukłonami—często wiwatem na cześć kandydata popartym odgłosem trąb miedzianych.

Na przeciwległym placu stała gromadka rzeźników—spokojna, zadowolona z siebie, dumna.

— Idą, idą!—wołają biegnący naprzód chłopcy.

Muzyka trzydziestu trąb i klarnetów zagłuszyła wszystko i wszystkich.

Wyborcy stanęli—zgromadzona ludność odwróciła głowy, omnibusy ruszyły szparkim kłusem ustępując miejsca nadchodzącym. Idą! W oddaleniu, jakby na rozhukanych bałwanach morza utworzonego z głów ludzkich posuwał się majestatycznie, niby arka przymierza,

wzniesiony w górę obraz apoetozujący wielkie czyny naszego kandydata. Przed obrazem szli czarni minstrele, za obrazem muzyka, za muzyką tłumy ludu. Anglicy przepadają za niespodziankami i oryginalnością.

Pomysł obrazu podobał się—minstrele rozweselali, a zachwycali wszystkich minister i Trutle.

Poprzedzając minstreli, dwóch przyjaciół postępowało majestatycznie na czele całego orszaku. Trutle miał kapelusz na bakier i parasol na ramieniu. Minister okrycie głowy trzymał w ręku i pot z czoła chustką obcierał.

Muzyka ustała—i zapanowała cisza uroczysta, ciekawość zamknęła usta—wszyscy patrzeli milcząc. Orszak cały zbliżał się, z przeciwnéj strony nadciągnęło trzysta ludzi z tablicami—i pony przybrane w tekturowe dachy.

Przedsiębiorca ogłoszeń ustawił swoich w imponującéj kolumnie. Za ludźmi zajęły miejsce konie trzymane przez dżokejów. Kobiéty i dzieci biegły ile im sił starczyło, aby zająć odpowiednie a dogodne miejsce na placu.

Kastaniety i tamburyna uderzyły w takt, a z dwunastu gardzieli wybiegły tony piosnki — ożywienie wróciło, wesołość zapanowała...

Stanęli na rynku. Minister dał znak, aby przestano śpiewać. Jeden z pomalowanych minstreli podał mu składane krzesło, na które wstąpił z godnością opierając swą rękę na ramieniu Trutla.

Muzyka zagrała hymn narodowy. Minister zaczął śpiewać, za nim minstrele—za nimi trzystu z tablicami, dżokieje i wreszcie cała publiczność, co jednakże nie przeszkadzało przypatrywać się obrazowi...

Uśmiechnięta, czerwona twarz kandydata odbijała na obrazie szczerością i dobrocią. Mały murzynek obejmował okazałe jego policzki drobnemi rączkami, murzynka stojąca obok dziecka, pokazująca z radości duże białe zęby—rozśmieszała patrzących i rozweselała obraz, gdy murzyni dziękujący Bogu za odzyskaną wolność, rozrzewniali widzów. Wszystko to umieszczone było po lewéj stronie kandydata. Po prawéj stała wspaniała ćwiartka wołowego mięsa, o którą oparł rękę przyszły dygnitarz. Na czerwoném mięsie umieszczony był białą farbą napis: „Jeżeli będziecie rozsądni, czyli będziecie wybierać, jak wam każe sumienie—funt tego wybornego mięsa kupicie za dwa miesiące—po sześć penów"!! Po za ćwiartką mięsa, na drugim planie widać było sklep rzeźniczy, a z okna jego wyglądała zapłakana rzeźniczka i chudy, łamiący ręce rzeźnik.

— Do was przemawiam matki!—zawołał z podniesienia minister. Cześć matkom angielkom, bo one jedne zdolne są zrozumieć jak szlachetni są ludzie kochający dzieci. Patrzcie, narażał życie za wolność tych nędznych istot—tu wskazał ręką na obraz—a za całą nagrodę nic nie żąda, jak tylko całusa od czarnego malca. Jakżeż on musi kochać dzieci białe?

Matki, nie pozwalajcie mężom swym głosować na thorysa, którego jedyną rozrywką, jak to widziałem na własne oczy—i nie mylę się, słuchajcie!—jedyną rozrywką targać za uszy biedne dzieci przebiegające na odległość jego rąk.

Szmer oburzenia a przedewszystkiém matek, przebiegł po zgromadzeniu.

Korzystając z tak przychylnego wrażenia minister zawołał:

— Matki przysięgnijcie, że nie pozwolicie mężom swym, gdy wrócą na obiad z pracy, hańbić się oddawaniem głosów thorysowi!

— Przysięgamy! zawołała kapela, minstrele, trzystu z tablicami, trzystu wyborców i cała za nimi zgromadzona ludność. Minister podniósł kapelusz w górę.

Stałem zadumany patrząc na tak wspaniały obraz.

— Sir, sir! wołał na mnie przeciskający się dowódca murzynów, we fraku w zielone i czerwone pasy, w czarnéj murzyńskiéj peruce i wielkim trójgraniastym kapeluszu. To ja, Dżorż—dodał ciszéj, nie poznajesz mnie sir?

— Trudno cię poznać z tak zamalowaną twarzą,—odparłem śmiejąc się.

Dżorż przecisnął się przez tłum, docierając szczęśliwie do miejsca, gdzie stałem. Zwróciliśmy się na róg ulicy, dobijając do drzwi piwiarni. Zgromadzeni tam ludzie robili nam miejsca, z pewnym rodzajem szacunku i uznania—będąc pewni, że to ja jestem kandydatem, a przebrany za murzyna Dżorż moim agentem.

— Ach sir—szepnął mi Dżorż pijąc poncz. Ach sir, drżę cały na samę myśl, jeżeli się nie uda. Tyle pracy i tyle wysileń na próżno. Sklep, gospodarstwo, dom, odpoczynek.

— Tylko nie traćmy energii—przerwałem.

— Alboż jéj nie mamy.

— Tylko odwagi.

— Odwagi—zawołał Dżorż—wszystkich thorysów wyzywam na boksy i zmiażdżę ich. Lecz nie o odwagę tu idzie, tylko o szczęście! I moja Nelle pracuje, biega od domu do domu, opowiada swoję przyszłość, szczęście, wszystko, jeżeli nasz pan przejdzie; płacze, śmieje się i prosi.

— A nie mówi, że gdy zostanie kupcową, będzie sprzedawać taniéj o pół pena cukier?

— O pena, o całego pena taniéj, cukier, herbatę, kawę, rodzynki. Przysięga, że taniéj.

— No to bądź dobréj myśli.

— Nie widziałeś sir naszego pana?

— Dziś jeszcze nie—lecz jadę do niego.

— Opowiedz mu jak my tu pracujemy!

— Opowiem—bądź spokojny!

— I pociesz go sir.—To mówiąc Dżorż postawił na stole próżną szklankę, podniósł kapelusz do góry i zawołał:

— Niech żyje kandydat liberalny!—że aż szyby w oknach zabrzęczały.

— Brawo, brawo—odpowiedzieli goście, których jednak zagłuszył przeraźliwy gwizd właściciela szynku i usługujących chłopców.

Szczęściem Dżorż nie słyszał opozycyi, goniąc oddalający się orszak, ja zaś korzystając z przerzedzenia się tłumów, dotarłem do keba, oblepionego odezwami na rzecz mego kandydata, i ruszyłem wyciągniętym kłusem do bohatera dnia.

Chodził wielkiemi krokami po pokoju—smutny, znękany jak Samson po obcięciu włosów. Zrobił wszystko co mógł, niczego nie zaniedbał, a jednak zwątpienie szarpało mu serce—uczuł się bezsilnym, zależnym od wypadku, uśmiechu szczęścia, kaprysu fortuny—zwyczajnie jakprzeważna część, jeżeli nie wszystkie, interesa tego świata i jego bohaterów. Przyjął mnie z załzawionóm okiem i sentymentalną miną.

— Jesteś nareszcie mój najdroższy przyjacielu—dzielić ze mną najcięższe chwile oczekiwania i niepewności.

Dżentlemen uścisnął mnie serdecznie.

Wina, zawołałem—najlepszego wina hiszpańskiego butelkę, jakie masz w piwnicy.

— Odgadłeś wieszczym duchem odgadłeś, czego nam potrzeba—mówił uśmiechając się, a zabrawszy klucze zniknął w podziemiach.

Zmuszając go do picia wina, a opowiadając bohaterskie czyny ministra i Dżorża, potrafiłem nareszcie smętną twarz męża okrasić rumieńcem zadowolenia. Śmiał się, słuchając powtórzonéj mowy do matek Angielek—zacierał ręce dowiedziawszy się o przytomności i energii Dżorża. Uważałem, że nawet w duchu żałował, że nie mógł być obecnym uroczystościom wyprawianym na jego cześć. Powaga jednak męża stanu, zatrzymywała go w domu. Podług przepisów moralności publicznéj przy wyborach, kandydat o niczém nie wie, nicze-

go się nie domyśla, gdyż cała agitacya urządzoną bywa zawsze przez jego przyjaciół i zwolenników.

Dobry humor wracał, nadzieja znów zaczęła ożywiać serce, bo wino rozgrzewało krew. Układaliśmy plany wspaniałe i wielkie.

Tentent galopującego konia po bruku ulicy, zwrócił naszą uwagę i zatrzymał oddech w piersiach dżentlemena — koń nagle stanął.

— Depesza z naszego komitetu—szepnął nie mogąc ruszyć się z miejsca.

Wybiegłem. Chłopiec nie zsiadając z konia podał mi depeszę.

— Czekaj—rzekłem wracając pośpiesznie do pokoju.

„Dotąd zyskaliśmy 1600 głosów,—gdy przeciwnik prawdopodobnie ma ich 1800! Nie traćmy nadziei—główne nasze siły dopiéro o trzeciéj staną na placu. Jack Black.

Dżentlemen uderzył z całych sił pięścią w stół.

— Zginęliśmy—rzekł cicho, rękami ujął twarz i w takiéj pozycyi kiwał się sapiąc.

— Do kolonii—zawołał po chwili—do kolonii uciekajmy! Musisz sir ze mną jechać, bo inaczéj zwiążę cię i skrępowanego każę przenieść w nocy na pokład okrętu. Tam dopiéro zobaczysz moję potęgę, wpływy i dzielność, a nawet rozum. Słyszysz sir—rozum!

Nie słuchałem skarg pretendenta do krzesła w parlamencie, pisząc odpowiedź przywódcy odbywającéj się batalii.

— Niewdzięczni—mówił sam do siebie—na tyle obietnic, na tyle dobrodziejstw...

— „Wytężyć wszystkie siły, aby zwyciężyć“—czytałem głośno napisaną depeszę.

Dżentlemen stanął, włożył ręce w kieszenie i nastroiwszy ponurą minę słuchał.

— „Podwoić liczbę omnibusów — czytałem dalej — co kwadrans rozsyłać telegramy do naszych na oddalonych punktach, posłać im w pomoc najdzielniejszych ludzi naszemi powozami. Niech się piwo leje. Niechaj dżin odwilża gardło dam, a *grog* dodaje odwagi młodzieży. Co godzinę przysyłać wiadomości.“

— I czy to co pomoże, czy to co pomoże! zawołał wzdychając i łamiąc ręce z rozpaczą.

Nic na te lamenta nie odpowiedziałem—uśmiechając się dobrotliwie. Nalałem szklankę wina dla chłopca zabrałem depeszę i wyszedłem.

Wspaniały narożny dom, na dole szynk, na górze sale przeznaczone na biuro komitetu, świetnie dziś wyglądał przystrojony w chorągwie, otoczony rzędem dorożek i kebów pooblepianych od góry do dołu drukami na cześć liberalnego kandydata. Kanwasery, inaczéj członkowie komitetu, rumiani i uśmiechnięci, a których można było poznać po białych kartkach, zatkniętych za tasiemki kapeluszy biegali tam i napowrót, przejeżdżali, wyjeżdżali, szeptali do siebie—i pili, ile tylko czasu starczyło, a okoliczności pozwalały. Te nastręczały się tyle razy, ile było interesów, których w tym pamiętnym dniu nie brakło.

W wielkiéj sali na pierwszém piętrze, przechadzał się świątecznie ubrany Jack Black, pod jego okiem pisarze rozpisywali depesze i odczytywali przyniesione. Kanwasery przybiegali z raportami, szepcząc mu do ucha nowiny, na które również cicho odpowiadał. W przyległym pokoju bilardowym, panowały hałas, wrzawa, wesołość i okrzyki co chwila.

Jack Black zobaczywszy mnie wchodzącego, pobiegł na przywitanie, ściskając mi serdecznie rękę.

— A co—pytał się, mrugając na mnie—a co idzie, hę? U nas tak, i tak być musi. Rozkazy twoje sir spełnione co do joty.

— Idzie, idzie, powtarzam—a o dwieście twardych łbów angielskich stoimy mniéj od naszego przeciwnika!

— Ha, ha, ha, zaśmiał się trybun trzy razy, tak potężnie, że aż nagle zrobiło się cicho w przyległym pokoju. Do drugiéj sir, o drugiéj godzinie zrównamy się, a o trzeciéj będziemy mieć o dwieście głosów więcéj! Niech żyje kandydat liberalny! krzyknął wznosząc rękę do góry.

— Hurah! krzyknęli z przyległego pokoju. Hurah zawołali pisarze. Odpowiedziano im również głośno i ochoczo z dołu, z ulicy i ze strony dorożkarzy.

— Nasi—mówił daléj tryumfująco—będą prowadzić niedługo rzemieślników i robotników. Zobaczymy. Trzeba im tylko dać czas po pracy, ubrać się i pokrzepić.

— Jakim sposobem możecie wiedziéć, ile macie głosów, lub ile ma ich 'thorys?

Trybun pochylił się do mego ucha i szepnął mi:

— W sieni magistratu mamy czterech ludzi, którzy przeglądają kartki wyborców i notują, a przeciwnicy mają jednego, którego nasi ciągle oszukują, pokazując mu cyfrę naszych wyborców o połowę mniejszą. Konserwatyści są najpewniejsi zwycięstwa, i dla tego opuścili ręce. Myślą, że rzeźnicy i szynkarze to wszystko!

Prawda, że to potęga, ale my mamy małych lecz licznych. Zaczekaj sir jeszcze pół godziny.

Tu trybun wyjął zegarek srebrny, potężnych rozmiarów, schowany w woreczek zrobiony ze staréj rękawiczki. Zdjął z niego skórę i patrzał z powagą.

— Pół godziny i stoję przy swojém—powtórzył—a twarz twoja sir, rozpogodzi się radością jak słońce.

Minęło pół godziny wśród wrzawy, rozmów, szeptów i nieustannych załatwiań interesów.

Do sali wbiega posłaniec z zaklejoną kartką w ręku, za nim kilkunastu ludzi, przeważnie kanwaserów.

— Z magistratu, z magistratu—szeptano, wyprzedzając posłańca.

Zbliżyłem się do trybuna, czytając napisane ołówkiem te wyrazy: „Prawdopodobnie o trzy głosy więcéj.“

— O trzysta głosów więcéj, krzyknął trybun—słyszycie, już o trzysta głosów prześcignęliśmy naszego przeciwnika!

— O trzysta głosów—zaczęli wołać z okien kanwasery.

— Zanieść tę wiadomość na same krańce wyborczego okręgu.

— Co to znaczy? szepnąłem trybunowi.

— Teraz już można i należy, odpowiedział mi. Robiliśmy dotąd tajemnicę, dopókiśmy nie prześcignęli rzeczywiście przeciwnika. Dobiegamy do mety, użyjmy więc ostróg i wytężmy wszystkie siły, aby się nie dać zepchnąć. Tym jednym okrzykiem wahających się przeciągnęliśmy na naszą stronę stanowczo, a już zapózno dla przeciwnika do wydobywania nowych zasobów.

— Lecz dla nas przysyłaj rzeczywiste raporta. To mówiąc wyszedłem, wracając do przyjaciela piechotą, aby się doczekać na ulicy stanowczéj wiadomości.

Przechadzałem się zamyślony obok mieszkania dżentlemena, dopóki tentent konia nie obudził mnie z marzeń. Odebrałem depeszę, rozdarłem ją, i biegnąc po schodach czytałem:

— Mamy już więcéj o dwieście głosów! Niech żyje kandydat liberalny!

Wpadam do pokoju. Dżentlemen leżał na kanapie, patrząc w sufit, z miną człowieka, któremu przeczytano wyrok śmierci.

— Niech żyje kandydat liberalny! krzyknąłem podnosząc depeszę w górę.

Kandydat zerwał się na równe nogi.

— Dwieście głosów więcéj, tyle właśnie, ile potrzeba.

Łzy zabłysły w oczach poczciwego człowieka, wziął depeszę w rękę, i chcąc ukryć wzruszenie usiadł, wpatrując się w ową tajemniczą cyfrę, zapowiadającą mu tak świetne zwycięstwo.

Po pięciu minutach milczenia odczytałem głośno napisaną odpowiedź do naszego trybuna, aby dalsze wiadomości przysyłał nam pod adresem damy serca kandydata i zredagowałem następujący telegram do narzeczonéj dżentlemena:

„Droga pani! Sądzę, że mi nie odmówisz towarzystwa w przejażdżce po dzielnicy wyborczéj, w celu podziękowania wyborcom za ich zaufanie.“

— Co, co—zawołał przestraszony kandydat, wybory jeszcze nie skończone. Wszystkie dzienniki dostaną telegram i powtórzą tę wiadomość, możemy się skompromitować!

— Tém lepiéj, że powtórzą. Tego chcę, aby powtarzały, odparłem—bo tym sposobem odbierzemy ochotę i animusz konserwatystom.

Dyskusyą naszą przerwał, wtaczając się do pokoju z batem w ręku, sam w swéj osobie właściciel dorożek, ubrany świątecznie, z bukietem przy boku.

— Powiedziałem—przemówił uroczyście—że nie kto inny tylko ja, będę obwoził członka parlamentu, pokazując go wyborcom i dotrzymuję słowa.

Spojrzyjcie panowie przez okno, cztery siwosze półkrwi i najmodniejszy powóz! A teraz proszę o szklankę wina, chcę wypić za zdrowie naszego prawodawcy!

— Ludzie, co wy robicie!—prosił się dżentlemen żałosnym głosem, gdy z oczu tryskała mu radość nie-do-opisania, a twarz oblewały rumieńce.

— Czy pojadą i damy? zapytał się nasz honorowy woźnica.

— Jedziemy po nie—odpowiedziałem.

W kilkanaście minut siedliśmy do powozu przystrojeni w białe kamizelki i czarne surduty zapięte, polecając swoje losy woźnicy, którego majątek najmniéj piędziesiąt tysięcy funtów wynosił.

Przez drogę dżentlemen odzyskał humor i pewność siebie. Uwierzył nareszcie, że jest wybranym i zmienił się do niepoznania. Jestem tego zdania, że szczęście najsilniéj zmienia ludzi.

Damy uprzedzone o naszym przyjeździe, czekały nas w odpowiednich tualetach, a spełniając swój obowiązek, układały bukiety dla ubrania niemi naszych koni.

— Jesteśmy—odezwał się dżentlemen, wchodząc zamaszyście do pokoju.

Pulchna, okrągła, a jeszcze ładna dama uśmiechnęła się, a wyciągając swe krótkie, tłuściutkie paluszki, przemówiła pieszczotliwie.

— Stało się, co się miało stać—i co chciał Bóg, aby się stało, bo zrobiło się dobrze i sprawiedliwie.

Dżentlemen pocałował damę w rękę na znak swéj wielkiéj sympatyi i zamiarów na przyszłość.

W téj chwili dał się słyszéć tentent galopującego konia.

— Dwudziesty piąty numer! wołał konny posłaniec, ile mu sił starczyło.

Wyjrzałem oknem, zatrzymując go.

— *Zwycięstwo!* zawołał, podnosząc kaszkiet w górę i osadzając konia.

Spojrzeliśmy wszyscy na tryumfatora. Zachwiał się na nogach i padł na fotel, zamykając oczy. Dama pochwyciła flakonik i namoczoną perfumami chusteczką obcierała twarz zemdlonego wybrańca narodu. Zwycięzca otworzył oczy, i dwa strumienie łez toczyły się po téj uczciwéj twarzy. Wszyscy byliśmy wzruszeni. Dama odpowiadała łzami, za co otrzymała gorące i serdeczne uściśnienie rąk.

Wszystko było gotowe do wyjazdu—konie przystrojone, damy z bukietami w rękach. Siedliśmy do powozu. Mijaliśmy ciche ulice śpiesząc się do naszéj dzielnicy. W połowie drogi spotkał nas jadący kebem dzielny Jack Black,—przywitanie było serdeczne i rozczulające.

— Sir będziesz przemawiał przed domem naszego komitetu! Czekamy, a teraz za mną!

To mówiąc skoczył do keba, poprzedzanego paru dorożkami z kenwaserami i członkami komitetu.

Otoczeni taką świtą, wjechaliśmy na główną, szeroką ulicę okręgu wyborczego. Ruch panował na-pół świąteczny, pełen wrzawy wesołości i swobody.

Pierwsi kenwasery wznieśli okrzyk na cześć obranego członka parlamentu—ludność się poruszyła, zbliżając się do powozu, dżentlemen się kłaniał, damy się uśmiechały. Kupcy powychodzili ze swych sklepów, ściskając ręce swego reprezentanta.

Dżentlemen jako zwycięzca, przewyższał sam siebie przytomnością umysłu i dowcipem. Każdemu z otaczających umiał coś przyjemnego a stosownego powiedzieć.

W zwiększającym się coraz więcéj orszaku zajechaliśmy przed znany nam już dom siedziby komitetu. Stanęliśmy otoczeni tłumem wśród nieustannych okrzyków. Trybun stanął na wierzchu dorożki otoczonéj żelazną poręczą—i z tak zaimprowizowanego miejsca przemówił do ludu pokazując mu wybrańca. Z okien sali komitetowéj powiewały chorągwie, a z okien domów prywatnych chusteczki, trzy-

mane w rękach dam. Dżentlemen wstał, kłaniał się i na znak, że chce mówić, podniósł w górę kapelusz. Uciszyło się.

— Cóż mam powiedzieć—zawołał—chyba tylko podziękować wam, obywatele, za zaufanie!

Serce płaci się sercem.

Dużo upłynęło czasu, nim skończyły się owacye, mowy i wykrzykniki pożegnania. Wróciliśmy do domu narzeczonéj szczęśliwego wybrańca, spędzić razem jeden z najprzyjemniejszych w życiu wieczorów.

Nazajutrz pobiegłem odwiedzić przyjaciela, członka parlamentu, jednego z reprezentantów najrozumniejszego i najbogatszego narodu...

— Patrz, patrz sir—odezwał się zirytowany w najwyższym stopniu dygnitarz pokazując mi rachunki.

Dziesięć tysięcy funtów, czy uwierzysz, dziesięć tysięcy funtów mam zapłacić za mój wybór.

— Ileż kosztowało miejsce w parlamencie Gladstona? odezwałem się—męża wielkiego rozumu i serca, pierwszego ministra i naczelnika stronnictwa?

— Siedm tysięcy funtów—odpowiedział z powagą.

— A Disraelego?

— Dwanaście tysięcy.

— Stoisz w pośrodku między Gladstonem i Disraelim. To coś znaczy. Zresztą zrobiłeś majątek, masz rozum zdobyty doświadczeniem, masz energią, odwagę, humor i oryginalność tobie tylko właściwą. Czyż żałujesz dziesięciu tysięcy funtów, aby służyć Anglii?

— Nie—odpowiedział cicho z uczuciem.

— Znając cię w rozmaitych chwilach i fazach życia, znając twoje upodobania i sympatye—nie mogę się powstrzymać, aby nie zawołać: Niech żyje prawdziwy *John Bull*!!

Sewer.

SPRAWOZDANIE KONTROLI PAŃSTWA

O

WYKONANIU BUDŻETU PAŃSTWA ROSYJSKIEGO

Za rok 1879.

Z pomiędzy sprawozdań budżetowych za kilka lat ostatnich sprawozdanie za rok 1879 należy do najciekawszych. Pokój niezakłócony ani wypadkami polityki zagranicznéj ani wewnętrznéj, dał możność społeczeństwu zająć się pracą wytwórczą, urodzaje na ogół średnie, powrót handlu i przemysłu do warunków zwykłych,—wszystko to pozwala uważać rok wymieniony za normalny, a przeto i sprawozdanie kontroli państwa o wykonaniu budżetu w ciągu owego roku, dostarcza nam dokładniejszych wskazówek o istotnych siłach finansowych państwa rosyjskiego.

Zanim przystąpimy do szczegółów, przypomnijmy ogólne cyfry prelimiarza budżetowego na rok 1879. I tak:

dochody obliczone były jak następuje:

zwyczajne (czyli właściwe i zwrotne) wynosiły	617.097.942 rs.
na budowę dróg żelaznych i portów	9.367.766 „
pozostałości z lat poprzednich	2.500.000 „
Ogółem	628.965.708 rs.

Wydatki:

zwyczajne (właściwe i zwrotne) . .	610.715.991 rs.
na budowę dróg i portów	9.367.766 „
na wydatki nieprzewidziane w r. 1879	4.000.000 „
na potrzeby z lat poprzednich . . .	2.500.000 „
i na niedobory podatkowe.	2.000.000 „
razem	628.583.757 rs.

Odjąwszy ostatnią tę cyfrę od sumy dochodów widzimy, że spodziewany był plus tych ostatnich, wynoszący . . 381.951 rs.

Cofnijmy się teraz o lat dziesięć i porównajmy podane wyżéj cyfry z odpowiedniemi cyframi preliminarza na rok 1869.

Przewidywane wówczas dochody wynosiły:

zwyczajne (właściwe i zwrotne)	428.282.028 rs.
na budowę dróg i portów	31.123 3o3 „
pozostałości z lat poprzednich	7.5oo.ooo „
Ogółem	466.9o5.331 rs.

Wydatki zaś wynosiły:

zwyczajne (właściwe i zwrotne)	439.593.212 rs.
na budowę dróg i portów	31.123.3o3 „
fundusz na potrzeby z lat poprzednich . . .	3.5oo.ooo „
wydatki nieprzewidziane roku 1869	4.6oo.ooo „
na niedobory podatkowe	3.262.89o „
razem	482.o79.4o6 rs.

Przewidywano więc w r. 1869 deficyt w sumie 15.174.o74 rs. Nie zamierzyliśmy wszakże przypominać wszystkich szczegółów dotyczących wykonania budżetu z roku 1869, a przeto i kwestyą pokrycia tego deficytu pozostawiamy na uboczu, chodziło nam jedynie o wykazanie wzrostu budżetu państwa w ciągu ubiegłych lat dziesięciu.

Widzimy że preliminarz na rok 1876 przewyższa takiż z r. 1869 w dochodach o 162.o6o.377 rs. a w wydatkach o 146.5o4.351 rs. Różnice te wszakże, jako wyniki kombinacyj plusów i minusów w różnych pozycyach budżetowych, nie wykazują jeszcze w jakich mianowicie dochodach i w jakiego rodzaju wydatkach nastąpiła podwyżka zamierzeń.

Ze szczegółowego dopiéro porównania obu preliminarzy, przekonać się można że główna suma, składająca się na utworzenie przewyżki w zamierzeniach dochodowych budżetu, przypada na dochody niestałe; stanowi bowiem przeszło 111 milionów rubli; zamierzenia dochodów celnych na rok 1879 przewyższają takież na rok 1869, prawie o 4o milionów rubli; 2o przeszło milionów przypada na podatki stałe, z nich zaś 1o milionów powstało przez proste zapisanie do budżetu państwa, opłat, które stanowiły dawniéj tak zwane „podatki państwowe ziemskie“, a pozostałe kilka milionów rs., składają się z sum drobniejszych, stanowiących przewyżki w kilkunastu innych źródłach dochodów państwowych, których szczegółowo przytaczać nie będziemy.

Dane powyższe, wykazujące powiększenie zamierzeń głównie w dochodach niestałych, mogłyby doprowadzić do wniosku, że wzrost budżetu państwa rosyjskiego jest prawidłowym i opiera się przeważnie na naturalnym rozwoju gospodarstwa narodowego. Wszakże, o ile wniosek taki wyprowadzony z rozpatrzenia budżetu Anglii lub Francyi mógłby być słusznym, o tyle co się tycze państwa rosyjskiego nie odpowiadałby naturze rzeczy.

Podwyższenie bowiem zamierzeń budżetowych nastąpiło wyłącznie wskutek zwiększenia pomiędzy rokiem 1869 a 1879 opłat akcyznych, stemplowych i innych niestałych i ustanowienia nowych opłat: bezpośrednich (stałych) na pokrycie wydatków kwaterunkowych dla wojsk w Cesarstwie i podatku od podróżujących kolejami żelaznemi i ładunków pospiesznych. Wogóle więc nie obfitsze wpływy, lecz podniesienie stopy istniejących i wprowadzenie nowych podatków i opłat, wpłynęło na zwiększenie budżetu. Gdyby nie ta okoliczność, różnice między obu preliminarzami budżetowemi byłyby nieznaczne. Zresztą wobec przyjętego w Rosyi przez administracyą finansową systemu układania budżetu, warunki ekonomiczne nie wielką odegrywają rolę w kwestyi podnoszenia lub zniżania zamierzeń, oddziaływają tu głównie rozporządzenia dotyczące zmian w opodatkowaniu. Potwierdza się to i tem jeszcze, że wpływy rzeczywiste porównane z zamierzeniami, przedstawiają zwykle znaczne różnice na niekorzyść zamierzeń to jest przewyższają je. Przez ciąg dziesięciu lat od 1869 do 1879, wpływy rzeczywiste w dochodach zwyczajnych, tylko raz jeden zawiodły oczekiwania, mianowicie w r. 1877, w którym przyniosły skarbowi mniéj o 9.374.392 rs., niż było przewidziano w budżecie, we wszystkich innych latach zawsze były wyższe, a osiągnięte przewyżki, pomijając nieznaczną z r. 1876 (2.518 173 rs.), dochodziły od najniższéj w r. 1873 równającéj się 15.958.581 rs. do najwyższéj w r. 1878 wynoszącéj 67.723.727 rs.

Teoretycznie—budżet racyonalny winien uwzględniać wszelkie warunki ekonomiczne i naturalny wzrost dochodów, a przeto dążyć do tego, aby preliminowane w nim sumy były o ile możności zbliżone do rzeczywistych wpływów i wydatków; gdyby te względy odegrywały pewną rolę przy układaniu preliminarza budżetu rosyjskiego, tak znaczne, jak przytoczone przez nas, różnice między dochodami preliminowanemi a istotnemi nie mogłyby mieć miejsca. Wszelako, mając na uwadze względy praktyczne, gotowiśmy usprawiedliwić stosowany w państwie rosyjskiem system zamierzeń skromnych, nie obejmujących w sobie ewentualnych przewyszek w dochodach. W państwie tak obszerném jak rosyjskie, mającém potrzeby tak

ogromne, którego budżet zawiera rok rocznie bardzo znaczne wydatki nadetatowe, system nieznacznego powiększania zamierzeń dochodowych, może być rzeczą praktyczną. W ten sposób administracya finansowa, zastępująca do pewnego przynajmniej stopnia brak ścisłéj krytyki zamierzeń budżetowych, praktykowanéj na Zachodzie, może z większą łatwością hamować żądania poszczególnych władz i zarządów i tylko tą drogą pokryć zjawiające się w ciągu roku wydatki nieprzewidziane. Gdyby administracya finansowa, zrywając z dotychczasowym systematem, podniosła cyfry zamierzeń budżetowych do wysokości wpływów spodziewanych istotnie, wówczas wydatki, usuwane obecnie na drugi plan, mogłyby stać się nie tylko pierwszorzędnemi, lecz nieodzownemi i pochłonąć całą sumę zwiększonych dochodów, zmuszając do wyszukiwania nowych źródeł na pokrycie wydatków nadetatowych. Dopóki więc kredyty nadetatowe odegrywają rolę tak poważną w budżecie, system skromnych zamierzeń dochodowych, nie uwzględniających możliwych przewyszek, chociaż nieusprawiedliwiony teoretycznie, winien być stosowany i nadal, gdyż w obec warunków wyjątkowych ma on też wyjątkową przyczynę bytu.

Wracamy teraz do sprawozdania kontroli i przejdziemy z kolei wszystkie jego działy.

I.

Zamierzenia dochodów zwyczajnych na rok 1879 przewyższały takież na rok poprzedni o poważną sumę 58.848.932 rs. Na wprowadzenie jéj do preliminarza wpłynęło zwiększenie od 1 Stycznia 1879 r. opłat akcyznych, patentowych, stemplowych i ustanowienie podatku od podróżnych na drogach żelaznych. Pomimo jednak tak znacznego powiększenia zamierzeń, rezultat ostatecznego zamknięcia rachunków skarbu, dotyczących służby roku 1879, jest jeszcze dość pomyślny.

Na rzecz przewidywanych w dochodach zwyczajnych 617.097 942 rs. wpłynęło:

W latach poprzedzających r. 1879. .	280.011	rs.	78 kop.
w ciągu roku sprawozdawczego . .	655.566.561	„	30 „
i w roku 1880 przed zamknięciem rachunków z roku poprzedniego. . .	6.107.618	„	55 „
Wogóle wpłynęło. .	661.954.191	rs.	63 kop.

Wypada przeto, że wpływy rzeczywiste przewyższyły preliminarz o 44.856.249 rs. 63 kop., że jednak z téj ostatniéj sumy należy

potrącić 2.500.000 rs. wpisane do budżetu tytułem pozostałości z lat poprzednich i nie stanowiące dochodu roku sprawozdawczego, istotna przewyżka wyniesie 42.356.249 rs. 63 kop. i w takiej też sumie wykazana jest w sprawozdaniu.

Przewyżka ta nie jest wszakże sumą wyłącznie pozycyj plusowych. Plusy przyniosły skarbowi w istocie 57.151.450 rs., że zaś niektóre pozycye zawiodły oczekiwania, a ogół takich niedoborów uczynił 12.295.201 rs., przeto dla otrzymania podanych wyżéj 42.356.249 rubli, należy ogół minusów odjąć od ogółu plusów a nadto otrzymaną różnicę zmniejszyć o wskazane wyżéj 2.500.000 rs. pozostałości z lat poprzednich.

Taki rezultat wykonania budżetu z r. 1879 zdaje się z konieczności prowadzić do korzystnych wniosków o stanie ogólnego dobrobytu. Na ogółowych wszakże cyfrach nie można opierać wniosków ścisłych i chcąc wyrobić sobie sąd rzetelny, należy przekonać się, czy pomyślny rezultat zamknięcia rachunków przedstawia rękojmie trwałości na przyszłość i czy wpływy po nad zamierzenia nastąpiły w pozycyach świadczących o ogólnym dobrobycie i rozwoju gospodarstwa narodowego. Przechodzimy przeto do tych pozycyi.

Przewyżki nad zamierzenia miały miejsce w dochodach następujących:

Cła przyniosły więcéj o . . .	16.221.949 rs.
Akcyza od trunków	15.811.221 „
Podatek od przemysłu	1.396.811 „
„ „ soli	2.141.034 „
Opłaty stemplowe.	1.541.200 „
„ aktowe.	1.583.524 „
„ paszportowe	711.920 „
„ od żeglugi.	119.096 „
Regalja (górnictwo 5.604 rs., mennica 779.131 rs., poczta 202.305 rs., telegrafy 885.990 rs.) wogóle	1.873.036 „
Dochody z dóbr państwa (opłaty czynszowe i dzierżawne 177.456 rs., ze sprzedaży nieruchomości 601.140 rs., dochód z lasów 3.319.547 rs.) wogóle więcéj o.	5.475.043 „
Ze sprzedaży ruchomości skarbowych.	2.603 300 „

Procenty od papierów wartościowych, będących własnością skarbu i zyski banków państwa.	176.093	rs.
Zwroty pożyczek udzielonych ze skarbu	1.131.723	„
Opłaty szkolne	89.807	„
Dochody rozmaite	5.411.442	„
i dochody kraju Zakaukazkiego.	864.242	„

Jak widzimy, najznaczniejsze przewyżki przypadają na dochody od trunków i opłaty celne.

Pierwsze, w ogólnéj sumie wpływów z r. 1879 (228.260 002 rs.), przedstawiają przeszło trzecią część całego budżetu dochodowego i dotąd pod względem finansowym były źródłem niezawodzącém, nie oddziałało tu szkodliwie ciągłe podnoszenie opłat akcyznych, a wpływy rzeczywiste rok rocznie przewyższały zamierzenia. Opierając się na tych przykładach, należałoby przypuszczać, że i nadal źródło to zawodzić nie powinno, czy przypuszczenie to sprawdzi się—trudno zaręczyć. Sekret bowiem dotychczasowéj elastyczności dochodu od trunków, polega na ich konsumpcyi, wobec tego, dla dalszego wzrostu dochodu od trunków trzeba, żeby jednocześnie z podniesieniem opłat akcyznych wzrastała i konsumpcya wódki, czy możliwy jest ten warunek, o tém przyszłość tylko przekonać może; rok zaś 1879 nie daje żadnych danych w tym kierunku. Chociaż bowiem bez względu na zwiększenie w nim opłat, dochód skarbowy wzrósł bardzo znacznie, to jednak należy pamiętać, że powiększenie tych opłat, głównie zaś patentowych, nastąpiło dopiéro w pierwszych miesiącach roku sprawozdawczego nie zaś od początku roku; w ten sposób przepisy odnośne zaskoczyły rozpoczętą już produkcyą i handel wódką, zmuszając niejako do wytrwania w dalszéj pracy bez względu na nową wysokość opłat. Gdyby nowe przepisy były znane przed, lub w chwili wykupywania patentów i świadectw na prowadzenie tego przemysłu, to prawdopodobnie przewyżka nad zamierzenie nie dosięgłaby sumy tak znacznéj. Zresztą nie przesądzając przyszłego wzrostu dochodu od trunków, winniśmy zaznaczyć, że dalsze podwyższanie opłat od tego przemysłu nie byłoby, zdaje się, wolném od obawy o zmniejszenie dochodu, zpotęgowanie kontrabandy, oraz mimowolną zachętę do wyszukiwania sposobów obejścia prawa i przepisów dotyczących produkcyi.

Cła jak widzieliśmy przyniosły więcéj niż oczekiwano o 16.220.000 rs., w porównaniu zaś z wpływami roku 1878 prawie o 12.500.000 rs.

Przewyżkę nad preliminarz, sprawozdanie objaśnia zwiększonym przywozem towarów zagranicznych, głównie zaś: owoców, trunków, herbaty, wyrobów bawełnianych i bawełny (1). Wyjaśnienie powyższe uważamy za słuszne, lecz tylko do pewnego stopnia. Przywóz towarów zagranicznych znaczniejszym był niż w latach: 1878, 1877 i 1876 ale nie przewyższył rocznego przywozu, jaki miał miejsce w latach przedwojennych. Potwierdzenie tego znajdujemy w sprawozdaniu kontroli państwa za rok 1875, z którym jedynie rok 1879 może być porównywany. Otóż w r. 1875, najpomyślniejszym ze wszystkich pod względem finansowym, cła przyniosły skarbowi 62.383 113 rs. kredytowych, zaś w roku 1879, 91.785.949 rs. kredytowych czyli więcéj o 29.402.836 rs. Przewyżka ta jednak nie przesądza wcale o powiększeniu się ilości przywiezionych towarów. Wiadomo, że od r. 1877 cło pobierane jest w monecie brzęczącéj — zasada poboru polega na tem, że gdy do r. 1877 dana jednostka towaru przywożonego, ocloną była w wysokości rubla kredytowego, obecnie taż sama jednostka opłaca tegoż samego rubla w monecie metalicznéj, dla przekonania się przeto, w którym z dwóch lat (1875 i 1879) przywieziono więcéj towarów, należy dochód r. 1875 pobrany w rublach kredytowych, porównać z dochodem z ceł osiągniętym w r. 1879 w rublach metalicznych. Otóż ten ostatni, wskazany w sprawozdaniu za r. 1879, wynosił 63.304.121 rubli metalicznych (91.785.949 rs. kr. wedle kursu 26 pensów przyjętego w budżecie do obrachunku przy wysokości pożyczek zagranicznych i procentów od nich), skoro zaś dochód r. 1875, jakeśmy to podali wyżéj, równał się 62.383.113 rs. kredyt., przeto mniejszym był od dochodu z r. 1879 tylko o 921.008 rs. Ponieważ jednak z dochodu r. 1879 należy potrącić 2½ miljony rubli opłacone w skutek podniesienia stopy opłat celnych od bawełny, przekonywamy się, że dochód r. 1879 mniejszym był od takiegoż z roku 1875 o 1.078.992 ruble. Jeżeli więc jak mówi sprawozdanie przywieziono więcéj herbaty, trunków, owoców i wyrobów bawełnianych, to w zamian za to przywieziono mniéj innych towarów.

Podany wyżéj cyfrowy rezultat porównania dochodu celnego, osiągniętego w r. 1875 z dochodem roku 1879, powstrzymuje od wszelkich optymistycznych wniosków o rozwoju handlu zagranicznego, wniosków do jakich możnaby dochodzić, mając przed oczyma kolosalną i figurującą po raz pierwszy w budżecie, sumę dochodu

---

(1) Bawełna pod wpływem zwiększenia od r. 1879 opłat celnych przyniosła przewyżki przeszło 2½ miljony rubli.

z cel za rok 1879, mianowicie niespełna 92 miljony rubli. Natomiast rezultat ten, świadcząc o zmniejszonym przywozie, staje się dosyć wymownym w innym kierunku, pozwala bowiem wnioskować o przyczynach tamujących rozwój handlu zagranicznego. Nam się zdaje, że przyczyny te leżą głównie, jeżeli nie mamy powiedzieć wyłącznie, w nizkim kursie rubla rosyjskiego—nigdzie bowiem upadek kursu nie daje się tak dotkliwie i namacalnie uczuwać, jak przy rozrachunkach z zagranicą; nic przeto dziwnego, że zmusił on do unikania o ile możności tych rozrachunków, gdy zaś aż do dnia dzisiejszego kurs rubla prawie się nie podniósł i szybkiego poprawienia się przewidywać nie można, braknie danych do przypuszczeń, żeby przywóz towarów zagranicznych mógł się zwiększyć bez względu na tę okoliczność. Gdy zaś przypomnimy o wprowadzoném od 1 Stycznia r. b. nowem podwyższeniu opłat celnych o 10%, to dojdziemy do wniosku, że owe 92 miljony rubli, osiągnięte w r. 1879, nie dają rękojmi na przyszłość i że ożywienia handlu zagranicznego, a co zatem idzie i podniesienia się dochodu skarbu, można oczekiwać nie prędzéj jak po poprawieniu się kursu, innemi słowy, stanu ekonomicznego kraju i podniesieniu się ogólnego dobrobytu. Wymowniejszą daleko i lepiéj rokującą, chociaż nie zaślepia dziesiątkami miljonów rubli, jest przewyżka po nad zamierzenia osiągnięta w podatku od przemysłu. Otrzymany w téj pozycyi plus, niespełna 1½ miljona rubli, świadczy o rozwoju przemysłu i handlu wewnętrznego, czego zresztą należało oczekiwać po latach wojny.

Większy nad zamierzenie dochód od soli, sprawozdanie tłómaczy wpływem zaległości do kasy, lecz sumy przypadającéj na te spłaty nie podaje. Przewyżki w opłatach stemplowych, aktowych i paszportowych, skarb państwa zawdzięcza podwyższeniu ceny marek stemplowych i papieru stemplowego, a nadto co do dochodu od paszportów, to nie bez wpływu pozostały tu środki obostrzające przepisy paszportowe.

W dziale regaljów największą przewyżkę przyniósł dochód telegraficzny, dzięki ożywieniu tego sposobu porozumiewania się. W rzędzie dochodów z dóbr państwa, lasy przyniosły skarbowi sumę największą. Osiągnięty plus 3.319.000 rs., powstał według sprawozdania wskutek zwiększonego popytu na drzewo z lasów rządowych i podskoczenia cen drzewa na targach. W przewyżce téj mieści się plus osiągnięty w Królestwie Polskiém, wynosi ono 448.710 rs. a spowodowały go nietylko przyczyny wspólne dla Królestwa i Cesarstwa, lecz i szczególne, mianowicie: znaczne zakupy drzewa poczynione przez drogi żelazne Terespolską i Nadwiślańską.

Z pozostałych pozycyj zwyżkowych mamy do wyjaśnienia, jako przedstawiające kwoty najznaczniejsze: przewyżkę nad zamierzenia w dochodzie ze sprzedaży ruchomości skarbowych i ze zwrotu pożyczek.

Co do pierwszéj, to osiągnięte w niéj 2.603.300 rs. wpłynęły, o ile wnosić możemy z rozrzuconych w dziale szczegółowym sprawozdania wyjaśnień, w skutek przedsięwziętéj sprzedaży koni i zużytych ruchomości, pozostałych po wojnie. W drugiéj pozycyi pobrano więcéj o 1.131.723 rs. Suma ta nie jest szczegółowo usprawiedliwiona w sprawozdaniu. Z ogólnikowych tylko uwag widzimy, że składają się na nią spłaty zaległości z lat dawniejszych; nieoczekiwany wpływ od drogi żelaznéj Kursko-Azowskiéj, na zwrot skarbowi dokonanych przezeń wypłat z tytułu poręczenia dochodu drogi i nareszcie spłaty przedterminowe na rzecz zaciągniętych ze skarbu pożyczek. W jakich jednak sumach trzy te kategorye dochodów składają się na powyższe 1.131.723 rs. tego sprawozdanie nie podaje. Przypatrzmy się teraz pozycyom, w których osiągnięto dochodu mniéj niż oznaczono w zamierzeniach budżetowych i tak:

podatki stałe (gruntowy i leśny) dały mniéj o	1.353.779 rs.
akcyza od tytoniu	829.197 „
„ „ cukru	995.523 „
podatek od podróżnych na drogach żelaznych. . . .	425.256 „
„ szosowy	72.281 „
opłaty rozmaite (niestałe).	109.764 „
dochody od dróg żelaznych	2.083.360 „
wpływy na spłatę obligacyj dróg żelaznych	1.880.371 „
zasiłki na rzecz skarbu z funduszów miejskich i innych.	145.428 „
dochody zwrotne	4.389.068 „

Pierwsze miejsce poświęciliśmy niedoborowi w podatkach stałych, nie dla tego, żeby on był największym, lecz z téj pobudki, że wymownie świadczy o złym stanie gospodarstwa narodowego.

Dochód z tego źródła zawodzi już od lat kilku. W r. 1875 przyniósł on sumę największą 120.229.384 rs., w r. 1876—118.440.727 rs., w r. 1877—116.998.379 rs. w r. 1878 podniósł się do 120.066.101 rs., żeby w r. 1879 spaść znowu do 117.467.458 rs. Widzimy z tego, że wpływ rzeczywisty podatków stałych z r. 1879 przewyższa tylko dochód, jednego z lat najgorszych, roku 1877 i to o nieznaczną sumę 469.079 rs., mniejszym zaś jest od dochodu roku najlepszego 1875—o 2.761.926 rs. a od dochodu roku 1874—o 2.714.118 rubli. Niedobór z r. 1879 sprawozdanie przypisuje nieurodzajom w jednych miejscowościach, utrudnionemu sprzętowi w drugich, pożarom, pomorowi bydła i nareszcie innym przyczynom.

Wszystkie te przyczyny zdają się mieć tylko względną racyą za sobą — ani nieurodzajami w pewnych miejscowościach, ani też utrudnionym sprzętem, ani pożarami nie możemy usprawiedliwić niedoboru w podatkach stałych, gdyż wszystkie te klęski miejscowe nie były tak znaczne, aby mogły przeważyć, na swoją stronę szalę wpływów dodatnich, której też w r. 1879 balastu nie brakło wcale. Wątpimy, czy w tak rozległém państwie, którego prowincye znajdują się w nader różnych warunkach klimatycznych, możnaby wskazać, nie już lata, lecz bodaj rok jeden, w którym urodzaje były jednostajnie dobre we wszystkich miejscowościach i sprzęt jednostajnie pomyślnie się udał; warunki dodatnie i ujemne spotykają się co roku i wzajemnie też i rozmaicie oddziaływają na siebie. W r. 1879 dodatnie byłyby powinny mieć przewagę: zarówno urodzaje uważane powszechnie za średnie, jako też nizki kurs rubla, przynoszący producentom większą ilość znaków obiegowych, a tem samem ułatwiający im uiszczanie się z należności i długów, składają się razem na to, że na pozór nie ma przyczyn obniżających dochód z podatków stałych; a jednak był on mniejszym nietylko od zamierzeń na rok sprawozdawczy, ale od dochodu z r. 1874 o 2.714.118 rs., nie można bowiem porównywać roku 1879 z 1878 i 1877 jako latami wojny i ogólnéj stagnacyi i że usuwamy porównanie z dochodem roku 1875 jako wyjątkowo i pod każdym względem pomyślnego. Rok 1879 miał ogromną przewagę nad 1874—oprócz bowiem, zaznaczonego już, niskiego kursu rubla korzystnego dla producentów, miał on większą ilość rąk roboczych przysporzonych przez naturalny przyrost ludności. Skoro więc ta zwiększona ilość rąk, złożyła skarbowi mniéj niż mniejsza w r. 1874, to już nie szczególne jakieś, ale ogólne przyczyny na to oddziałać musiały, a przeto nie te, które sprawozdanie zaznacza, ale chyba ukrywające się pod nadanym przez to sprawozdanie tytułem *innych* Co przez ten ogólnik wypowiedzieć chciano, nie wiemy i o tém też sprawozdanie zachowuje milczenie, naszém zaś zdaniem to ciągłe obniżanie się dochodu w kategoryi podatków stałych, policzyć należy na karb wadliwości systemu tych podatków w Rosyi; korzystnéj zaś zmiany, pod względem finansowym, można oczekiwać nie prędzéj jak po wprowadzeniu w życie nowych zasad opodatkowania, będących jak wiadomo przedmiotem prac nowéj komisyi specyalnéj. Już w roku 1871, istniejąca wówczas „komisya podatkowa" zaznaczyła nierównomierność w obciążeniu podatkami rozmaitych klas społecznych (mybyśmy dodali i nierównomierność między rozmaitemi prowincyami); wykazała, że na klasach uboższych ciąży 76% ogólnéj sumy wszystkich podatków; nadto, że klasy te nie są w stanie ani z gospodarstwa rolnego, ani z przemysłu, któremu się

oddają, wydobyć dostatecznéj ilości gotowizny do uiszczenia ciążących na nich opłat.

Niedobór w podatkach stałych w r. 1879 powstał głównie skutkiem nieuiszczenia się właśnie tych klas uboższych; na wykazany bowiem minus w sumie 1.355.779 rs. składa się przeważnie niedobór w podatku *podusznym*, pobieranym od włościan dawniéj rządowych i od włościan niegdyś obywatelskich, nadto w podatku opłacanym p. włościan b. rządowych zamiast czynszów (obrocznaja podat'). Wobec tego zdaje sie rzeczą jasną, że obok innych względów, sama kwestya podniesienia dochodu skarbu z podatków stałych, zależną jest od reformy w opodatkowaniu, skierowanéj ku przeniesieniu części ciężaru podatkowego z klas uboższych na zamożniejsze, które w centralnych i wschodnich prowincyach Rosyi wcale nie upadają pod brzemieniem opłat stałych na rzecz skarbu. Potwierdzenia téj myśli daleko szukać nie potrzebujemy, mamy je bowiem w części szczegółowéj tegoż samego sprawozdania, w pozycyach dotyczących podatków stałych pobieranych w Królestwie Polskiém.

Wiadomo powszechnie, że podatki stałe są tu daleko równomierniéj rozłożone niż w Cesarstwie i że nie obciążają wyłącznie jednéj klasy ani folgują drugiéj; otóż gdy w Cesarstwie powtarza się rok rocznie niedobór, dochód z podatków stałych pobieranych w Królestwie Polskiém zwykle przewyższa zamierzenia. Nie mamy sprawozdań za lata poprzednie, możemy więc tylko przytoczyć cyfry za rok 1878 i 1879. W pierwszym ogólna suma zamierzeń podatków stałych w Królestwie wynosiła 7.571.342 rs., dochód zaś rzeczywisty przyniósł 7.621.535 rs. czyli przewyższył zamierzenia o 50.193 rs., w drugim zamierzenia równały się 7.581.266 rs., dochód zaś wynosił 7.630.718 rs. czyli większym był od zamierzeń o 49.452 rs.

Opłaty od tytoniu przyniosły w r. 1879 więcéj niż w r. 1878 o 1.039.029 rs. mniéj zaś od zamierzeń na rok sprawozdawczy o 829.107 rs. Niedobór ten sprawozdanie usprawiedliwia zbytecznėm wygórowaniem zamierzenia obliczonego z uwzględnieniem wprowadzonéj od 1 Stycznia r. 1879 droższéj banderoli, a nadto z powodu zmniejszenia się liczby fabryk tabacznych; zawsze jednak dochód skarbu z tego źródła dosiągł w r. 1879—13.000.000 rs. Po raz pierwszy widzimy taką sumę w téj pozycyi dochodu, a jednak niepodobna powstrzymać się od uwagi, że jest ona nieznaczną w porównaniu z dochodami skarbu z tego źródła w innych państwach Europy. Skarb Francyi pobiera z opłat od tytoniu prawie 85 miljonów rubli, Austryacko-Węgierski 60 miljonów rubli, Angielski 50 mil. rub., Włoski 25 mil. rs., Hiszpański 22 mil. rs. Różnice te zwiększą się jeszcze, gdy uwględnimy tę okoliczność, że co się tyczy spożycia ty-

toniu, Rosya daje się prześcignąć tylko Austryi a góruje nad innemi przytoczonemi wyżéj państwami. Na 100 mieszkańców przypada: w Austryi 124.5 kilogr., w Rosyi 83.3 kil. we Francyi 75 kil., w Anglii 62 kil. we Włoszech 57 kil. a w Hiszpanii 49 kilogr. W obec tego, tylko nizkością opodatkowania tłómaczyć można nieznaczny dochód skarbu Rosyjskiego z opłat od tytoniu—wiedzą o tem wyższe władze finansowe i opracowują projekt nowéj ustawy tabacznéj, na którą też zapewne długo czekać nie będziemy.

Niedobór w dochodzie z opłat od cukru powstał, według wyjaśnienia w sprawozdaniu, skutkiem nieurodzaju buraków. Minus w dochodzie z podatku od podróżnych i ładunków pospiesznych na drogach żelaznych jest tylko pozornym, właściwie skarb osiągnął tu pewną zwyżkę nad zamierzenia. Spodziewany dochód obliczony był w sumie 7.500.000 rs., że jednak w sumie téj mieścił się jeden miljon rubli obliczony jako dochód mający wpłynąć od podróżnych na statkach parowych, którego pobór wnet po ustanowieniu został wstrzymany, przeto z podatku od podróżnych i ładunków pośpiesznych na drogach żelaznych spodziewano się 6.500.000 rs. Wpływ rzeczywisty wynosił 7.074.700 rs., przewyżka więc nad zamierzenie równałaby się 574.700 rs. należy jednak pamiętać, że dochód za Grudzień roku 1879 przelany został do skarbu zaledwie w Styczniu roku 1880 -- przewyżka więc istotna będzie wiekszą; w przybliżeniu sięgać może miljona rubli. Czy jednak plus ten jest bardzo pocieszającym, to pytanie na które możnaby dać odpowiedź po przekonaniu się, jak oddziałał podatek na ruch podróżnych i ładunków na drogach żelaznych i czy nie wywołał on, zwiększonych wydatków skarbu na zagwarantowane przezeń dopłaty do dochodu dróg żelaznych. Nie mamy ścisłych danych do wyczerpującego zbadania obu tych kwestyj, z zebranych zaś tu i owdzie szczegółów widzimy, że dochody osiągnięte przez drogi żelazne, za przewóz w r. 1879 podróżnych i ładunków pospiesznych, mniejsze były od takichże dochodów z r. 1875 i że to zmiejszenie się dochodów, drogi żelazne przypisują mniejszéj liczbie podróżnych i ładunków, dzięki właśnie wprowadzonemu podatkowi: z drugiéj strony sprawozdanie kontroli państwa, będące przedmiotem pracy niniejszéj, wykazuje, że w ciągu roku 1879 wypłacono drogom żelaznym tytułem dopłat do dochodu poręczonego przez rząd, 14.386.791 rs. czyli więcéj niż w roku poprzednim o 3.065.174 rs. Przewyżki téj jednak nie możemy, dla braku odpowiednich danych, kłaść w całości na karb zmniejszonego dochodu dróg żelaznych w skutek wprowadzenia podatku. W wypłaconéj bowiem sumie 14 miljonów rubli mogą się mieścić wypłaty dokonane za lata poprzednie, o czem sprawozdanie nie infortuje nas

wcale. W każdym razie czy podatek od podróżnych i ładunków na drogach żelaznych zwiększył wydatki skarbu na dopłaty gwarancyjne, czy nie, sam podatek, przy nie dość rozgałęzionéj sieci dróg żelaznych i w obec potrzeby ułatwienia nie zaś utrudnienia środków komunikacyi, słusznym podobno ulega zarzutom. Podawane od czasu do czasu wiadomości gazeciarskie, o toczących się w wyższych sferach naradach nad kwestyą utrzymania lub zniesienia tego podatku, dowodzą że i władze skarbowe uważają go za *malum necessarium* wprowadzone w chwili kłopotów finansowych państwa, wiadomości te zdają się budzić nadzieję, że może téż doczekamy zniesienia tego podatku, nie używającego ani w Rosyi ani we Francyi, gdzie istnieje, najmniejszéj popularności.

Z pozostałych pozycyj minusowych, znaczniejsze niedobory przypadają na dochody od dróg żelaznych i we wpływach na spłatę obligacyj tychże dróg. Minus w pierwszéj wynosi 1.880.371 rs. a w drugiéj 2 083.150 rs. Obadwa te niedobory sprawozdanie tłómaczy *opóźnieniem* opłat należnych od dróg żelaznych. Wyjaśnienie to dosyć nieokreślone pozwalałoby wnioskować, że wpływy o których mowa nastąpiły chyba w pierwszych miesiącach roku 1880. Czy tak jest jednak, a z drugiéj strony i co prawdopodobniejsze, czy one nie zostały na zaległości do spłacenia w czasach lepszych— o tem ze sprawozdania nie dowiadujemy się wcale.

Niedobór w dochodach zwrotnych świadczy o niepokończonych rozrachunkach między rozmaitemi władzami i wydziałami rządowemi.

Zamykając na tem ustęp o dochodach zwyczajnych, przechodzimy do strony wydatkowéj budżetu.

II.

Widzieliśmy wyżéj, że wydatki zwyczajne preliminowane na rok 1879 przewyższały cyfrę takich-że wydatków z roku 1869 o 161.122.779 rs.

Dla uwydatnienia w jakich wydziałach administracyi nastąpiło podwyższenie lub zmniejszenie wydatków, podajemy sumaryczne zestawienie cyfr obu preliminarzów.

	W preliminarzach obliczono: *wydatków zwyczajnych.*	
	na r. 1869	na r. 1879
Na służbę długu państwowego	80.984.293 rs.	157.147.840 rs.

Wyższe władze państwa. (Rada państwa, komitet ministrów, kancelarya Panującego, komitet do spraw królestwa Polskiego, kancelarya kaukazka i próźb)	1.672.780 rs.	2.441.323 rs.
Kancelarya do spraw Królestwa Polskiego	210 450 rs.	
Synod	7.997.267 rs.	10.187.133 rs.
Ministerium Dworu	8.881.886 „	9.121.856 „
„ spraw zagranicznych . .	2.242.065 „	3.365.647 „
„ wojny	140.348.576 „	184.855.714 „
„ marynarki	17.709.362 „	27.164.554 „
„ skarbu	82.146.743 „	87.263.474 „
„ dóbr państwa	8.374.366 „	18.440.689 „
„ spraw wewnętrznych . .	23.691.671 „	36.892.485 „
„ wydział poczt i telegrafów	14.994.575 „	20.039.090 „
„ oświecenia	9.289.455 „	16 256.044 „
„ dróg komunikacyi . . .	21.641.773 „	11.398.763 „
„ sprawiedliwości	10.156.022 „	15.804.861 „
Kontrola państwa	1.873.785 „	2.143.473 „
Główny zarząd stadnin rządowych	650.722 „	842.770 „
„ kraju Zakaukazkiego	6.727.421 „	7.350.285 „
	439.593.212 rs.	615.715.991 rs.
Dodając nadto kredyty nadetatowe na wydatki zwyczajne	43.832.893 „	40.625.212 „
Otrzymamy ogół wydat. zwyczaj.	483.426.105 „	651.341.203 „

Z tabeli powyższéj widzimy, że wzrost wydatków zwyczajnych w ciągu ubiegłego dziesięciolecia, nastąpił prawie we wszystkich wydziałach administracyi państwowéj. Przewyżki najznaczniejsze przypadają na dwie największe pozycye strony wydatkowéj budżetu, mianowicie: długów państwowych i ministerium wojny. W pierwszéj wydatki prawie się zdwoiły a w drugiéj wzrosły o 44½ miliony rs. na ogół przewyżki wydatków w obu tych wydziałach pochłaniają ¾ sumy stanowiącéj różnicę między zamierzeniami dochodowemi na r. 1879 a na rok 1869. Wiemy, że do pewnego stopnia nic nowego nie komunikujemy czytelnikom, wzrost długów państwa i wydatków na wojsko, dobrze jest znany ogółowi, pragnęliśmy tylko wzrost ten okazać w cyfrach i ułatwić zestawienie jego, ze zwiększaniem się wydatków w innych wydziałach zarządu państwa, podana wyżéj tabelka dostarcza odpowiedniego materyału—pozostawiając więc czy-

telnikom wysnuwanie wniosków dalszych, przechodzimy do wydatków z r. 1879.

Widzieliśmy wyżéj, że wydatki zwyczajne preliminowane na rok 1879 wynosiły 610.715.991 rs. W ciągu roku wyjednano kredytów nadetatowych: na wydatki zwyczajne—40.625.212 rs. 48 kop. i nadzwyczajne na potrzeby wojny ukończonéj i wyprawy zakaspijskiéj—138.959 222 rs. 56 kop. Ogół przeto wydatków (bez preliminowanych: na budowę dróg i portów, na wydatki nieprzewidziane, na potrzeby lat ubiegłych i na niedobory) stanowił cyfrę 790.300.426 rs. 50 kop.

Na rzecz téj sumy wypłacono:

w ciągu roku 1878	19.016.455	rs.	37 kop.
„ „ 1879	656.852.956	„	32 „
w roku 1880 przed zamknięciem rachunków z r. 1879	35.679.573	„	11 „
i pozostało do wypłacenia po zamknięciu rachunków	64.452.590	„	32 „
Razem	776.001.575	„	12 „

Z téj sumy na wydatki zwyczajne przypada 643.892 258 rs. 37 kop. i nadzwyczajne (potrzeby wojny wschodniéj i wyprawy Zakaspijskiéj) 132.109.316 rs. 75 kop. kredyty zaś niewyczerpane w sumie 14.298.850 rs. 92 kop. zostały cofnięte,

Szczegóły, o wydziałach rządowych którym udzielono kredytów nadetatowych, czerpiemy z wykazu znajdującego się w sprawozdaniu w którém wydatki zgruppowane są podług wydziałów.

W rubryce pierwszéj wykazu mieszczą się wydatki zwyczajne wpisane pierwotnie do preliminarza na r. 1879, ogłoszonego w Grudniu r. 1878. Ogół téj rubryki zgadza się w zupełności z cyfrą preliminarza, w szczegółach zaś są pewne różnice; że jednak powstały one z uwzględnienia, w wykazie o którym mowa, zmian zaszłych w ciągu roku w rozdzieleniu kredytów pomiędzy wydziały rządowe, nie widzimy potrzeby szczegółowo o nich się rozpisywać, a przystępujemy do rubryki następnéj. Tu znajdujmy kredyty nadetatowe *na wydatki zwyczajne.* Największych kredytów nadetatowych wymagała „Służba długu państwowego.“ Suma kredytów udzielonych, wynosiła w tym dziale 15.304.968 rs. 4 kop. potrzebne one były na opłacenie kuponu od dwu pożyczek „wschodnich“ (II i III) i krótkoterminowych bonów rządowych. Następnie największych kredytów nadetatowych, podobnie jak w latach 1877 i 1878, udzielono ministerium skarbu. W r. 1879 kredyty te na wydatki zwyczajne wynosiły

9.941.910 rs. 53 kop. i nadzwyczajne 327.233 rs. 71 kop.—na ogół więc razem z zamierzonemi w budżecie, ministerium skarbu wyjednało dla siebie w ciągu roku 1879—97.532.426 rs. 56 kop. Pod względem wysokości udzielanych kredytów, wydział ten zajmuje trzecie miejsce w budżecie państwa Rosyjskiego, dwa pierwsze bowiem należą się ministerium wojny i służbie długu państwowego.

Z udzielonych ministerium skarbu kredytów nadetatowych, 4½ miliony rubli przeznaczone były dla dwunastu towarzystw dróg żelaznych na spłatę obligacyi i opłacenie kuponów od obligacyi, jeden milion rubli na różnicę kursu przy zamianie pieniędzy na marki fińskie, jeden milion rubli na przygotowanie wystawy moskiewskiéj, prawie pół miliona na stłumienie epidemii w gub. Astrachańskiéj, pozostała suma kredytów nadetatowych assygnowaną była na zwiększenie etatów urzędnikom ministerium skarbu i inne wydatki. Z ogólnéj sumy kredytów udzielonych ministerium skarbu cofnięto jako niewyczerpane 2.823.738 rs.

Dla ministerium wojny wyjednano w kredytach nadetatowych 132.474.716 rs. 85 kop. z których 4.287.426 rs. przypada na wydatki zwyczajne, reszta na nadzwyczajne.

Z całéj sumy kredytów nadetatowych przeznaczono było: 48 milionów rs. na skompletowanie zapasów wojskowych, przeszło 40 milionów rs. na potrzeby armii czynnéj i wojsk okupacyjnych; 16.781.000 rs. na zapłacenie drogom żelaznym i flocie ochotniczéj za przewóz wojsk powracających z placu boju, 4 687.000 na wydatki wyprawy Achał-Tekińskiéj; na kupno broni 1.785.865 rs. na kupno materyałów i najem robotnika do pistonów, naboi i t. p. przedmiotów 1.138.600 rs.—na przewóz materyałów artyleryjskich 4.363.785 rs. na uzbrojenie artyleryi w działa dalekonośne 7.288.720 rs. na wzmocnienie fortec 1.747.000 rs.; na wydatki eksploatacyi drogi Bendero-Galackiéj i reparacyą dróg w Bułgaryi 2.453.300 rs. itd. w pozycyach drobniejszych, których wyliczać tu niepodobna.

Z całéj sumy kredytów udzielonych ministerium wojny (317.330.430 rs.) cofnięto w kredytach niezużytkowanych 8.469.859 rs.

Ministerium spraw wewnętrznych uzyskało kredytów nadetatowych na wydatki zwyczajne i nadzwyczajne 4.516.009 rs. z których cofnięto następnie jako niewyczerpane 1.150.520 rs. Kredyty nadetatowe potrzebne były przeważnie na utrzymanie czasowych generał-gubernatorów ich kancelaryi i fundusze oddane im do szafowania (350.000 rs.), na potrzeby jarmarku i policyi w Niższym Nowogrodzie, (109.000 r.) na urządzenie mieszkań dla plemion górskich wysyłanych z Kaukazu, (305.000 rs.), na potrzeby więźniów (301.600 r.), na wydatki nadzwyczajne: zasiłki miastom, zakładom dobroczyn-

nym itd. (176.000 rs.), na potrzeby wojsk konsystujących w królestwie Polskiem(242.000 rs.), na dopłaty poczthalterom za konie pocztowe użyte do przejazdów Panującego i zasiłki poczthalterom (142.660 r.), na potrzeby służby telegraficznéj (228.400 rs.), na zapłacenie za przesyłanie depesz w r. 1878 i 1879 towarzystwu Czarnomorskiemu i Wielkiemu Północnemu (222.000 rs.) na urządzenie telegrafu podwodnego z Baku do Czigislaru (650.000 rs) itd.

Znaczniejszych jeszcze kredytów nadetatowych wymagało ministerium dróg komunikacyi—w ogóle, to jest na wydatki zwyczajne i nadzwyczajne, udzielono temu wydziałowi 5.784.860 rs. następnie ministeryum marynarki 3.862.974 rs. i ministeryum Dworu 2 727.421 rs.

Z pierwszéj sumy użyto 316.000 rs. na nowe roboty i zbadanie koryta rzeki Amu-Darii; 550.000 rs. na budowę dróg w obwodzie Batumskim, na zbudowanie drogi żelaznéj Bendero-Galackiéj 4.810 800 rs.

Co do téj ostatniéj pozycyi, zastanawia, że gdy wydatki na budowę drogi figurują w etacie ministeryum dróg komunikacyi, wydatki na eksploatacyą téj saméj drogi żelaznéj znajdujemy w etacie ministeryum wojny. Sprawozdanie nie daje żadnych wskazówek pod tym względem.

Z kredytów nadetatowych udzielonych ministeryum marynarki, użyto 2.226.314 rs. na opłatę „Rosyjskiemu towarzystwu żeglugi parowéj" za używanie okrętów i statków jego podczas wojny ostatniéj i na kupno i uzbrojenie statków w Ameryce; 824.000 rs. wydane zostały na koszta żeglugi na wodach obcych, i 150.000 rs. na wydatki dotyczące budowy okrętów—pozycye drobniejsze pomijamy.

Sposobu użycia kredytów nadetatowych udzielonych ministerium Dworu, sprawozdanie nie podaje.

Zamykając rzecz naszą o stronie wydatkowéj budżetu dodajemy jeszcze że kredyty nadetatowe wzrastają rok rocznie. Gdy w r. 1875 kredyty te udzielone na wydatki zwyczajne stanowiły $2^3/_4\%$ całéj sumy wydatków zwyczajnych obliczonych w budżecie, w r. 1876 wzrosły o 1%—w r. 1877 o 2% tj. stanowiły $5^3/_4\%$, w r. 1878 spadły wprawdzie do $3^1/_2\%$ lecz w roku o którym mówimy dosięgły aż $6^1/_4\%$ przewyższając rok 1875 o $3^1/_2\%$, bez względu na to, że rok ten jako normalniejszy, a tém samém zbliżony do r. 1875, nie powinienby tak znacznie prześcigać tego ostatniego.

W szczegółową krytykę wydatków wdawać się tu nie możemy, należałoby ocenić z kolei działalność każdego wydziału administracyi rządowéj i wykazać tą drogę o ile produkcyjną i w ogóle po-

trzebną jest praca i istnienie danego wydziału, a nadto czy działalność każdego z nich jest w prostym stosunku do wydatków nań łożonych, lecz ani miejsce ani zakres naszéj pracy, polegającéj na streszczeniu rachunków skarbu, na to nie pozwalają, dla tego też wracamy do przedmiotu nas zajmującego. Zanim jednak przejdziemy do zbilansowania dochodu z rozchodem, zatrzymamy na chwilę uwagę czytelnika nad wydatkami na minioną wojnę Rosyjsko-Turecką, na potrzeby któréj jak widzieliśmy, jeszcze i w r. 1879 udzielono 138.959.222 rs. 56 kop. tytułem kredytów nadetatowych na wydatki nadzwyczajne.

W r. 1876 wydano w przewidywaniu wojny	50.998.114 rs.
„ 1877 wojna kosztowała „	429.328.089 „
„ 1878 „ „ „	408.142.969 „
nareszcie w r. 1879 wyjednano kredytów na 138.959.222 r. 56 kop. że zaś cofnięto z nich 6.849 905 rs. 81 kop. przeto w istocie wydano	132.109.317 „
Razem	1.020.578.489 „

O sposobie pokrycia tego ogólnego wydatku, powiemy trochę niżéj, teraz zaś dodajemy że wydatek roku 1879—132.109.317 rs. pokryty został funduszami z emisyi obligacyi *trzeciej pożyczki wschodniéj* i resztą za obligacye dwu pierwszych takichże pożyczek. Ze źródeł tych wpłynęło do skarbu w r. 1879:

Za obligacye pożyczki	I-éj	4.893 r.	14 kop.
„ „	II-éj	32.608.753 „	2 „
„ „	III-éj	255.518.006 „	8 „
	Razem	288.131.652 „	24 „

czyli więcéj nad podaną wyżéj sumę wydatków na potrzeby wojny o 156.022.335 rs. 49 kop., które według słów sprawozdania, użyte zostały na opłacenie Bankowi Państwa pożyczek, zaciągniętych przez rząd na opędzenie wydatków wywołanych przez potrzeby nadzwyczajne. Jakie to jednak pożyczki zapłacone zostały tego sprawozdanie nie podaje.

Co zaś do wydatków, które pochłonęły w r. 1879 owe 132.109.317 rs. to ze sprawozdania widzimy że $28,_{3}$ mil. rs. zużyto na pensye i utrzymanie wojsk (chyba okupacyjnych?), 27 milionów rs. na umundurowanie, $19,_{4}$ milj. rs. na przewóz wojsk i ciężarów, $13,_{8}$ milj. rs. na furaż, $10,_{8}$ milj. na uzbrojenie, $10,_{3}$ milj. rs. na wydatki budowlane, $7,_{2}$ milj. rs. na prowiant, $4,_{6}$ milj. na wyprawę Tekińską, $3,_{5}$ milj. rs. na potrzeby sanitarne, $3,_{1}$ milj. na ministerium marynarki, $1,_{5}$

milj. na telegramy, przejazdy i utrzymanie komunikacyi pomiędzy oddziałami wojsk, 1,8 milj. rs. na wydatki nadzwyczajne i 464 tysiące rs. na wydatki rozmaite.

Wracając do sumy ogólnéj na wydatki nadzwyczajne czyli wojny wschodniéj 1.020.578.489 rs. 99 kop. widzimy, że na pokrycie jéj użyto funduszów następujących:

Z emisyi 4-ej seryi 5%-wych bil. bankowych	91.763.436	rs.	4 kop.
Z pożyczki zagranicznéj z r. 1877	106.408.573	„	25 „
„ wschodniéj I-éj.	174.607.411	„	39 „
„ „ II-éj.	276.092.955	„	47 „
„ „ III-éj.	255.518.006	„	8 „
Z reszt z lat dawniejszych	3.843.321	„	20 „
I z przewyżki dochodów zwyczajnych roku 1878 nad wydatkami tegoż roku . . .	25.708.084	„	81 „
W ogóle. .	933.941.793	rs.	24 kop.

Pozostaje więc do pokrycia 86.636.696 rs. 75 kop.. Jakich zaś funduszów administracya finansowa ma użyć w tym celu, o tem sprawozdanie nie informuje nas wcale.

III.

Widzieliśmy, że w 1879 r. dochody zwyczajne przyniosły skarbowi	661.954 191 rs. 63 k.
Wydatki zaś uskutecznione w ciągu roku 1879 i pozostałe do pokrycia z funduszów służby roku 1879, równały się	776.001.575 rs. 12 k.
Wydatki przeto przewyższyły dochód o	114.047.383. rs. 49 k.

W sumie wydatków mieszczą się jednak wydatki nadzwyczajne w ilości 132.109.316 rs. 76 kop. pokryte częścią zasobów, których pożyczki wschodnie dostarczyły; potrąciwszy więc je z ogólnéj sumy, otrzymamy wydatki zwyczajne, uskutecznione ze zwyczajnych także dochodów w ilości 643.892.258 rs. 37 kop., dochód zatem r. 1879 przewyższyłby wydatki o 18.061.933 rs. 26 kop. W sprawozdaniu kontroli państwa ostatnia ta cyfra zwiększoną jest o 1.967.301 rs. i stanowi 20.029.234 rs. 26 kop. W sprawozdaniu powiedziano, że ta przewyżka wynikła ze zmniejszenia o takąż sumę wydatków zwyczajnych, których część mianowicie 1.967.301 rs. uskutecznioną była nie z zasobów ogólnych, lecz z funduszu zapasowego wydziału wojny. Obrót ten jest czysto rachunkowy, lubo nie wpływa wcale na stan kasy, niemniéj jest dosyć zawiły. Dla wyjaśnienia tego rachunku podajemy słów kilka o owym funduszu zapasowym.

Z powodu ciągłego wzrostu wydatków ministerium wojny i marynarki, ustanowiono w r. 1873 dla obu tych wydziałów *budżet normalny* na lat pięć, w sumie na pierwszy rok 195 milionów rs. z dodaniem 10 milionów w latach następnych. 170 milionów przeznaczono dla wydziału wojny zaś 25 dla ministerium marynarki. W rozwinięciu tego postanowienia udzielono obu tym ministerium (wbrew obowiązującym przepisom o sposobie układania i wykonywania etatów) prawa do szafowania kredytów niezużytkowanych w danym roku w granicach budżetu normalnego, w latach następnych, bez względu na zamknięcie rachunków za rok budżetowy, a nadto postanowiono, że wszelkie oszczędności poczynione w obu tych wydziałach, nie przechodzą na rzecz skarbu lecz stanowią tak zwany *fundusz zapasowy wydziału wojny*, przeznaczony na potrzeby ministerium wojny. Fundusz ten nigdy nie istniał obok kasy państwa, przeciwnie w niéj się koncentrował, ale chociaż był tylko rachunkowym, zawsze jednak ministerium skarbu musiało go mieć w pogotowiu na ewentualne żądanie wydziału wojny.

System budżetu normalnego przepisany został na lat pięć — nadane zaś ministerium wojny prawo do szafowania funduszu zapasowego przedłużono następnie do r. 1880. Pomijamy niepraktyczność takiego budżetu normalnego, któren też, wobec ciągle wzrastających wydatków, nie doprowadził do żadnych rezultatów i od roku 1880 został zniesiony i wracamy od rachunku kontroli państwa. Otóż skutkiem nadanego wydziałowi, respective ministrowi wojny prawa używania oszczędności w każdéj chwili, ministerium skarbu musiało téż być gotowe do zadośćuczynienia tym żądaniom na zawołanie, a ztąd rezerwować fundusze równające się sumie kredytów niewyczerpanych. Jeżeli więc obecnie kontrola odpisuje pewną sumę wydatków na rachunek tego funduszu, to tylko dla tego, że na pokrycie ich użyto właśnie tego funduszu znikającego już z końcem roku 1879. Jakkolwiek słusznym jest taki rachunek niemniéj byłby daleko jaśniejszym, gdyby jednocześnie z cofnięciem kredytów, w sumie wyrównywającéj wysokości funduszu zapasowego, fundusz ten został zapisany do dochodów i w ten sposób oddziałał bezpośrednio na zwiększenie przewyżki dochodów nad wydatkami, wykazanéj w sprawozdaniu bez dostatecznej jasności.

IV.

Następujący dział sprawozdania informuje o wydatkach nieuskutecznionych. Z końcem roku 1878 pozostawało do wypłacenia na rachunek służby tegoż roku 40.779.959 rs. 25 kop. i na rachunek lat poprzednich 59.937.634 rs. 21 kop., razem 100.717.593 rs. 46 kop.

Z téj sumy w ciągu r. 1879 spłacono 31.366.865 rs. 15 kop. Pozycyą największą stanowią wydatki tak zwane: gospodarcze na potrzeby urządzeń gospodarskich każdego ministerium. W téj kategoryi zapłacono 13.692.278 rs. 7 kop. W pozycyi drugiéj figuruje opłata kuponów od obligacyj pożyczek państwowych nie przedstawionych do realizacyi w czasie właściwym, użyto na to 9.023.026 rs. 47 kop. Sumę znaczniejszą przedstawiają jeszcze wydatki budowlane mianowicie 6.780.466 rs. 95 kop. i wydatki za przewóz wojska na drogach żelaznych i wodnych w sumie 433.887 rs. 81 kop. Pozostałe pozycye opuszczamy jako mniéj znaczące.

Jeżeli teraz od ogólnéj sumy należności przez skarb niezaspokojonych 100.717.593 rs. 46 kop. odejmiémy spłacone w 1879 roku 31.366.865 rs. 15 kop. otrzymamy różnicę wynoszącą 69.350.728 rs. 31 kop. czyli sumę zaległości pozostających; że jednak należy z niéj potrącić 698.946 rs. 28 kop. zaległości z r. 1875, nie reklamowanych przed terminem przekluzyjnym, przeto w istocie pozostanie na rok 1880 zaległości lat dawniejszych i roku 1878—68.651.782 rs. 30 kop. Dodając do téj ostatniéj sumy, wykazane w ustępie drugim, wydatki dotyczące służby roku 1879 i nieopłacone przed zamknięciem rachunków za ten rok, czyli 64,452.590 rs. 32 kop., zobaczymy, że ciążące na skarbie państwa z końcem roku 1879 wypłaty a odnoszące się do okresu od r. 1876 do 1879 włącznie równały się (68.651.782 rs. 3 kop. + 64.452.590 rs. 32 kop.) 133.104.372 rs. 35 kop.

Z sumą powyższą długu skarbowego, porównamy wierzytelności skarbu, przedstawione w wykazie specyalnym dołączonym do sprawozdania. Wierzytelności te, pochodzące z zaległych rat podatkowych, opłat i niespłaconych pożyczek, podzielono na trzy kategorye. Do pierwszéj należą zaległości podatkowe figurujące w rachunkach kas skarbowych. Wynosiły one z końcem 1878 roku 92.220.458 rs. 90 kop., na rok zaś 1880 pozostało 94.812.966 rs. 25 kop. czyli że w ciągu r. 1879 zwiększyły się o rs. 2.592.507 kop. 35. Główne powiększenie się zaległości miało miejsce w rubryce „Spłata pożyczek udzielonych ze skarbu osobom prywatnym, stowarzyszeniom i miastom“ (1.395.861 rs.) i „zwrot wydatków skarbu dokonanych na rachunek funduszów specyalnych“ (815.970 rs.). Z pozycyj zaś, które uległy znaczniejszéj obniżce, piérwsze miejsce należy się zaległościom w podatkach „podusznym, leśnym i czynszowym,“ zmniejszyły się one bowiem o 1.462.857 rs. Zaległości w podatkach pobieranych w Królestwie Polskiém, wynoszące z końcem 1878 roku 1.557.000 rs. zmniejszyły się w ciągu 1879 r. o 50.698 rs.

W ogóle zaległości podatkowe wpływały dość pomyślnie. Zmniejszyły się w 43 guberniach a zwiększyły w 25. Obniżenie się

sumy zaległości dosięgło w gub. Kazańskiéj n. p. 28% ogólnéj sumy niedoborów z tej gubernii, przyrost zaś zaległości był największy w gub. Astrachańskiéj, gdzie wynosił 120% ogólnej sumy zaległości z téj gubernii po koniec roku 1878.

Wykazowi temu można zrobić ten zarzut, że nie objaśnia jakich lat sięgają podane w nim cyfry zaległości, niema tego ani w pierwszéj rubryce zawierającéj sumy pozostałe do pobrania z końcem roku 1878, ani też w rubrykach wykazujących zaległości nowo-powstałe w ciągu roku 1879, i wpływy na rzecz zaległości. Szczegóły te byłyby bardzo pożądane, nie tylko dla zaspokojenia ciekawości, lecz głównie z tego powodu, że pozwoliłyby przekonać się dokładnie ile też w ogólnéj sumie wpływów danego roku, wykazanych w części główněj sprawozdania, mieści się wpływów na rzecz budżetu roku danego i ile z téj sumy odchodzi na służbę lat ubiegłych.

Zaległości drugiéj kategoryi to jest „figurujące w rachunkach władz i zarządów administracyjnych“ powiększyły się także. Z końcem roku 1878 pozostawało do siągnięcia 56.295.269 rs. zaś na rok 1880 przekazano 59.437.223 rs. czyli więcéj o 3.141 954 rs. Powiększenie to, tak samo jak w zaległościach kategoryi pierwszéj nastąpiło głównie w pozycyi „pożyczek udzielonych ze skarbu,“ (4.826.015 rs.) i „zwrotów skarbowi wartości przedmiotów wydanych ze składów rządowych“ (428.800 rs.). Zmniejszenie się zaległości téj kategoryi daje się zauważyć w pozycyi „kary za niedotrzymanie warunków kontraktów“ (1.588.917 rs.).

Trzecią i ostatnią kategoryą stanowią „Długi Towarzystw dróg żelaznych powstałe w skutek udzielonych im ze skarbu pożyczek.“ Pod tym tytułem ogólnym mieszczą się wierzytelności skarbu powstałe: z niespłacenia pożyczek wydanych drogom żelaznym na budowę; opłacenia przez rząd procentów od akcyi i obligacyi dróg żelaznych i rat amortyzacyjnych, z tytułu przyjętych przez rząd obligacyj dróg żelaznych i nareszcie za ustąpione przez rząd drogom żelaznym materyały, sprzęty kolejowe i opał. Wszystkie te zaległości razem wzięte wynoszą z końcem 1879 roku 450.706.800 rs. 83 kop., że zaś w r. 1878 czyniły 392.986.631 rs., przeto w ciągu roku 1879 wzrosły o 57.720.169 rs. czyli w stosunku 12.8%.

Wzrost ten sprawozdanie objaśnia z jednéj strony, zapisaniem na zaległość wydanych w r. 1879 dopłat gwarancyjnych, a z drugiéj, doliczeniem procentów do pożyczek wydanych dawniéj i niespłaconych w roku sprawozdawczym, wreszcie opieszałością towarzystw w uiszczaniu się z ciążących na nich zobowiązań.

Wszystkie podane wyżéj rodzaje zaległości razem wzięte tworzą bardzo poważną cyfrę 604.956.990 rs. pięć razy prawie przewyższającą zaległości wydatkowe ciążące na skarbie państwa.

V.

Zamierzenia budżetowe funduszu przeznaczonego na budowę dróg żelaznych i portów, obliczone były, jakeśmy to widzieli, w ilości 9.367.766 rs. w istocie zaś wpłynęło więcéj o 5.824.383 rs. 16 kop. co razem czyni 15.192.149 rs. 16 kop. Na tę sumę złożyły się wpływy pochodzące ze spłaty awansów i pożyczek wydanych drogom żelaznym w latach poprzednich (454.890 rs. 30 kop.), ze spłat pożyczek udzielonych pod zastaw akcyj (1.841.325 rs.), spłat za przynależności kolejowe (4.226.686 rs.), za akcye wylosowane (35.868 rs.), ze zwrotu ze skarbu niewłaściwie pobranych (17.908 rs.), za obligacye konsolidowane ustąpione ministerium Dworu (4.573.762 rs.), wniesione przez wydział zagraniczny kancelaryi kredytu, bez wskazania źródeł tego dochodu (4.408.660 rs.) i od Banku Dyskontowego Peterburskiego tytułem spłaty wydatków na kupno akcyj drogi żelaznéj Libawskiéj (2.814 rs.). Wydatki z funduszu kolejowego, podług sprawozdania wynosiły w ciągu 1879 roku 34.613.592 rs. 45 kop. a pozostało do wypłacenia 1.097.635 rs. 27 kop. w ogóle więc 35.711.227 rs. Ze szczegółowych zaś wyjaśnień anneksów widzimy, że wydatki te dosięgły 42.103.163 rs. 88 kop. czyli więcéj o rs. 6.391.936 kop. 16 wyjaśnienia téj różnicy nigdzie nie znajdujemy, że jednak większa ta suma (42.103.163 rs.) zapisana została tytułem wierzytelności skarbu u towarzystw kolejowych, przeto ją będziemy uwzględniać w dalszych wywodach.

Szczegółowe pozycye wydatkowe pomijamy, poprzestając na klasyfikacyi głównéj i tak: Za przyjęte przez rząd obligacye i akcye dróg żelaznych wydano 8.854.072 rs. 86 kop., tytułem pożyczek udzielono drogom żelaznym 17.086.066 rs. 66 kop., na przygotowanie sprzętów i materyałów kolejowych, wydano 11.722.060 rs. 34 kop. na wytknięcie nowych linij 36.818 rs. 90 kop., na budowę i urządzenie portów 2.577.398 rs., na budowę mostu na Newie 575.836 rs., na premia fabrykom wyrabiającym sprzęty kolejowe 847.200 rs., przelano do kasy Państwa tytułem procentów od obligacyj budujących się dróg żelaznych 279.745 rs. 63 kop., utrzymanie pociągu Cesarskiego kosztowało 10.988 rs., wydatki na komisyą do zbadania stanu dróg żelaznych w Rosyi wyniosły 110.085 rs. i nareszcie zwrócono procentów pobranych niewłaściwie 2.892 rs.

Z zestawienia dochodu i wydatków z funduszu kolejowego widzimy, że ostatnie przewyższyły dochód o 26.911.014 rs. 72 kop. Skoro zaś w funduszu kolejowym, bez względu na wykazany w r. 1878 remanent 4.121.878 rs. 63 kop., sprawozdanie nie wykazuje żadnych pozostałości z lat poprzednich, przeto całą tę przewyżkę wydatków

nad dochodami, musiała pokryć kasa Państwa; o tém wszakże żadnéj wzmianki niema w sprawozdaniu.

Przewaga wydatków nad dochodami funduszu kolejowego powtarza się stale; w r. 1877 wydano nad dochód 5.169.961 rs., w 1878 roku 40.914.522 rs. nareszcie w r. 1879 jak wyżéj podano 26.911.014 rs. 72 kop. W obec tego ciągłego zapożyczania się funduszu kolejowego w kasie Państwa, niezrozumiałem jest prowadzenie wyłącznego rachunku tego funduszu, powstałego nadto z zasobów stanowiących własność skarbu. Pamiętamy, że za ministeryum p. Abazy podniesiono kwestyą zlania go z ogólnemi funduszami skarbowemi, dlaczego jednak myśl ta dotąd urzeczywistnioną nie została, nie jest nam wiadomem.

VI.

Za grunta wykupione na rzecz włościan wydano do 1 Stycznia 1880 roku tytułem wynagrodzenia indemnizacyjnego 733.641.549 rs. 60 kop., z których na rok 1879 przypada 12.276.732 rs. Wpływy na rzecz téj ogólnéj wypłaconéj sumy, przewidywane były w r. 1879 w wysokości 43.462.305 rs., zaległości lat dawniejszych stanowiły 17.461.141 rs., razem więc miało wpłynąć 60.923.446 rs. Że jednak z téj sumy umorzono w 1879 r., 254.165 rs. 55 kop., przeto oczekiwano istotnie 60.869.281 rs. Na rachunek téj sumy wpłynęło 43.297.455 rs. 66 kop. czyli mniéj o 17.371.825 rs., które pozostały na zaległości. Największa część téj sumy przypada na gub. Smoleńską mianowicie 3.779.000 rs., drugą z kolei pod względem zaległości będzie gub. Nowogrodzka obciążona 1.637.000 rs., następnie idzie Moskiewska, 1.531.000 rs., i Czernichowska 1.415.788 rs.

Z rzędu gubernii opłacających należności w terminach przepisanych, wyróżniają się Grodzieńska, Stawropolska i Astrachańska, w żadnych z nich zaległości nie dochodzą nawet tysiąca rubli

Oprócz podanéj wyżéj cyfry dochodu (43.297.455 rs.) były jeszcze wpływy na rzecz rat z lat przyszłych w ogólnéj sumie 125.557 rs. i na spłatę kapitalnéj sumy długu indemnizacyjnego 713.221 rs. 86 kop. Ogółem przeto wpłynęło w r. 1879 na fundusz indemnizacyjny 44.136.235 rs.

Wydatki uskutecznione z tego funduszu ściągały się do opłacenia procentów od biletów bankowych II seryi, świadectw indemnizacyjnych i rentowych; wydatki téj kategoryi wyniosły 22.157.230 rs. Opłata procentów od długów zaciągniętych w instytucyach kredytowych, zużyła ogółem 13.595.851 rs., amortyzacya wskazanych wyżéj papiérów wartościowych i spłata rat amortyzacyjnych zaciągniętych

długów — wymagały 5.961.221 rs., tantyema władz administracyjnych zajętych operacyą indemnizacyjną: 324.869 rs., utrzymania głównego zarządu indemnizacyjnego i inne wydatki wynosiły 186.432 rs. Ogółem wydatki r. 1879 równały się 42.225.604 rs. czyli, że mniejsze były od dochodu o 1.910.631 rs.

VII.

Dział długów Państwowych zawiera tylko cyfry ogólne dotyczące zmian jakie zaszły w r. 1879 w miarę spłaty dawnych lub zaciągnięcia nowych długów. Na 1 Stycznia roku 1879 ogólna suma długów wynosiła 2.515.329.861 rs. 35 kop. Suma ta mniejsza jest od wykazanéj w sprawozdaniu za rok 1878 o 47.629.203 rs. 82 kop. gdyż wartość rubla kredytowego przyjęta w r. 1878 w stosunku 23½ pensów, zmieniła się w r. 1879 i ustaliła na 26 pensów, które téż przyjęte zostały do ustanowienia wysokości długów zagranicznych w roku sprawozdawczym. Do powyższéj sumy przybyło w 1879 r. 300.000.000 rubli z powodu zaciągniętéj 5%-éj pożyczki wewnętrznéj pod nazwą „Trzeciéj wschodniéj.“ Obligacye téj pożyczki realizowane były po 92½ za sto i mają być umorzone w ciągu lat 49.

Na rzecz ogólnéj sumy długów Państwa spłacono w 1879 roku 22.054.141 rs. 26 kop. a przeto z początkiem roku 1880 długi Państwa wynosiły 2.793 281,720 rs. 9 kop. nie licząc długu za konsolidowane obligacye dróg żelaznych, za obligacye drogi żelaznéj Mikołajewskiéj ani też długu Bankowi Państwa wynoszącego z dniem 1 Stycznia r. 1880—354.823.372 rs.

Nadto nie mieszczą się w powyższéj sumie długów ani bilety bankowe seryi II-éj, ani świadectwa wykupowe i rentowe czyli wszystkie papiéry emitowane na spłatę należności za grunta włościańskie. Opuszczenie długów téj ostatniéj kategoryi, długów których wysokości podać nie możemy dla braku danych, usprawiedliwia się chyba tém, że na ich spłatę przeznaczono dochody specyalne, pobierane od włościan dawniéj obywatelskich, które także w budżecie państwa nie figurują. Wykazaliśmy wyżéj że suma pożyczek t. z. *wykupnych* wydanych do 1 Stycznia r. 1880 równała się 733.641.550 rs. na taką więc sumę emitowano wymienionych wyżéj papiérów wartościowych. Ile ich jednak umorzono i ile pozostaje jeszcze w obiegu? Sprawozdanie kontroli za rok 1879 zapowiada, że szczegóły odnośne będą podane w sprawozdaniu za rok 1880, gdyż komisya specyalna pracująca nad uporządkowaniem rachunków dotyczących funduszu wykupowego, zaledwie w r. 1880 prace swoje zdoła ukończyć.

Co się tycze, niewykazanych w liczbie długów państwa, konsolidowanych obligacyi dróg żelaznych i obligacyi drogi Mikołajewskiéj, opuszczenie ich w sprawozdaniu nastąpiło dla tego, że kapitał przez nie reprezentowany ma być spłacony przez odpowiednie wpływy od dróg żelaznych.

Że jednak te ostatnie nie śpieszą z uiszczaniem się z należności i żeśmy wykazali wyżéj inne długi ciążące na drogach żelaznych, przypuszczamy że nie będzie pozbawione interesu wykazanie sum reprezentowanych przez te obligacye w dniu 1 Stycznia roku 1879. Otóż 5%-wych konsolidowanych obligacyi dróg żelaznych było do téj daty w obiegu na sumę 68.567.150 funtów sterlingów,—4%-wych obligacyi drogi Mikołajewskiéj są dwie serye—nieumorzone obligacye pierwszéj seryi reprezentowały z końcem 1878 roku, 293.767.000 franków a seryi drugiéj, 272.836.500 franków.

O wskazanym w sprawozdaniu kontroli długu Bankowi Państwa nie dano innéj informacyi prócz téj, że pochodzi on z rachunku bieżącego kasy państwa w banku. Z jakich przeto składa się pozycyi nie wiemy i jeżeli podana wyżéj suma 354.123.372 rs. 41 kop. nie jest rezultatem skombinowania kredytu i debetu kasy państwa w banku, to w długu tym nie mieści się należność bankowi nawet za bilety kredytowe *czasowo-wypuszczone* na rzecz skarbu, suma których jeszcze z dniem 1 Stycznia r. b. wynosiła 417.000.000 rs. Podana w sprawozdaniu suma długów państwa pozostała do spłacenia z dniem 1 Stycznia r. 1880—(2.793.281.720 rs.) dzieli się na kategorye następujące.

Pożyczki zagraniczne; 5%-we: wynoszą 84.507.000 florenów holenderskich i 39.066.900 funtów sterlingów—; 4½%-owe; 2.310.000 flor. holend. i 4.750.000 funtów sterlingów.

Pożyczki zaciągnięte w kraju: 6%-we—43.648.348 rs. 43 kop. 5%-we 1.228.287.724 rs.; 4½%-we 216.000.000 rs.; 4%-we 209.164.514 rs.; dług bezprocentowy w biletach kredytowych wynosił 543.347.084 rs. Co do tego ostatniego długu sprawozdanie nadmienia że biletów kredytowych było w obiegu z d. 1 Stycznia r. 1880—716.515.125 rs. że jednak należy potrącić z téj sumy wartość funduszu wymiany mianowicie 173.168.041 rs. rzeczywisty przeto dług państwa w téj pozycyi wynosić będzie jak wyżéj 543.347.084 ruble.

Do tych szczegółów i dla utworzenia wykazanéj wyżéj sumy długów państwa, sprawozdanie dodaje jeszcze dawniejsze długi królestwa Polskiego: pochodzące z epoki księstwa Warszawskiego i lat 1815, 1816 i 1831 w sumie ogólnéj 56.261 rs. dług duchowieństwu z wyjątkiem katolickiego—164.336 rs.; pożyczkę 4%-wą zaciągniętą przez skarb królestwa w r. 1844 w sumie pozostałéj: 19.818.086 rs.

4%-we listy likwidacyjne za uwłaszczone osady włościańskie 50.053.702 rs.; długi Towarzystwu Kredytowemu Ziemskiemu ciążące na dobrach rządowych 372.589 rs.; spłata długu za dom dla urzędu pocztowego w Warszawie 17 131 rs. i nareszcie dług bankowi Polskiemu za wybudowanie magazynu zbożowego w Modlinie 285.719 rs. Ogółem długów królestwa Polskiego—70.767.824 rs.

VIII.

Ostatni dział sprawozdania kontroli państwa poświęcony jest unduszom specyalnym nie stanowiącym własności skarbu a będącym tylko w jego zawiadywaniu.

Informacye dotyczące tych funduszów są nader skąpe i wcale nie wyjaśniają źródeł z których one powstają.

Niepodobna przechodzićpo szczególe każdéj pozycyi, przytoczymy więc tylko sposobem przykładu, że należą tu fundusze obowiązkowego ubezpieczenia nieruchomości od ognia, fundusz drogowy i kwaterunkowy, a także fundusze powstałe np. z zapisów na stypendya lub inne cele.

W ogóle więc kapitały specyalne tworzą się z funduszów przestających być, z chwilą opłacenia ich, własnością osoby opłacającéj, lecz nie otrzymujących właściciela wyłącznego a tylko przeznaczenie specyalne.

Sumy funduszów specyalnych zbywające nad potrzeby, lub nie zużyte doraźnie zaraz po ich opłaceniu lokują się w bankach na procent doliczany także do tych funduszów.

Wykazywane przeto w sprawozdaniach kontroli wpływy tych funduszów w ciągu roku danego, powstają z dwu źródeł, mianowicie ze składek, opłat lub zapisów stosownie do natury funduszu i z procentów otrzymanych z banków za czas, przez który fundusze te były w nich zlokowane.

Fundusze specyalne doszły już do sum bardzo znacznych a obrót ich w ciągu roku 1879 przedstawia się jak następuje:

Remanent z r. 1878 wynosił 197.993.325 rs. W r. 1879 remanent ten zwiększono o 2.964.811 rs. przez zapisanie do rzędu kapitałów specyalnych *funduszu użyteczności publicznéj Królestwa Polskiego*, przelanego z polecenia rządu z kasy Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego do Banku Polskiego.

W ciągu roku 1879 wpłynęło 34.895.184 rs. 21 kop. wydano 23.968.302 rs. 44 k., pozostało przeto na rok 1880—211.885.018 rs. 27 k.

Szafowanie funduszami specyalnemi powierzone jest różnym wydziałom rządowym stosownie do przeznaczenia funduszu; obecnie wszystkie wydziały administracyi państwowéj mają w swém zawia-

dywaniu pewne fundusze specyalne. Nie mogąc wyliczać wszystkich wskażemy najgłówniejsze.

Kapitał emerytalny wojsk lądowych wynosi 68.407.621 rs., takiż kapitał oficerów morskich 15.595.719 rs., takiż kapitał inżenierów górniczych 1.426.000 rs., kapitał emerytalny Królestwa Polskiego 2.887.000 rs. Kapitał na zapomogi w razie nieurodzaju (prodowolstwiennyj) 21.676.260 rs. Fundusz ubezpieczenia bydła od zarazy w Królestwie Polskiém 514 000 rs. Fundusz ubezpieczeń nieruchomości od ognia w Królestwie Polskiém 1.810.854 rs. Fundusz drogowy Królestwa Polskiego 648.100 rs. Fundusz kwaterunkowy Królestwa 166.195 rs. Fundusze stypendyalne ogólne 11 349 108 rs. Kapitał emerytalny inżynierów komunikacyj 1.827.700 rs. Kapitał inwalidów 21.450.000 rs. Kapitał opieki nad urzędnikami zasłużonemi 4.257.000 rs. i Fundusz użyteczności publicznéj Królestwa Polskiego 3.102.382 ruble.

Na zakończenie podajemy szczegóły o wydatkach z funduszów specyalnych wynoszących w ciągu roku 1879—23.968.302 rs. Całą tę sumę zużyto na potrzeby następujące:

Na emerytury, pensye i zasiłki byłym urzędnikom i inwalidom	5.617.641 rs.
„ wsparcia z powodu pożarów, nieurodzajów, pomoru bydła i t. p.	3.814.387 „
„ stypendya, utrzymanie zakładów naukowych i zasiłki na wychowanie	3.176.873 „
„ wynagrodzenie zastępców wojskowych.	2.396.889 „
„ budowę i utrzymanie dróg, budynków, cerkwi, pomników i dozór nad nimi	1.953.212 „
„ pensye dodatkowe pracującym i koszta zarządzania kapitałami.	1.913.199 „
„ ochrony i utrzymanie łóżek w szpitalach	214.649 „
„ zakłady rządowe, drukarnie i laboratorya. . . .	1.512.314 „
„ wydatki dotyczące więźniów i więzień.	1.249.633 „
„ koszta kwaterunku wojskowego	593.828 „
„ koszta przesyłki pieniędzy i zwroty niewłaściwie zaperceptowanych	542.179 „
„ wydawnictwa, biblioteki, muzea i premja za wynalazki i odkrycia	392.850 „
„ zapomogi pracującym i ich rodzinom	376.038 „
„ kupno i przemianę papierów wartościowych. . .	214.608 „
Razem jak wyżéj. .	23.968.302 rs.

A. P.

Z DZIEDZINY PRZYRODY.

I. Ochronne szczepienie zarazy.

Gdybyśmy nie żyli w czasach tak gorączkowych, że co chwila ulęgamy nowym wrażeniom, że w głowie naszéj panują wyścigi faktów podobne do zmian barw w kalejdoskopie, gdybyśmy zdolni byli do jakiéj takiéj refleksyi i oceny wartości rozmaitych elementów chaosu rzucającego się do wszystkich zmysłów naszych, to bezwątpienia imię Pasteura zapanowałoby obecnie wszechwładnie na porządku dziennym ludzkości, byłoby miliony razy powtarzane w pałacach i w chatkach i nieledwie zapominano by o Algierze i Guiteau, o metropolicie serbskim i odwiedzinach króla Włoskiego. Pasteur bowiem wprowadzą nas na próg nowéj ery, pokazuje nam zdaleka świat obiecany, gdzie nie ma epidemij i epizootij... Czy to halucynacya i miraż, czy téż odblask czystéj prawdy, czy ludzkość stanie się szczęśliwszą pozbywszy się najniebezpieczniejszych nieprzyjaciół, czy téż wpadnie w otchłań jeszcze większego nieszczęścia przez wzmożenie walki o byt?—oto są pytania, które tylko dla idyoty mogą być obojętne—a jednak—prace Pasteura bierze obecnie do serca tylko mała stosunkowo garstka naturalistów i lekarzy...

Z kronik, w poprzednich rocznikach Ateneum umieszczonych, czytelnicy wiedzą, iż Pasteur już od lat 25 zajmuje się badaniem natury fermentów. Wiadomo téż, iż pomnikowe jego odkrycie podstawy fermentacyi mlecznéj, natchnęło chirurga angielskiego Listera pomysłem nowéj metody operacyi chirurgicznéj, że metoda ta polega na ochronie rany od przystępu zarazków zawieszonych w powietrzu i że jéj rezultaty świetnie stwierdziły pojęcia Pasteura. Wiadomo wreszcie, iż ogłoszenie badań nad fermentacyą masłową i wibryonem jéj właściwym, wprowadziły Davaine'a na tór odkrycia, że karbunkul zależy od pewnéj, z zewnątrz napadającéj na organizm istoty organicznéj, że teorya zarazków z zewnątrz przybywających coraz

większą ważność i zakres przybierać zaczęła, że znaczna liczba uczonych rzuciła się na tę drogę otworzoną do robienia doniosłych odkryć. Nic tedy dziwnego, że Pasteur chociaż chemik, sam unoszony prądem, który wywołał, oddał się wyłącznie badaniu pierwiastka chorób epidemicznych i... wyprzedziwszy wszystkich współzawodników, znowu świat nieoczekiwanym faktem zadziwił.

Nowe podstawy w nauce o zarazkach i powodach udzielania się, przenoszenia się chorób zaraźliwych z jednego organizmu na drugi, były bezpośrednim rezultatem badań Pasteura nad tak zwaną *cholerę kur*. Aby je zrozumiéć, musimy przejrzeć te rezultaty.

Weźmy — powiada Pasteur — kurę, ginącą od cholery kurzéj i umoczmy w jéj krwi cieniuteńki koniec pałeczki szklannéj. Następnie zanurzmy tę pałęczkę w zupełnie czystym i przezroczystym rosole kurzym, który przedtem został zjałowiony (1) w temperaturze 115° C. Rosół umieszczony jest w takich warunkach, że ani powietrze otaczające, ani naczynia i przyrządy, nie mogą go zatruć zarodkami, w które obfituje atmosfera i które przylegają do każdego przedmiotu. Pozostawiwszy ten płyn, zarażony krwią kury cholerycznéj, na czas krótki w temperaturze 25—35° Cel. spostrzeżemy, że płyn stał się mętnym, a mikroskop wykaże w nim roje organizmów mikroskopijnych, z postaci podobnych do 8. Są one często tak małe, że przy pomocy najsilniejszych powiększeń nie widzimy więcéj jak punkciki.

Weźmy z tego płynu jednę kropelkę, kropelkę jak najmniejszą, tyle tylko co się może zostać na pałeczce cienkości igły—i wpuśćmy tę nieznaczną ilość do drugiego naczynia, zawierającego rosół klarowny zjałowiony. Po pewnym czasie zobaczymy, że ten rosół zmętnieje, a jeśli znowu przeniesiemy jego kropelkę do innego naczynia z czystym rosołem, to i w nim po pewnym czasie zauważymy zmętnienie i drobne organiczne istoty formy 8. Możnaby to samo powtórzyć z naczyniem czwartém, dziesiątém, setném, tysiącznem i wszędzie po kilku godzinach nastąpi nieochybnie jedno i to samo zjawisko.

Po dwóch lub trzech dniach, gdy zmętnione rosoły wystawione były na temperaturę 30° C., męty znikają i spadają jako osad na dno naczyń. To oznacza koniec rozwoju ósemkowatych organizmów. Jeśli naczynie ochronione jest za pomocą korka z waty od organizmów zawieszonych w powietrzu, to płyny w tém stadyum będące,

---

(1) Zjałowionemi nazywają się w podobnych doświadczeniach płyny, w których przez gotowanie zabite zostały zarodki istot mikroskopijnych. Jeśli nowe nie wpadną, to płyn taki nie mętnieje i nie pokrywa się pleśnią.

mogą pozostać bez zmiany przez czas dłuższy lub krótszy, przez całe nawet miesiące.

Porównajmy teraz zaraźliwość płynu z setnego czy tysiącznego naczynia, z zaraźliwością krwi kury cholerycznéj. W tym celu zaszczepmy 10 kurom krew, a 10 drugim płyn z setnego naczynia, którem poprzednio wstrząsnęliśmy, aby osad zmieszał się z cieczą przezroczystą. Spostrzeżemy fakt dziwny: *kury, którym zaszczepiono rosół tak dalekiego zstępnego z krwią choleryczną pokrewieństwa, umrą tak prędko i z temi samemi symptomatami co kury wprost krwią zarażone, a po śmierci krew jednych i drugich zawierać będzie jedne i te same ciałka zaraźliwe formy ósemki.*

Objaw ten jest zupełnie analogicznym z przenoszeniem pszenicy z jednego pola na drugie. Pszenica z setnego będzie zupełnie podobną do pierwotnego zasiewu. Zarazki krwi kury cholerycznéj nie są niczém inném jak organizmami żyjącemi, które się nadzwyczaj szybko rozmnażają.

W dalszym ciągu doświadczeń, Pasteur zmienił warunki przygotowywania tych „kultur.“ Zamiast przenosić zarazę z jednego rosołu do drugiego, zaraz po zmętnieniu płynu, Pasteur trzymał każdą kulturę pół miesiąca, miesiąc, dwa, trzy, dziewięć nawet miesięcy, zanim wziął z niéj kroplę do przygotowania kultury następnéj.

W skutek tego nastąpiła zupełna zmiana w skutkach. *Stopień zaraźliwości każdéj z tych kultur oddzielonych od siebie znaczniejszym czasem był odmienny.* Płyny pochodzące od płynów świeższych, nie tak długo trzymanych, zabijały 8 kur na 10, którym je zaszczepiono; płyny pochodzące od starszych kultur zabijały kur pięć, trzy, jedną na dziesięć, wreszcie zarażone kulturami najstarszemi żadnéj z dziesięciu kur użytych do doświadczenia nie zabijały, choć wciąż jeszcze zawierały w sobie widoczne ciałka mikroskopijne, które w dalszym ciągu można było kultywować.

Co więcéj, gdy z którejkolwiek z takich kultur zarazy, rozcieńczonéj, osłabionéj, nawet z téj, która już żadnéj siły zaraźliwéj nie posiada, weźmiemy kropelkę i przeniesiemy ją do świeżego zjałowionego rosołu, a po zmętnieniu zarazimy nim natychmiast inny rosół i t. d., to, jeżeli czas ubiegły pomiędzy przygotowywaniem tych kultur będzie dość krótki, otrzymamy płyny zaraźliwe téj saméj siły, od którejśmy rozpoczęli, otrzymamy zaś płyny zupełnie niezaraźliwe, jeśli pierwotna kropla została wziętą z naczynia stojącego już kilka miesięcy.

Co to jest zaraza rozcieńczona osłabiona? Jak się ona objawia u kur, Pasteur odpowiada na to, jak następuje. Gdy zaszczepimy kurze kulturę z zarazą osłabioną, to wywołamy w jéj organizmie

tylko miejscowe zaburzenia, mniéj lub więcéj głębokie zmiany chorobowe w mięśniu, jeśli ją w mięsień zaszczepiliśmy. Mięsień napełnia się istotami mikroskopijnemi téj samej postaci i wyglądu co najzaraźliwsze, pochodzące bezpośrednio z krwi cholerycznéj. Po pewnym krótszym lub dłuższym czasie zaburzenie miejscowe znika, zarazki zostają zabsorbowane, poniekąd strawione, mięsień powraca do dawnego stanu. Znikła więc przyczyna choroby i kura powraca do zdrowia. Jeżeliśmy zaszczepili płyn z organizmami, których zaraźliwość zupełnie zniesiona, to nawet i zaburzenie miejscowe w mięśniu nie następuje. W tym razie, zauważa Pasteur, spotykamy się z przykładem odporności życiowéj, albowiem organizmy mikroskopijne o zupełnie zniesionéj sile zaraźliwéj, nie straciły jeszcze siły rozmnażania się i wydałyby miliardy potomstwa w ośrodku nieżyjącym.

Co jest przyczyną zmniejszania się, słabnięcia zaraźliwości kultur, poprzedzonych znacznym upływem czasu? Inaczéj mówiąc, co jest przyczyną, że organizmy tych kultur tracą mniéj lub więcéj siłę rozwoju w ciele kury, tak, że sile odporności życiowéj coraz łatwiéj jest zarazę co do miejsca ograniczać? Czynnikiem, który to rozcieńczenie zarazy wywołuje, jest powietrze: im dłużéj tlen jego działa na kulturę, tém ona słabszą się staje. Pasteur stwierdził to doświadczeniem.

Dalszy ciąg doświadczeń doprowadził Pasteur'a do zasad szczepienia cholery kurzéj na podobieństwo szczepienia ospy. *Okazało się, iż kura, która przeszła chorobę wywołaną szczepieniem zarazka osłabionego, nie ulega już niebezpieczeństwu gdy się jéj zaszczepi bakterye silnéj zarazy,*— symptomata bywają albo zupełnie nieznaczne, albo przelotne. Już ich jad ze krwi kur cholerycznych nie zabija, a przez czas bardzo długi, niekiedy rok lub więcéj, są zupełnie nietykalne w obec warunków wywołujących cholerę w kurnikach.

Pasteur postanowił zastosować to odkrycie i do karbunkułu, który już dość dawno uznano za chorobę pochodzącą od mikro-organizmów. Lecz tu natrafił genialny uczony na ogromną trudność. Bakterye karbunkułowe nie rozmnażają się przez podział tak jak drożdże i zarazki cholery kurzéj, lecz rozpadają się na zarodki, które przez lat kilka i kilkanaście zachowują całkowitą siłę zaraźliwości, bez względu na to, że są wystawione na działanie tlenu powietrza. Lecz geniusz i praca Pasteura pokonały tę trudność. Chodziło przedewszystkiém o zatamowanie rozwoju bakteryj pierwotnych o niedozwolenie im rozpadnięcia się na zarodki. Pasteur osiągnął ten cel, wystawiając bakterye karbunkułowe na działanie powietrza w temperaturze 42—43° C. W téj temperaturze kultywują

się one t, j. mnożą, ale już nie rozpadają się na zarodki. Po miesiącu lub sześciu tygodniach kultura umiera, to znaczy, że wszystkie bakterye są martwe, niezdolne do rozmnażania się t. j. przeniesione do świeżego rosołu, już go nie mącą. Ale w granicach tego terminu życie istnieje w naczyniach wystawionych na powietrze i ciepło. I tu okazuje się fakt analogiczny z cholerą kurzą. Gdy doświadczać będziemy zaraźliwości kultur rozmaitéj starości, dwu, trzy, cztero, dziesięcio, dwudziesto-dniowéj, aż do martwych, to spostrzeżemy, iż bakterye na długo przed śmiercią straciły swą zaraźliwość, choć jeszcze są żywe i mogą się mnożyć, kultywować. Wcześniejsze zaś od nich kultury odznaczają się zaraźliwością rozcieńczoną, osłabioną, a każdy z tych stopni zarazy można reprodukować oddzielnie przez kulturę. Mamy więc tu wszystko to co przy cholerze kur, nawet doświadczenia ze szczepieniem dały teżsame rezultaty i zaraza stopnia osłabionego okazała się środkiem ochronnym przeciw zarazie silniejszéj.

Mamy więc możność, powiada Pasteur, przygotowywania szczepionki (vaccin) przeciwko karbunkułowi; łatwo ocenić doniosłość tego rezultatu w praktyce. Ale to jeszcze nie wiele. Każdy łatwo spostrzeże żeśmy pozyskali ogólną metodę przygotowywania szczepionek zaraz, za pomocą działania tlenu powietrza t. j. siły kosmicznéj wszędzie na powierzchni ziemi istniejącéj. Naodwrót, zarazie osłabionéj, można przywrócić całkowitą siłę zaraźliwości za pomocą pewnego procesu fizyologicznego...

Widzimy, jak szerokie pole otwiera Pasteur nauce. Tworzy fizyologią, niemal technikę, w któréj posługuje się strasznemi nieprzyjaciółmi ludzi i zwierząt jak żelazem, które można zmiękczyć i zahartować, stępić lub zaostrzyć. Już to co Pasteur w mowie swéj jasno wypowiedział, stawia go na równi z największymi geniuszami i dobroczyńcami ludzkości – a ileż tam jeszcze napomknięć, które dowodzą, że posiada wiele odkryć niezupełnie dotąd sprawdzonych, których przedwcześnie nie życzy sobie ogłosić, że jest na torze do nowych zdobyczy, lecz obawia się zdradzić ścieżek, które do nich prowadzą.

Zapewne nie długo da nam czekać na resztę swoich wielkich odkryć. Możemy być dobréj myśli i spodziewać się, że nie zawiodą naszych oczekiwań, że uwieńczenie téj długoletniéj systematycznéj pracy, będzie zupełnie kwadrowało z jéj początkiem i stadyami pośredniemi.

A teraz na zakończenie powiedzmy jeszcze słówko o rezultatach praktycznych szczepienia karbunkułu. Oto słowa Pasteura: „We Francyi tracimy corocznie z powodu karbunkułu ilość bydła

której wartość wynosi dwadzieścia milionów franków. Proszono mnie, abym przedstawił publicznie moje rezultaty; uczyniłem temu żądaniu zadość i oto do czego doszedłem: dano mi do rozporządzenia pięćdziesiąt owiec; pomiędzy niemi było 25, którym zaszczepiono karbunkuł ochronny; w piętnaście dni potém zaszczepiono wszystkim 50 owcom jad karbunkułowy najbardziéj zaraźliwy; dwadzieścia pięć owiec, którym był zaszczepiony jad ochronny oparło się zarazie, dwadzieścia pięć drugich owiec, których nie zabezpieczono szczepionką, padło na karbunkuł w przeciągu piętnastu godzin. Od tego czasu nie mogę nastarczyć fermierom wciąż żądającym ode mnie szczepionki.“ *B. R.*

II. Organizmy w meteorytach.

Gdy przed ośmdziesięciu pięciu laty słynny ówczesny uczony Chladni ośmielił się ogłosić pracę o kosmicznym początku meteorytów i starał się udowodnić dawne podania ludowe o kamieniach na ziemię spadających, ściągnął na siebie szyderstwo powszechne, a jeden z krytyków twierdził, że czytając książkę Chladniego doznał wrażenia jakby mu rzeczywiście kamień spadł na głowę. W kilka lat jednak później nikt już nie wątpił o głazach przybywających na ziemię z obszarów światowych, a dzięki niedawnym pracom Schiaparellego poznaliśmy istotne ich znaczenie i stanowisko, jakie im należy przypisać w rzędzie brył niebieskich. Nie spodziewaliśmy się zapewne, że drobiazgi te planetarne sprowadzą nam nową jakąś niespodziankę, gdy oto znajdujemy się wobec dzieła, które wywołać może zdumienie nie mniejsze zapewne, aniżeli praca Chladniego w końcu zeszłego stulecia. Dr. Otto Hahn odkrył w meteorytach istoty organiczne szczątki, zwierząt, które przybyły do nas z innych ciał niebieskich. W wydaném niedawno dziele autor ten zamieścił na 32 tablicach fotograficznych, przeszło sto rysunków utworów, które uważa za formy nie mineralne lecz zwierzęce, i zalicza je częścią do gąbek, częścią do korali, a częścią wreszcie do liljowców, tj. uważa je za twory zbliżone do typów zwierzęcych ziemskich.

Są to skamieniałości pozostałe w tych pozaziemskich głazach, utworzone w takiż sam sposób, jak w kamiennych pokładach ziemi przechowały się zabytki istot niegdyś na niéj żyjących. Gdy organizm kamienieje, na miejsce substancyi organicznych wstępuje masa mineralna; niekiedy mogą też pozostawać drobne resztki pierwotnéj substancyi, jak np. szkielety krzemionkowe gąbek, ale to ma drobne znaczenie. Miejsce ciała zwierzęcego zajmuje kamień, posiadający

zwykłe swe własności mineralne, i tylko postać jego jest zabytkiem i świadectwem dawnéj formy organicznéj. W tenże sposób według Hahna powstały owe skamieniałości w organizmach meteorycznych, minerał zajmujący miejsce tych dawnych tworów jest odmienny od minerału, stanowiącego ściany.

Twory te meteoryczne są wogóle bardzo drobne, a dla badania ich Hahn przygotowywał cienkie, wygładzone blaszki meteorytów i badał je pod mikroskopem. Skamieniałości znajdują się głównie w choudrytach, to jest w odmianach kamieni meteorycznych, przedstawiających budowę drobnoziarnistą, śród któréj rozrzucone są drobne kulki krzemianu magnezyowego, z kryształkami i ziarnami oliwinu, żelaza niklowego i niektórych innych minerałów. Według Hahna choudryty te są jakby splotem, siatką, któréj oka zajęte są przez drobne, skamieniałe twory, tak że niekiedy dwie trzecie części całego głazu zbudowane są z krzemianu, który zajął miejsce istoty żywéj, a w jednym centymetrze sześciennym znajduje się niekiedy do 50 różnych form organicznych.

Na poparcie, że mamy tu do czynienia z istotnemi organizmami, a nie z jakiemiś szczelinami mineralnemi, nie z rysami krystalicznemi, przytacza Hahn, że rysunki te przedstawiają formy zamknięte, że daje się w nich dostrzedz stopniowy rozwój, że posiadają budowę organiczną, jako komórki lub naczynia, i że nakoniec ogólne ich wejrzenie przedstawia podobieństwo do form znanych. Budowa tych tworów składa się z rurek okrągłych, cechujących jedynie tylko twory organiczne, gdy minerały ograniczone są płaszczyznami i krawędziami ostremi.

Aerolity badane przez Hahna pochodzą głównie ze spadku meteorytów pod Kuyatynią w Węgrzech 9 czerwca 1866, sądzi on, że należałoby w podobny sposób zużytkować bogate zbiory głazów meteorycznych, znajdujących się w różnych gabinetach, a które tam stanowią materyał martwy.

W bliższe badanie zoologiczne nie zapuszczał się autor, jako mineralog, pozostawiając sprawę te specyalistom; otóż zadaniem tém zajął się dr. F. Weinland, występujący jako gorliwy stronnik i obrońca poglądów Hahna. Z dochodzeń jego wypływa, że utwory te w meteorytach są rzeczywiście szczątkami korali, zbliżonemi najbardziéj do rodziny *Favostidae*, która na ziemi zresztą już nie istnieje i którą znamy jedynie tylko ze szczątków kopalnych, znajdowanych w najdawniejszych pokładach ziemskich,—przegrody występujące w jamach żołądkowo-naczyniowych tych polipów dobrze są zachowane.

Badania zoologiczne utrudnione są przez to, że przy rozbijaniu masy meteorytów, łupią się one wzdłuż polipniaków; w jednym tylko egzemplarzu dostrzegł Weinland przecięcie poprzeczne, które przedstawia właściwy układ kielichów i dozwala rozejrzeć je z góry.

Korale te uderzają w porównaniu z ziemskiemi osobliwą drobnością, tak że w pierwszém swém sprawozdaniu Weinland cały ten zbiór organizmów uważa za prawdziwie liliputowy świat zwierzęcy; średnica bowiem polipniaka, o którym wyżéj wspomnieliśmy, wynosi zaledwie 0,9 milimetra, średnice zaś pojedynczych kielichów wynoszą przecięciowo po 0,05 m. Są to stosunki, jakich zgoła nie przedstawiają polipy ziemskie, u których kielichy o średnicy 1mm. już bardzo drobnemi się nazywają. Po rozpatrzeniu wszakże znacznéj liczby innych form, zbliżonych od otwornic (*Foramini ferae*) ziemskich, przekonał się Weinland, że one w ogóle nie ustępują wielkością odpowiednim formom ziemskim, i że owa drobność odnosi się wyłącznie do korali meteorycznych, ale i tu napotkał średnice kielichów dochodzące 0,1 milimetra. Zresztą o formy dobrze zachowane bardzo trudno, jednakowoż jeden gatunek gąbki, często napotykany, dał się wybornie odtworzyć z kilku przecięć poprzecznych i podłużnych; całą bowiem budowę wewnętrzną można było poznać tak dobrze, jak na okazie żywym.

Ze szczątków roślinnych, sądzi Weinland, że znalazł formę przypominającą wodorosty; wyższych form zwierzęcych, mięczaków lub stawowatych np. nie ma tam zgoła żadnego śladu; mamy tu przeto do czynienia z formami zwierzęcemi bardzo pierwotnemi, meteoryty te przeto pochodzić muszą z bardzo wczesnéj formacyi ciała niebieskiego, którego się wydają szczątkami. Cały ten świat zwierzęcy, w którym można rozróżnić do pięćdziesięciu różnych gatunków, sprawia wrażenie zbioru jednolitego, co każe się domyślać, że pochodzi on z jednego ciała niebieskiego, lubo badane meteoryty należą do różnych spadków, nawet zeszłowiecznych. Wszystkie te organizmy nakoniec żyć musiały w wodzie, i to w wodzie nigdy nie marznącéj.

Streściliśmy tu pogląd Hahna i Weinlanda, a zaledwie dodać potrzebujemy, że świat naukowy dotąd na rzecz tę z niedowierzaniem się zapatruje; odkrycie tak doniosłe i tak niezwykłe wymaga dokładnego zbadania, aby je przyjąć i z niém się oswoić. Że na innych światach przebywać mogą istoty żywe, nie przedstawia to zapewne nic osobliwego; analogia niektórych planet do ziemi jest tak znaczną, że domysł o ich zaludnieniu nasuwa się bardzo naturalnie.

Ale gdy twory te obcych światów widzimy przed sobą, gdy zwłaszcza dostrzegamy faunę tę tak pokrewną naszéj, że gatunki dają się determinować (Weinland utworzył już kilka rodzajów—*Hahnia*, *Petiscus*, *Urania*) i zaliczać do gromad, do rodzin nieledwie ziemskich, to w istocie zdumieniu oprzéć się nie możemy.

Zresztą odkrycie to, gdyby się bezspornie potwierdziło, musiałoby zmienić i pogląd nasz na meteoryty. Znakomicie obrobiona teorya Schiaparellego każe w nich widziéć ciałka samoistne, których roje dostawszy się w obręb przyciągania słońca, krążą dokoła niego rozsypując się coraz bardziéj, coraz jednostajniéj po eliptycznych swych drogach, po których biegną i komety, pokrewne według Schiaparellego meteorytom. Teorya ta nie mogłaby się już utrzymać wobec odkrycia tych organizmów meteorycznych; nie są to bowiem ślady istot, któreby mogły rozwinąć się na powierzchni drobniutkich tych ciałek niebieskich, ale są to istotne skamieniałości, ukryte w ich wnętrzu. Należałoby więc przypuścić, że głazy te są to odłamki jakiejś rozbitéj planety, widome dowody przerażającéj jakiejś katastrofy niebieskiéj, co sprowadziła zagładę całéj bryły niebieskiéj pokrewnéj ziemi naszéj.

Istotnéj krytyki naukowéj dzieło Hahna dotąd nie wywołało, oprócz pobieżnych dosyć zarzutów, że formy te mogą być pochodzenia zupełnie mineralnego, że mniéj więcéj podobne rysy można w niektórych bryłach mineralnych stucznie wywoływać. Weinland wszakże silnie jest przekonany, że mamy tu do czynienia z formami zwierzęcemi. „Nie przejdzie ani dziesiątek lat—mówi on—a posiadać będziemy drobną, powszechnie uznaną faunę meteorytów. Dziś wydaje się to może słowem zbyt zuchwałém, ale koledzy moi, znający mnie od lat dwudziestu pięciu, uwierzą zapewne, że przekonania takiego na wiatr nie wypowiadam.“

Wkrótce ukazać się ma w aktach akademii wiedeńskiéj obszerna praca tego zoologa, z dokładnemi opisami i rysunkami badanych przezeń tworów; wtedy cała ta sprawa jaśniéj się przedstawi. Odwołanie się do sądu przyszłości będzie tu zapewne bardziéj usprawiedliwioném, niż wobec jakiegokolwiek innego odkrycia.

III. O klimatach w dawnych okresach geologicznych ziemi.

Jeżeli od tych obcych organizmów i dalekich światów przerzucimy się nagle do zamierzchłych dziejów własnéj naszéj planety, będzie to skok zapewne nagły, ale usprawiedliwiony tém, że to, co jest daleko, podsyca ciekawość naszę zarówno silnie, jak i to, co było

dawno; jeżeli więc czytelnika mogła zająć wiadomość o zoologii astronomicznéj, to nie będzie dla niego obojętną i meteorologia geologiczna.

Geologia usiłuje odtworzyć historyą ziemi od jej najwcześniejszego początku, od chwili, gdy zaczęła się skupiać z pierwotnéj masy, oderwanéj może, jak o tém mówi słynna teorya Laplace'a, z owéj olbrzymiéj mgławicy, z któréj się zwolna wytworzył cały świat słoneczno-planetarny. Słońce, którego plamy są widocznym objawem stopniowego jego stygnięcia, Jowisz i Saturn, których powierzchnie dotąd jeszcze, jak się zdaje, własném, acz nader już słabém błyszczą światłem, są prawdopodobnie obrazem stanów, przez które ziemia niegdyś przechodziła. Ale czasy te tworzenia się pierwszych żużli na ognisto płynnéj masie zlania się ich w wątłą skorupę, powolnego jéj grubienia i ostudzenia do tego stopnia, że nakoniec skroplona woda wypełnić mogła jéj zagłębienia,—stanowią jakby bajeczny okres dziejów ziemi, bajeczny mówimy, bo podobnie jak historykowi pierwotnych dziejów człowieka, tak i geologowi brak tu jeszcze dokumentów, na zasadzie których mógłby bezpiecznie wywody swe opiérać.

Dopiéro, gdy przez mechaniczne lub chemiczne działanie wód na owe pierwotne skały ogniowe zaczęły się tworzyć pokłady osadowe, geologia wchodzi na drogę badań ściślejszych, historyą ziemi kreśli już na podstawie źródeł dziejowych, które w łonie jéj znajduje. Dokumentami temi są zabytki dawnéj fauny i roślinności: one to nas uczą o konfiguracyi dawnych lądów i rozległości mórz, zapoznają nas ze zmianami, jakim ulegać musiał skład atmosfery, pozwalają wnosić o temperaturze, jaka w różnych czasach na planecie naszéj panowała.

Z wykopalisk znajdowanych w dalszych piętrach epoki pierwszorzędowéj, w tak zwanéj formacyi sylurskiéj i dewońskiéj, okazuje się, że pod największemi szerokościami geograficznemi (do 80°) żyły téż same zwierzęta, co pod równoleżnikiem 45°. Toż samo widzimy jeszcze w okresach daleko późniejszych; w czasach tworzenia się pokładów tryasowych Szpicberg posiadał téż same zwierzęta co Szwajcarya; roślinność późniejszéj epoki jurajskiéj w Norwegii północnéj nie różniła się zgoła od roślinności południowo-francuskiéj, a i w następujących potém dolnych piętrach formacyi kredowéj szczątki roślinne znajdowane w Grenlandyi, okazują charakter flory zwrotnikowéj i podzwrotnikowéj. Pierwotny zatém klimat ziemi cechował się zupełną jednostajnością i wysoką temperaturą.

W pierwszych dopiéro stopniach górnéj formacyi kredowéj, gdy na ziemi ukazały się drzewa liściaste, dostrzegamy pierwsze śla-

dy obniżenia temperatury pod 70° szerokości północnéj, zaczyna się objawiać zależność klimatu od szerokości geograficznéj, co wszakże zupełnie wyraźnie występuje dopiéro w epoce trzeciorzędowéj, gdy lądy otrzymały już kontury, w ogólnych przynajmniéj rysach odpowiadające dzisiejszym, i gdy zwierzęta ssące bujnie się już rozwijają. Zabytki ówczesnéj roślinnności uczą wprawdzie, że w stronach północnych panowała jeszcze temperatura znacznie wyższa, aniżeli w okresie bieżącym, ale niewątpliwie' niższa aniżeli w czasach formacyi kredowéj; istotnie zwrotnikowe formy trzeciorzędowe napotykają się już tylko pod zwrotnikami.

Do tych tedy, stosunkowo bliskich nam już czasów przeobrażanie klimatu szło zupełnie stopniowo. Ale wtedy to właśnie zaszła nagła zmiana, temperatura obniżyła się niesłychanie i nastąpił ów słynny okres lodowy, odmienny zarówno od poprzednich jak i od następującego po nim peryodu, który już bezpośrednio zbiega się z dzisiejszą dobą geologiczną, tak że obecny klimat ziemski wytworzył się właśnie z klimatu lodowego. Okres ten lodowy, wtrącony w tak osobliwy i niespodziewany sposób między odrębne dzieje klimatyczne, stanowiący przeskok w rozwoju prawidłowym warunków bytu ziemskiego, jest niewątpliwie jedną z najmozolniejszych i najciekawszych zagadek w nauce, któréj dotąd liczne usiłowania należycie rozwiązać nie zdołały.

Tworzono przypuszczenia najniedorzeczniejsze; powoływano się np. na to, że temperatura słońca w pewnéj chwili mogła się obniżyć, albo téż na to, że w przestrzeni światowéj, którą przebiega ziemia wraz z całym układem słoneczno-planetarnym, panować może w różnych miejscach rozmaita temperatura. Pomijając już wszelką bezpodstawność podobnych hypotez, pamiętać należy, że okres lodowy nie tyle znamionuje się nader znacznćm zimnem, jak raczéj silnym rozwojem lodowców; powyższe zaś wpływy wywołaćby mogły jedynie pokrycie ziemi jednostajną skorupą lodową, ale nie ten olbrzymi pas lodowców, sięgający od stron biegunowych daleko w strefy umiarkowane i ciepłe.

Znacznym rozgłosem cieszyła się przez czas pewien teorya Adhémara, opierająca się na nierówności trwania półrocza letniego i zimowego na obu półkulach; nierówność ta, obecnie wychodząca na korzyść półkuli północnéj, z biegiem wieków, a raczéj tysiącoleci, przechodzi kolejno z jednéj półkuli na drugą, wywołując silniejsze ogrzewanie przez słońce już to jednéj, już drugiéj; wpływy te, sumując się w długim ciągu czasów, sprowadzają nakoniec na półkuli upośledzonéj ubytek ciepła, a w dalszym ciągu i olbrzymi rozwój lodów. Według tego przeto poglądu, okres lodowy nie stanowi zgoła

odrębnego momentu w rozwoju ziemi, ale jest objawem występującym peryodycznie, naprzemian na półkuli północnéj i południowéj. Zarówno jednak teorya ta w pierwotnéj swéj postaci, jak i w następném przerobieniu Crolla, uległa pod ciosami krytyki. Ogólny wszakże pomysł peryodyczności zmiany temperatury, posiada obecnie wybitnego przedstawiciela w osobie Schmicka. Wpływy astronomiczne, działając niejednostajnie na obie półkule w ciągu długich peryodów, wywołują przelewanie się jéj części ruchliwych—wód i jądra płynnego—z jednéj półkuli na drugą, co sprowadza pewne przesuwanie się środka ciężkości bryły ziemskiéj, a w skutek tego niejednostajny rozkład wód na jéj powierzchni, rozwój zaś lodowców na półkuli silniéj zalanéj jest bezpośredniém następstwem nadmiernéj wilgoci; stosunki zresztą astronomiczne, zarówno jak i dawny ustrój ziemi, mogły działanie to w minionych okresach potęgować o wiele silniéj niż obecnie.

Pomimo głębokiego uzasadnienia ostatniéj téj teoryi, trudno się oswoić z zasadą peryodyczności klimatów lodowych, a badania geologiczne zdają się owszem wskazywać, że okres lodowy, którego ślady znajdujemy w dzisiejszym rozwoju lądów i w rozprzestrzenieniu tak zwanych głazów narzutowych, które mogły być jedynie tylko przez lody przeniesione, zaszedł współcześnie na obu półkulach. W takim razie niewątpliwe to obniżenie temperatury u schyłku okresu trzecio-rzędowego należy wyjaśnić, jako objaw jednorazowy, nie uciekając się do kataklizmów nadzwyczajnych, które geologia z teoryj swoich stanowczo usunęła.

Podobną teoryą klimatów podał właśnie niedawno Probst towarzystwu przyrodniczemu wirtemberskiemu; hypotezą tą stara się on uzasadnić zarazem pierwotną jednostajność klimatu dawniejszego, następny podział jego strefowy, wystąpienie okresu lodowego i nakoniec klimat okresów ostatnich. Nie odwołuje się on przytém do wpływów astronomicznych, kosmicznych, a zmiany klimatyczne wiąże jedynie ze stopniowym rozwojem powierzchni ziemi, opiérając się przedewszystkiém na wynikach badań meteorologicznych.

Wiadomo, że stan klimatu w różnych miejscach jednego i tegoż samego równoleżnika bardzo jest różny, ale rozkład ciepła zależnie od szerokości geograficznych ocenić można ze średnich temperatur rocznych równoleżników, to jest z temperatury, jakąby posiadał każdy równoleżnik, gdyby stan ciepła był na nim jednostajnie rozłożony; obliczenia takie przeprowadził Dove dla półkuli północnéj, oznaczając tym sposobem jéj klimat normalny. Warunki klimatyczne byłyby wszakże zgoła odmienne, gdyby cała powierzchnia ziemi oblaną była morzem, czyli, gdyby ląd tak ustąpił, że nie miałby już ża-

dnego wpływu na klimat. Czysty ten klimat morski daje się ocenić z obserwacyj dokonywanych na wyspach.

Otóż klimat morski okazuje znacznie większą jednostajność, aniżeli klimat normalny; gdy ten ostatni przedstawia między równikiem a biegunem różnicę 34.4° R, w klimacie morskim dochodzi ona zaledwie 20°. Rozmaitość ta tłómaczy się głównie znaczniejszém ciepłem właściwém wody; wymagając do ogrzania swego większéj ilości ciepła, wolniéj się ogrzewa i prędzéj téż stygnie aniżeli ląd stały. Przytém, klimaty morskie w większych szerokościach geograficznych są znacznie cieplejsze od lądowych; w stronach bliższych równika różnica ta jest mniejszą, a nawet—w skutek zapewne sil niejszego ulatniania się wód w stronach gorętszych, co pochłania znaczną ilość ciepla,—stosunek staje się odwrotnym; klimat morski jest tam nieco chłodniejszy od lądowego.

Czysty przeto klimat morski przedstawia uderzające podobieństwo do klimatu dawnych epok geologicznych, zarówno pod względem jednostajności, jak i wyższéj temperatury w stronach bliższych bieguna. Owéj tedy zamierzchłéj epoce przyznać należy, klimat przeważnie morski, co się potwierdza tém, że pokłady ówczesne są morskie, znajdujemy w nich szczątki zwierząt morskich.

Nie tłómaczy to wszakże jeszcze dostatecznie wysokich temperatur pozazwrotnikowych, ocenianych przez geologów na 25° do 30°C., dla tego Probst powołuje jeszcze do innych znany czynnik, mianowicie zachmurzenie nieba. Pochmurność wpływa na ujednostajnienie stanu ciepła, znosząc różnicę dnia i nocy, lata i zimy; obszerność wahań temperatury dziennéj w czasie dni pogodnych jest o wiele większą aniżeli w ciągu dni pochmurnych.

Gdy ziemia była zalana wodą, pochmurność była znaczniejszą i utrzymywała się stale, zwłaszcza w szerokościach większych, gdy w okolicach zwrotnikowych, podobnie jak teraz, pogoda i zachmurzenie następowały prawidłowo po sobie; prądy morskie doprowadzały przeto wodę ciepłą w okolice biegunowe, gdzie chmury chroniły ją od silnego stygnięcia; wpływało to więc na ogólne podwyższenie temperatury.

Biorąc tedy za podstawę wyniki obserwacyj obecnych, obliczył Probst wpływ obu powyższych czynników na temperaturę średnią pod różnemi szerokościami; rachunki wykazały, że w takich warunkach temperatura równika wynosiłaby 21°R, a słabnąc nieznacznie, dochodziłaby pod 80° jeszcze 14°R.

Wysokość 14° może wprawdzie wytłómaczyć istnienie paproci drzewnych i innych roślin, wymagają one bowiem raczéj klimatu je-

dnostajnego, aniżeli bardzo ciepłego. Ale korale, zachodzące w dawnych okresach jeszcze około równoleżnika 80° wymagają temperatury wyższéj; tu przypuszcza Probst wpływ ciepła wewnętrznego ziemi, które przy mniejszéj grubości skrzepłéj skorupy mogło oddziaływać do tyla, że umożebniało życie korali.

Jednostajność ta klimatu ginąć musiała w miarę rozwoju lądów, o czém świadczy wystąpienie i coraz znaczniejsza przewaga roślin liścieniowych i zwierząt lądowych, według Heera w połowie okresu trzeciorzędowego średnia temperatura roczna wynosiła w Grenlandyi 9°C, w Szwajcaryi 19°, okolice zaś zwrotnikowe miały klimat odpowiedni obecnemu. I stan przeto ciepła jest niższy i rozkład jego nie jest już jednostajny. Klimat bowiem morski ustąpił, ale nie stał się jeszcze lądowym tak dalece jak obecny, pochmurność straciła swą jednostajność, ale powstała jeszcze znaczniejszą od obecnego jéj stopnia,—klimat stał się pośrednim między jednostajnym i ciepłym dawnych okresów, a dzisiejszym—niejednostajnym i chłodnym.

Dalszy przyrost lądów w końcu okresu trzeciorzędowego rozwinął klimat odpowiadający już dzisiejszemu i będący tylko dalszém rozwinięciem zmian, które się poprzednio rozpoczęły. Ale na tenże okres właśnie, jak to geologia dowodnie poznała, przypada podniesienie się gór na ziemi, Pirenejów, Alp, Karpat, Kaukazu, Himalajów, Kordylierów; działanie to było następstwem marszczenia się skorupy ziemskiéj na zastygającém i ściągającém się jądrze ziemi i odbywało się nader stopniowo i nieznacznie. W miarę wszakże wynoszenia sie, góry zaczęły stanowić zbiorniki dla wód skroplonych, a z nagromadzenia śniegów powstały lodniki, które przez coraz większe rozprzestrzenienie, spowodowały oziębienie klimatu i sprowadziły ów osobliwy okres lodowy.

Ale własna działalność lodowców zwolna przygotowała ich zagładę; one same bowiem sprowadziły starcie gór, zniżyły ich poziom, rozerwały zbite ich masy, utworzyły doliny, a to wszystko ograniczyło możność gromadzenia się śniegów. Lodniki zaczęły niknąć na różnych punktach i zwolna usunęły się do skromnych rozmiarów, w jakich je dziś widzimy. W miarę ustępywania lodników klimat stawał się łagodniejszym i stopniowo rozwinęły się obecne stosunki klimatyczne.

Klimat czasów naszych zbliżony jest do klimatu trzeciorzędowego, jakim był zwłaszcza u schyłku tego okresu; stan też ówczesny powierzchni ziemi odpowiadał obecnemu; góry, które wtedy nie doszły jeszcze ostatniego swego kresu przedstawiały wysokość podobną do dzisiejszéj,—wówczas nie były jeszcze doszły zupełnego swego rozwoju, dziś są już zmyte i starte.

Teorya Probsta zaleca się niewątpliwie prostotą, nie odwołuje się do wpływów kosmicznych, a przeobrażenie klimatu tłómaczy jedynie zmianami, jakie na powierzchni ziemi zachodziły; nie pokonywa ona jednak zapewne wszystkich trudności, a przedewszystkiém pomija milczeniem silną wilgotność powietrza, która musiała być jednym z głównych warunków znacznego rozwoju lodowców. Nastręczają się i inne wątpliwości; sama jednak kwestya przeszłości ziemi dostatecznie jest ciekawą, aby wzbudzić zajęcie dla każdéj teoryi która ją wyjaśnić usiłuje.

S. K.

ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Urzędnicy kancelaryjni królów polskich z lat 1434—1506.—Studyum dyplomatyczne, opracował *Dr. Roman Maurer*, zastępca nauczyciela w gimnazyum brodzkiém.—Odbitka ze sprawozdania c. k. realnego wyższego gimnazyum w Brodach, za rok szkolny 1881.—W Brodach 1881, nakładem autora 8^{0}, str. 51.

Kto wié, w jakim stanie po dziś dzień znajduje się umiejętność dyplomatyki naszéj, albo raczéj, ażeby się dosadniéj a prawdziwiéj wyrazić, kto wié, że u nas dotąd prawie zgoła nieistnieje ta gałąź propedeutyki historycznéj, ten powita z prawdziwą przyjemnością i nie będzie skąpić wyrazów uznania niewielkiéj wprawdzie pod względem rozmiarów, ale mozolnéj i zmudnéj, a nadto ważnéj, choć w rezultatach niewdzięcznéj pracy, któréj tytuł wypisaliśmy na czele niniejszego sprawozdania. W innych działach rozległéj dziedziny nauk historycznych, że tylko wspomnimy heraldykę lub genealogią, naukowa niwa nasza, w miejsce zdrowych kłosów chwastem porosła; tu bo jednak, mówię o dyplomatyce, taż rola zgoła niemal leżała odłogiem. Prace odnośne, po większéj części słabe, nierzadko dyletanckie próby dadzą się na palcach wyliczyć; nadto, rzadko która z nich poświęcona jest wyłącznemu traktowaniu zawiłych pytań dyplomatyki historycznéj, lecz raczéj tylko mimochodem je omawia. Odliczywszy nieszczególną naszą sposobność do tak suchéj i ścisłéj jak dyplomatyka umiejętności, była tego jéj zaniedbania ze strony nauki główną przyczyną zwłaszcza niepomierna skąpość odnośnego materyału. W niedawnych dopiéro czasach wzbogacony, dzięki podjętym w ostatnich latach wielkim wydawnictwom dokumentów średniowiecznych, znacznie materyał dyplomatyczny, jak z jednéj strony okazał wysoką ważność nieznacznych napozór zagadnień dy-

plomatyki, tak téż z drugiéj dopiéro umożliwił pierwsze jako tako pewniejsze kroki na tém polu. Że jednak rezultaty, które się dotąd osiągnąć dały, nie są jeszcze zbyt bogate, żeśmy dotąd nie wiele zdrowego ziarna zdołali uzbierać na tém polu, które przecie tak bujnemi faluje kłosami u naszych zachodnich sąsiadów, jak Niemców lub Francuzów, tego najlepszy dowód widzimy właśnie choćby w sumiennéj pracy pana Maurera. Autor jéj ogłosił już przed kilku laty pracę z zakresu dyplomatyki polskiéj p. t. Urzędnicy kancelaryjni Władysława Jagiełły (1), którą poważna krytyka naukowa, między innemi i w Ateneum (2), acz nie bez pewnych zastrzeżeń, to jednak w ogólności przychylnie i z uznaniem przyjęła. Praca obecna, jak już jeden rzut oka na daty chronologiczne w tytułach wypisane poucza, jest dalszym ciągiem owéj pierwszéj pracy autora z zakresu dyplomatyki polskiéj. Ze słowa wstępnego zaś, które poprzedza niniejszą pracę, dowiadujemy się nadto, że autor zajęty jest opracowaniem urzędników kancelaryi polskich z czasów przedjagielońskich, a w pierwszym rzędzie z w-14°, czyli od czasów Łokietka aż po czasy Jagiełły; i to będzie zapewnie część najciekawsza jego pracy, zważywszy odległość czasu i ubóstwo odnośnych źródeł, jakotéż tę zwłaszcza okoliczność, że urządzenia kancelaryjne, które w epoce dotąd traktowanéj przez autora są już w pewnym mniéj więcéj ustalonym stanie, w epoce poprzedniéj dopiéro się wykłuwać i tworzyć poczynają. Z rzeczonego słowa wstępnego dowiadujemy się nadto jeszcze, że autor zamierza przedmiotem osobnéj pracy zrobić kancelaryą litewską, któréj w niniejszéj rozprawie poświęcony ustęp, wskutek niemożności, w jakiéj się autor znajdował, wyczerpującego korzystania z wydawnictw rosyjskich, koniecznie musiał wypaść bardzo skąpo i ubogo. Atoli wróćmy do niniejszéj pracy.

Jakeśmy wyżéj powiedzieli, rezultaty dotąd osiągnięte na polu dyplomatyki naszéj, jakkolwiek w stuleciu w materyał stosunkowo najbardziéj obfitującém, są nader ubogie. Pan M. zestawił te ogólniejsze rezultaty swego studyum na pierwszych kartkach rozprawy. Za najważniejszy z nich wypadnie podobno poczytać wniosek autora co do metamorfozy pierwotnych *protonotaryuszów* kancelaryi polskiéj na *sekretarzy*; która to zmiana zaszła, według autora, między latami 1418 a 1423. Obok nich istnieją nadto dawniejsi notaryusze. Z czasem, gdy pracy w kancelaryi królewskiéj coraz więcéj przybywało,

1) Biblioteka warszawska, 1877, t. III i w osobnéj odbitce.

2) Rok 1878, t. III, artykuł dra. F. Papée p. t. Dwie prace z dziedziny dyplomatyki naszéj, str. 178 nast.

i w miarę tego także liczba sekretarzy się zwiększyła, a zatem i godność ich nieco spowszedniała, (w r. 1475 było równocześnie aż pięciu sekretarzy), okazała się potrzeba odznaczenia jednego z pomiędzy ich grona i przywrócenia tém samém niejako dawniejszéj godności protonotaryatu. Ta nowa ewolucya godności kancelaryjnych zaszła w r. 1470. Ów sekretarz, odznaczony od reszty swych kolegów, przybiéra tytuł pierwszego czyli najwyższego sekretarza, a że dzierży sygnetową pieczęć królewską, przeto zwany jest powszechnie annularis secretarius lub téż annularius. Sekretarza takiego nie należy bynajmniéj uważać za osobę podrzędną i małego znaczenia; możnaby go owszem poniekąd porównać z dzisiejszymi podsekretarzami stanu w niektórych państwach nowożytnych. Należeli podobni sekretarze „obrączkowi“ do liczby jeżli nie najwyższych, to przecie wysokich dostojników, i aczkolwiek byli raczéj urzędnikami króla niżeli państwa, składali przy obejmowaniu urzędu przysięgę senatorską, a postępowali bezpośrednio czy to na podkanclerstwo czy téż, jak późniejszy prymas Jan Łaski, nawet na kanclerstwo. Wskutek téj ewolucyi liczyła hierarchia kancelaryjna od r. 1470 jeden stopień więcéj: po *kanclerzu* i *podkanclerzym* szedł *wielki sekretarz*, po nim dopiéro szli *sekretarze*, którzy, jak to powiedziano wyżéj, w latach 1418—1470 znaczyli toż samo co dawniejsi protonotaryusze a odtąd tj. o r. 1470 przyjęli także nazwę starszych notaryuszów; i wreszcie jako piąta, najniższa kategorya *notaryusze* tout court czyli notaryusze bez epitetu. I ta ostatnia kategorya nie była bynajmniéj bez znaczenia; znajdujemy w niéj takie imiona jak: Grzegorza z Sanoka, Zbigniewa z Oleśnicy (w r. 1469) i inne, które późniéj niejednokrotnie w stanowczy sposób wpływały na losy kraju. Ale i pod względem (że tak powiem) technicznym, ściśle dyplomatyki dotyczącym, ta kategorya urzędników kancelaryjnych, acz najniższa niemały przecie przedstawia interes. W istocie, jeśli zważymy, że zazwyczaj nie kto inny, jeno ci notaryusze i sekretarze nietylko pisali ale i układali (czyli, jak mówią, redagowali) dokumenta, uznamy bez trudu, że w razach nie pewnych, gdzie np. podejrzaną jest autentyczność dokumentu, znajomość pisania lub raczéj stylu każdego z notaryuszów nieobojętnym będzie dla krytyki momentem. Konieczna jest zbadać i wniknąć w naturę powstania dokumentu, skoro się go chce czy to uznać autentycznym czy odrzucić jako sfałszowany, a ku temu właśnie potrzebne jest poznanie (w granicach możliwości naturalnie) indywidualności pisarskiéj autora dokumentu. Nie powiemy nikomu nic nowego, nadmieniając, że podrabianie dokumentów, przywilejów zwłaszcza kwitło w wiekach średnich; nie jesteśmy chwała Bogu w czasie, w którym się zdarzyło powiedzieć,

niepomnę komu, że skoro w wiekach średnich sztuka pisania była niemal wyłącznie w posiadaniu stanu duchownego, podobne fałszerstwa należą do kategoryi złośliwych wymysłów, lub co najmniéj nie bardzo mądrych baśni i że czegoś podobnego bez obrazy duchownéj sukienki przypuścić niepodobna. Nie jesteśmy, powtarzam, dziś jeszcze w tych pieluchach naiwnéj wiedzy, ale też może jeszcze niekażdy zdaje sobie należycie sprawę, raz z ogromnéj liczby popełnionych fałszerstw, a powtóre z nadzwyczajnie wielkiéj biegłości fałszerzy w podrabianiu dyplomatów, więc, co za tém idzie z niezwykłych trudności, z jakiemi stwierdzenie autentyczności lub fałszerstwa jest połączone. Poznanie osobistości choćby tych najniższych urzędników kancelaryjnych, jakkolwiek będące tylko jednym z mnogich środków, jakiemi rozrządza krytyka dzisiejsza, jest tedy rzeczą bynajmniéj nie do pogardzenia (1) i zaleca się przeto historykowi nietylko dlatego, że te urzędy niższe były zazwyczaj szczeblami, po których późniejsi przewódcy narodu spinali się do wyższych dostojeństw kancelaryjnych. Praca pana M. nie wychodzi po za podanie bardzo skąpego spisu imion tych niższych urzędników, sekretarzy i notaryuszów; atoli żądać odeń więcéj trudno, skoro materyał, jakim rozrządzał, na więcéj nie pozwalał. Jest i tak ten spis pierwszym, jaki dotychczas został ułożonym.

Jeżeliśmy uznali ważność informacyi, które zdolne są rzucić światło na stanowisko i osoby sekretarzy i notaryuszów, to cóż dopiéro powiemy o dostojeństwach najwyższych kierowników kancelaryi królewskiéj t. j. kanclerza i podkanclerzego. Acz nie najintratniejsze ani najzaszczytniejsze, były to z pewnością wtedy i jeszcze długo późniéj, nim trzymanie stałych armij zrobiło (dożywotnich o tém nie zapominajmy!) hetmanów istotnymi panami rzeczypospolitéj, a częste bezkrólewia dodały niepomiernego znaczenia prymasowskiemu i marszałkowskiemu urzędowi, były, powiadam, dostojeństwa kanclerskie i podkanclerskie najważniejszemi w rzeczypospolitéj. Zawiadujący kancelaryą królewską łączył w istocie w osobie swojéj, cobyśmy dziś nazwali ministerstwem spraw zagranicznych, wraz z dobrą częścią kompetencyi ministra sprawiedliwości i ministra spraw wewnętrznych. Ważność zajmowanego przez kanclerzy stanowiska okaże się jeszcze lepiéj, skoro zważymy, że sprawy zewnętrzne były podówczas owemi, co do których najmniéj była ograniczoną, a zatém najpełniéj mogła się objawiać władza królewska,

---

(1) Nie nowa to teorya; zobaczyć w téj mierze pisma wiedeńskiego profesora Sickl'a.

względnie władza współpracowników królewskich w kancelaryi t. j. właśnie kanclerzy i podkanclerzych. Są to tedy pierwsi i najbliżsi doradcy korony, któréj najważniejsze sprawy im są poruczone; tak powierzają im stany najważniejsze dyplomaty, ażeby je odwieźli do zamku krakowskiego, w bezpieczne schronienie; ich opieszałość zdolna sprowadzić na kraj takie klęski, jak smutnéj pamięci porażkę chojnicką (1454). Oni to najczęściéj jeżdżą w poselstwach do obcych dworów, przyczém się nawet zdarza, że biorą z sobą w drogę pieczęci, w celu natychmiastowego ratyfikowania mających się zawrzéć traktatów; w razie małoletności królewskiéj, jak za Warneńczyka, widzimy ich w rzędzie „opiekunów“ chwilowo osieroconego państwa (tutores regni), a gdy obcy książęta składają hołdy królom polskim, to oni czytają słowa przysięgi. Już to samo wystarczy, dla okazania ważności wszelkich dat i szczegółów, odnoszących się do zawodu tych wysokich dostojników, choćby nawet, jak się niestety rzecz ma w przeważnéj liczbie wypadków, daty te ograniczały się do dość suchych spisów godności, kolejno piastowanych przez tego lub owego kanclerza lub podkanclerzego. Nie brak przecie zupełnie i pewnych ogólniejszych rezultatów. I tak z samego zestawienia imion wynika, że już w owym czasie wymagano, ażeby kandydat do kanclerskiéj lub podkanclerskiéj godności był „secundum saeculi morem ex magnificis et nobilibus parentibus ortus.“ Jakoż znajdujemy w spisie kanclerzy same tylko prawie historyczne imiona, synów najzamożniejszéj i najznakomitszéj szlachty. Stanowią oni téż, jak się tego łatwo domyśléć można, najwyższą inteligencyą kraju; każdy z nich prawie odbywał studya w uniwersytecie krakowskim i uzyskał stopnie akademickie. Postępują często nader szybko: Oleśnicki, który jeszcze w r. 1470 jest notaryuszem, w r. 1471 jest już sekretarzem, a w roku następnym dostępuje godności pierwszego sekretarza i podkanclerzego. Łaski wstępuje do kancelaryi w r. 1501, w r. 1502 jest już pierwszym sekretarzem a w rok potém dzierży już wielką pieczęć. Ze względu na ważność tych urzędów, nie cierpią na nich królowie jak tylko osoby zupełnie sobie oddane (tak Kazimierz Jagielończyk Gruszczyńskiego), które jakkolwiek duchowne piastują godności, nie wahają się przecie w potrzebie stanąć po stronie króla a przeciw uroszczeniom duchownego stanu. To téż się zdarza, że ich król trzyma w urzędzie nawet wtedy, gdy zostali biskupami lub nawet, gdy który z nich wyniesiony został na najwyższą duchowną godność w Polsce, t. j. gdy został prymasem, jak to się stało w r. 1464 z Janem Gruszczyńskim, który pomimo to zachował wielką pieczęć. Zwykły awans kanclerza i podkanclerzego jest: jeźli jest świeckiego stanu człowiekiem, województwo sandomierskie

i Starostwo krakowskie; jeźli kanclerzem jest duchowny, pierwsze znaczniejsze biskupstwo. Jako charakteryzującą polskie stosunki okoliczność podnosi p. M., że podkanclerzy biskup wymieniony jest w dokumentach przed kanclerzem, skoro ten jest duchownym niższego rzędu, co zapewnie nie tak rzadko się zdarzyło, gdyż wiadomo, że uchwała stanowiąca alternatę pomiędzy dwoma najwyższymi dostojnikami kancelaryi królewskiéj, według któréj tedy skoro kanclerzem był duchowny, to podkanclerzy musiał być świeckiego stanu, powziętą była dopiéro po wstąpieniu na tron Zygmunta I (1506) czyli już u schyłku właściwéj epoki dyplomatycznéj. *Szaraczki* — powiada p. M.—szlachta wioskowa, która wstępuje do kancelaryi, a która zazwyczaj podobnie jak arystokratyczniejsza jéj brać, jest w stanie wykazać stopnie naukowe, może się przez całe dziesiątki lat wysługiwać w kancelaryi, ażeby się ostatecznie niczego nie dosłużyć. Niejaki Jabłowski jest notaryuszem przez 31 lat, od 1425—1456; Krowickiego, który jest dziekanem lwowskim, widzimy na urzędzie notaryusza królewskiego w r. 1487 i jeszcze w r. 1506 na tém samém stanowisku. Połączenie wszystkich dzielnic polskich pod jednem berłem wyszło z Małopolski; Małopolan zasługą były również chrzest i unia Litwy z koroną. Podobno tedy nie pomylimy się, jeźli do téj historycznéj przewagi Małopolski nad Wielkopolską odniesiemy fakt niewątpliwy, że aż po pierwsze lata panowania Kazimierza Jagielończyka jedynie Małopolanie mieli przystęp do godności dworskich, a zatém i do urzędów kancelaryjnych. Dopiéro przywilej cerekwicki 1454 r. wydany, zniósł tę wyłączność i odtąd téż i drobna szlachta wielkopolska była dopuszczaną do kancelaryjnych zajęć. Gdy w 3 dni po wydaniu tego przywileju w bitwie chojnickiéj wraz z podkanclerzym Szczekocińskim zginęła mniejsza pieczęć, musiano w kancelaryi królewskiéj wydawać jakiś czas pisma pod pieczęcią *starosty* nakielskiego (1).

Tyle o kanclerzach i podkanclerzych. Instytucya *pieczętarza* (sigilliger) przeniesiona do nas z węgierskiéj kancelaryi nie trwała długo. Gdy Władysław Warneńczyk wyjechał do Węgier, jakiś czas urzędnicy węgierscy pełnili obowiązki kancelaryi królewskiéj, wydając dyplomaty dla Polski. Późniéj w r. 1444 napotykamy Jana Reja z Szumska z tytułem pieczętarza czyli zastępcy kanclerza, atoli jeszcze w tym samym roku bitwa pod Warną położyła rychły koniec, jak wielu innym rzeczom, tak i téj przejściowéj instytucyi.

---

(1) a nie kasztelana, jak powiada p. M. (str. 7). „Sub cera et sigillo *capitanei naclensis*" stoi w odnośnym dokumencie. Szujski: Codex epistolaris saec. XV, 158.

Niechaj mi będzie wolno uczynić obecnie Szan. autorowi niektóre spostrzeżenia i uwagi co do poszczególnych kwestyj. Powiada on, że wątpliwe pochodzenie szlacheckie zagradzało drogę do godności kancelaryjnych i na poparcie tego twierdzenia przytacza przykład Erazma Ciołka. Być to może, bardzo to nawet prawdopodobne, atoli przykładu Ciołka na stwierdzenie tego przytaczać nie należy. Ta bowiem przyczyna leżała gdzieindziéj. Wszakżeż skoro Aleksander uznał—słusznie czy nie słusznie, nie tu rozstrzygać—szlacheckie urodzenie ulubieńca swego, skoro nadto mógł go zrobić biskupem płockim, cóż mu mogło przeszkadzać do posunięcia go w kancelaryi, z urzędu sekretarza, który od 10 lat blisko piastował, na godność czy to podkanclerzego czy nawet kanclerza? Raczéj przypuścić należy, jako rzecz mojém zdaniem o wiele prawdopodobniejszą, że Ciołka ubiegł w godności wielkiego sekretarza jego późniejszy (a podobno już i ówczesny) rywal Jan Łaski, który gdy niebawem potém posunięty został na kanclerstwo, dla Ciołka już w kancelaryi miejsca nie było; boć zresztą biskupstwo płockie, na którém Ciołek od r. 1503 zasiadał, nie było *incompatibile* z mniejszą pieczęcią, ani de facto ani de jure. Dowodem pierwszego Wincenty Przerębski, który był w r. 1498 równocześnie biskupem płockim i podkanclerzym; a co do drugiego, to przypominam, że ustawę o incompatibilach uchwalono dopiero w r. 1504. Gdy już mowa o Ciołku zauważę, że niebyłoby zawadziło dodać, choćby dla uniknienia możliwéj pomyłki, że tenże Ciołek nosił także tytuł protonotaryusza apostolskiego, godność, którą otrzymał w r. 1501 od papieża Aleksandra VI (1).

Skoro do dowodów, które w méj pracy o Wapowskim przytoczyłem przeciw twierdzeniu prof. Zeissberga, jakoby Łaski nie był kanclerzem kapituły gnieźnieńskiéj, powiodło się panu M. odszukać i przydać nowe (str. 22), nie ma obecnie już zgoła powodu do podawania w wątpliwość autentyczności testamentu Aleksandra (jak to był czynił Zeissberg) a tém samém przenoszenia opowiadania Miechowity o napadzie Tatarów w r. 1506 i ostatnich chwilach Aleksandra, nad odnośny rozdział lepiéj tym razem poinformowanego Wapowskiego (2).

W poczcie sekretarzy i notaryuszów kancelaryi litewskiéj przytacza p. Maurer (na str. 43) pod r. 1502 „*Jana sekretarza Rusina*,“

(1) Zob. Theiner. Vetera Monumenta Poloniae, t. II, f. 280.

(2) Zob. moją rozprawę doktorską: Rozbiór podługoszowéj części kroniki B Wapowskiego. Kraków, 1880, str. 79 w nocie.

a pod lat. 1502—1504 *„Jana Sopyechę,“* który prócz sekretarskiego urzędu przy królu, pełni nadto obowiązki kanclerza królowéj Heleny. Otóż skoro autor cytuje pracę moję o Ciołku, winien był tam znaleść wymienionego jako jego kolegę w poselstwie do Aleksandra VI papieża *„Jana Sopyehę* (Sapiehę) Rusina,“ sekretarza wielkiego podówczas księcia Aleksandra a krewnego i „prokuratora“ metropolity kijowskiego, Jana Józefa (1). Ten Jan Sopyeha a wymienieni u p. M. dwaj Janowie to widocznie jedna i ta sama osoba; gdyż niepodobna przypuścić, ażeby równocześnie było aż dwoje lub zgoła troje urzędników w kancelaryi, którzyby wszyscy mieli na imię Jan, byli Rusinami i wszyscy nadto byli sekretarzami przy Aleksandrze. Jeżeli zaś Jan Sopyeha zwie się nadto kanclerzem królowéj Heleny (2), to nie obala to bynajmniéj powyższego przypuszczenia, owszem raczéj je poniekąd stwierdzać się zdaje skoro wiemy z Theinera, że Ciołek wraz z swym kolegą t. j. właśnie owym Sopyehą mieli sobie poruczoną w Rzymie pewną sprawę w. księżny Heleny, któréj tu jednak bliżéj rozpatrywać nie można (3).

Jedną z kardynalnych zasad publicznego prawa polskiego było, że obrany król polski zostawał *istotnym* królem dopiéro w chwili, gdy pod odczytaniu przysięgi włożono mu koronę na skronie. P. M., który zdaje się nie znał, tego w czasach burzliwych późniejszych bezkrólewi tak ważnego prawa, dowiódł jednak, dzięki skrzętnemu porównywaniu dat panowań królewskich, że ta zasada obowiązywała już za czasów Olbrachta i Aleksandra, pierwszych królów, którzy datowali wydane przez się dokumenty nietylko zwykłym sposobem, ale nadto, choć nie zawsze, według lat panowań swoich i to licząc zawsze od dnia koronacyi.

Kończymy te uwagi szczérym wyrazem uznania dla równie mozolnéj jak sumiennéj i krytycznéj pracy Szan. autora, a nadto życzeniem już raz z kompetentnéj strony objawionêm, ażeby autor zechcial uzupełnić swą pracę podaniem spisu wszystkich dokumentów z epoki, którą opracował. Nietylko-by się przez to ułatwiły poszukiwania, ale nadto zyskałby na têm sam autor, bo by tym sposobem zrobil pracę swą niezbędną dla wszystkich tych, którzyby się chcieli zająć odnośną epoką.“

Stanisław Lukas.

---

(1) Theiner, l. c. t. II, f. 283. List Aleksandra VI papieża do w. księcia Aleksandra z 7 maja 1501.

(2) Das aelteste Materikalbuch der Universität Krakau, herausg. von Zeissberg, p. 68.

(3) Dotyczyła ona pożycia Aleksandra z (schizmatycką) żoną.

Wykaz form języka staropolskiego zawartych w „Przykładach i Wzorach z najcelniejszych poetów i prozaików polskich D-ra Karola Mecherzyńskiego“, napisał *Szymon Matusiak*. Kraków, Nakładem księgarni J. M. Himmelblaua. 1882. 8-o. str. 56.

„Wypisy Mecherzyńskiego“ są książką szkolną, służącą za podręcznik do nauki języka i literatury polskiéj w niektórych gimnazyach galicyjskich. Z tytułu więc spodziewaćby się należało, że książeczka p. Matusiaka jest najprostszym podręcznikiem szkolnym, któryby służył uczniom za komentarz do ich wypisów. To samo wnosimy też z przedmowy, a jednak tak nie jest. Pod tym bowiem dość skromnym tytułem chciał autor widocznie dać uczniom obraz całego języka staropolskiego, lecz mu się to nie udało. Tylko w uwagach nad głosownią (str. 1—8), ogranicza się on na przykładach zawartych w wypisach, w deklinacyi (str. 9—26) zaś i w konjugacyi (str. 27—54) rozwija „swoje“ niby poglądy, illustrując je tu i owdzie przykładami z wymienionych wypisów. Nicby to zresztą nie szkodziło, gdyby tylko wszystko było przedstawione w sposób, dla nauki szkolnéj stosowny. Lecz że tak nie jest, łatwo się o tém przekonać. Przedewszystkiém powoływanie się ciągłe na język starosłowieński pedagogice szkolnéj nie odpowiada, bo język starosłowieński uczniom naszych polskich gimnazyów znany nie jest. O języku starosłowieńskim więc, podobnie jak o sanskrycie, zendzie i t. p. w książce szkolnéj mowy być nie powinno. Nie można tu bowiem uczniów o prawdziwości swéj nauki na przykładach przekonać, lecz trzeba tylko od nich wymagać wiary, że kiedyś w jakimś języku tak było. W nauce szkolnéj musimy się ograniczyć na takich tylko faktach, które z samego języka polskiego lub najwyżéj przy pomocy innego jakiego, uczniom znanego, dowieść się dadzą. Nie dość na tem, lecz autor powołuje się tu nawet na języki aryjskie (str. 9), nie wytłómaczywszy nawet nigdzie, co to są te języki. Skądże więc uczeń ma wiedzieć coś o nich? Czy w wypisach Mecherzyńskiego może być odpowiednie objaśnienie? Zresztą cały sposób przedstawienia, jak dla szkoły, jest niedokładny, określeń albo żadnych nie ma, albo są niedostateczne i fałszywe. W głosowni np. nie ma żadnéj wzmianki o podziale dźwięków; widocznie więc autor przypuszcza, że ten uczniom gimnazyum wyższego dokładnie jest znany. Mimo to uważa późniéj (§ 6) za stosowne, bodaj przy sposobności wymienić, które są *dźwięczne*, a które *bezdźwięczne* spółgłoski. Jeżeli to było konieczne, należało o tém już z góry uczniów uprzedzić, a nie dopiéro przy uwagach „o assymilacyi.“ W innem znów miejscu (str. 9 uw.) uczy, że „temat jest to ta część wyrazu, do któréj dodaje się końcówki“; jakżeż więc uczeń uwierzy, że „bóg, pan“, i t. p., są „tematami na—**a**“,

gdy w formach innych przypadków, jak: bog-a, bog-u, końcówkami są -a. u, a jako temat według określenia autora zostaje: bog—, pan—. Cały więc ten podział podług pierwotnego stanu tematów dla szkoły odpowiedni nie jest. Sam autor zresztą widocznie o nim pojęcia dokładnego nie ma, gdy np. „*bracia*" liczy do — i — tematów (str. 12).

Nie myślę wszystkiego wykazywać, co w téj książeczce dydaktyce szkolnéj nie odpowiada, bo zanadto wieleby to zabrało miejsca i na nicby się nie przydało. A zatém „zbiór ten luźnych uwag", jak go sam autor w przedmowie nazywa, nawet „w braku odpowiedniego podręcznika do staropolszczyzny" *na nic się w szkole nie przyda*.

Lecz o ważniejszą tu rzecz teraz idzie, to jest o *naukową wartość* tych „luźnych uwag." W przedmowie, po bardzo szumnéj zapowiedzi: „W wielu punktach różnią się *moje* zapatrywania od zapatrywań przyjętych dotąd w szkołach naszych, pochodzi to stąd, że w ostatnich latach badania na polu gramatyki znaczny zrobiły postęp" — wylicza autor prace, z których niby korzystał, a które, jak stę pokazuje, zna tylko z tytułów. Innych zaś prac, z których rzeczywiście wyjął wszystko, co tylko jest dobrego w tych uwagach, nie wymienił. Mimo to, spodziéwać-by się należało, że podaje tu autor najświeższe rezultaty nauki, któreby tak pod względem materyału jak jego opracowania, były ważnym dla gramatyki porównawczéj przyczynkiem. Otóż co do *materyału* gramatycznego, to nauka nic a nic z téj książeczki nie zyskuje. W wypisach Mecherzyńskiego bowiem, znajduje się bardzo mało wyjątków, i to z zabytków języka staropolskiego, już dawno znanych. Co do *opracowania* zaś, potrzeba tę pracę podzielić na dwie, równéj objętości, połowy.

W pierwszéj z nich, t. j. w uwagach nad głosownią i deklinacyą (str. 1—26), jeśli się co nowego znajduje, to tylko jest najlepszém świadectwem, że autor nietylko o postępie badań na polu gramatyki w latach ostatnich, lecz nawet o tém, co już oddawna wiadomo, niedokładne ma pojęcie. W głosowni np. stawia niejako autor prawidła głosowe języka staropolskiego, nie wiedząc wcale o tém, że w każdym języku czysty i właściwy kształt prawideł głosowych wtedy dopiéro się pokaże, gdy się od całéj summy zjawisk odejmie działanie analogii i wyrazów przyswojonych. Z językiem zaś martwym jakim jest u nas staropolski, rzecz jeszcze trudniejsza. Potrzeba bowiem pamiętać, że nie mamy tu do czynienia z żywemi dźwiękami mowy, lecz z martwemi i niedokładnemi znakami pisma. Wszystkiego tego autor nie uwzględnia, tylko stawia reguły kategoryczne i po największéj części fałszywe, jak np. zaraz na str. 1, że w wyrazie „wróbel" samogłoska *e* stoi w miejscu starosł. ъ (twardego!), tamże,

że „*é* ścieśnione zaczęto wymawiać jak *i*“ (jak gdyby to zależało od kaprysu lub wygody tylko, a nie było spowodowane fizyologiczną tego dźwięku naturą), że w wyrazie „jachać“ zachowało się *a* pierwotne (str. 2), że samogłoski ścieśnione są „następcami“ długich (s. 3), o wpływie zaś pierwotnego akcentu widocznie nic autor nie wié itd. Mnóstwo takich błędów spotyka się na każdéj stronicy. W zmianach spółgłoskowych np. główną rolę gra tu „dążenie do ułatwienia wymowy.“ Wprawdzie zdania uczonych o téj kwestyi różnią się, ale przecież najświeższe badania do innych doprowadziły pod tym względem rezultatów (1).

W uwagach dotyczących deklinacyi (str. 9—26) korzystał autor widocznie z wielu objaśnień, zebranych ostatniemi czasy w pracach odnoszących się do deklinacyi staropolskiéj, lecz nie był w stanie ich dobrze zrozumiéć. Stąd pochodzi, że w tablicach końcówek deklinacyjnych miesza końcówki: starosłowieńskie, staropolskie, ogólnie polskie obecne, i takie, których nigdzie nie ma. Nie ma tu końcówek, które istniały rzeczywiście w staropols. w pewnych przypadkach, takie zaś, których żadnego śladu w zabytkach nie mamy, figurują tu w znacznéj liczbie. Tak np. (str. 11) w przyp. 2 l. p. tematów na — ja widzimy tylko końcówkę — (j)e, gdy tymczasem w staropol. napotykamy w tych tematach téż końcówki: *ę*, *ej*, *i*, (zawsze z poprzedzającą zmiękczoną). Za to przytacza dla tematów na -es-, -en-, -ent-, w tym samym przypadku końcówki *-e*, objaśnione jeszcze przykładami (str. 13). słowiesie, cielesie, kamienie, imienie, źrebięcie, cielęcie, których nietylko w wypisach Mecherzyńskiego, ale w całém znaném dotąd piśmiennictwie staropolskiém nikt jeszcze nie wynalazł. Szkoda, że autor nie zacytował przy takich itp. przykładach miejsca, gdzie tak cenne dla historyi deklinacyi formy wynalazł! Podobnych błędów spotyka się tu mnóstwo.

Przypatrzmy się teraz drugiéj połowie książeczki, w któréj autor podaje uwagi do „*odmiany słowa.*“ Możnaby śmiało powiedziéć, że to jest główną częścią téj całéj pracy, że za taką ją autor uważał, i tylko dla wciągnięcia jéj pod jakiś ogólniejszy tytuł dał na początku uwagi o głosowni i deklinacyi. Mnóstwo téż tu rzeczy znajdujemy nowych, objaśnienia form słownych dzisiejszym badaczom zupełnie nieznane, lecz czyjeż to wszystko? Oto p. Matusiak wydrukował tu dosłownie jako swoję własność notatki z wykładów prof. L. Malinowskiego, mianych w półroczu zimowém r. 1880/1 w Uniwersytecie Jagiellońskim p. t. „System konjugacyi w języku polskim.“ Że tak jest

(1) Por. *Delbrück*, Einleitung in das Sprachstudium. Leipzig 1880, s. 118 i nast

rzeczywiście, mogą poświadczyć wszyscy kolledzy p. Sz. Matusiaka (do których i ja się liczę), którzy tych wykładów słuchali i podobne cenne notatki również posiadają. Tém bardziéj zadziwia, że p. Matusiak wszędzie ze swojém „ja“ występuje (por. str. 28 uw., 36 uw., 41 uw. itd.) podając wszystko za płody swego rozumu. Łatwo to każdy gramatyk pozna, że wszystko, co tu nowego, nieprawnym jakimś sposobem przez autora przyswojone zostało. W wielu bowiem szczegółach, których podczas wykładów p. Matusiak nie zrozumiał, spotyka się podobne błędy, jak w piérwszéj połowie téj książeczki. Aby wiele miejsca nie zabierać, przytoczę tylko jeden przykład z piérwszéj zaraz stronicy tych uwag o konjugacyi (str. 27). Za temat czasu teraźniejszego uważa on tam „*niese* lub *nieso*“, co jest niedorzecznością, bo w starosł. jest: nese-, neso-, w polsk. zaś niesie-, nioso-, i t. p.

Dlatego i nad tém, co rzeczywistą tu wartość stanowi, t. j. nad objaśnieniami form słownych prof. L. Malinowskiego zastanawiać się trudno. Wystąpiłem tu zaś dlatego z tak długim artykułem, aby milcząc a wiedząc o wszystkiém, faktu podobnego niejako nie pochwalać, a zarazem, aby czytelnicy, których wszelki postęp w nauce interesuje, nie dali się w błąd wprowadzić podobnemi reklamami, jaka się niedawno ukazała w „Czasie“ (Nr. 246. 27. X. 1881 (1).

Lipsk, 6 listopada, 1881. *Jan Hanusz.*

---

(1) Po napisaniu recenzyi powyższéj doszło mię „*Oświadczenie*“ (str. 3), w którém p. M. przyznaje się, że przywłaszczył sobie cudze poglądy i tylko „przez nieoględność nie uprzedził prof. Malinowskiego o tém skorzystaniu z jego wykładów.“

Widocznie więc p. M. sądzi, że dość było uprzedzić kogoś, że mu się jego własność zabierze, a zresztą podać wszystko za „swoje zapatrywania.“ Nie potrzeba tu było wcale uprzedzać prof. Malinowskiego, lecz należało wymienić, czyje zapatrywania się ogłasza. Pod tym jednak względem objaśnia nas p. M. w sposób następujący: „W pracy téj opuszczono przy drukowania ku wielkiemu mojemu zmartwieniu (!) uwagę, że konjugacyją opracowałem na podstawie wykładów prof. D-ra L. Malinowskiego“ (str. 1). Nie dość tego, bo nawet w szczegółach powoływał się p. M. na „źródło, z którego wiadomości swe czerpał“, np. na str. 43 w objaśnieniu słowa „*wspomięnąć*“, lecz „adnotacyja ta została również przy druku pominiętą“ (s. 11). Któż więc winien, że przy druku wszystkie tego rodzaju adnotacyje wypuszczone zostały, a w miejscu ich znalazły się uwagi, jak np. „różnią się moje zapatrywania“ (przedm.), lub: „ograniczamy się tylko do uwag nad niektórymi słowami, które już dziś albo nie są znane albo błędnie wyjaśniane przez wielu gramatyków“ (str. 36 i t. p.?) Wszak ta książeczka drukowała się w Krakowie, a autor jéj dopiero w miesiąc po wyjściu z druku spostrzegł się, że mu powypuszczano tak cenne uwagi! W szczegółach wylicza p. M. 4 miejsca, w których przedstawił zapatrywania prof. L. Malinowskiego, a to: w objaśnieniu *trybu rozkazującego* i słowa „*wziąć*“ całkiem, a w uwagach do słów: *kluć*, *pruć*, *wspomienąć* po części. „Wszystko inne zaś w części konjugacyjnej mej pracy“, czytamy dalej (str. III), „opiera się już to na cytowanej książ-

= **Wincenty Pol, jego młodość i jego otoczenie** (1807—1832) przez Karola Estrejchera. Jest to odbitka z „Przewodnika naukowego i literackiego“ wychodzącego we Lwowie, jako „dodatek do Gazety Lwowskiéj.“ Autor zebrał w rozprawie téj nieznane, a na autentycznych dokumentach oparte szczegóły, odnoszące się do poety tak rozmaicie w różnych czasach ocenianego. Najprzód rozpatruje p. Estreicher prace Pola w ich chronologicznym porządku, zwracając głównie uwagę na bibliografią i zaznaczając na miejscu stosowném, jak też który utwór przez krytykę został przyjęty i jak w ogólności oceniano działalność Pola, czy to poetycką czy naukową. I tu już znajdujemy kilka nowych a interesujących wiadomostek, wyjętych z wierszy i broszur okolicznościowych. Ale dopiéro od rozdziału drugiego, w którym p. Estreicher przedstawia stosunki rodzinne Pola, rozpoczyna się szereg szczegółów pracowicie na jaśnię wydobytych, które zajmować mogą jako przyczynek zarówno do dziejów samego Pola, jak i niemniéj do dziejów téj chwili historycznéj, w któréj się on urodził i kształcił. Bardzo trafnie charakteryzuje i przykładowo objaśnia p. E. znaczenie podań w rodzinie krążących: „W takich podaniach familijnych — powiada — wyobraźnia gra rolę wielką: jedno napomknięcie, jakiś szczegół, podaje wątek do przypuszczeń, a te z czasem nabierają cech prawdopodobieństwa, aż w koncu stają

---

ce prof. Leskiena, już na pracach prof. Miklosic'a. Tą książką prof. Leskiena ma być „*Handbuch der Altslawischen* (!) *Sprache*“, z któréj miał też p. Sz. M. przyjąć podział słów. To tylko utwierdza mię w przekonaniu, że najzwyklejsze i najbardziéj rozpowszechnione podręczniki nawet z tytułów p. Matusiakowi nie są znane. Książka bowiem taka, jaką p. M. cytuje, wcale nie istnieje, a podręcznik prof. Leskiena ma tytuł: Handbuch der Altbulgarischen (Altkirchenslavischen) Sprache. Lecz mniejsza o to. Dowiadujemy się z tego, że w 4-ch tylko uwagach, i to nie całkiem, korzystał p. M. z wykładów prof. L. Malinowskiego, wszystko zaś zresztą czerpie z książki prof. Leskiena i z prac prof. Miklosicha. Otóż najprzód w książce owéj prof. Leskiena nic o języku polskim nie ma, a w pracach prof. Miklosicha, w przedmowie do owéj książeczki przytoczonych, wątpię czy p. M. co do konjugacyi polskiéj znalazł. Jeżeli zaś co jest w innych pracach prof. Miklosicha, jak Vergl. Wostbildungslehre, i t. p., jestem pewny, że p. M. zna to tylko z drugiéj ręki, t. j. z wykładów prof. L. Malinowskiego. Mogę o tém sądzić najlepiéj porównywając własne notatki z owych wykładów prof. L. Malinowskiego z książeczką p. Matusiaka. Przeto pomimo całego tego „Oświadczenia“, muszę powtórzyć, że wszystkie wyjaśnienia konjugacyi dotyczące, pochodzą wprost z wykładów prof. L. Malinowskiego. Przykłady są wyjęte w czytanki K. Mecherzyńskiego, a własnością p. Matusiaka, któréj mu nikt zaprzeczać nie myśli, są w szczegółach liczne omyłki i błędy. Przy końcu swego „Oświadczenia“ ucieka się p. M. do czczych frazesów, jak np. „Myśl rzucona przez Nauczyciela kojarzy i inne z nią spokrewnione“ i t. p. Piękne mi kojarzenie myśli, objawiające się tém, że się przepisuje „Mistrza“ myśli, i podaje za swoje!

Lipsk, 22 listopada 1881 r. *Jan Hanusz.*

się prawdą. Polowi samemu nasuwały się rojenia nie oparte na fundamencie. Krótko przed śmiercią zapowiedział lekcyą publiczną o Mickiewiczu i całą godzinę mówił ślicznie, z wiarą i przejęciem o Mickiewiczu, jak w Petersburgu dawał dzisiejszemu cesarzowi Aleksandrowi w obecności cesarza Mikołaja lekcye literatury i historyi polskiéj. Powtórzył wszystkie rozmowy tak jasno, tak szczegółowo, jakby sam z własnéj świadomości to zapamiętał. A jednak o takich lekcyach biografowie milczą..." P. Estrejcher nie chce opierać swych wiadomości na takiéj sypkiéj podstawie. „Kto wierzyć chce podaniom — mówi — niechaj wierzy. Co do mnie, wolę wyszukiwać daty, grupować je i z pewnego stosunku wnioskować o niepewnych." W ten postępując sposób i zużytkowując przechowane dotychczas papiéry rodzinne, p. E. nakreślił krótką historyą rodziny Polów, Lonchampów, Ziętkiewiczów, wykazując, jak obce pierwiastki asymilowały się pod wpływem rodzimych. Rozdział trzeci „Szkoła" jest niewielki, ale do znajomości stanu ówczesnych szkół w Austryi dorzuca także parę szczegółów. W następnych rozdziałach (IV i V) przedstawia p. E. „Towarzystwo" i „Koleżeństwo" Pola, poczynając od na pół szlacheckich oficyalistów do kolegów szkolnych i przyjaciół. Tu mamy wielce zajmujące wiadomości o skłanianiu młodzieży polskiéj do ćwiczenia się w wierszowaniu niemieckiém, o wydawanych na ten cel czasopismach (*Lemberger Miscellen*, *Mnemosyne*, *Galicia*) i o kółkach literackich pomiędzy r. 1826 a 1836. W rozdziale szóstym podaje autor szczegóły, odnoszące się do pierwszych wzruszeń serdecznych poety, przytacza pod ich wpływem napisaną powiastkę *Samotnicy*, będącą odbiciem sentymentalnych utworów literatury niemieckiéj i pomieszcza dochowane urywki pamiętnika, w których poeta opowiada powstanie i powolny rozwój miłości swéj do Kornelii Olszewskiéj, późniejszéj swéj żony. W ostatnim wreszcie, siódmym rozdziale zajmuje się p. E. pierwocinami twórczości poetyckiéj Pola, jego usposobieniem niecierpiącém pracy przymusowéj, rutynicznéj, jego niedbałe starania o posadę profesora języka i literatury niemieckiéj w uniwersytecie wileńskim, jego wreszcie udział w wypadkach z r. 1831. Wydobyte z zapomnienia i oddrukowane poezye Pola z przed r. 1830 odznaczają się w ogóle brakiem samodzielności zarówno w pomysłach jak w wykonaniu; styl nie daje nawet przeczuwać przyszłego gawędziarza, a język częstokroć niepoprawny świadczy, jak trudno było, pomimo studyów nawet, wydobyć się z pod wpływu téj mowy znacznie zepsutéj, jaką mówiło jego otoczenie. Najdłuższy z poematów Pola, który po raz piérwszy z pracy p. Estreichera poznajemy, p. n. *Samobójca*, tyle ma tylko w sobie charakterystycznego, że łączy się pod względem przedstawione-

go w nim usposobienia z owemi sentymentalno-rozpaczliwemi wylewami duszy, jakie były w modzie pod wpływem romantyki; a w dodatku jest miernym, a czasem lichym stylowo. P. Estreicher krytycznie patrzy na te początki poetyckie Pola i całkiem słusznie je ocenia.

= **Homer i Homerycy** przez D-ra *Ludwika Ćwiklińskiego* (odbitka z „Przewodnika naukowego i literackiego"). Od pięciu blizko wieków, odkąd poematy mitycznego Homera znane są w Polsce, po raz to piérwszy pojawia się w tak obszernych rozmiarach rozprawa poświęcona temu, często u nas wspominanemu ale nader rzadko czytanemu, patryarsze poezyi europejskiéj. I praca d-ra Ćwiklińskiego nie jest oczywiście wyczerpującą, dotyka ona zlekka niektórych kwestyj dotyczących Homera, a szczegółowo zastanawia się jedynie nad przekładami epopei starogreckich na język polski; w każdym jednak razie ona piérwsza u nas poświęca tym poematom uwagę baczniejszą. Informacye, jakie w niéj znajdą czytelnicy, pochodzą od fachowo wykształconego i zdolnego filologa, profesora klasycznych przedmiotów w uniwersytecie lwowskim, zaufać im można w zupełności. Rozprawa p. Ćwiklińskiego, ogólnie biorąc, składa się z dwu części W pierwszéj zastanawia się autor nad losami epopei starogreckich zarówno wśród samych Hellenów, jak wśród późniejszych narodów ze szczególném uwzględnieniem studyów nad Homerem w Polsce, a nadto przedstawia wyniki najnowszych badań nad sposobem powstania tak Iliady jak i Odysei; — w drugiéj zaś części p. Ć. rozprawia o sposobach tłómaczenia tych poematów, kreśli historyą zapatrywań na tę kwestyą w Niemczech i u nas, roztrząsa pytanie o metryczności mowy naszéj celem przekonania się, czy możemy do pewnego przynajmniéj stopnia oddać w przekładzie miarę wierszową Iliady i Odysei, a w końcu ocenia wartość ich dotychczasowych tłómaczeń w języku polskim. Wszystkie pomieszczone tu uwagi świadczą o gruntownéj znajomości zarówno samych poematów jak i licznych studyów nad nimi, wszystkie odznaczają się rozwagą i umiarkowaniem, nie lubiącém żadnych krańcowych sądów, choćby one mogły znaleźć poklask chwilowy. W kwestyi powstania Iliady podziela poglądy powszechnie dziś wśród filologów przyjęte o pierwotném istnieniu pojedyńczych pieśni ludowych, które następnie spojono, choć niezbyt zręcznie, w jednę całość. Co do Odysei podaje hipotezę Kirchhoffa, którą możnaby streścić w ten sposób: Odyseja powstała stopniowo przez rozszerzenie, opracowanie i wykończenie krótkiego pierwotnie poematu, który możnaby odtworzyć z różnych wierszy księgi I, V, VI i VII, a które poeta wysnuł swobodnie na podstawie podania ludowego, formą jego wcale się nie krępując. Nieco

później, ale jeszcze przed piérwszą olimpiadą inny jakiś nieznany poeta z Kolofonu lub Smirny napisał dalszy ciąg tego utworu, mający już wartość mniejszą, gdyż jego autor nie umiał różnych pieśni ludowych, z których czerpał, przerobić do tego stopnia, iżby stąd jednolita powstała całość. Nareszcie około 30-éj olimpiady inny znowuż poeta opracował znaną do owego czasu Odyseję, powiększając ją więcéj niż o połowę; dodatki te pochodzą po części z głowy samego obrabiacza, po części zaś są pieśniami dawniejszego pochodzenia; własne jego uzupełnienia są liche, a sposób wcielenia ludowych pieśni nowych do dawniejszego poematu bardzo niezręczny, przez co w poemacie powstało wiele sprzeczności. W tym to kształcie dostała się do rąk komisyi redakcyjnéj, ustanowionéj przez Pizystrata a za jéj pośrednictwem i do nas. Co do przekładów, odróżnia p. Ć. parafrazę, która nie krępuje się formą oryginału i nie dąży do wiernego odtworzenia toku zdań, i właściwe tłómaczenie, które i tym względom czyni zadość. Za najlepszą parafrazę poczytuje przekład Odysei przez Siemieńskiego, wytykając równocześnie usterki téj znakomitéj ale przechwalonéj pracy; za najlepsze chociaż niepoetyczne tłómaczenie uważa przekład Iliady heksametrami przez p. Popiela dokonany. Na wymagania, jakie tłómaczom naszym stawia p. Ć., zgodzić się należy prawie bezwarunkowo; wszystkie są należycie wymotywowane, nię przechylają się ani na stronę niewolniczéj wierności, ani też na stronę poetyckiego fantazyowania. Wiadomości o istniejących u nas przekładach epopei starogreckich powiększył p. Ć. wydobywając z rękopismów biblioteki Ossolińskich dwa (liche zresztą) tłómaczenia Iliady przez Floryana Unifantowicza i Jana Zborowskiego. Piszący te słowa, mógłby wskazać niewymieniony przez p. Ć. przekład znacznéj części IX-éj księgi Odysei przez Brunona Kicińskiego, drukowany w „Dzienniku Wileńskim" roku 1815, II, 205—219. A co dotyczy rozpraw o przekładach Homera na nasz język, wypadałoby zaznaczyć pracę bezimiennego, pomieszczoną w I-ym tomie „Astrei" (r. 1821) str. 65—77 p. n. „Niektóre uwagi nad przekładem Iliady ś. p. Franciszka Dmochowskiego."

= **Herder i jego filozofia historyi**, napisał D-r *Tadeusz Rutowski*. Kraków, 1881, str. 57 (odbitka z „Muzeum"). Niepospolity znawca literatury XVIII wieku, Herman Hettner, powiedział, że Herder nie należy wprawdzie do pisarzy klasycznych w stylu Winckelmanna, Lessinga, Kanta, Goethego i Schillera i że pisma jego po części są przestarzałe, że jednakowoż wpływ tego genialnego myśliciela we wszystkich kierunkach był tak potężny w swoim czasie, iż ani wielka poezya Goethego i Schillera, ani tak zwana szkoła romantyczna, ani filozofia Schellinga i Hegla, nawet pomyśléć by się nie dały bez po-

przednictwa Herdera. Takiego to rycerza ducha wziął za przedmiot swego badania p. Tadeusz Rutowski. Zajął się zaś szczegółowo tylko filozofią historyi Herdera w tém przekonaniu, że jako poeta, jako tłómacz, jako odkrywca skarbów poezyi Wschodu i Północy, oraz poezyi ludowej, jako literacki i teologiczny krytyk i polemista, jako teolog i kaznodzieja, jako filozof, należy Herder do bohaterów ducha niemieckiego w wieku XVIII, lecz jako filozof historyi, należy do świata całego. Atoli chcąc przedstawić należycie pomysły historyozoficzne, nie mógł autor pominąć poglądów w ogóle filozoficznych Herdera, zobrazował je więc zwięźle i dosadnie. Następnie streścił teoryą *rozwoj*u Herdera w ogólnych zarysach: „Człowiek nie zleciał z nieba, jego *genesis* jest ostatnią fazą niezmiernie długiéj historyi tworzenia się świata. Główne momenta procesu są: tworzenie się systemu słonecznego, ziemi, żyjątek, długi łańcuch rozwoju organizmów, zjawienie się najwyższego kwiatu rozwoju — człowieka, dzieje ludzkości. Człowiek nie jest przypadkowym produktem, kaprysem losu, jest najwyższym wytworem z elementów ziemskich, cały ziemski, cały produktem natury. Dzieje ludzkości stają się zrozumiałemi, gdy człowiek nie stoi oderwany od natury, gdy nie pojmujemy go jednostronnie podług pewnych jego właściwości, ale jako zjawisko naturalne, prawidłowe, jako część całości; wtedy rola jego w całości staje się zrozumianą, jéj rozmiar, jéj granice, jéj wartość dają się oznaczyć. Człowiek jako produkt natury zdradza wszystkie pierwiastki swego pochodzenia: jest koroną organizacyi na ziemi, ulubioném dzieckiem natury; ażeby mógł się stać, musiał wyprzedzić go nieskończenie długi szereg przyczyn, czynników, okoliczności, stosunków i stał się, gdy rozwój organizmów w nim, w mikrokosmie, najwyższego stopnia dosięgnął. Jak człowiek łączy się z całym łańcuchem organicznego świata, stoi tenże w związku z ziemią i z uniwersum“ (str. 15). W dalszym ciągu p. R. przedstawia po szczególe pomysły Herdera odnoszące się do rozwoju ziemi, człowieka, rozumu, religii, historyi w związku z czynnikami naturalnemi, polityki wreszcie. Autor wykazuje, że Herder jest jednym z tych poprzedników teoryi ewolucyi, którzy nietylko widzieli *fakt* rozwoju, ale nadto poznali *prawo* tego rozwoju i starali się wytłómaczyć przyczynowo pojedyncze jego zjawiska. Tę teoryą ewolucyi, na podstawie determinizmu powszechnego wprowadził Herder do historyi ludzkości, wskazał dosadnie wpływ natury na narody, na ich charakter i instytucye. P. R. wbrew twierdzeniu wielu poważnych badaczy, stara się dowieść, że Herder w rozwoju świata i ludzkości nie szukał celowości, że jedynie mógł dać pozór takiego zapatrywania się posługując się językiem obrazowym, który lubuje się w przenośniach i symbolice;

Herder, zdaniem autora, od najwcześniejszéj młodości aż do wieku dojrzałego wyznawał stale zasadę stałéj przyczynowości zarówno w przyrodzie jak i w dziejach. W ostatnim rozdziale porównywa p. R. Herdera z poprzednikami jego na polu historyozofii (głównie z Leibnitzem, Viconem, Monteskiuszem, Wolterem) i streszcza swój pogląd na znaczeniu jego w założeniu téj nauki. Herder był eklektykiem, metafizyczne podstawy zapożyczył u innych, ale zastosował je z taką stanowczością do dziejów ludzkości, że dziś jeszcze wpływ jego jest widoczny. Twórczą jego ideą był wyraz *natura*; stąd jego filozofia historyi jest „optymistycznym fatalizmem natury." Wprawdzie znajdują się w dziełach Herdera zdania o potędze woli ludzkiéj, ale nigdzie nie ma wyraźnego określenia, jakim sposobem ta wola może nad naturą zapanować i względnie nad nią odnieść zwycięztwo. Praca p. R-go oparta jest na gruntownéın i samodzielném badaniu; wartość jéj zatém niemała; byłaby większa, gdyby się jaśniéj umiał wyrażać i gdyby się nie posługiwał mnóstwem wyrazów jcudzoziemskich, które styl jego i język szpecą. Mamy na to własne słowa, aby nie mówić o *detaliach ekstremach*, *koncepcyach*, *konwenien-cyach*, *dywinacyach intuitywnych*, *prekursorach*, *artefaktach*, *kontraryzmach*, *ideach regulatywnych*, duchach *impregrowanych* frazesami *charakterach*, *kompletycznych*, *Oryentach*, *insolencyach*, *rezultatach detajlicznych*, *hiatach*, *odium*'ach, *ewangelium*'ach i t. d. Prócz tego w języku naszym nie przyjęto form: *peryoda*, *szkica*, *szablona*, jako rodzaju żeńskiego, a spójnik *ale* nie kładzie się jak niem. *aber* w środku zdania („starał się jednak *ale* wszystkie zarzuty... ubezwładnić" str. 48 została wspólność języka, która *ale* dopiéro przez późniejszy rozkwit literatury i t. d. str. 46).

= **Przegląd pedagogiczny**, według świéżo ogłoszonego *prospektu* wychodzić będzie w Warszawie od 1-go stycznia roku przyszłego w terminach dwutygodniowych. Od niejakiego czasu dawała się już silnie czuć potrzeba pisma, któreby ożywiający się coraz bardziéj ruch na polu wychowawczém, światłéj i rozważnéj kontroli poddać mogło, któreby wśród trudnych u nas warunków edukacyjnych, służyło wytrawną radą przewodnikom wychowania domowego i w ogóle prywatnego, zarówno pod względem zasad jak i wyboru środków wychowawczych. Zdaje się, że mający u nas powstać dwutygodnik pedagogiczny potrafi spełnić to niewątpliwie bardzo trudne, ale téż i bardzo ważne zadanie. Prospekt zapewnia, że ideałem wychowawczym redakcyi „Przeglądu pedagogicznego" jest wszechstronny a harmonijny i naturze człowieka odpowiadający rozwój wszystkich uzdolnień fizycznych i umysłowych; że w przeprowadzeniu téj zasadniczéj myśli redakcya wesprze się na zasadach przyjętych przez

nowszą naukę, odrzucając bezwarunkowo zarówno zakorzenione przesądy jak i dowolne, jednostronne przekonania reformatorów wychowawczych. Wszelka przesada daleko idąca — czytamy w prospekcie — ciasnota jednostronna, partykularyzm lub zacofanie się nie znajdą schronienia w piśmie naszém, które objawy tego rodzaju będzie uważało jako szkodliwą dążność do nieprawidłowego i nienaturalnego zacieśnienia rozwoju młodego człowieka. Przegląd pedagogiczny zamierza traktować równocześnie działy wychowania „fizycznego i intelektualnego, uczuciowego i estetycznego, moralnego i religijnego“ tak pod względem teoretycznym jak i praktycznym, zwracając uwagę i na zasady i na metody. Najwięcéj uwzględnioną tu będzie ta część wychowania, która z jednéj strony przedstawia się jako wielostronnie najważniejsza, z drugiéj zaś najbardziéj potrzebuje głosu doradczego; wychowanie zatém macierzyńskie i elementarne w ogóle stać będzie na piérwszym planie „Przeglądu pedagogicznego.“ W dziale sprawozdawczym notowane będą ulepszenia odnoszące się do pielęgnowania zdrowia dzieci, wykazy ilości szkół publicznych i prywatnych, liczba przedmiotów naukowych, pomoce naukowe, a nadto rozbiory książek do czytania dla młodzieży, podręczników szkolnych, artykułów pedagogicznych ogłaszanych w innych czasopismach. Nie wyliczamy tu wszystkiego, co prospekt szczegółowo zapowiada; możemy tylko dodać, że nie pominięto tu ani jednego ważnego szczegółu wychowawczego. Życzyć też należy „Przeglądowi pedagogicznemu“ jak najszerszego poparcia ze strony nauczycieli i rodziców, ażeby obietnice powyższe mogły być jak najlepiéj spełnione dla dobra wychowania, dla dobra oświaty.

Wydawca, **W. Spasowicz**.—Redaktor, **Piotr Chmielowski.**

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „Ateneum“

w ciągu m. Listopada 1881 r.

Wydawnictwa krakowskiej Akademii Umiejętności:

1. **Rocznik zarządu Akademii**, rok 1880.
2. **Akta historyczne** do objaśnienia rzeczy polskich służące:
   a) Pisma do wieku i spraw Jana Sobieskiego (1672—1674). T. I. Część 2. Zebrał i wydał *Franciszek Kulczycki.*
   b) Archiwum spraw zagranicznych francuskie do dziejów Jana III-go. T. II (1677—1679). Opracował Dr. *Kaz. Waliszewski.*
3. **Zabytki przedhistoryczne ziem polskich**. Serya I. Prusy królewskie, badał i opisał *Gotfryd Ossowski.* Zeszyt 2.
4. **Sprawozdania komisyi** do badania historyi sztuki w Polsce. T. II. Zeszyt 2. Kościół św. Jakóba w Sandomierzu, opisał *Władysław Łuszczkiewicz.*
5. **Rozprawy i sprawozdania** z posiedzeń wydziału historyczno-filozoficznego Akad. Um. Tom XIII.
6. **Rozprawy i sprawozdania** z posiedzeń wydziału matematyczno-przyrodniczego Akad. Um. Tom VIII.
7. **Sprawozdania komisyi językowej** Akad. Um. Tomy I i II.
8. **Zbiór wiadomości do Antropologii krajowej**, wydany staraniem komisyi antropologicznéj Akad. Um. Tom V.

---

9. **Historya powszechna** dla młodego wieku, opowiedziana według najnowszych źródeł p. *Zarembę*. Tom I. Egipt i państwo Assyryjsko-Babilońskie.Nakład „Wieczorów rodzinnych“ 1881.
10. **Julijan Bartoszewicz**. Anna Jagielonka. Dwa tomy w jednym. Kraków 1882.
11. **Katalog rękopismów** biblioteki zakładu nar. im. Ossolińskich. Wydał Dr. *Wojciech Kętrzyński*, dyrektor tegoż zakładu. Zeszyt 2. Lwów 1881.

Zaproszenie do przedpłaty na r. 1882.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE,

wychodzić będzie w roku następnym 1882 jak dotychczas na początku każdego miesiąca zeszytami, najmniéj 12 arkuszy druku zawierającemi.

Redakcya zawiadamia szanownych czytelników, że i w roku przyszłym starać się będzie o jak najstaranniejsze spełnienie programu, przedstawionego w prospekcie na rok 1881. Rozbierać jasno ważniejsze zagadnienia, jakie społeczeństwu naszemu rozwój stosunków stawia, rozpowszechniać zdobycze naukowe w świecie cywilizowanym dokonane, śledzić bacznie objawy umiejętne i literackie wśród narodu naszego, zdając o nich sprawę krytyczną, podawać dla umysłu przedmioty do rozwagi a fantazyi karm zdrową; oto główne cele, które osiągnąć zamierzyła sobie redakcya.

Działy, w których myśl przewodnia znajdować będzie swe wyjaśnienie i rozwinięcie są następne:

I. Artykuły wstępne dotyczące ważnych zagadnień bieżących treści społecznéj lub naukowéj.

II. Powieści i poezye, oryginalne i tłomaczone.

III. Studya z dziedziny historyi, etnografii, lingwistyki i mitologii, ze szczególnym uwzględnieniem dziejów i stosunków polskich.

IV. Rozprawy wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego.

V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one doniosłością swoją uwydatnią.

VI. Studya z dziedziny filozofii, a zwłaszcza psychologii, etyki i estetyki.

VII. Artykuły treści wychowawczéj.

VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych, oraz kronika przyrodnicza, notująca najnowsze odkrycia i wynalazki.

IX. Kronika miesięczna, w któréj bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę.

X. Przegląd ważniejszych objawów wśród przedstawień scenicznych.

XI. Rozbiory, sprawozdania i wrażenia literackie, w których zawrze się obraz ruchu naukowo-literackiego i artystycznego, objawiającego się w nowo wychodzących utworach.

Довв. Цензурою, Варшава, 19 Ноября 1881 г. Druk K. Kowalewskiego, Królewska 23.